

# Szczypta grzechu

Mary Balogh



calibre 0.9.27

MARY BALOGH

*Szczypta*

*grzechu*

Lord Alleyne Bedwyn, najmłodszy brat księcia Bewcastle'a, prawie całą swoją młodość do dwudziestego piątego roku życia spędził w Anglii. Z dala od działań wojennych, które pustoszyły Europę od czasu, kiedy do władzy doszedł Napoleon Bonaparte. Alleyne nigdy nie widział bitwy. Z żywym zainteresowaniem słuchał jednak wojennych opowieści swego starszego brata, lorda Aidana Bedwyna, od niedawna byłego pułkownika kawalerii. I wydawało mu się, że wie, jak wygląda pole bitwy.

Mylił się.

Wyobrażał sobie równo ustawione szeregi wojsk. Wielka Brytania i jej sojusznicy po jednej stronie, wróg po drugiej. Pomiędzy nimi teren płaski jak boisko w szkole dla chłopców w Eton. Widział w myślach kawalerię, piechotę i artylerię, w nieskazitelnie czystych, kolorowych mundurach, poruszającą się zgrabnie i precyzyjnie, niczym pionki na szachownicy. Wyobrażał sobie kanonadę dział, z lekka tylko zakłócającą ciszę. Myślał, że przez cały czas pole bitwy jest doskonale widoczne, że w każdej chwili można ocenić przebieg walki. Pewien był, jeśli w ogóle kiedykolwiek się nad tym zastanawiał, że powietrze jest czyste i można nim swobodnie oddychać.

Mylił się pod każdym względem.

Nie był wojskowym. Niedawno doszedł do wniosku, że powinien zrobić w życiu coś pożytecznego, i rozpoczął karierę w dyplomacji. Przydzielono go do ambasady w Hadze, kierowanej przez sir Charlesa Stuarta. Sir Charles wraz z częścią personelu, w tym także i Alleyne'em, przeniósł się do Brukseli. Zgrupowały się tam sprzymierzone armie, pod dowództwem księcia Wellingtona, w odpowiedzi na nowe zagrożenie ze strony Napoleona. Wiosną tego roku cesarz Francuzów uciekł z Elby i zgromadził we Francji potężną armię. Właśnie dzisiaj, na rozległych, górzystych polach na wschód od wioski Waterloo toczyła się

od dawna wyczekiwana bitwa. Alleyne znalazł się w samym jej środku. Zgłosił się na ochotnika do tej misji. Miał zawieźć list od sir Charlesa do Wellingtona i wrócić z odpowiedzią. Dziękował Bogu, że wyruszył z Brukseli sam. Przed nikim nie zdołałby ukryć, że jest przerażony jak jeszcze nigdy dotąd.

Najgorszy był huk wielkich armat. Dźwięk ogłuszał i dudnił w piersi i brzuchu. Wokół snuł się dym. Alleyne nie mógł oddychać, łzawiły mu oczy - widział nie dalej niż na kilka metrów. Poprzedniej nocy spadł ulewny deszcz. Żołnierze grzęzli w błocie, z końmi nie było lepiej. Wszyscy poruszali się na pozór w kompletnym bezładzie. Oficerowie i sierżanci wykrzykiwali komendy, które żołnierzom jakimś cudem udawało się usłyszeć. Alleyne czuł gryzący swąd i fetor krwi i wnętrzności. Nawet poprzez kłęby dymu, gdziekolwiek spojrział, widział zabitych i rannych. Wyglądało to, jak scena wprost z czeluści piekieł. Uświadomił sobie, że to właśnie jest wojenna rzeczywistość. Księżę Wellington znany był z tego, że zawsze znaleźć go można było w miejscach najbardziej zaciętych walk. Lekkomyślnie narażał się na niebezpieczeństwo, ale za każdym razem cudem wychodził z niego bez szwanku. Dzisiejszy dzień nie był wyjątkiem. Alleyne wypytał co najmniej z tuzin oficerów, zanim w końcu udało mu się odnaleźć księcia na odkrytym wzniesieniu. Obserwował stamtąd folwark La Haye Sainte, zawzięcie atakowany przez Francuzów, którego z nie mniejszą zaciekłością bronił oddział pruskich żołnierzy. Nawet gdyby się starał, Wellington nie mógłby znaleźć miejsca, gdzie byłby jeszcze bardziej wystawiony na cel. Alleyne oddał list, a potem skupił się na tym, by opanować konia. Usiłował nie myśleć o grożącym mu niebezpieczeństwie, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że tuż obok niego z hukiem przelatują armatnie pociski i świszczą kule z muszkietów. Czuł przerażenie przenikające go do szpiku kości.

Musiał poczekać, aż Wellington przeczyta list, a potem podyktuje odpowiedź jednemu

ze swoich adiutantów. Czas dłużył się Alleyne'owi w nieskończoność. Przyglądał się walce o utrzymanie folwarku, o ile w ogóle mógł coś zobaczyć poprzez kłębiący się dym z tysięcy dział.

Patrzył na ginących żołnierzy i bał się, że sam za chwilę też zginie. Zastanawiał się, czy odzyska słuch, jeśli mimo wszystko przeżyje. Czy odzyska spokój? W końcu dostał odpowiedź na list, schował ją bezpiecznie w kieszeni na piersi i odwrócił się, żeby odejść. Nigdy dotąd nie czuł takiej ulgi.

Jak Aidan wytrzymał takie życie przez dwanaście lat? Jakim cudem przeżył, by potem jakby nigdy nie ożenić się z Eve i wieść w Anglii spokojne życie na wsi?

Nagle poczuł ostry ból w lewym udzie. Pomyślał, że chyba za mocno przekręcił się w siodle i naciągnął mięsień. Jednak gdy spojrzał w dół, zobaczył dziurę w spodniach i tryskającą krew. Uświadomił sobie, co się stało, niemal jakby był widzem, obojętnie przyglądającym się wszystkiemu z boku.

- Na Jowisza, zostałem trafiony - powiedział głośno.

Usłyszał swój głos, jakby dochodził z bardzo daleka, stłumiony przez kanonadę dział i jego własną, spowodowaną hałasem, głuchotę. W głowie zaczęło mu szumieć. Zrobiło mu się nagle okropnie zimno.

Nie przyszło mu do głowy, by się zatrzymać, zsiąść z konia i odszukać lekarza. Myślał tylko o tym, by się stąd wydostać i natychmiast wracać do bezpiecznej Brukseli. Miał tam do załatwienia ważne sprawy. Nie pamiętał, co dokładnie, ale wiedział, że nie może sobie pozwolić na zwłokę.

Ogarniała go panika.

Jechał jeszcze przez kilka minut, dopóki nie upewnił się, że znalazł się z dala od bezpośredniego zagrożenia. Noga bolała go już jak sto diabłów. Co gorsza, nadal obficie

krwawił. Poza dużą chustką do nosa nie miał przy sobie niczego, czym mógłby obwiązać ranę. Wyciągnął chustkę z kieszeni. Obawiał się, że nie obejmie uda, ale złożona na skos okazała się dłuższa, niż się spodziewał. Krzywiąc się i niemal mdlejąc z bólu, drżącymi palcami mocno zawiązał chustkę powyżej rozdarcia w spodniach. Kula chyba utkwiała mu w udzie. Ból w nodze tętnił z każdym uderzeniem pulsu. Szok przyprawiał go o zawroty głowy. Tysiące żołnierzy odniosło cięższe rany niż on, upomniał się surowo. O wiele cięższe. Rozpamiętywanie własnego bólu było tchórzostwem. Musi być silny. Jak tylko dotrze do Brukseli, zakończy swoje zadanie, znajdzie doktora, który wydobędzie kulę i doprowadzi go do ładu. Sama myśl o tym przejmowała go dreszczem. Miał nadzieję, że przeżyje. I nie straci nogi.

Wkrótce znalazł się w lesie Soignes. Drogą przetaczał się w obie strony potężny tłum. Alleyne chciał uniknąć tłoku, więc jechał między drzewami, trzymając się zachodniej strony drogi. Mijał w lesie licznych żołnierzy. Kilku zabitych, wielu rannych tak jak on. I bardzo wielu dezertersów, przerażonych okropnościami pola bitwy. Wcale im się nie dziwił. Szok mijał i ból stawał się coraz silniejszy. Krwawienie, choć nieco zatamowane opaską zawiązaną na nodze, nie ustawało. Było mu zimno, kręciło mu się w głowie. Musi wracać do Morgan. Ach tak, właśnie!

W Brukseli przebywała Morgan, jego młodsza, zaledwie osiemnastoletnia siostra. Opiekunowie zbyt długo zwlekali i nie wyjechali razem z większością Anglików, którzy ściągnęli do miasta w ciągu ostatnich kilku miesięcy Caddickowie, a z nimi i Morgan, byli teraz praktycznie uwięzieni w Brukseli. Wojsko zarekwirowało wszystkie pojazdy. Co gorsza, akurat dzisiaj pozwolili jej wyjść z domu. Gdy rankiem wyjeżdżał z Brukseli, zaskoczony zobaczył ją przy bramie Namur. Wraz z kilkoma kobietami opiekowała się rannymi, którzy zaczęli już napływać do miasta.

Obiecał, że wróci jak najszybciej i dopilnuje, żeby znalazła się w bezpiecznym miejscu, najlepiej z powrotem w Anglii. Poprosi w ambasadzie o krótki urlop i sam zabierze ją do domu. Bał się nawet myśleć o tym, co się z nią stanie, jeśli w dzisiejszej bitwie zwyciężą Francuzi.

Musi wracać do Morgan. Obiecał Wulfricowi, najstarszemu bratu, że będzie jej pilnował, mimo że Wulf oficjalnie oddał ją pod opiekę hrabiostwu Caddick. Morgan przyjechała do Brukseli wraz z ich córką, a swoją przyjaciółką, lady Rosamond Havelock. Dobry Boże, przecież jego siostra była niemal dzieckiem. Ach, prawda, miał jeszcze dostarczyć list sir Charlesowi. Zastanawiał się, jaką ważną wiadomość zawierał, że wysłano go w sam środek bitwy, by zawiózł pismo i wrócił z odpowiedzią. Może to było zaproszenie na kolację dzisiejszego wieczoru? Nie zdziwiłby się, gdyby list zawierał coś równie banalnego. Zaczynał mieć wątpliwości co do sensu swojej kariery. Może powinien był zająć jedno z miejsc w parlamencie, którymi dysponował Wulf Tyle że polityka w zasadzie wcale go nie interesowała. Czasami martwił się, że jego życie upływa bez celu. Człowiek powinien przecież robić coś pożytecznego, coś, co rozpala mu krew i podnosi na duchu, nawet jeśli, tak jak w jego przypadku, ma dostateczny majątek, by przejść przez życie, nie kiwnąwszy palcem.

Alleyne miał wrażenie, że noga spuchła mu jak balon i za chwilę pęknie. Zdawało mu się też, że wbito w nią milion noży, które pulsują bólem w rytm uderzeń serca. Głowę wypełniała mu zimna mgła. Powietrze, którym oddychał, stało się lodowate.

Morgan... Skupił się, by przywołać z pamięci jej obraz. Młoda, pełna życia, uparta Morgan. Jego siostra. Jedyna spośród pięciorga rodzeństwa młodsza od niego. Musi do niej wracać.

Jak daleko jeszcze do Brukseli? Stracił rachubę czasu i odległości. Nadal słyszał huk

dział. Po prawej ręce wciąż miał drogę, zatłoczoną pojazdami, wozami i ludźmi. Zaledwie dwa tygodnie temu, na zaproszenie hrabiego Rosthorna, przyjechał tu na piknik przy świetle księżycy. Rosthorn, mężczyzna o wątpliwej reputacji, bardzo zuchwale flirtował wtedy z Morgan, co wywołało mnóstwo plotek.

Alleyne zacisnął zęby. Nie wiedział, jak długo będzie jeszcze w stanie jechać. Nie miał pojęcia, że można odczuwać tak straszliwy ból. Z każdym stąpieniem konia czuł wstrząs, ale bał się zsiąść. Na pewno nie zdoła iść sam. Zebrał resztki sił i jechał dalej. Gdyby tylko udało mu się dotrzeć do Brukseli...

Poszycie leśne było nierówne. Koń Alleyne'a - niewątpliwie oszołomiony hałasem panującym na polu bitwy - był coraz bardziej niespokojny z powodu ciężącego mu ciała zeszywniałego jeźdźca. Potknął się o korzeń drzewa i stanął dęba z przerażenia. W normalnych okolicznościach Alleyne z łatwością osadziłby go na miejscu. Ale nie teraz.

Przechylił się ciężko do tyłu. Na szczęście buty wysunęły mu się przy tym ze strzemion. Nie mógł zrobić nic, żeby złagodzić upadek. Runął, uderzając głową o korzeń.

Stracił przytomność. Leżał na ziemi, tak blady, że każdy, kto by się na niego natknął, uznałby go pewnie za martwego. I nikogo by to nie zdziwiło, las Soignes, położony daleko na północ od pola bitwy, był usłany ciałami zabitych.

Koń jeszcze raz stanął dęba i pogalopował przed siebie.

Spokojny, na pozór przyzwoity dom przy rue d'Aremberg w Brukseli, który cztery angielskie „damy” wynajęły dwa miesiące temu, był w rzeczywistości domem schadzek.

Bridget Clover, Flossie Streat, Geraldine Ness i Phyllis Leavey przyjechały tu razem z Londynu. Słusznie uznały, że dopóki trwa całe to wojskowe szaleństwo, interes powinien dobrze prosperować.

Cztery lata temu połączyła je przyjaźń i interesy. Miały wspólny cel. Marzyły, że



zaoszczędzą dość pieniędzy, aby porzucić swoją profesję, kupić dom gdzieś w Anglii i wspólnie prowadzić pensjonat dla szacownych dam. Były o krok od tego, by zrealizować swe pragnienia. Miały wszelkie podstawy przypuszczać, że gdy wrócą do Anglii, będą wolne i niezależne. Ich marzenie właśnie runęło w gruzy. Grzmot armat, gdzieś na południe od miasta, obwieścił, że rozpoczęła się potężna bitwa. W tym samym czasie dowiedziały się, że straciły wszystko. Ich ciężko zarobione pieniądze znikły, zostały skradzione. Wszystkiemu zawiniła Rachel York.

Rachel sama przywiozła im złe wieści. Wróciła do miasta, zamiast ruszyć do domu, do Anglii, tak jak niemal wszyscy przebywający w Brukseli Anglicy. Wielu mieszkańców miasta także uciekło na północ. Rachel przyjechała, by oznajmić czterem kobietom okropną prawdę. Wbrew temu, czego się spodziewała, nie zasypały jej wyrzutami, ale same zaczęły ją pocieszać. A ponieważ Rachel nie miała się gdzie podziać, udzieliły jej schronienia i oddały ostatnią wolną sypialnię w domu. Została najnowszą mieszkanką domu schadzek. Jeszcze niedawno sama myśl o tym pewnie by ją przeraziła. A może rozbawiła? Zawsze miała duże poczucie humoru. Teraz jednak czuła się zbyt podle, żeby w ogóle zastanawiać się nad tym, że zamieszkała z prostytutkami.

Było już dobrze po północy. Tej nocy przyjaciółki nie pracowały. Rachel pewnie dziękowałaby za to losowi, gdyby mogła myśleć rozsądnie. Czuła się jednak zanadto zmęczona. Przez cały wczorajszy i dzisiejszy dzień, dopóki nie dotarła na miejsce i nie przekazała strasznych wieści, z rozpaczy niemal odchodziła od zmysłów. Teraz ogarnęło ją odrętwienie.

Dręczyło ją poczucie winy.

Siedziały całą piątką w salonie. Nawet gdyby położyły się do łóżek, i tak trudno by im było zasnąć. Trwająca przez cały dzień bitwa dodatkowo rozstroiła im nerwy. Słyszały huk

dział, mimo że walki toczyły się wiele kilometrów stąd. Wśród mieszkańców miasta raz po raz wybuchała panika, gdy docierały do nich pogłoski, że lada moment wtargną tu żądni krwi francuscy żołnierze. Jednak pod wieczór nadeszły wieści, że bitwa się skończyła. Wielka Brytania i sprzymierzone z nią wojska zwyciężyły i teraz ścigały armię francuską w kierunku Paryża.

- I cóż z tego? - skomentowała Geraldine, opierając dłonie na rozłożystych biodrach. -

Nie ma już tych pięknych wojaków, a myśmy tu zostały biedne jak myszy kościelne.

Nie tylko wieści o bitwie spędzały im sen z powiek. Nie pozwalały im zasnąć

niepokój, wściekłość i frustracja. I palące pragnienie zemsty.

Geraldine chodziła tam i z powrotem, a jej purpurowy szlafroczek powiewał za nią przy każdym kroku. Pod nim miała fioletową koszulę nocną, która opinała jej obfite kształty.

Geraldine potrząsała czarnymi rozpuszczonymi włosami i wymachiwała ręką, niczym aktorka na scenie. Pochodziła z Włoch i widać to było na pierwszy rzut oka. Rachel siedziała przy kominku i obserwowała ją. Otuliła ramiona szalem, mimo że noc nie była chłodna.

- Oślizła, podła ropucha! - zawołała Geraldine. - Niech no tylko dostanę go w swoje ręce. Rozszarpię go. Albo uduszę!

- Geny, najpierw musimy go odnaleźć. - Bridget rozsiadła się na krześle. Wydawała się zmęczona, a mimo to wyglądała olśniewająco w różowym szlafroczku, który jaskrawo kontrastował z jej niewiarygodnie rudymi włosami.

- O, nie martw się, Bridge, już ja go znajdę. - Geraldine uniosła ręce, chwyciła nimi powietrze i przekręciła, wyobrażając sobie zapewne, że jest to szyja wielebnego Crawleya.

Niestety Nigel Crawley już wyjechał. Ten łajdak zapewne był już w Anglii razem z ich pieniędzmi. Rachel, mimo że zwykle nie była osobą porywczą, pomyślała, że sama chętnie wydrapałaby mu oczy. Gdyby nie ona, Crawley nigdy nie spotkałby tych czterech

kobiet. A gdyby ich nie poznał, nie uciekłyby z ich oszczędnościami.

Flossie też chodziła tam i z powrotem, tylko cudem unikając zderzenia z Geraldine.

Miała krótkie jasne loki i duże niebieskie oczy. Drobna, ubrana w strój w pastelowych kolorach, wyglądała jak prawdziwa trzpiotka. Potrafiła jednak czytać i pisać i miała głowę do interesów. To ona była skarbnikiem ich przedsięwzięcia.

- Musimy znaleźć pana Łotra Crawleya - oznajmiła. - Nie wiem jak, kiedy i gdzie, skoro on ma do dyspozycji całą Anglię, a może i świat, żeby się ukryć, a my prawie w ogóle nie mamy pieniędzy, by za nim wyruszyć. Ale ja go znajdę, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobię w swoim życiu. Wiesz, Geny, możesz skrócić mu kark, za to ja dobioreę się do innej części jego ciała i zawiążę ją na supeł.

- Pewnie jest za mała, żeby starczyło na supeł, Floss - wtrąciła się Phyllis. Była ładna, pulchna i spokojna. Zawsze miała gładko zaczesane ciemne włosy i ubierała się w proste, skromne suknie. Zdaniem Rachel wcale nie wyglądała na prostytutkę. Jak zawsze praktyczna, weszła właśnie do salonu, niosąc wielką tacę z herbatą i ciastkami. - Zresztą zanim go znajdziemy, on pewnie już dawno wyda wszystkie nasze pieniądze.

- Tym bardziej trzeba mu się odpowiednio odwdzińczyć - powiedziała Geraldine. - Zemsta dla samej zemsty może być bardzo słodka, Phyll.

- Ale jak my go odnajdziemy? - spytała Bridget, przegarniając palcami rude włosy.

- Bridge, ty i ja napiszemy listy do wszystkich dziewczyn, które potrafią czytać - powiedziała Flossie. - Znamy ich przecież wiele w Londynie, Brighton, Bath, Harrogate i kilku innych miejscach, prawda? Roześlemy wici i znajdziemy go. Ale na pościg za nim potrzebujemy pieniędzy. Westchnęła i zamilkła na chwilę.

- Musimy więc wymyślić, jak się szybko wzbogacić - odezwała się Geraldine, znów energicznie machając ręką. - Ktoś ma jakiś pomysł? Jest tu może jakiś bogacz, którego

mogłybyśmy obrabować?

Zaczęły wymieniać nazwiska dżentelmenów, zapewne swoich klientów, którzy przebywali w Brukseli. Rachel rozpoznała kilka z nich. Przyjaciółki nie mówiły jednak poważnie. Wymieniwszy z tuzin nazwisk, przerwały na chwilę i zaśmiały się wesoło. Zapewne przez chwilę poczuły ulgę. Usłyszana dziś wiadomość, że wszystkie ich oszczędności zostały skradzione przez łobuza udającego duchownego, musiała być dla nich okropnym wstrząsem.

Flossie opadła na kanapę i sięgnęła po ciastko.

- Mam pomysł, ale musiałybyśmy działać szybko - powiedziała.

- I właściwie nie byłby to rabunek. Nie można przecież obrabować kogoś, kto jest martwy, prawda? Martwemu jego rzeczy na nic się już nie przydadzą.

- Boże, miej nas w opiece! Floss, co ci chodzi po głowie? - zawołała Phyllis, siadając tuż obok niej z filiżanką w ręce. - Nie zamierzam okradać grobów na cmentarzach, jeśli o to ci chodzi. Co za pomysł! Wyobrażasz sobie naszą czwórkę z łopatami na ramionach...

- Mam na myśli poległych w bitwie - wyjaśniła Flossie. Przyjaciółki spojrzały na nią ze zdumieniem. Rachel ciałniej otuliła się szalem.

- Nie my jedne będziemy to robić. Założę się, że jest tam już wielu udających, że szukają poległych krewnych, a tak naprawdę przeszukujących zwłoki. Kobietom będzie łatwiej.

Wystarczy, że zrobimy żalodne miny i będziemy powtarzać jakieś męskie imię. Ale musimy wyruszyć jak najszybciej, o ile chcemy jeszcze znaleźć coś wartościowego. Jeżeli gorliwie zabierzemy się do roboty i uśmiechnie się do nas szczęście, odzyskamy wszystko, co straciłyśmy.

Rachel usłyszała, że ktoś szczęka zębami, i nagle uświadomiła sobie, że to ona.

Zagryzła mocno wargi. Przeszukiwać zwłoki. To wydawało się okropne jak nocny koszmar.

- No, nie wiem, Floss - powiedziała Bridget z powątpiewaniem. - Moim zdaniem to nie w porządku. Zresztą to pewnie tylko żart, prawda?

- A dlaczego by nie? - spytała Geraldine, szeroko rozkładając ręce. - Tak jak powiedziała Floss, to w sumie nie byłby rabunek.

- Nikomu nie stanie się krzywda - dodała Flossie. - Oni przecież już nie żyją.

- O Boże! - Rachel przycisnęła dłonie do policzków. - To ja powinnam szukać rozwiązania. To wszystko moja wina.

Spojrzały na nią wszystkie cztery.

- Kochanie, to nie twoja wina - zapewniła ją Bridget. - Na pewno nie. Jeśli w ogóle ktoś jest tu winny, to ja, kiedy pozwoliłam, żebyś tutaj przyszła. Musiałam chyba oszaleć.

- Rache, to nie była twoja wina - potwierdziła Geraldine. - Tylko nasza. Jeśli chodzi o mężczyzn, wszystkie cztery mamy o wiele większe doświadczenie niż ty. Myślałam, że potrafię rozpoznać łajdaka na kilometr. A dałam się nabrać pierwszemu lepszemu przystojnemu łobuzowi.

- Ja też - dodała Flossie. - Przez cztery lata pilnowałam pieniędzy jak oka w głowie, dopóki się nie pojawił. Opowiadał, jak to nas kocha i szanuje, bo każda z nas przypomina mu jawno grzesznicę Magdalenę, a przecież Jezus ją kochał. Oddałam mu nasze oszczędności, żeby je zabrał do Anglii i bezpiecznie zdeponował w banku. Sama się zgodziłam, aby wziął nasze pieniądze i jeszcze mu podziękowałam. I już ich nie ma. To przede wszystkim moja wina.

- Niezupełnie, Floss - wtrąciła Phyllis. - Wszystkie się na to zgodziłyśmy. Tak przecież zawsze robiłyśmy. Razem planowałyśmy, pracowałyśmy i podejmowałyśmy decyzje.

- Ale to ja wam go przedstawiłam - westchnęła Rachel. - Byłam z niego taka dumna, bo nie patrzył na was z góry. To ja go tu przyprowadziłam. Zdradziłam was.

- Bzdura - odparła energicznie Geraldine. - Rache, ty też przez niego straciłaś cały swój majątek, prawda? I miałaś odwagę wrócić tu, i o wszystkim nam opowiedzieć, choć pewnie spodziewałaś się, że urwiemy ci głowę.

- Tracimy czas na jałową dyskusję. Wszystkie wiemy, czyja to wina - powiedziała Flossie. - Jeśli się szybko nie zbierzemy i nie ruszymy na pole bitwy, nic dla nas nie zostanie.

- Ja idę, nawet jeśli będę musiała to zrobić sama - oznajmiła Geraldine. - Na pewno znajdzie się tam coś wartościowego. Potrzebuję pieniędzy, żeby odnaleźć tego podłego łobuza.

Żadna z nich nie pomyślała, że gdyby zdobyły w ten sposób dużo pieniędzy, powetowałyby sobie stratę i mogłyby zrealizować swoje marzenie, zapominając o wielebnym Nigelu Crawleyu, który w tej chwili mógł się znajdować w dowolnym miejscu na kuli ziemskiej. Czasami gniew i pragnienie zemsty bierze górę nad marzeniami i zdrowym rozsądkiem.

- Jutrzejszego, a właściwie dzisiejszego popołudnia mam klienta - powiedziała Bridget, krzyżując ręce na piersi. - To młody Hawkins. Mogłabym pójść z wami tylko na krótko, a to chyba w ogóle nie ma sensu, prawda? Rachel zauważyła, że głos Bridget drży.

- Ja też nie pójdę, choć nie mam tak dobrej wymówki jak Bridget - oświadczyła Phyllis, odstawiając filiżankę. - Wybaczcie, ale zemdlałabym na widok krwi i nie byłoby ze mnie żadnego pożytku. A potem do końca życia miałabym koszmary. Będę was budziła krzykiem każdej nocy. Zostanę, żeby witać klientów, kiedy Bridget będzie pracować.

- Pracować! - jęknęła Flossie. - Phyll, jeśli szybko czegoś nie zrobimy, żeby poprawić naszą sytuację, będziemy pracować, dopóki nie staniemy się stare i zgrzybiałe.

- Ja już jestem - powiedziała Bridget.

- Wcale nie! - stanowczo zaprzeczyła Flossie. - Jesteś w kwiecie wieku. Wielu młodych chłopców, zwłaszcza prawiczków, woli przychodzić do ciebie niż do nas. - Bo ja każdemu z nich przypominam matkę - powiedziała Bridget.

- Bridge, z twoimi włosami? - parsknęła Geraldine. - Nie sądzę.

- Przy mnie przestają się denerwować i nie obawiają się porażki - wyjaśniła Bridget. -

Wiedzą, że za pierwszym czy drugim razem nie musi być idealne. Zresztą, który mężczyzna potrafi się dobrze spisać nawet po iluś tam razach? Niektórym nie udaje się to nigdy. Rachel poczuła, że mimo woli się czerwieni.

- Geny, w takim razie pójdziemy we dwie - powiedziała Flossie i wstała. - Ja tam się nie boję kilku nieboszczyków i nie miewam koszmarów. Chodźmy zdobyć fortunę. A potem dopilnujemy, żeby ten drań Crawley pożałował, że się w ogóle urodził.

- Ja też bym poszła - rzuciła Bridget. - Ale młody Hawkins nalegał, żeby dzisiaj przyjść. Chce, żebym go nauczyła, jak ma zaspokoić dziewczynę, z którą ożeni się jesienią. Bridget miała trzydzieści kilka lat. Kiedyś, dawno temu, została wynajęta przez owdowiałego ojca Rachel jako niania. Rachel i Bridget szybko się polubiły i stały się sobie bliskie niemal jak matka i córka. Niestety, pewnego dnia ojciec Rachel przegrał wszystko w karty, co zresztą zdarzało mu się z zatrwajającą regularnością przez całe życie. Zmuszony był odprawić Bridget. Od tamtej pory się nie widziały. Dopiero jakiś miesiąc temu przypadkiem się spotkały na ulicy w Brukseli i wtedy Rachel dowiedziała się, co się stało z jej ukochaną nianią. Nalegała, by odnowić znajomość, mimo oporów Bridget. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Rachel zerwała się nagle na nogi.

- Ja też pójde - oznajmiła niespodzianie. - Razem z Geraldine i Flossie. Uwaga przyjaciółek skupiła się na niej. Wszystkie jednocześnie zaczęły protestować. Uciszyła je,

unosząc do góry ręce.

- To ja jestem w dużej mierze odpowiedzialna za to, że utraciliście wasze pieniądze - stwierdziła. - Taka jest prawda, bez względu na to, co powiecie, żeby mnie pocieszyć. Poza tym ja też mam rachunek do wyrównania z panem Crawleyem. Oszukał mnie, a ja go podziwiałam, szanowałam i nawet zgodziłam się zostać jego żoną. Okradł moje przyjaciółki i mnie. A potem próbował kłamać, uważając, że jestem nie tylko niewiarygodnie naiwna, ale wręcz kompletnie głupia. Jeśli chcemy go dopaść i potrzebujemy na to pieniędzy, to zrobię to, co do mnie należy. Idę z Geraldine i Flossie przeszukiwać ciała zabitych.

W chwilę później pożałowała, że wstała. Nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa.

- Och, kochanie, nie trzeba - zawołała Bridget. Zerwała się z krzesła i zrobiła krok w kierunku Rachel.

- Bridge, daj jej spokój - odezwała się Geraldine. - Rache, zawsze cię lubiłam, od pierwszej chwili. Nie jesteś jak te wielkopańskie damulki, co to na nasz widok odwracają głowy i ostentacyjnie pociągają nosami, jakbyśmy nosiły w torebkach padlinę.

- A dzisiaj podobasz mi się jeszcze bardziej. Masz charakter i odwagę. Nie możesz mu tego darować!

- Taki mam zamiar - odparła Rachel. - Przez ostatni rok byłam potulną, spokojną damą do towarzystwa. Nienawidziłam każdej chwili, którą musiałam spędzić w ten sposób.

Gdybym nie była tak nieszczęśliwa, pewnie bym się nie dała nabrać temu uśmiechniętemu łajdakowi. Ruszajmy od razu, nie traćmy czasu na dalsze gadanie.

- Brawo, Rachel! - zawołała Flossie.

Rachel wyszła z pokoju pierwsza. Pobiegnęła na górę, by przebrać się w ciepły, wygodny strój. Starła się nie myśleć o tym, co zamierza zrobić. Idę z Geraldine i Flossie ograbiać ciała zabitych.



Wczesnym rankiem droga z Brukseli na południe wyglądała jak scena z czeluści piekieł. Pełno na niej było powozów i furmanek, a także ludzi ciągnących piechotą. Wielu niosło nosze albo podtrzymywało towarzyszy broni. Prawie wszyscy byli ranni, niektórzy ciężko. Zmierzali od strony pola bitwy w pobliżu wioski Waterloo.

Rachel nigdy nie widziała tak wielkiej, niekończącej się okropności. Z początku wydawało się jej, że ona, Flossie i Geraldine są jedynymi osobami zmierzającymi w przeciwnym kierunku. Ale oczywiście się myliła. Wyprzedzali ich piesi i wozy udające się na południe. Jeden zatrzymał się koło nich. Obszarpany żołnierz, z twarzą poczerniałą od prochu zaproponował, że je podwiezie. Flossie i Geraldine ochoczo na to przystały, odegrawszy zatroskane żony.

Rachel nie wsiadła. Brawura, która ją tu przywiodła, szybko ją opuszczała. Co ona wyprawia? Jak mogła choćby pomyśleć, żeby wzbogacić się na całym tym nieszczęściu?

- Jedźcie - powiedziała do swoich towarzyszek. - W tym lesie pewnie też jest dużo rannych, więc tu poszukam. Będę też wypatrywać Jacka i Sama - dodała, podnosząc głos, tak by usłyszał ją woźnica i każdy, kto mógł przysłuchiwać się ich rozmowie. - A wy poszukajcie mojego Harry'ego tam dalej na południe.

Kłamstwo sprawiło, że poczuła się zbrukana i grzeszna. W dodatku nie musiała tego mówić, bo nikt nie zwracał na nią uwagi. Zeszła z zatłoczonej drogi pomiędzy drzewa. Nie oddalała się za bardzo, by nie stracić drogi z oczu. Nie chciała się zgubić. Zastanawiała się, co ma teraz zrobić. Była pewna, że nie zrealizuje powziętego planu. Nie zdoła zabrać umarłemu nawet chusteczki do nosa. Na samą myśl, że zobaczy martwego człowieka, zbierało się jej na wymioty. Ale przecież nie mogła wrócić z pustymi rękami. Nie mogła myśleć tylko o sobie.

Rachel pamiętała, jak była dumna, siedząc obok Crawleya, gdy w saloniku na rue

d'Aremberg tłumaczył im, jak nieostrożnie jest w tak niepewnych czasach, a zwłaszcza w obcym mieście, trzymać przy sobie dużą sumę pieniędzy. Zaproponował, że zabierze ich oszczędności do Londynu i ulokuje je bezpiecznie w banku na przyzwoity procent. Rachel cieszyła się, że oto przedstawiła przyjaciółkom tak miłego, taktownego, pełnego współczucia człowieka. Potem mu podziękowała. Pomyślała, że po raz pierwszy w życiu spotkała spokojnego, uczciwego, dobrego mężczyznę. Niemal wyobrażała sobie, że go kocha. Mimo woli zacisnęła ręce w pięści. Zaraz jednak dotarły do niej szczegóły otaczającej ją rzeczywistości.

Pomyślała, że na tych wszystkich wozach i noszach są pewnie tysiące rannych. Odwróciła twarz od drogi. Tyle cierpienia. A ona tu przyszła, żeby szukać zabitych i obrabować ich ze wszystkich wartościowych rzeczy, które dałoby się sprzedać. Po prostu nie mogła tego zrobić.

A potem żołądek podszedł jej do gardła. Miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Zobaczyła pierwszego zabitego. Leżał skulony przy pniu wysokiego drzewa, niewidoczny z drogi. Był kompletnie nagi. Rachel z wahaniem postąpiła krok bliżej i znów poczuła skurcz w żołądku. Ale zamiast zwymiotować, zachichotała. Przycisnęła dłoń do ust, bardziej przerażona własnym niestosownym zachowaniem, niż gdyby rozchorowała się na oczach tłumy. Co w tym śmiesznego, że nie zostało już nic do zrabowania? Ktoś inny znalazł go przed nią i zabrał wszystko z wyjątkiem ciała. Zresztą i tak nie potrafiłaby go okraść.

Uświadomiła to sobie właśnie w tej chwili z absolutną jasnością. Nawet gdyby miał na sobie drogie ubranie, pierścienie na każdym palcu, złoty zegarek na łańcuszku, breloki przy pasku i złotą szpadę przy boku, nie byłaby w stanie niczego wziąć.

To przecież byłaby kradzież.

Młody. Włosy na tle bladej skóry wyglądały na zdumiewająco ciemne. Jego nagość

wydała się Rachel okropnie żałosna. Był tylko niewielkim kłębkiem martwego ciała. Miał paskudną ranę na udzie. Głowa leżała w kałuży krwi, co zapewne oznaczało kolejną okropną ranę. Był czyimś synem, bratem, może mężem i ojcem. Kochał życie i ludzi. I zapewne był kochany. Dłoń przyciśnięta do ust zaczęła jej drżeć. Rachel czuła jej chłód.

- Pomocy! - zawołała słabym głosem w kierunku drogi. Odchrząknęła i zawołała nieco głośniej: - Pomocy!

Nikt nie zareagował, kilkoro ludzi tylko patrzyło na nią ciekawie. Każdego pochłaniało jego własne cierpienie.

Rachel osunęła się przy zabitym na kolana. Właściwie nie wiedziała, dlaczego to robi.

Czy powinna się za niego modlić? Czuwać przy nim? Czy śmierć nieznanego człowieka nie zasługiwała na choćby najmniejszą chwilę uwagi z jej strony? Jeszcze wczoraj był żywy, pełen wspomnień, nadziei, marzeń i trosk. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy.

Och, biedny, biedny człowiek. Był zimny, ale na skórze dało się jeszcze wyczuć ślad ciepła. Rachel cofnęła rękę, a potem ostrożnie dotknęła tętnicy na szyi. Poczowała pod palcami słabe pulsowanie.

On jeszcze żył.

- Pomocy! - krzyknęła jeszcze raz i zerwała się na nogi. Rozpaczliwie próbowała zwrócić na siebie uwagę kogoś na drodze. Bezskutecznie.

- On jeszcze żyje! - zawołała ile sił w płucach. Desperacko pragnęła mu pomóc. Może jeszcze uda się ocalić mu życie. Czasu było jednak coraz mniej. Krzyknęła jeszcze głośniej: - To mój mąż! Proszę mu pomóc.

Spojrzał na nią jakiś dżentelmen na koniu, nie wojskowy. Przez chwilę Rachel myślała, że pospieszy jej z pomocą. Jednak to nie on, ale sierżant, potężny mężczyzna w zakrwawionym bandażu, zakrywającym mu oko, zszedł z drogi i zbliżył się do niej ciężkim

krokiem.

- Idę, psze pani - zawołał. - Jak ciężko jest ranny?

- Nie wiem. Boję się, że bardzo ciężko. - Rachel zdała sobie sprawę, że głośno szlocha, jakby ten nieprzytomny mężczyzna naprawdę był jej bliski. - Proszę mu pomóc. Och, proszę mu pomóc.

Rachel naiwnie sądziła, że wszystko się dobrze skończy jak tylko dotrą do Brukseli.

Zastęp medyków i chirurgów będzie czekać, by opatrzyć rannych akurat z tej grupy, do której ona się przyłączyła. Szła przy wozie, na którym sierżant William Strickland jakimś cudem znalazł miejsce dla nagiego, nieprzytomnego mężczyzny. Ktoś wyciągnął kawałek worka, żeby go choć trochę przykryć. Rachel oddała nawet własny szal. Sierżant dotrzymywał jej kroku. Przedstawił się i wyjaśnił, że stracił oko w bitwie. Gdy opatrzone mu ranę w lazarecie, chciał wrócić do regimentu. Okazało się jednak, że został zwolniony z armii, która najwyraźniej nie potrzebowała jednookich sierżantów. Wypłacono mu żołd, wpisano zwolnienie do książeczki wojskowej i tyle.

- Całe życie spędzone na wojaczce, jakby wyrzucone do śmieci - stwierdził ze smutkiem. - Ale co tam, dam sobie radę. Paniusia się martwi o swojego męża i nie potrzebuje słuchać moich lamentów. Z Bożą pomocą, wyjdzie z tego.

W końcu dotarli do Brukseli. Przy bramie Namur leżało jednak tylu rannych i umierających, że nieprzytomny mężczyzna, który nie był w stanie sam wezwać pomocy, pewnie nigdy nie doczekałby się chirurga. Sierżant wydał kilka rozkazów, choć właściwie nie miał już prawa tego robić, i utorował im drogę do jednego z prowizorycznych szpitali urządzonych w namiotach. Rachel nie patrzyła, gdy mężczyźni wyciągano kulę z uda. Na samą myśl o tym, co z nim wyprawiają, robiło jej się słabo. Dziękowała Bogu, że jest nieprzytomny. Gdy zobaczyła go ponownie, miał grubo obandażowaną głowę i nogę.

Przykryto go szorstkim kocem. Sierżant Strickland znalazł nosze i dwóch szeregowców, którzy ułożyli na nich rannego.

- Lekarz uważa, że pani mąż ma szansę przeżyć, jeśli nie wda się gorączka i jeśli uderzenie w głowę nie spowodowało pęknięcia czaszki - oznajmił bez ogródek. - Dokąd teraz, paniusiu?

Rachel spojrzała na niego, otwierając usta ze zdumienia. No właśnie, dokąd? Kim był ten ranny mężczyzna i skąd się wziął? Nie mogli się tego dowiedzieć, dopóki nie odzyska przytomności. Tymczasem była za niego odpowiedzialna. Tam, w lesie, w desperackiej próbie zwrócenia na siebie uwagi, powiedziała, że jest jej mężem.

Dokąd go zabrać? W Brukseli jej jedynym schronieniem był dom schadzek.

Przebywała w nim jako gość, na łasce mieszkanek, ponieważ nie miała pieniędzy, żeby płacić czynsz. Co gorsza, to z jej winy Bridget i jej przyjaciółki straciły prawie wszystkie pieniądze.

Nie może zabrać tam rannego mężczyzny i prosić, żeby się nim zaopiekowały i karmiły go, dopóki nie dowiedzą się, kim jest, skąd pochodzi.

Cóż jednak innego mogłaby zrobić?

- Pani jest w szoku - powiedział sierżant, ujmując ją troskliwie pod ramię. - Proszę nabrać głęboko powietrza i powoli je wypuścić. On przynajmniej żyje, a tysiące innych zginęły.

- Mieszkamy na rue d'Aremberg - powiedziała, potrząsając głową, jakby chciała się obudzić. - Proszę za mną, jeśli łaska.

Ruszyła w kierunku domu schadzek. Phyllis była po łokcie unurzana w cieście. Sama piekła chleb, bo ich służba uciekła z Brukseli jeszcze przed bitwą. Bridget szykowała się, by przyjąć młodego Hawkinsa. Wyszła z pokoju, słysząc zamieszanie przy drzwiach. Rude włosy miała związane na czubku głowy różową wstążką. Położyła róż na policzki i

umalowała na niebiesko jedno oko. Drugie, pozbawione makijażu, wydawało się dziwnie gołe.

- Boże, zmiłuj się - powiedziała Phyllis, zerkając na sierżanta Stricklanda. - Jednooki olbrzym, a tylko ja jestem do dyspozycji.

- Jest z nim Rachel - zwróciła jej uwagę Bridget. - Kochanie, co się stało? Miałaś jakieś kłopoty? Panie żołnierzu, ona nie chciała zrobić nic złego. Ona tylko...

- Och, Bridget, Phyllis, znalazłam w lesie mężczyznę, tego na noszach - przerwała jej pośpiesznie Rachel. - Myślałam, że jest martwy, ale gdy go dotknęłam, zorientowałam się, że jeszcze żyje. Jest ranny. Wolałam do wszystkich na drodze, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi. Dopiero gdy krzyknęłam, że on żyje i że to mój mąż, podszedł do mnie sierżant Strickland i pomógł mi umieścić tego mężczyznę na wozie. Dotarliśmy do Brukseli i zajął się nim chirurg. Sierżant znalazł tych panów z noszami i spytał, dokąd mają zanieść rannego. Jedyne miejsce, które przyszło mi do głowy, to wasz dom. Bardzo przepraszam. Ja...

- To nie jest pani mąż? - spytał sierżant Strickland, przyglądając się Bridget z mieszaniną zachwytu i podejrzliwości.

Dwaj szeregowcy przyglądali się całej scenie z szerokimi uśmiechami.

- Znalazłaś coś przy nim? - spytała Bridget. Jej oczy sprawiały groteskowe wrażenie.

- Nic - Rachel ogarnęło poczucie winy. Mało, że nie przyniosła żadnego łupu, to dodatkowo obciążyła swoje przyjaciółki obowiązkiem utrzymania jeszcze jednej osoby. Jeśli oczywiście ten człowiek odzyska przytomność i trzeba go będzie żywić. - Został doszczętnie ograbiony.

- Ze wszystkiego? - Bridget podeszła do noszy i uniosła róg koca.

- No, no.

- Sierżancie, wygląda pan, jakby sam miał za chwilę zemdleć - powiedziała Phyllis,

wycierając umączzone ręce w duży fartuch.

Przecież on stracił oko. Rachel po raz pierwszy uważnie mu się przyjrzała.

Zawstydziła się, bo w trosce o nieznanego, zupełnie zapomniała o stanie sierżanta.

Rzeczywiście był bardzo blady.

- Czy to coś na pańskim bandażu to nie jest przypadkiem krew? spytała Phyllis. - Jeśli tak, to zaraz zemdleję.

- Sierżancie, gdzie go położyć? - spytał jeden z szeregowców.

- Rachel, kochanie, bardzo dobrze postąpiłaś - powiedziała Bridget.

- Gdzie my umieścimy tego biedaka? Wydaje się na wpół umarły.

Oprócz kilku przeznaczonych dla służby pokoików na poddaszu, w domu nie było już żadnych wolnych sypialni. Ubiegłej nocy Rachel zajęła ostatnią.

- W moim pokoju - odparła Rachel. - Tam go położymy, a ja będę spać na poddaszu.

Szeregowcy zanieśli nosze na górę. Rachel poszła przodem, by pokazać drogę i zdjąć narzutę, żeby rannego można było przenieść z noszy prosto do łóżka. Łóżka, w którym sama nie zdążyła się nawet położyć. Słyszała za sobą głos Phyllis.

- Sierżancie, jeśli nie ma się pan gdzie podziać, a zdaje mi się, że tak właśnie jest, odstąpimy panu jeden z pokoików na poddaszu. Zrobię panu herbaty i dam trochę rosołu. Nie, proszę się ze mną nie kłócić. Wygląda pan, jakby miał się za chwilę przewrócić. Niech mnie pan tylko nie prosi, żebym mu zmieniła bandaż. Tego na pewno nie zrobię.

- Co to za miejsce? - spytał sierżant. - Czy to przypadkiem nie jest...

- Boże, zmiłuj się! - zawołała Phyllis. - Pan chyba stracił więcej niż jedno oko, skoro musi pan zapytać. Oczywiście, że tak.

Sierżant musiał czuć się naprawdę źle, bo skoro tylko uległ naleganiom Phyllis i położył się do łóżka, chwyciła go gorączka i potężnie rozboleła głowa. Mimo jego słabych

protestów Phyllis i Rachel przez resztę dnia kilkakrotnie zaglądały do niego na górę, żeby sprawdzić, jak się czuje. Przyłączyła się do nich Bridget, jak tylko pożegnała młodego Hawkinsa.

Rachel zdziwiła się, że nie czuje zażenowania ani odrazy na myśl, że znajduje się pod jednym dachem z prostytutką, która właśnie obsługuje klienta. Zajmowały ją ważniejsze sprawy.

Popołudnie i wieczór przesiedziała przy łóżku nieznanego mężczyzny. Być może nigdy nie dowie się, kim on jest. Od chwili, gdy go zobaczyła, nie odzyskał przytomności ani na moment. Był śmiertelnie blady. Niemal tak biały, jak bandaż, którym obwiązano mu głowę, i koszula nocna, którą znalazła dla niego Bridget. Bridget i Phyllis ubrały go w tę koszulę, wyprosiwszy Rachel z pokoju. Ten fakt zapewne rozśmieszyłby dziewczynę, gdyby była w nastroju do żartów. To przecież ona znalazła go nagiego. Mimo to jej dawna niania uważała, że mogłaby się zawstydić.

Rachel kilkakrotnie sprawdzała puls na szyi mężczyzny, by upewnić się, że jeszcze żyje.

Pod wieczór wróciły Flossie i Geraldine z pustymi rękami. Zgromadziły się całą piątką w salonie, przygotowanym do spotkania przy kartach. Rachel domyśliła się, że tej nocy przyjaciółki będą pracowały.

- Doszliśmy do wioski Waterloo i jeszcze dalej, aż na pole, gdzie wczoraj toczyła się bitwa - powiedziała Flossie. - Bridge, nie wyobrażasz sobie, co to był za widok. Biedna Phyll zemdlaby na miejscu.

- Widziałyśmy mnóstwo skarbów - wtrąciła się Geraldine. - Byłybyśmy bogate jak Krezus, gdybyśmy tylko na samym początku nie natknęły się na dwie chciwe kobiety.

Pierwsze zwłoki, które znalazłyśmy, to był młody oficer. Nie miał chyba nawet siedemnastu



lat, prawda, Floss? Dwie kobiety obdzierały go z pięknego munduru, okazując przy tym tyle wrażliwości co drewniane kołki. Już ja im powiedziałam do słuchu.

- Wybuchła kłótnia - powiedziała Flossie z podziwem. - Potem jedna z tych kobiet popełniła błąd i zaczęła z nas szydzić. Przyłożyłam jej pięścią, aż się nogami nakryła.

Popatrz, Bridge, mam obtarte kostki. Minie wiele dni zanim doprowadzę sobie ręce do porządku. I złamałam sobie paznokieć. Teraz będę musiała obciąć pozostałe. Nienawidzę mieć krótkich paznokci.

- Usiadłam przy tym chłopcu i pilnowałam go - ciągnęła Geraldine. - A Flossie poszła szukać grabarzy, żeby pochowali go z należyтым szacunkiem. Biedne jagniątko. Przyznam się wam, że wylałam nad nim niejedną łzę.

- Potem nie miałyśmy już serca, by okradać inne ciała, prawda, Gerry? - wyjaśniła Flossie z pewnym zawstydzieniem. - Nie mogłyśmy się powstrzymać od myśli, że przecież każdy z nich jest czyimś synem.

- Za to, co zrobiłyście, jeszcze bardziej was lubię - zapewniła Phyllis.

- I ja też - powiedziała Bridget. - Nie chciałam tego wcześniej mówić, ale cieszyłam się, że dzisiejszego popołudnia miał przyjść młody Hawkins. Nie musiałam szukać pretekstu, by nie iść z wami. To mi się wydawało nie w porządku. Wolałabym skończyć w przytułku dla ubogich, niż dorobić się na śmierci dzielnych chłopców.

- Musimy wymyślić jakiś inny sposób - stwierdziła Geraldine. - Bridge, nie mogę ot, tak sobie zapomnieć i pokornie wrócić do zarabiania na życie w łóżku przez następne dziesięć lat. Oczywiście możliwe, że i tak będę musiała to robić, ale najpierw chcę znaleźć tego łobuza i dać mu popalić. Dopiero wtedy nasz zawód znów wyda mi się znośny. Nawet jeśli nie odzyskamy ani grosza z naszych pieniędzy. A tobie jak poszło, Rache? Znalazłaś coś?

Obie spojrzały na nią z nadzieją.

- Obawiam się, że to nie skarb, ale dodatkowy ciężar - odparła, krzywiąc się.

- Rachel natknęła się w lesie na rannego, nieprzytomnego mężczyznę i przywiozła go tutaj - wyjaśniła Phyllis. - Był kompletnie nagi.

- To musiało być ekscytujące - powiedziała Flossie z zaciekawieniem. - No, jak, Rachel, jest na co popatrzeć?

- Stanowczo jest na co, Floss - odparła Phyllis. - Zwłaszcza na to, co najważniejsze. Doprawdy imponujący. Leży teraz na górze w łóżku Rachel, nadal nieprzytomny.

- A na poddaszu leży sierżant - dodała Bridget. - Stracił w bitwie oko. Mimo że sam był ledwo żywy, to pomógł Rachel przynieść tutaj tego człowieka. Kazałyśmy mu położyć się do łóżka.

- Zatem od wczoraj macie na utrzymaniu trzy osoby więcej, a wszystko przeze mnie.

A gdyby ten wasz młody oficer żył, czy potrafiłybyście zostawić go na pewną śmierć?

- Biłybyśmy się w którym łóżku go położyć, w moim czy Flossie - odparła Geraldine. -

Rachel, nie zadręczaj się. Znajdziemy sposób, by dorwać tego łajdaka i odzyskać nasze

pieniądze. I twoje też. A tymczasem będziemy odgrywać rolę sióstr miłosierdzia. To nawet

niezły pomysł. Geny, chodźmy zerknąć na pacjentów, dopóki mamy czas - powiedziała

Flossie i wstała. - Zaraz trzeba będzie przygotować się do pracy. Nadal musimy przecież

zarabiać na życie. Kilka minut później stanęły wszystkie wokół łóżka, na którym leżał

nieprzytomny mężczyzna. Zastanawiały się, kim on jest. Zgodnie doszły do wniosku, że to

najprawdopodobniej oficer i dżentelmen. Przede wszystkim rana i guz na głowie wskazywały,

że najprawdopodobniej spadł z konia. Poza tym, jak zauważyła Flossie, ręce miał delikatne,

bez odcisków, o zadbanych paznokciach. Bridget z kolei stwierdziła, że poza tą świeżą raną

na jego ciele nie ma żadnych blizn po chłoście, jaką nieraz otrzymywali szeregowcy. Włosy

rannego niemal zupełnie zakrywał bandaż. Rachel jednak pamiętała, że były krótko, modnie

ostrzyżone. I miał wydatny nos. Arystokratyczny, jak oceniła Geraldine, choć nie można było powiedzieć, że jednoznacznie określa to pochodzenie mężczyzny.

Rachel siedziała przy nim całą noc, choć nie miała zbyt wiele zajęcia. Patrzyła na niego, od czasu do czasu dotykała jego czoła i policzków, by zbadać, czy nie ma gorączki, i sprawdzała puls na szyi. Słyszała dochodzący z dołu zgiełk zabawy, a potem intymne odgłosy z sypialni obok. Była zawstydzona. Nie odczuwała jednak wyższości wobec tych czterech kobiet. Nie gardziła nimi za to, że wybrały sobie właśnie taki sposób zarabiania na życie. Jeśli w ogóle miały jakiś wybór w tej kwestii. Wszystkie okazały jej tyle serca. Ani przez chwilę nie winiły jej za to, co się stało, choć pomstowały i wygrażały pod adresem Crawleya, z którym Rachel kilka dni wcześniej wyjechała z Brukseli. Przyjęły ją pod swój dach i nakarmiły, choć nie zostało im zbyt wiele pieniędzy. I niewątpliwie nadal będą ją utrzymywać z tego, co zarobią dzisiaj i w ciągu następnych dni i nocy.

Tymczasem ona spędzała czas beczynnie. Nie robiła nic, by zapracować na swoje utrzymanie. Pomyślała, że chyba powinna to zaniedbanie zmienić. Nie chciała się zastanawiać nad tą niewesołą kwestią. Ale poza mężczyzną leżącym na łóżku niewiele było rzeczy, na których mógłby skupić uwagę podczas nocnego czuwania. Rachel przypuszczała, że w normalnych okolicznościach ten człowiek mógłby uchodzić za przystojnego. Próbowала go sobie wyobrazić z otwartymi oczami, bez bandaża na głowie, z twarzą pełną ożywienia. Zastanawiała się, jak by się do niej odezwał, co by jej o sobie opowiedział.

Kilkakrotnie wchodziła na poddasze, by sprawdzić, czy sierżant Strickland czegoś nie potrzebuje, ale za każdym razem spał. Zamyśliła się nad tym, jak nieprzewidywalne jest życie. Burzliwe dzieciństwo i lata dziewczęce spędziła z ojcem, który nałogowo uprawiał hazard i ciągle musiał uciekać przed wierzycielami. Potem, po jego śmierci, została damą do towarzystwa lady Flatley i wiodła dość ponurą egzystencję. Zaledwie kilka dni temu myślała,

że w końcu znalazła spokój i nadzieję na szczęście, że zostanie żoną człowieka zasługującego na najwyższy szacunek i oddanie, a może nawet uczucie. A oto teraz znalazła się tutaj sama jak palec. Mieszkała w domu schadzek, opiekowała się nieznanym, rannym mężczyzną i zastanawiała się, co się z nią stanie. Ziewnęła i siedząc na krześle, zapadła w drzemkę.

Alleyne poczuł ból. Próbował przed nim uciec, zapadając się z powrotem w błogosławiony mrok nieświadomości. Ból jednak nie ustępował. Był tak silny, tak wszechogarniający, że nie dało się ustalić, skąd się dokładnie bierze, choć głównie skupiał się w jego głowie. Alleyne'owi wydawało się, że nie tyle odczuwa ból, co cały jest bólem. Mimo zaciśniętych powiek, widział ostre pomarańczowe światło. Za dużo światła. Odwrócił głowę, żeby przed nim uciec. Ból przeszył mu czaszkę, niczym kula wdzierająca się do mózgu i rozrywająca go na tysiąc odłamków. Tylko instynkt samozachowawczy powstrzymał go od krzyku, który podwoiłby jego cierpienie.

- Odzyskuje przytomność - odezwał się kobiecy głos.

Bridge, jak myślisz, może powinnam przynieść spalone piórko i podsunąć mu pod nos? - spytał inny głos.

- Nie - odparła pierwsza z kobiet. - Phyll, nie chcemy, żeby się gwałtownie obudził i zerwał na nogi. I bez tego potwornie będzie bolała go głowa.

Alleyne pomyślał, że już tak się dzieje, a poza tym „potwornie” to było stanowczo zbyt łagodne określenie.

- Przeżyje? - spytał ktoś trzeci. - Przez całą ubiegłą noc i dzisiejszy dzień obawiałam się, że umrze. Jest biały jak prześcieradło. Nawet wargi ma blade.

- Czas pokaże, Rache - stwierdził czwarty głos, ochryply i zmysłowy. - Stracił bardzo dużo krwi. Dziwne, że w ogóle przeżył.

- Gerry, bądź tak miła i przestań mówić o krwi - powiedziała jedna z kobiet.

Więc jestem bliski śmierci? - pomyślał Alleyne z pewnym zdumieniem. Nawet teraz mogę jeszcze umrzeć? Czy one naprawdę mówią o mnie?

Otworzył oczy.

Pokój zalewało światło tak jasne, że Alleyne jęknął i zmrużył oczy. Pochylały się nad nim cztery kobiety, obserwując go z uwagą. Ta, która znajdowała się najbliżej, była mocno umalowana - jaskrawoczerwone usta i policzki, oczy obrysowane na czarno i błękitny cień na powiekach. Usiłowała uchodzić za młodszą o dziesięć lat, niestety, bez powodzenia. Jej twarz okalały kunsztowne loki w kolorze żywej miedzi.

Przesunął wzrok na następną kobietę, olśniewającą włoską pięknosc w szmaragdowozielonych jedwabkach. Miała czarne włosy, upięte w duży węzeł, bystre, czarne oczy i ładną twarz, podkreśloną dyskretnym makijażem. W prawym kącie ust przykleiła muszkę. Przy niej stała niewysoka kobieta o ponętnie zaokrąglonej figurze. Miała twarz w kształcie serca, otoczoną mnóstwem krótkich jasnych loków. Patrzyła na niego z zaciekawieniem dużymi niebieskimi, lekko umalowanymi oczami. Czwartą twarz, ładną i pulchną, również umalowaną, okalały lśniące, jasnobrązowe włosy. Zdawało mu się, że w nogach łóżka stoi ktoś jeszcze, przytrzymując się kolumnienki. Bał się jednak poruszyć głową, aby tę osobę lepiej zobaczyć. Zresztą widział dość, by wyciągnąć zaskakujący wniosek.

- Umarłem i dostałem się do nieba - wymamrotał i zamknął oczy. - A niebo to dom schadzek. Choć może to jest najgorsze piekło, skoro, niestety, nie jestem w stanie wykorzystać tego, co mi podarował los?

Radosny kobiecy śmiech był dla niego taką udręką, że z ulgą osunął się z powrotem w nieświadomość.

Miałyśmy rację. On naprawdę jest dżentelmenem, myślała Rachel, siedząc kolejnej nocy przy łóżku nieznanego mężczyzny. Uległa naleganiom Bridget i przespała prawie cały dzień. Potem pomagała w kuchni i w końcu razem z Geraldine zmieniła opatrunek sierżantowi Stricklandowi. Nie było to zadanie dla wrażliwych osób. Sierżant upierał się, żeby wstać. Geraldine jednak wyjaśniła mu, że nie ma tu jego żołnierzy i nie uda mu się

postawić na swoim za pomocą rozkazów i krzyku. Teraz miał do czynienia z pięcioma kobietami, które razem wzięte były groźniejsze niż cały batalion wojska. Sierżant potulnie i zapewne z ulgą położył się więc z powrotem do łóżka.

W ciągu tej krótkiej chwili, kiedy odzyskał przytomność, nieznajomy wyrażał się dystyngowanie, jak dżentelmen. Musi więc być oficerem, który został ranny w bitwie. Może tutaj w Brukseli przebywają członkowie jego rodziny, z lękiem czekając na wieści o jego losie. Jakie to denerwujące, że nie można ich zawiadomić, iż nic mu już nie grozi. Choć może to jeszcze nic pewnego? Kolejny raz wstała i dotknęła jego czoła. Wydawało się jej stanowczo cieplejsze niż godzinę temu. Oby tylko nie umarł od tej rany na głowie. Miał tam guz wielkości jajka i naprawdę paskudne rozcięcie. Może być bardzo źle, jeśli wda się gorączka, co się często zdarzało po operacji. Przynajmniej nie amputowano mu nogi.

Rachel pomyślała, że chyba znów powinna pójść na poddasze, żeby sprawdzić, jak się czuje sierżant Strickland. W ciągu ostatniej godziny dwóch mężczyzn opuściło ich dom, ale dwie z przyjaciółek nadal przyjmowały klientów. Może powinna zejść do kuchni i zrobić im wszystkim herbaty. Na pewno są zmęczone i spragnione po całonocnej pracy.

To zdumiewające, że tak szybko przyzwyczała się do tego, gdzie się znajduje. Musi się czymś zająć albo za chwilę znów zaśnie na siedząco.

Nagle zauważyła lekkie poruszenie na łóżku. Siedziała zupełnie nieruchomo i w myślach nakłaniała go, żeby żył, żeby wyzdrowiał, żeby otworzył oczy. W dziwny sposób czuła się za niego odpowiedzialna. Jeśli nieznajomy przeżyje, może wówczas zdoła sobie wybaczyć, że wybrała się wtedy do lasu w tak haniebnym celu. W końcu, gdyby tam nie poszła, nigdy by się na niego nie natknęła. Nikt by go nie znalazł i na pewno by umarł.

Była już niemal pewna, że tylko wyobraziła sobie, iż się poruszył, gdy nagle otworzył oczy i spojrzał beznamiętnie w górę. Rachel pospiesznie wstała i pochyliła się nad nim, żeby

mógł ją zobaczyć, nie odwracając głowy. Skupił na niej wzrok. Oczy miał ciemne. Nie myliła się, był bardzo przystojnym mężczyzną.

- Śniło mi się, że znalazłem się w niebie, i to był dom schadzek - powiedział. - Teraz śni mi się, że jestem w niebie ze złocistym aniołem. Ta wersja chyba bardziej mi się podoba - zamknął oczy i uniósł kąciuki ust w uśmiechu. Nie brakowało mu poczucia humoru.

- Niestety to bardzo ziemski raj - powiedziała. - Czy nadal odczuwa pan ból?

- Wypiłem beczkę rumu? - spytał. - Czy raczej coś mi się stało w głowę?

- Uderzył się pan - odparła. - Zdaje się, że spadł pan z konia.

- Ależ jestem niezdarny - powiedział. - A także bardzo zażenowany, jeśli to prawda.

Nigdy w życiu nie spadłem z konia.

- Został pan postrzelony w nogę - rzuciła. - Jazda konno musiała panu przychodzić z trudem i sprawiać wielki ból.

- Postrzelony w nogę? - zmarszczył brwi i otworzył oczy. Poruszył obiema nogami i zaklął szpetnie, po czym natychmiast przeprosił. - Kto do mnie strzelał?

- Myślę, że jakiś francuski żołnierz - odparła. - Mam nadzieję, że nie był to któryś z pańskich ludzi.

Spojrzał na nią z uwagą.

- Więc to nie jest Anglia? - spytał. - Tak. Jestem w Belgii. Rozegrała się bitwa.

Na policzkach miał niezdrowy rumieniec. W świetle świecy oczy błyszczały mu od gorączki. Rachel odwróciła się do stolika przy łóżku, wycisnęła ściereczkę leżącą w misce z wodą i otarła mu twarz. Westchnął z ulgą.

- Teraz lepiej o tym nie myśleć - powiedziała. - Choć pewnie miło panu będzie usłyszeć, że zwyciężyliśmy. Prawdopodobnie gdy pan opuszczał pole bitwy, walki jeszcze trwały.



Wpatrywał się w nią, mocno marszcząc brwi. Po chwili znów zamknął oczy.

- Obawiam się, że ma pan gorączkę - dodała. - Widzi pan, kula z muszkietu utkwiała panu w udzie i musiał ją wyjąć chirurg. Na szczęście był pan wtedy nieprzytomny. Chyba powinien się pan napić trochę wody. Pomogę panu usiąść i przytrzymam szklanę. To nie będzie łatwe. Ma pan na głowie paskudną ranę i guza.

- Wydaje mi się, że ten guz ma rozmiary piłki do krykieta - stwierdził. - Czy ja jestem w Brukseli?

- Tak - odparła. - Przywieźliśmy pana z powrotem do miasta.

- Bitwa. Teraz sobie przypominam - mruknął. Nie powiedział już nic więcej, a Rachel się nie dopytywała. Wolała nie znać krwawych szczegółów.

Wypił trochę wody, choć zapewne ból, jaki czuł, unosząc głowę, był nie do wytrzymania. Rachel powoli opuściła go z powrotem na poduszki, otarła wodę, która pociekła mu po brodzie i położyła mu na czole mokry kompres.

- Czy ma pan tutaj rodzinę? - spytała. - Albo jakichś przyjaciół? Czy jest ktoś, kogo możemy zawiadomić o pańskim losie?

- Ja... - znów zmarszczył brwi. - Nie jestem pewien. Mam?

- Chciałybyśmy zawiadomić pana rodzinę, że pan żyje i jest bezpieczny tu, w Brukseli

- wyjaśniła. - A może wszyscy pańscy krewni są w Anglii? Jeśli pan chce, jutro napiszę do nich list.

To, co potem od niego usłyszała, kompletnie ją zaskoczyło.

- Kim ja, do diabła, jestem? - spytał. Rachel miała wrażenie, że pytanie jest czysto retoryczne.

Nagły chłód przeniknął ją do szpiku kości. Mężczyzna znów stracił przytomność.

Gdy Alleyne się obudził, wstał już dzień. Co prawda nie przez całą noc był

przytomny, ale pamiętał, że na zmianę płonął z gorączki i dygotał z zimna. Śnił, a może tylko miał dziwne halucynacje, których nie mógł sobie teraz przypomnieć. Kilkakrotnie do kogoś wołał. Przez całą długą noc ktoś przy nim czuwał, chłodził mu rozpaloną twarz mokrą ściereczką, otulał ciepłym kocem, poił wodą i szeptał słowa otuchy.

Obudził się zupełnie zdezorientowany. Gdzie on, do diabła, był? Przypomnił sobie, że został postrzelony w nogę, spadł z konia i cały się potłukł przy upadku. Ktoś go zabrał i przywiózł do domu schadzek, w którym mieszkały przynajmniej cztery umalowane prostytutki i jeden złocisty anioł. Dostał gorączki i przez całą noc miał halucynacje. Może to wszystko było tylko osobliwym, dziwnym snem.

Otworzył oczy.

Nie wyobraził sobie anioła. Wstała z krzesła stojącego przy jego łóżku i pochyliła się nad nim. Położyła mu na czole chłodną dłoń. Jej włosy lśniły jak czyste złoto. Duże brązowe oczy okalały gęste rzęsy, nieco ciemniejsze niż włosy. Miała wydatne usta, prosty nos i różaną cerę. Ani za szczupłą, ani zbyt pulchna. Pięknie, proporcjonalnie zbudowana i bardzo kobieca. Pachniała słodko nieznanymi mu perfumami.

Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział.

Zakochałem się, pomyślał, choć więcej w tym było żartu niż powagi.

- Czuje się pan lepiej? - spytała.

Jeśli dobrze odgadł, znalazł się w domu schadzek. Ona tu mieszkała. Czy to czyniło ją...

- Okropnie boli mnie głowa - powiedział. - Czuję się, jakby każdą kość przesunięto mi w inne miejsce. Nie śmiem nawet poruszyć lewą nogą. Jest mi gorąco, a równocześnie dygoczę z zimna. Razi mnie światło. Poza tymi drobnostkami cieszę się chyba znakomitym zdrowiem. - Spróbował się do niej uśmiechnąć, ale zabolalo go z boku głowy. Tam pewnie

znajdowała się rana. - Czy byłem kłopotliwym pacjentem? Zdaje mi się, że tak.

Uniosła kąciki ust w uśmiechu, który rozświetlił jej oczy, dodał jej twarzy ognia i nieco figlarności. Stała się nie tylko piękna, ale też sympatyczna.

Był naprawdę zakochany. Beznadziejny przypadek. Śmiertelnie zauroczony.

Ale przecież przez całą noc ocierała mu czoło i szeptała do niego uspokajające słowa.

Który mężczyzna z krwi i kości nie uległby jej urokowi? Zwłaszcza że naprawdę wyglądała jak anioł.

Oczywiście mogło mu się tylko wydawać, że jest zakochany, w końcu miał gorączkę.

- Wcale nie - odpowiedziała - tyle że miał pan nieprzyjemny zwyczaj posyłania mnie do diabła, ilekroć próbowałam podnieść panu głowę, żeby mógł się pan napić.

- Naprawdę wykazałem się takim brakiem ogłady? - spytał. - Błagam o wybaczenie.

Nadal mam wrażenie, że umarłem i znalazłem się pod opieką mojego osobistego anioła stróża. Jeśli się mylę, proszę mnie pocałować i spróbować obudzić.

Roześmiała się cicho, ale nie spełniła prośby.

Ktoś wszedł do pokoju. Owa czarnowłosa, zuchwała włoska ślicznotka, którą zobaczył, gdy za pierwszym razem odzyskał przytomność. Postawiła na stoliku miskę z wodą, oparła ręce na zgrabnych biodrach w bardzo zachęcającej pozie i obrzuciła go spojrzeniem od stóp do głów. Alleyne miał przy tym wrażenie, jakby oczami ściągała z niego pościel.

- No, no, otworzyłeś oczy, wróciły ci rumieńce i od razu widać, jaki z ciebie przystojniak - powiedziała. - Choć zdaje mi się, że będziesz prezentował się jeszcze lepiej, gdy zdejmiesz z głowy ten biały turban. Dostałeś się do nieba, do domu schadzek, dobre sobie. To nazbyt piękne! Rache, pora żebyś trochę odpoczęła. Bridget mówi, że znów całą noc czuwałaś. Teraz ja cię zastąpię. Czy przypadkiem nie trzeba mu zmienić opatrunku na

udzie?

Spojrzała na Alleyne'a z wyraźnym uznaniem i wyduła wargi. Dzisiejszego ranka nie była umalowana, ale zachowywała się z wyzywającą zmysłowością, która zdradzała jej profesję.

Zachichotał, a potem jęknął. Zaboląa go głowa. Pożałował, że zareagował na jej flirt.

- Geraldine, jeszcze tylko obmyję mu twarz wodą, by obniżyć gorączkę - odezwał się jego anioł. Na imię miała Rache... Rachel? - Potem pójdę się położyć. Jestem zmęczona, ty zresztą też.

Ciemnowłosa piękność, Geraldine, wzruszyła ramionami, mrugnęła zuchwale do Alleyne'a i wyszła, zabierając miskę z brudną wodą.

- Czy to naprawdę dom schadzek? - spytał, choć był tego prawie pewien. Pomyślał, że nie powinien był zadawać tego pytania, gdyż Rachel splonęła rumieńcem.

- Nie każemy panu płacić za zajmowane łóżko - odparła nieco zdenerwowanym tonem.

Chyba w ten oględny sposób chciała potwierdzić jego przypuszczenia. A to oznaczało, że jest...

Rozejrzał się po pokoju, ładnie, gustownie urządzone, umeblowanym w beżowych i złotych odcieniach. Ani śladu czerwieni. Łóżko było wąskie. Choć zapewne dostatecznie szerokie, by spełniać swoją funkcję. Pokój na pewno należał do kobiety. Na toaletce Alleyne zobaczył szczotki, flakoniki i książkę.

- Czy to pani pokój? - spytał.

- Nie, na razie pan się w nim znajduje. - Uniosła brwi i spojrzała mu prosto w oczy.

Była zagniewana? - Ale tak, mieszkam tu.

Błagam o wybaczenie - powiedział. - Zająłem pani łóżko.

- Niepotrzebnie pan przeprasza - odparła. - Przecież sam się pan tu nie wprosił,

prawda? Znalazłam pana w lesie. Sierżant, który mi pomógł przywieźć tu pana, też z nami został. Położyliśmy go na poddaszu. Stracił w bitwie oko i bardzo cierpi, choć nie chce się do tego przyznać. Utrata oka okazała się dla niego szczególnie dotkliwa, gdyż zwolniono go z wojska. A służył w armii od kiedy ukończył trzynaście lat.

- Pani znalazła mnie w lesie? W lesie Soignes?

Co on, do diabła, tam robił? Jak przez mgłę pamiętał huk ciężkich dział, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnego innego szczegółu bitwy. To była bitwa z Napoleonem, która szkykowała się od wielu miesięcy. Tyle wiedział. Musiał brać w niej udział. Ale dlaczego wjechał w las? I dlaczego jego ludzie go tam zostawili? A może był sam? Jeśli jednak został ranny, dlaczego nie szukał pomocy w lazarecie?

- Myślałam, że pan nie żyje - odparła. Zanurzyła płótno w świeżej wodzie i położyła mu na czole chłodny kompres. - Gdybym pana nie dotknęła, nawet bym nie wiedziała, że pana serce jeszcze bije. Pewnie by pan tam umarł.

- Jestem pani dozgonnie wdzięczny - powiedział. - Pani i temu sierżantowi.

Podziękuję mu osobiście przy pierwszej nadarzającej się okazji. - Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl i poczuł ogromną ulgę. Było przecież coś o wiele ważniejszego niż szczegóły bitwy, których nie potrafił sobie przypomnieć. - Co się stało z moimi rzeczami?

Dziewczyna wycisnęła płótno, zmoczyła je i znów wycisnęła. Dopiero potem odpowiedziała:

- Został pan okradziony. Ze wszystkiego.

- Ze wszystkiego? - patrzył na nią zbulwersowany. - Z ubrania też? Przytaknęła.

Dobry Boże! Znalazła go nagiego? A jednak to nie zażenowanie sprawiło, że zamknął oczy i zacisnął zęby, nie zwracając uwagi na ból, wywołany napięciem mięśni twarzy. Czuł,

że ogarnia go panika. Chciał odrzucić kołdrę, zerwać się na nogi i uciec z pokoju. Dokąd

miałby biec? I po co?

Żeby dowiedzieć się, kim jest?

Nikt ani nic nie mogło mu pomóc w odzyskaniu pamięci. Uspokój się, powiedział sobie. Uspokój się. Spadłeś z konia i uderzyłeś się w głowę. To szczęście, że w ogóle żyjesz.

Masz guza wielkości piłki do krykieta. Daj sobie trochę czasu, za dzień, dwa, twoja głowa zacznie funkcjonować normalnie. Musisz poczekać aż zejdzie opuchlizna i zagoją się rany, aż opadnie gorączka. Nie ma pośpiechu. Za kilka dni wszystko sobie przypomnisz.

- Jak się pan nazywa? - spytała, ocierając mu twarz ściereczką.

- Idź do diabła! - krzyknął. Natychmiast otworzył oczy i spojrzał na nią przepraszająco. Zagryzła wargę i patrzyła na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

- Przepraszam...

- Błagam o wybaczenie... Odezwali się jednocześnie.

- Nie pamiętam - wyznał szorstko, usiłując opanować ogarniającą go panikę.

- Niech się pan tym nie martwi. - Uśmiechnęła się. - Wkrótce Wszystko pan sobie przypomni.

Niech to diabli porwą, nie znam nawet własnego imienia. Z przerażenia żołądek podszedł mu do gardła. Usiłował opanować mdłości. Chwytał ją z całej siły za rękę. Wzdłuż swego prawego ramienia zobaczył ciemne sińce.

- Żyje pan i odzyskał przytomność - powiedziała, pochylając się nad nim - Gorączka wyraźnie spadła. Jakimś cudem przy upadku niczego pan sobie nie złamał. Bridget mówi, że będzie pan żył, a ja ufam, że się nie myli. Proszę tylko dać sobie trochę czasu. Wszystko się panu przypomni. Na razie niech pan odpoczywa i nabiera sił. Pomyślał, że jeśli przyciągnie ją trochę bliżej, to może uda mu się ją końcu pocałować. Co za głupi pomysł! Wszystko go

bolało. Gdyby to zrobił, pewnie przekonałby się, że nawet usta go bołą.

- Zawdzięczam pani życie - powiedział. - Dziękuję. Nie ma takich słów, którymi byłbym w stanie wyrazić swoją wdzięczność. Delikatnie wysunęła się z jego uścisku. Znów zmoczyła i wyżeła okład. Czy pani jest jedną z nich? - spytał nagle. Zamknął oczy i znów próbował opanować mdłości. - Czy pani jest... Czy pani tu pracuje? Przez chwilę słyszał tylko plusk wody. Żałował, że zadał to pytanie. Jestem tu, prawda? - odparła. W jej głosie znów wyczuł zdenerwowanie.

- Nie wygląda pani... tak jak tamte kobiety - stwierdził. Chce pan powiedzieć, że one wyglądają na ladacznice, a ja nie? spytała, Zorientował się, że ją obraził.

- Chyba tak - odparł. - Proszę mi wybaczyć. Nie powinienem był pytać. To nie moja sprawa.

Roześmiała się cicho, nieprzyjemnie.

- Właśnie na tym polega mój urok, że wyglądam jak dama, jak anioł, jak to pan wcześniej określił - rzuciła. - W dobrym domu schadzek znajdzie pan każdy rodzaj kobiet. Mężczyźni mają różne wymagania wobec pań, którym płacą za ich względy. Ja zaspokajam gusta tych, którzy szukają dobrych manier i pozorów niewinności. Zgodzi się pan, że doskonale potrafię udawać niewinną, prawda?

- Doskonale.

Otworzył oczy i zobaczył, że uśmiecha się do niego, wycierając ręce w ręcznik.

Podobnie jak jej ton, uśmiech nie do końca był przyjemny.

- Jeszcze raz proszę o wybaczenie - powiedział. - Zdaje się, że od chwili, gdy odzyskałem przytomność, nieustannie panią obrażam. Mam nadzieję, że zazwyczaj nie zachowuję się tak prostacko. Wybaczy mi pani? Bardzo proszę.

Czuł, że głowa puchnie mu jak balon i za chwilę pęknie. Noga tętniła bólem. Różne

pomniejsze dolegliwości tylko czekały, żeby go zaatakować. - - Oczywiście - odparła. - Nie uważam tej profesji za wstydliwą czy poniżającą i patrzę na moje przyjaciółki jak na ludzi. Szanuję je tak, jak wszystkie inne kobiety, które znam. Zobaczymy się później. Tymczasem zajmie się panem Geraldine. Jest pan głodny?

- Niespecjalnie - odparł.

Gdy wyszła, zrozumiał, że naprawdę ją obraził. Miała prawo się na niego rozgniewać.

Gdyby nie ona, pewnie już by nie żył. Te kobiety przyjęły go pod swój dach, a ona jeszcze oddała mu swój pokój. Zapewniły mu stałą opiekę. Jego losy mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej, gdyby znalazła go dama. Każda z pań do towarzystwa, zobaczywszy nagie ciało, na pewno uciekłyby z krzykiem, a potem zemdląły, zostawiając go na pewną śmierć.

Zachichotał w duchu, wyobrażając sobie taką scenę. Ale zaraz potem znów poczuł mdłości i panikę.

A jeśli pamięć nigdy mu nie wróci?



Rachel zdrzemnęła się chwilę. Potem zeszła na dół, żeby sprawdzić, czy może w czymś pomóc. W kuchni unosiły się smakowite zapachy. Phyllis mieszała zupę w dużym garnku. Na blacie leżał świeżo upieczony chleb i ciastka z rodzynkami. Obok czekał przygotowany imbryk. W palenisku stał czajnik z wodą na herbatę.

- Wyspałaś się? - spytała Phyllis. - Wszyscy są w pokoju Williama. Rachel, bądź tak miła i zrób herbatę. Zaniesiemy ją razem. Czy ten twój biedak jeszcze śpi?

Rachel, schodząc na dół, nie zjrzała do niego. Nadal czuła lekkie zmieszanie na myśl o tym, w co pozwoliła mu uwierzyć. Że ona tu mieszka i pracuje z Bridget, Phyllis, Geraldine i Flossie. A równocześnie gniewało ją własne zażenowanie i jego pytania. Te kobiety przyjęły ją do siebie, gdy nie miała gdzie się podziać. Jego też. Jakie to miało znaczenie, że były prostytutkami? Miały dobre serca.

Sierżant Strickland stał się ulubieńcem wszystkich. Nie użalał się nad sobą mimo że stracił oko i został zwolniony z armii. Dopiero wspólnym wysiłkiem całej piątki udało się go przekonać, żeby poleżał w łóżku przynajmniej przez kilka dni, aby jego rany porządnie się zagoiły, Zwłaszcza Rachel przypadł do serca. Przyszedł z pomocą nieznanemu, który był ciężiej ranny niż on.

Weszły z Phyllis do pokoju. Rachel niosła tacę z herbatą, a Phyllis ta - i z grubymi pajdami chleba, posmarowanego masłem. Bridget właśnie przemyła ranę i owijała sierżantowi głowę czystym bandażem.

- Nie będziesz wyglądał tak źle, gdy oczodół już się wygoi i zasłonisz go przepaską - powiedziała.

- Chyba straciłam apetyt - oznajmiła Phyllis.

- Williamie, będziesz wyglądał jak pirat - stwierdziła Geraldine. Chociaż ty chyba

nigdy nie byłeś przystojniakiem, prawda?

- Co to, to nie, dziewczyno - potwierdził z rubasznym śmiechem. Ale przynajmniej miałem dwoje oczu, żeby móc wojować. Zajmowałem się tym od małego. Nie umiem nic innego. Ale co tam. Znajdę sobie pewnie jakieś zajęcie, żeby zarobić na życie. Dam sobie jakoś radę.

- Oczywiście, że tak - potwierdziła Geraldine i pochyliła się, żeby poklepać go po dłoni. - Teraz jednak musisz pozostać w łóżku jeszcze dzień lub dwa. To rozkaz. Jeśli spróbujesz się ruszyć, to sama położę cię z powrotem.

- Nie sądzę, by ci się to udało, dziewczyno, choć pewnie próbowałabyś z całej siły - odparł. - Głupio się czuję, leżąc. Straciłem tylko oko, ale gdy wstałem, żeby zobaczyć, jak się czuje ten biedak, któregoś my tutaj przynieśli, tom się chwiał na schodach, jak liść na wietrze, i musiałem zawrócić. Taki jest skutek tego całego leżenia.

- Ach, świeży chleb - westchnęła Flossie. - Nie ma na świecie lepszej kucharki niż nasza Phyll. Marnuje swój talent jako prostytutka.

- To ja powinienem nieść tę tacę, panienko - powiedział sierżant do Rachel. - Tyle że nie dałbym rady, za to jutro na pewno poczuję się lepiej. Czy panie nie potrzebują krzepkiego mężczyzny? Już wcześniej wyglądałem niczego sobie, a teraz, jak założę czarną przepaskę na oko, to pewnie przestraszę nawet samego diabła. Mógłbym pilnować drzwi, gdy będziecie zajęte pracą i wyrzucać niegrzecznych panów, gdy się zapomną.

- Williamie, chcesz z sierżanta awansować na odźwiernego w domu schadzek? - spytała Bridget, gryząc chleb z masłem.

- Nie miałbym nic przeciwko, dopóki nie stanę na nogi - odparł. - Wystarczyłby mi wikt i miejsce do spania.

- Will, sęk w tym, że my nie zamierzamy zostać tu dłużej niż to konieczne. Teraz, gdy

armie się wycofały i wyjechała większość gości, interes słabo idzie. Musimy wracać do domu, a im szybciej, tym lepiej. Chcemy złapać pewnego łajdaka i rozerwać go na strzępy. I będziemy go ścigać tak długo, aż go dopadniemy.

- Ukradł nasze ciężko zarobione pieniądze, które odkładałyśmy przez cztery lata - wyjaśniła Bridget. - Chcemy je odzyskać.

- Ale przede wszystkim chcemy dopaść tego kłamliwego, uśmiechniętego padalca.

- Ktoś uciekł z waszymi pieniędzmi? - Sierżant zmarszczył groźnie brwi, biorąc z rąk Phyllis talerz z dwiema kromkami chleba z masłem. - I chcecie go dopaść? W takim razie jadę z wami. Wystarczy, że raz na mnie spojrzysz i odechce mu się uśmiechów, zobaczycie. Już on mnie popamięta. Gdzie go znajdziemy?

- W tym sęk - westchnęła Bridget. - Williamie, jesteśmy niemal pewne, że udał się do Anglii, ale nie wiemy dokąd. Anglia jest dosyć duża.

- Bridget i Flossie napisały do wszystkich naszych przyjaciółek, które potrafią czytać - powiedziała Geraldine. - Któraś z nich na pewno go zauważy. A jeśli nie, to i tak go znajdziemy, nawet gdyby miało to potrwać rok albo dłużej. Musimy tylko wymyślić jakiś dobry plan.

Rachel zaczęła podawać filiżanki z herbatą.

- Gerry, potrzeba nam pieniędzy - zauważyła sucho Flossie. - Bardzo dużo pieniędzy, jeśli chcemy się włóczyć po całej Anglii. Zwłaszcza że nie możemy równocześnie szukać łotra i zarabiać na życie.

- Być może nigdy go nie znajdziemy i nie odzyskamy naszych oszczędności -

powiedziała Phyllis. - A tymczasem wydamy mnóstwo pieniędzy i nic nie zarobimy. Może rozsądniej byłoby po prostu dać za wygraną, wrócić do domu i znów zacząć odkładać pieniądze.

- Phyll, ależ chodzi o zasadę - odparła Geraldine. - Nie pozwolę, żeby uszło mu to płazem. Uważał, że może nas okraść po prostu dlatego, że jesteśmy prostytutkami. Nikomu innemu nie okazał tyle pogardy, co nam. Wedle słów Rachel wziął pieniądze od lady Flatley i innych dam, ale czarował je, że to na cele dobroczynne. Być może nigdy nie dowiedzą się, że ich pieniądze trafiły do jego kieszeni. Ale wobec nas nawet nie wspominał o dobroczynności. Wziął sobie wszystko, co miałyśmy, a my jeszcze uprzejmie powiedziałyśmy mu: „Dziękuję”. To dlatego jestem taka wściekła. Zrobił z nas idiotki.

- To prawda - przyznała Phyllis. - Musimy dać mu nauczkę, nawet jeśli wpędzi nas to w nędzę.

- Potrzeba nam pieniędzy - powtórzyła Flossie, bębniąc palcami o brzeg talerza. - Mnóstwo pieniędzy. Jakim cudem je zdobędziemy? Oczywiście poza znanym nam już sposobem.

- Szkoda, że nie mogę jeszcze dysponować swoim majątkiem - westchnęła Rachel. Bębnienie palcami ustało. Zapadła cisza. Wszyscy spojrzeli na nią z zaciekawieniem.

- Rachel, ty masz jakiś majątek? - spytała Geraldine.

- Jest przecież siostrzenicą barona Westona - przypomniała im Bridget.

- Matka zostawiła mi w spadku swoje klejnoty - powiedziała Rachel. - Będę mogła nimi dysponować dopiero za trzy lata, gdy skończę dwadzieścia pięć lat. Nie powinnam w ogóle o nich wspominać, skoro nie możemy mieć z nich teraz żadnego pożytku. Dopóki ich nie dostanę, będę z was wszystkich najbiedniejsza.

- Gdzie one są? - spytała Flossie. - Może mogłybyśmy jakoś je wydostać? To nawet nie byłaby kradzież, prawda? Są przecież twoje.

- Którejś bezksiężycowej nocy, w czarnych płaszczach i maskach, ze sztyletami w zębach, wdrapałybyśmy się po murach porośniętych bluszczem - powiedziała Geraldine. - To

mi się podoba. Rache, powiedz nam, gdzie one są.

Rachel roześmiała się i pokręciła głową.

- Nie wiem - odparła. - Zostały powierzone memu wujowi, nie mam pojęcia, gdzie je trzyma.

Istniał co prawda sposób na uzyskanie klejnotów przed jej dwudziestymi piątymi urodzinami, jednak w obecnej sytuacji to rozwiązanie wydawało się nierealne.

- A co z tamtym mężczyzną? - spytał sierżant Strickland. - Miałem rację, to prawdziwy jaśniepan, co?

- Rzeczywiście jest dżentelmenem - powiedziała Rachel.

- Jak się nazywa?

- Nie pamięta.

- Sierżant zachichotał.

- Stuknął się w głowę i stracił pamięć, co? - stwierdził. - Biedak. Ale jeśli to jaśniepan, to powinno go szukać mnóstwo ludzi, mówię wam. Być może tu w Brukseli jest nawet jego rodzina, jeśli nie uciekła jeszcze przed rozpoczęciem bitwy. Tacy chętnie zapłacą za uratowanie go i opiekę nad nim.

- A jeśli on nigdy nie przypomni sobie, kim jest? - spytała Phyllis.

- Mogłybyśmy we wszystkich belgijskich i londyńskich gazetach umieścić ogłoszenie z opisem jego wyglądu - zasugerowała Bridget. - Na to jednak trzeba czasu i pieniędzy. A jego rodzina może nic nam nie zapłacić.

- Mogłybyśmy dać ogłoszenie, ale ukryć miejsce jego pobytu i zażądać okupu -

powiedziała Geraldine. - W ten sposób zyskałybyśmy więcej, niż gdybyśmy liczyły tylko na nagrodę. Z zatrzymaniem go nie będzie problemu. Poza koszulą nocną, którą znalazła dla niego Bridget, nie ma przecież żadnego ubrania. Nie może uciec. Chyba że chce na oczach

przechodniów biegać goły po ulicy. Zresztą z tą raną w udzie długo jeszcze nie będzie mógł biegać. No i dokąd miałby uciec? Przecież nawet nie wie, jak się nazywa.

- Już ja bym dopilnował, żeby nigdzie nie uciekł - oświadczył sierżant.

- Ile mogłybyśmy zażądać? - spytała Bridget. - Sto gwinei?

- Trzysta - zasugerowała Phyllis.

- Pięćset - powiedziała Geraldine i machnęła ręką, rozlewając przy tym herbatę.

- A ja nie wzięłabym mniej niż tysiąc - stwierdziła Flossie. - Plus koszty utrzymania.

W tym momencie wszystkie, nie wyłączając Rachel, wybuchnęły śmiechem. Rachel oczywiście wiedziała, że towarzyszki nie myślą serio o porwaniu. Te kobiety, choć wyglądały na awanturnice, miały złote serca.

- Tymczasem powinniśmy chyba zabrać mu koszulę nocną, żeby mimo wszystko nie uciekł - powiedziała Phyllis.

- I przywiązać mu ręce i nogi do kolumnienek łóżka - dodała Flossie.

- Ach, tak mi serce bije. - Geraldine westchnęła, wachlując sobie twarz dłonią. -

Musimy mu też zabrać prześcieradła, prawda? Mógłby je związać i uciec przez okno, a potem ubrać się w nie jak w togę. Zgłaszam się na ochotnika, by pilnować drzwi jego sypialni przez cały dzień. I noc.

- Chyba jednak tu zostanę - powiedział sierżant. - Przyda się wam osiłek do noszenia worków z okupem.

- Williamie, będziemy bogate - oświadczyła Flossie, potakując głową, aż zatańczyły wszystkie loki na jej głowie.

Wszyscy się roześmiali.

- Ale mówiąc poważnie, to, że nie pamięta kim jest, może się okazać naprawdę dużym

kłopotem - odezwała się Rachel, gdy ucichł śmiech. - Zwłaszcza że upłynie jeszcze trochę

czasu, zanim będzie mógł chodzić. On nie ma się gdzie podziać. A przecież wszystkie chcemy jak najszybciej wrócić do Anglii.

- Och, gdy będziemy gotowe do odjazdu, wyrzucimy go na ulicę oświadczyła Geraldine.

Oczywiście żartowała. Nie miałyby serca zostawić nikogo na pastwę losu.

Rachel pomyślała, że gdyby udało jej się uzyskać klejnoty, sytuacja by się zmieniła.

Nie tylko mogłaby sfinansować poszukiwania Nigela Crawleya - co zresztą nie było chyba takim znów sensownym pomysłem - mogłaby oddać swoim przyjaciółkom utracone przez nie pieniądze i spełnić ich największe marzenie. Dzięki niej porzuciłyby pracę i wiodły spokojne życie, którego zawsze pragnęły. Przestałyby ją wreszcie nękać wyrzuty sumienia, że to z jej winy utraciły swoje oszczędności. Oczywiście sama też zyskałaby niezależność. Złudne marzenia, westchnęła w duchu.

- Idę na dół sprawdzić, jak się ma nasz pacjent - powiedziała. Wstała i odstawiła filiżankę na tacę. - Może czegoś potrzebuje.

Alleyne obudził się późnym popołudniem. Był sam. Czuł się znacznie lepiej, ale nie śmiał jeszcze poruszyć głową ani lewą nogą. Gorączka chyba spadła. Starał się zachować pogodny, wesoły nastrój. Układał w myślach, co powie, gdy jedna z kobiet wejdzie do pokoju.

„Ach, dobry wieczór - odezwie się. - Pozwoli pani, że się jej przedstawię. Nazywam się...” - Uśmiechał się do pustego pokoju i wykonywał dłonią zamaszyste gesty. Ale w myślach gorączkowo poszukiwał nieuchwytnych słów. Bezskutecznie.

To śmieszne, że nie pamiętał własnego imienia! Czy po to cudem uniknął śmierci, żeby przez resztę swego życia być nikim? Dotknął bandaża na głowie. Dłonią delikatnie poszukał guza, by ocenić, czy nadal jest duży. I stwierdził, że chyba jeszcze za wcześnie, by

snuć takie posępne myśli.

Otworzyły się drzwi. Do pokoju wszedł jego złocisty anioł. Rachel, choć chyba nie powinien tak się do niej zwracać.

- Ach, już się pan obudził - powiedziała. - Gdy zaglądałam tu wcześniej, jeszcze pan spał.

Uśmiechnął się do niej. Zdał sobie sprawę, że nie czuje już przy tym okropnego bólu. Odezwał się bez namysłu, żeby nie zabrakło mu odwagi.

- Właśnie się obudziłem - powiedział. - Dobry wieczór. Pozwoli pani, że się jej przedstawię. Nazywam się...

Oczywiście zamarł z otwartymi ustami, jak ryba wyciągnięta z wody. Zacisnął prawą dłoń w pięść.

- Miło mi pana poznać, panie Smith - odparła z cichym śmiechem i podeszła do niego, wyciągając rękę. - Pan Jonathan Smith, prawda?

- Może nawet lord Smith - rzucił, zmuszając się do śmiechu. - Albo Jonathan Smith, hrabia Czegośćam. Czy raczej Jonathan Smith, ksiązę Skądśćam.

- Powinnam zatem zwracać się do pana: wasza miłość, prawda? - stwierdziła, a w jej oczach zalśniły wesołe iskierki.

Ujął jej gładką, szczupłą dłoń. Poczul świeży, słodki zapach. Doceniał, że próbowała żartować, by pomóc mu spojrzeć na wszystko z dystansem. Czemu nie? Czy miał inne wyjście? Mocniej ścisnął jej dłoń i uniósł ją do ust. Na chwilę uciekła spojrzeniem.

Przyglądał się jej, jak zagryza dolną wargę. Och tak, doskonale odgrywała rolę niewiniątka.

Poza tym kobieta nie ma prawa być taka piękna.

- Lepiej nie - odparł. - Gdybym później dowiedział się, że nie jestem księciem, ale zwykłym człowiekiem, czułbym się bardzo upokorzony. Nie wydaje mi się zresztą, bym



naprawdę nazywał się Jonathan i do tego Smith.

- W takim razie, czy mam się do pana zwracać po prostu: „proszę pana”? - spytała.

Uśmiechnęła się i zabrała rękę. Pochyliła się nad nim, by odwinąć mu bandaż z głowy.

Przyjrzała się ranie. - Proszę pana, rozcięcie już nie krwawi. Chyba nie trzeba już zakładać bandaża. Oczywiście jeśli to panu odpowiada, proszę pana.

Gdy się wyprostowała, zobaczył w jej oczach uśmiech. Dobrze było znów poczuć powiew powietrza wokół głowy. Uniósł rękę, by przeczesać włosy palcami, i z zażenowaniem uświadomił sobie, że są posklejane i brudne.

- Muszę być panem Jakimśtam, prawda? - powiedział. - Brak imienia i nazwiska wydaje mi się dosyć ekscentryczny. Która matka nazwałaby swego syna po prostu: „Pan”? Nie mogę jednak być księciem ani hrabią. Gdyby tak było, nie brałbym udziału w tej bitwie. Zapewne jestem młodszym synem.

- Ale książę Wellington brał w niej udział - rzuciła.

Dzisiaj jej tęczęwki wydawały się bardziej zielone niż brązowe. Może dlatego, że odbijał się w nich kolor jej sukni. Patrzyła mu prosto w twarz, a w jej oczach migotały iskierki humoru. Zdawało mu się jednak, że na ich dnie dostrzega także ciepło i współczucie. Uznał za absurdalne, że w jej obecności brakuje mu tchu. Zastanawiał się, czy zawsze zachowywał się wobec pięknych nieznanym z takim cielecym zachwytem. To niedorzeczne. Idiotyczne. Nadal przecież czuł się, jakby po jego ciele przemaszerowało stado słoni.

- Ach tak, właśnie - pstryknął palcami. - Może jestem księciem Wellington. Zagadka rozwiązana. Zaiste, jak na niego mam dostatecznie duży nos.

- Tyle że w jego przypadku już dawno by ogłoszono, że zaginął - powiedziała. Po raz pierwszy zauważył najpiękniejszy rys jej twarzy, mały dołeczek z lewej strony ust. - Zatem

pamięta pan bitwę pod Waterloo?

- Tak ją chyba nazywają.

Zwinęła bandaż i położyła obok miski z wodą. Usiadła na krześle i pochyliła się nieco do przodu. Czuł jej bliskość. Pomyślał, że chyba naprawdę ma spore doświadczenie w swej profesji i teraz z rozmysłem próbuje go uwieść. Nie bez powodzenia.

- Pamiętam. - Zmarszczył brwi i próbował przywołać jakiekolwiek wspomnienie.

Bezskutecznie. - A przynajmniej wiem, że ta bitwa się rozegrała. Pamiętam armaty. Ich huk był ogłuszający. Potworny.

- Tak, wiem - rzuciła. - Słyszałyśmy je nawet tutaj. Skąd pan wie, że ma pan nos jak księżę Wellington?

Spojrzał na nią zdumiony.

- A mam? - spytał. Przytaknęła.

- Geraldine powiedziała, że to arystokratyczny nos.

Wstała i podeszła do komody. Cały czas się jej przyglądał. Miała piękną, kobiecą figurę o kusząco zaokrąglonych kształtach. Była o wiele bardziej ponętna niż te aż nazbyt szczupłe dziewczęta, które powszechnie uważano za piękne. Otworzyła jedną z szuflad i odwróciła się do niego z niewielkim lusterkiem w ręce. Spojrzał na nie nieufnie i nerwowo zwilżył wargi językiem.

- Nie musi pan patrzeć - powiedziała, ale mimo to podsunęła mu lusterko.

- Muszę. - Wyciągnął rękę i ostrożnie wziął je od niej. A jeśli nie rozpozna twarzy, którą zobaczy? Chyba przerazi go to jeszcze bardziej niż to, że nie zna własnego imienia. Ale przecież pamiętał, że ma duży nos, a ona potwierdziła, że się nie mylił.

Uniósł lusterko i zerknął. Twarz miał ziemisto bladą. Z pewnością chudsza i bardziej pociągła niż ta, do widoku której był przyzwyczajony. Nos wydawał się jeszcze większy.

Włosy miał potargane i brudne. Czarny zarost na policzkach i podbródku można by wręcz uznać za brodę. Oczy miał lekko przekrwione i podkrążone. Wyglądał marnie, ale poznał tę twarz. Swoją własną twarz. Miał ochotę rozplakać się z ulgi. Wpatrywał się w swoje oczy, szukając na ich dnie odpowiedzi, ale widział w nich tylko konsternację, pustkę i mur - nie do pokonania.

Miał wrażenie, że patrzy na siebie, a jednocześnie na kogoś zupełnie obcego.

- Dziwię się, że nie uciekła pani z krzykiem - powiedział, gdy znów przy nim usiadła.

Zauważył, że siedzi jak dama, nie dotykając plecami oparcia krzesła. - Wyglądam jak wieśniak lub rzezimieszek, do tego raczej brudnawy.

- Brakuje panu jednak pistoletu w jednej ręce i noża w drugiej, żeby wydał się pan w pełni przekonujący - rzuciła, przyglądając mu się z głową przechyloną na bok. W oczach znów miała wesołe iskierki. - Dzięki Bogu, że nie mamy w domu żadnego pistoletu, a Phyllis pilnuje noży kuchennych jak oka w głowie. Czy tę właśnie twarz spodziewał się pan zobaczyć?

- Mniej więcej - odparł, oddając jej lusterko. - Choć zdaje mi się, że zwykle wyglądam trochę mniej niechlujnie. Niestety, to twarz bez imienia, więc lepiej przyjmę pierwsze z brzegu, które mam do dyspozycji. Jonathan Smith, do usług, madame. Ścisłej mówiąc, pan Jonathan Smith.

- Pan Smith - roześmiała się cicho. - A ja się nazywam Rachel York.

- Panno York, miło mi panią poznać. - Pochylił głowę w ukłonie i zaraz pożałował, że nią poruszył.

Patrzyli na siebie przez jakiś czas. Potem wstała i zaskoczyła go, przysiadając na brzegu łóżka. Sięgnęła dłonią do rany na jego głowie. Widział jej nagie, białe ciało w głębokim dekolcie sukni i rowek między piersiami, ginący pod koronkową falbanką. Czuł

delikatny zapach jej mydła. Podziwiał jej włosy, lśniące - we wpadającym przez okno popołudniowym słońcu - niczym złocista aureola. Wstrzymywał oddech, aż w końcu zabrakło mu tchu.

Była nie tylko posągowo piękna. W jej obecności zaczynał myśleć o skłębionych prześcieradłach i splecionych ze sobą ciałach, lśniących od potu. Miał pecha, że znalazł się w domu schadzek bez grosza przy duszy.

- To rozcięcie ładnie się goi, mimo że nie zszyl go chirurg - powiedziała, delikatnie dotykając palcami rany. - Guz też się zmniejsza, ale jeszcze całkiem nie zniknął.

Czuł jej dotyk lekki jak piórko. I nagle nie oglądała już jego rany. Z niewielkiej odległości patrzyła prosto na niego. W jej oczach nie widział już śmiechu, tylko ciepło i współczucie.

- Niech pan da sobie trochę czasu, żeby wyzdrowieć - powiedziała. Zobaczy pan, wszystko się panu przypomni. Obiecuję. Obietnica, choć niedorzeczna, przyniosła mu ukojenie. Rachel spojrzała na niego i zwilżyła językiem górną wargę. Potem splonęła rumieńcem i wstała.

Przez chwilę miał wrażenie, że wróciła mu gorączka.

Przestał się zastanawiać, czy ona go z rozmysłem nie uwodzi. Co prawda, flirtowała o wiele subtelniej niż jej koleżanki, które poczynały sobie z nim niedwuznacznie i dość bezceremonialnie, ale wyraźnie to robiła. Był ciężko ranny, niemal przy każdym ruchu czuł okropny ból. Ale nie był martwy. Reagował na nią całym ciałem, choć był zbyt słaby, żeby cokolwiek z tym zrobić. Musiałaby być idiotką, żeby tego nie zauważyć.

Nie wyglądała na idiotkę.

- Zostawię pana w spokoju, żeby mógł odpocząć - powiedziała, nie patrząc mu w oczy. - Przyjdę później, jeśli nie będę zajęta. Na pewno jest pan głodny. Ktoś przyniesie panu

obiad.

Po jej wyjściu zamknął oczy. Sen jednak nie przychodził. Czuł niepokój. Był brudny, zmęczony, głodny i... Do diabła, czuł podniecenie.

Chciał się umyć i ogolić. Nagle uświadomił sobie, że przecież nie ma brzytwy ani grzebienia. Brak tych drobiazgów uzmysłowił mu, w jak okropnej sytuacji się znalazł. Nie miał pieniędzy, by je sobie kupić. Ani grosza.

Do diabła, co on zrobi, jeśli nie wróci mu pamięć? Będzie nagi chodził ulicami Brukseli, aż ktoś go rozpozna? Pójdzie do jakichś koszar w nadziei, że ktoś go sobie przypomni? Albo spyta, czy poszukują jakiegoś oficera, który zaginął w bitwie? To idiotyczne, w bitwie na pewno zaginęły dziesiątki oficerów i nikt ich nie szuka. No to może uda się do ambasady i poprosi o znalezienie arystokratycznej rodziny, która straciła syna albo brata, przypuszczalnie nie najstarszego z rodzeństwa? Czy w Brukseli w ogóle była ambasada? Miał mgliste wrażenie, że chyba była jakaś w Hadze, ale gdy dłużej zatrzymał się nad tą myślą, nie potrafił przywołać żadnych szczegółów.

W jakim regimencie służył? W jakim stopniu? W kawalerii czy w piechocie? A może w artylerii? Próbował sobie wyobrazić siebie na czele swego oddziału, w szarży kawalerii albo w ataku piechurów. Bezskutecznie. Te obrazy nie budziły żadnych realnych wspomnień.

Rachel York powiedziała, że wróci, „jeśli nie będzie zajęta”. Skrzywił się. Zastanawiał się, gdzie ona teraz przyjmuje klientów, skoro zajął jej pokój.

To nie jego sprawa. Rachel York nie powinna go obchodzić.

Tyle że miał u niej dług wdzięczności i nie wiedział, jak zdoła się jej odplacić. Poza tym była po prostu niesamowicie piękna. Zachowywał się przy niej jak zadurzony uczeń, oszołomiony i rozgorączkowany.

Powiedział sobie surowo, że od jutra zdwoi wysiłki, by wrócić do zdrowia i stanąć na

nogi, nawet jeśli nie od razu uda mu się to uczynić w dosłownym znaczeniu. Miał już dosyć poczucia bezsilności.

Jutro też wszystko sobie przypomni.

Na pewno.

Tego dnia Rachel nie wróciła już do jego pokoju. Na nowo uświadomiła sobie, że podoba się mężczyznom, i ci, widząc ją, reagują podnieceniem.

Wiedziała, że uchodzi za piękność, choć ona sama zadowoliliby się raczej przeciętną urodą. Lustro potwierdzało powszechną opinię. Co więcej, od wielu lat mężczyźni przyglądali się jej z mniej lub bardziej skrywanym podziwem. Nigdy nie wykorzystywała władzy, jaką nad nimi miała. Wręcz przeciwnie. Jej życie toczyło się dziwnymi kolejami u boku ojca, który zawsze balansował na pograniczu bankructwa. Powodziło im się tylko od czasu do czasu, gdy ojcu poszczyściło się w grze. Mimo wszystko Rachel została wychowana na damę. A damy nic obnosiły się ze swoją pięknnością. Poza tym jedyni mężczyźni, z którymi miała do czynienia, należeli do kręgu znajomych ojca i raczej nie byli porządnymi ludźmi. Nie chciała mieć z nimi nic do czynienia. Od kiedy zaś została damą do towarzystwa lady Flatley, dokładała wszelkich starań, by jak najmniej zwracać na siebie uwagę. W Nigelu Crawleyu najbardziej spodobało się jej właśnie to, że nigdy nie mówił o jej urodzie. Miała wrażenie, że podziwiał jej charakter.

Nie chciała wzbudzać zachwyty w tym rannym mężczyźnie. Pragnęła tylko okazać mu troskę i współczucie. Ale gdy się nad nim pochyliła, wyczuła jego podniecenie i iskrzące między nimi napięcie.

Zachowała się nierozważnie. Sama myśl o tym, że znajduje się w sypialni z mężczyzną, powinna ją zaszokować. A ona jeszcze usiadła na brzegu jego łóżka, pochyliła się nad nim, dotknęła jego głowy i w końcu spojrzała mu w oczy...

Tak, to było bardzo niemądre.

Oczywiście, jeśli miałyby być wobec siebie zupełnie szczerą, musiałyby przyznać, że nie tylko jego ogarnęło podniecenie. Czuła się wytrącona z równowagi. Choć ranny i

bezsilny, nie przestawał być młodym, przystojnym mężczyzną. Wręcz emanował męskością.

Na samą myśl o nim zalała się rumieńcem.

Trzymała się z dala od jego pokoju aż do następnego ranka. Wówczas mogła tam

bezpiecznie wejść, gdyż odwiedziło go wiele osób.

Ostatniej nocy przyjaciółki zrobiły sobie wolne, jak zawsze raz w tygodniu. I dlatego

wstały wczesnym rankiem w doskonałych humorach. Phyllis zaniósła panu Smithowi

śniadanie i została na krótką pogawędkę. Dwadzieścia minut później zjawiły się Bridget i

Flossie, przynosząc czystą koszulę nocną, bandaż, gorącą wodę, gąbkę i ręczniki. Geraldine

zaniósła sierżantowi Stricklandowi śniadanie na poddasze. Chciała przy okazji spytać, czy nie

pożyczyłby Smithowi - jak zdecydowały się nazywać tajemniczego nieznajomego - swoich

przyborów do golenia.

Rachel pozmywała naczynia i posprzątała w kuchni. Dopiero wtedy poszła na górę.

Wszyscy, włącznie z sierżantem, byli już w pokoju Smitha. Przystanąła w progu, słuchając i

obserwując.

- Muszę przyznać, że czuję się o dwa kilo lżejszy - odezwał się Smith.

- Nie, nawet trzy. Sam brud na mojej głowie ważył chyba z kilogram.

- Kochanie, mówiłam ci, że zrobię to tak delikatnie jak twoja rodzona matka - rzuciła

śmiało Bridget, składając ręcznik.

- Bridget, śmiem twierdzić, że obiecujesz to każdemu mężczyźnie - odparł.

- Tylko tym bardzo młodym - powiedziała. - W normalnych okolicznościach nie

odezwałabym się do ciebie w ten sposób.

- Ostatniej nocy wróciła mi pamięć - rzucił ze śmiechem, pysznie się bawiąc. -

Przypomniałem sobie, że jestem mnichem. Reguła nakazuje mi ubóstwo, wstrzemięźliwość i

posłuszeństwo.



- Z takim ciałem jak twoje? - spytała Geraldine dramatycznym tonem, opierając dłonie na biodrach. - Co za niepowetowana strata.

- To posłuszeństwo nawet mi się podoba - rzuciła Phyllis.

- Prześliczny mnich bez grosza przy duszy w domu schadzek - dodała Flossie. - Co za tragiczna sytuacja, aż mi się łza w oku kręci.

- Będzie jeszcze ładniejszy, gdy się pozbędzie tej zmierzwionej brody - wtrąciła się Geraldine. - Poszłam pożyczyć od Williama przybory do golenia, ale on się uparł, żeby przyjść tu razem ze mną.

- Rywal? - zawołał Smith, kładąc rękę na piersi. - Złamałaś mi serce.

Najwyraźniej doskonale się bawili i flirtowali z zapałem. Cztery przyjaciółki ubrane w codzienne, skromne stroje, bez makijażu, z gładko uczesаныmi włosami wydawały się całkiem ładne. Rachel żałowała, że nie potrafi się zachowywać tak swobodnie jak one.

- To jest sierżant William Strickland - przedstawiła Geraldine. - Został ranny w bitwie.

- Straciłem oko - rzucił sierżant. - Jeszcze się nie nauczyłem dobrze widzieć jednym okiem, ale to pewnie przyjdzie z czasem.

- Ach, więc to pan jest tym sierżantem, który wraz z panną York ocalił mi życie, tak? - powiedział pan Smith, wyciągając do niego rękę. - Jestem panu wielce zobowiązany.

Sierżant przyjrzał się wyciągniętej dłoni z wyraźnym skrępowaniem, ujął ją na krótką chwilę i jednocześnie niezgrabnie się uklonił.

- Williamie, potrzebowałyśmy twojej brzytwy, a nie całej twojej osoby - marudziła Flossie. - Powinieneś leżeć w łóżku.

- Dziewczyno, przestań krzyżeć - odparł. - Nie mogę leżeć w łóżku przez cały boży dzień. Wróciłbym do swego oddziału, ale armia mnie już nie potrzebuje, bo straciłem oko.

- No cóż, Williamie, twój oddział pomaszerowałby na zachód, tymczasem ty ruszyłbyś

żwawo w przeciwnym kierunku i nawet byś tego nie zauważył. Tylko byś zawadzał, prawda?

A teraz zamierzasz poderżnąć gardło panu Smithowi, tak? Muszę przyznać, że to byłaby wielka strata. Taki przystojny mężczyzna. Są lepsze rzeczy, które można by z nim zrobić - rzuciła mężczyźnie przeciągłe spojrzenie.

- Potrafię się chyba sam ogolić, jeśli tylko ktoś pomoże mi się podnieść wyżej na poduszkach - odparł.

- Wszystko, co dotyczy łóżka, to moje poletko - powiedziała Geraldine. - Z drogi, Will.

- Oczywiście, jeśli jednak jestem księciem, to zapewne nigdy tego nie robiłem - rzucił Smith, krzywiąc się lekko, gdy Geraldine uniosła go na łóżku i podłożyła mu pod plecy kilka poduszek. - Poderżnę sobie gardło przy goleniu niemniej skutecznie niż gdyby zrobił to sierżant Strickland.

- Boże, zmiłuj się - zawołała Phyllis, łokciem odsuwając Geraldine na bok. - Panie Smith, dość mówienia o krwi, jeśli łaska. Ja to zrobię. Swego czasu ogoliłam tysiąc mężczyzn.

- Czy wszyscy przeżyli? - spytał z szerokim uśmiechem.

- Wszyscy. Mniej więcej - odparła. - A ci, którzy nie przeżyli, zgodnie twierdzili, że pięknie jest tak umierać. Geny, spójrz na linię tego podbródka. Widziałaś kiedyś coś równie męskiego i wyrazistego? Boże, zmiłuj się, jakież on piękny!

W tym momencie roześmiane spojrzenie Smitha spoczęło na stojącej w progu Rachel.

Nadal się śmiał, ale zauważyła, że przez chwilę wpatrywał się w nią z zachwytem. Czowała, że patrzy na nią inaczej niż na jej towarzyski. Nagle zabrakło jej tchu. Poczowała zażenowanie.

Zdawała sobie sprawę, że mycie i cała ta krzątanina zapewne go zmęczyły i przyprawiły o ból głowy. Był blady i mizerny. A mimo to, w czystej koszuli, z włosami jeszcze wilgotnymi po

niedawnym myciu, z łobuzerskim uśmiechem, wydawał jej się zniewalająco przystojny.

Phyllis namydliła mu brodę i zaczęła wymachiwać rozłożoną brzytwą. Rachel doszła do wniosku, że zachowała się wczoraj niewłaściwie. Naprawdę nie powinna była tak bezceremonialnie siadać na jego łóżku.

Gdy kilkanaście minut później wszyscy wyszli, nadal roześmiani i rozgadani, Rachel została. Zaciągnęła zasłony na okna, by nie raziło go słońce. Podeszła do łóżka i poprawiła pościel, mimo że przed chwilą zrobiła to już Bridget.

Patrzył na nią z nieśmiałym uśmiechem w oczach.

- Dzień dobry - powiedział.

- Dzień dobry. - Czowała się trochę niezręcznie. - Widzę, że pan jest zmęczony. I boli pana głowa.

- Dręczą mnie koszmary - przestał się uśmiechać. Zobaczyła w jego oczach przygnębienie. - Dziś rano obudziłem się w panice, szukając w kieszeniach, których nie mam, jakiegoś listu.

- Jakiego listu? - pochyliła się nad nim lekko i zmarszczyła brwi.

- Nie mam pojęcia - zasłonił oczy ręką. - Czy to był sen bez znaczenia, czy też jakiś szczegół, usiłujący się wydobyć z wszechobecnej mgły?

- Czy to był list do pana czy od pana? - spytała.

Zamilkł na dłuższą chwilę, w końcu westchnął i opuścił rękę.

- Nie mam pojęcia - powtórzył i się uśmiechnął. - Ale wie pani, niezupełnie straciłem pamięć. Pani nazywa się Rachel York, a ja, Jonathan Smith. Widzi pani, moja pamięć działa doskonale, jeśli tylko zadaje mi się pytania odnośnie wydarzeń z ostatnich kilku dni.

Roześmiał się. Rachel uświadomiła sobie jednak, że utrata pamięci musi być dla niego najbardziej dotkliwa ze wszystkich odniesionych obrażeń. Za tą jego wesołą miną zapewne

kryło się przerażenie.

Nie miała zamiaru zostać, a jednak przysunęła krzesło bliżej łóżka i usiadła.

- Spróbujmy ustalić, co o panu wiemy, dobrze? - zasugerowała. - Wiemy, że jest pan Anglikiem. I dżentelmenem. Wiemy, że jest pan oficerem i walczył w bitwie pod Waterloo - odliczała kolejno na palcach. Doszła do kciuka. - Co jeszcze?

- Jestem kiepskim jeźdźcem - dodał. - Spadłem z konia. Czy to znaczy, że nie byłem kawalerzystą? A może nigdy przedtem nie jechałem konno. Może ukradłem tamtego wierzchowca?

- Ale przecież został pan postrzelony w udo - przypomniała. - Utkwiła w nim kula z muszkietu. Na pewno cierpiał pan okropny ból i stracił dużo krwi. A jednak zdołał pan odjechać kawał drogi od pola bitwy. Niekoniecznie jest pan kiepskim jeźdźcem.

- To miłe, co pani mówi - odparł z lekkim uśmiechem. - Skoro jednak zostałem postrzelony, dlaczego, do diabła, o, przepraszam, dlaczego moi ludzie nie zabrali mnie z pola bitwy i nie zanieśli do najbliższego lazaretu? Dlaczego byłem sam? Dlaczego jechałem w kierunku Brukseli? Chyba właśnie tam zmierzałem. Czyżbym był dezterterem?

- Może przebywa tu pańska rodzina? - zasugerowała.

- Może mam żonę - rzucił. - I sześcioro dzieci.

Od chwili, gdy zorientowała się, że on żyje, nie pomyślała o takiej ewentualności. Ale przecież nie było absolutnie żadnego powodu, by odczuwać rozczarowanie na myśl, że naprawdę mógł być żonaty. Może nawet szczęśliwie żonaty. I może naprawdę miał dzieci.

- Pana żona na pewno nie przyjechałaby do Brukseli z dziećmi - odparła. - Zostałaby z nimi w Anglii. Ile pan ma lat?

- Panno York, próbuje pani wyciągnąć ze mnie kolejny szczegół, prawda? - spytał. -

Na ile lat wyglądam? Dwadzieścia? Trzydzieści?

- Wydaje mi się, że jakoś pośrodku - rzuciła.

- Przyjmijmy zatem, by oszczędzić sobie dyskusji, że mam dwadzieścia pięć lat -

powiedział. - Musiałbym się bardzo starać, żeby w tym wieku mieć już sześcioro dzieci. -

Uśmiechnął się od ucha do ucha i nagle, mimo bladości, wydał się chłopięcy i pełen życia.

- Może to były trzy pary bliźniąt? - zasugerowała.

- Lub dwa razy trojaczki? - roześmiał się. - Chyba jednak nie mógłbym zapomnieć, że mam żonę, prawda? Albo dzieci? Z drugiej strony, może właśnie z tego powodu pamięć odmówiła mi posłuszeństwa.

- Wiemy też, że ma pan poczucie humoru - wtrąciła. - Cała ta sytuacja musi pana bardzo niepokoić, prawda? A jednak potrafi się pan z tego śmiać i żartować.

- Wreszcie dochodzimy do konkretów - powiedział. - Mam poczucie humoru. To główna poszlaka. Teraz na pewno uda nam się wywnioskować, kim jestem. Chociaż może nie... Już chyba nie ma nadwornych błaznów, prawda? No cóż, również i ta poszlaka niewiele nam dała.

Zakrył oczy ręką i westchnął. Rachel spojrzała na niego ze współczuciem. Jej życie nie było jednym pasmem szczęścia, a jednak nie chciałyby się obudzić któregoś dnia i uświadomić sobie, że wszystko, czym żyła i co dobrze знаła, zostało wymazane z jej pamięci.

Co by jej wtedy pozostało?

Zdawało się, że on czyta w jej myślach.

- Panno York, być może jestem najszczęśliwszym z ludzi - powiedział. - Często się mówi, że należy widzieć dobre strony każdej sytuacji. Tracąc pamięć, uwolniłem się od własnej przeszłości i związanych z nią barier. Mogę być tym, kim zechcę. Mogę stworzyć siebie od nowa i ukształtować swoją przyszłość, nieograniczany wpływem dotychczasowych doświadczeń. Jak pani sądzi, kim i czym powinienem zostać? Jakim człowiekiem będzie

Jonathan Smith?

Zamknęła oczy i przełknęła. Mówił lekkim tonem, jakby bawiły go własne słowa. Jej wydały się przerażające.

- Tylko pan to wie - odparła cicho.

- Do tamtego życia, którego nie pamiętam, urodziłem się nagi - powiedział. - I tak samo nagi wchodzę w to nowe życie. A może rodząc się po raz pierwszy, po prostu zapominamy to, co działo się wcześniej. William Wordsworthba chciał, byśmy w to wierzyli.

Panno York, czytała pani jego poezję? Jego *Ode do nieśmiertelności? Życie jest tylko snem i zapominaniem?*

- Teraz wiemy o panu coś jeszcze - rzuciła. - Lubi pan poezję.

- Może sam ją tworzę - dodał. - Gdziekolwiek się pojawię, deklamuję na prawo i lewo kiepskie wiersze. Może ta moja śmierć i ponowne narodziny to największa przysługa, jaką mogłem oddać swoim współczesnym.

Rachel roześmiała się na głos. Opuścił ramię i zawtórował jej.

- A pani, oczywiście, spadła z nieba przez dziurę w chmurze - powiedział. -

Doszedłem do wniosku, że to jedyne możliwe wyjaśnienie pani obecności na ziemi.

Znów się roześmiała. Opuściła wzrok, by strzepnąć z sukni niewidzialny pyłek.

Siedziała tu z nim sam na sam i czuła, jak mimo woli ulega jego urokowi.

- Miałem zatem szczęście w jednym życiu dwukrotnie przeżyć swoje narodziny - rzucił. - Tyle że tym razem nie mam matki, żeby się mną opiekowała. Jestem zupełnie sam.

- Och, proszę tak nie mówić - powiedziała, pochylając się do przodu. - Zajmiemy się panem. Nie zostawimy pana samego.

Spojrzeli sobie w oczy. Przez dłuższy czas nie odezwali się do siebie ani słowem, ale zdawało się, że powietrze między nimi iskrzy. Rachel pomyślała, że to może jej wina i

uciekła spojrzeniem.

- Dziękuję - powiedział. - Pani jest nieziemsko dobra. Panie wszystkie są dla mnie bardzo dobre. Nie zamierzam pozostawać ciężarem dłużej niż to absolutnie konieczne. Już i tak mam u pani zbyt wielki dług.

Rozmowa stawała się zbyt osobista.

- Zostawię pana samego - powiedziała. - Pan na pewno potrzebuje odpoczynku.

- Proszę, niech pani zostanie - wyciągnął do niej rękę, ale opuścił ją na kołdrę, zanim Rachel zaczęła się zastanawiać, czy chce, żeby ujęła jego dłoń. - To znaczy, jeśli pani może i chce. Pani obecność mnie uspokaja. A przynajmniej czasami - zaśmiał się cicho.

Niemal natychmiast zapadł w sen. Mogła wyjść z pokoju. Została jednak i przyglądała mu się. Zastanawiała się, kim jest i co robi, gdy już na tyle odzyska siły, że będzie mógł opuścić dom.

Zastanawiała się, czy to normalne, że czuje tak silne cielesne pożądanie do mężczyzny, któremu uratowała życie.

W ciągu następnego tygodnia rozcięcie na głowie Alleyne'a na tyle się zagoiło, że mógł swobodnie nią poruszać. Pod warunkiem że nie robił tego zbyt gwałtownie. Mógł też coraz dłużej siedzieć, nie czując przy tym zawrotów głowy. Największe sińce zbladły, różne pomniejsze dolegliwości powoli mijały. Noga goiła się wolniej. Kula uszkodziła zapewne jakieś mięśnie lub ścięgna w udzie. Z pewnością nie mógł jej jeszcze obciążać, a Geraldine zagroziła, że go przywiąże do łóżka, jeśli spróbuje wstać.

- Nagiego - dodała, wychodząc z pokoju. W odpowiedzi wybuchnął śmiechem.

Był niespokojny.

Nie mógł bez końca leżeć w łóżku. Wydawało mu się, że traci siły z każdą mijającą godziną. Na leżąc poruszał nogą i zginał stopę. Często, gdy był sam, siadał na brzegu łóżka i

ćwiczył na wszelkie możliwe sposoby, starając się nie obciążać nogi i nie zemdleć przy tym z bólu. Uświadomił sobie, że potrzebuje kul. Jakże jednak mógłby o nie poprosić, skoro nie miał pieniędzy?

Czuł się jak więzień.

Nie mógł chodzić. Nie miał absolutnie nic. Nawet koszula nocna nie była jego własnością. Jak zdobyć jakieś ubranie? Dopóki go nie miał, nie mógł wyjść z tego domu, czy nawet z tego pokoju. Niecierpliwił się.

Chciał obejrzeć miasto i poszukać jakichś wskazówek, które pomogą mu znaleźć odpowiedź na pytanie, kim jest. Wiedział, że nie będzie to łatwe zadanie, bo Phyllis powiedziała mu, że większość Anglików wróciła już do domu.

Zastanawiał się, dlaczego te kobiety jeszcze tu są, skoro można było przypuszczać, że przyjechały tu, aby zarabiać, gdy w Brukseli było jeszcze pełno wojska i angielskich gości.

Potem nagle przyszło mu do głowy, że to jego obecność opóźnia ich wyjazd i jęknął w udręce.

Oczywiście nadal miały klientów. Niemal każdej nocy słyszał dochodzący z dołu zgiełk zabawy, a potem intymne odgłosy z pokoiów obok. To wszystko bardzo go frustrowało.

Najczęściej widywał Rachel York. Przychodziła do niego kilkakrotnie w ciągu dnia, mimo że nieustanne czuwanie przy jego łóżku nie było już potrzebne. Siadała przy nim pochylona nad szyciem. Rozmawiali lub milczeli, dopóki nie zapadł w drzemkę. Czasami czytała mu fragmenty *Josepha Andrewsa* Fieldinga, tej książki, którą zauważył na jej stoliku nocnym.

To, że potrafi czytać, wydało mu się intrygujące. Dziwka z wykształceniem.

Bardzo się starał nie nazywać jej tak w myślach. Dziwne, że w odniesieniu do



pozostałych czterech kobiet ich profesja wcale mu nie przeszkadzała. Czuł jednak

zażenowanie na myśl, że Rachel jest jedną z nich. Może dlatego, że dżentelmen nie lubi się przyznawać, iż zadurzył się w prostytutce.

Niecierpliwie czekał na każdą wizytę Rachel. Lubił na nią patrzeć i słuchać jej głosu.

Podobało mu się jej milczenie. Podobało mu się, że na jej widok żywiej krążyła w nim krew i czuł się pełen życia i energii. Nie żeby flirtowała z nim tak otwarcie, jak owego popołudnia, gdy usiadła przy nim na łóżku i dotykała guza na jego głowie. Zastanawiał się, czy się wtedy jednak nie pomylił. Może tylko on poczuł podniecenie, wywołane jej urodą, bliskością i okazanym współczuciem.

Sierżant Strickland zaczął przychodzić do niego raz czy dwa razy dziennie, by sprawdzić, czy może mu w czymś pomóc.

- Widzi pan, jest tak. Czuję się na tyle dobrze, że mógłbym się już stąd ruszyć -

odezwał się znieczeka któregoś dnia. - Nie żebym od początku był w tak złym stanie, bym musiał tu zostać, choć te kobiety traktowały mnie tak, jakbym lada moment miał wyzionąć ducha. Ale teraz, gdy już się tu znalazłem, nie mogę się zebrać na odwagę, by się stąd wynieść. Dokąd mam pójść? Znam się tylko na wojacze.

- Współczuję panu - zapewnił go Alleyne.

- Sir, pomyślałem, żeby towarzyszyć tym damom w drodze do Anglii jako swego

rodzaju opiekun. Damy nie powinny przecież podróżować same - powiedział Strickland. -

Choć pewnie znajdzie się ten czy ów, co nie nazwie ich damami. Nie jestem jednak pewien, czy one rzeczywiście mnie potrzebują.

Sierżant codziennie przynosił brzytwę i wodę do golenia i proponował Alleyne'owi, że

go ogoli. Za każdym razem odmawiał i golił się sam. Któregoś ranka sierżant, przyglądając

mu się podczas tej czynności, odezwał się znieczeka:

- Sir, przypuszczam, że nie potrzebuje pan lokaja? - spytał, wzdychając żałośnie. - Jest tu dość kobiet, by pana dobrze obsłużyć, ale żadnego mężczyzny. Dżentelmen powinien mieć osobistego służącego.

- Sierżancie, pan przynajmniej jest właścicielem swojej brzytwy, munduru, butów i paru innych drobiazgów - odparł Alleyne z niewesołym śmiechem. - Pewnie ma pan w kieszeni trochę grosza. Ja nie mam nic. Absolutnie nic.

Sierżant znów westchnął.

- No cóż, jeśli pan zmieni zdanie, moglibyśmy się chyba jakoś dogadać - powiedział. - Pewnie zostanę tu jeszcze jakiś czas.

Wiódł ślepy kulawego, pomyślał Alleyne, gdy Strickland poszedł już do siebie na poddasze. A właściwie ślepy na jedno oko.

Zaczynał się obawiać, że pamięć już nigdy mu nie wróci. Ten strach przejmujący do szpiku kości przyprawiał go o mdłości i odbierał siły.

Czy on w ogóle istniał, nie mając przeszłości?

Czy miał wartość jako człowiek, skoro był nikim?

Jakie znaczenie miało wszystko, czego dotąd w życiu dokonał, skoro mogło zostać tak doszczętnie wymazane przy jednym upadku z konia?

Kogo wraz z własną pamięcią utracił? Dla kogo umarł?

Kto po nim płacze?

Zupełnie idiotycznie zatęsknił nagle za Rachel York, jakby ona, jak matka, mogła jednym pocałunkiem ukoić jego lęki.

Choć przecież wcale nie myślał o niej jak o matce.

Musi zdobyć ubranie i kule. Musi się stąd wydostać.

Przyjaciółki zaczynały się niecierpliwić. Nie mogły się doczekać powrotu do Anglii. Desperacko pragnęły ruszyć śladem wielebnego Nigela Crawleya. Determinacja, by go dopaść, ukarać i odzyskać pieniądze, nie osłabła. Po prostu nie mogło mu ujść na sucho ani przestępstwo, ani to, że zrobił z nich idiotki. A już myślały, że żaden mężczyzna nie jest w stanie ich oszukać. Flossie i Bridget napisały do wszystkich przyjaciółek, które umiały czytać. Jednak wszelkie odpowiedzi miały one kierować na londyński adres, ponieważ nie wiadomo było, jak długo cztery kobiety zabawią jeszcze w Brukseli. Nie mogły się już doczekać, by sprawdzić, czy nadeszły jakieś wieści.

Któregoś popołudnia, gdy sierżant poszedł do Smitha, zebrały się w kuchni na naradę. Najpierw musiały przedyskutować pewne mniej istotne sprawy. Poza Rachel wszystkie miały wśród mężczyzn w Brukseli licznych znajomych. A Flossie i Geraldine doskonale potrafiły na oko ocenić rozmiar ubrania. Omówiły, czego będzie potrzebował Smith, żeby się swobodnie poruszać po domu, a potem wyjść na zewnątrz. Postanowiły wyprosić potrzebną odzież od kilku panów. A Phyllis знаła kogoś, kto mógłby dać albo przynajmniej pożyczyć kule.

Oczywiście istniał jeszcze pewien bardzo poważny problem, z którym musiały się uporać, zanim będą mogły bez przeszkód ruszyć w drogę.

- On nadal nie pamięta niczego, co się wydarzyło, zanim obudził się w łóżku Rachel, prawda? - zapytała Geraldine. - Nie wiemy, gdzie go odesłać, a on nie ma gdzie się podziać.

- Tak czy inaczej nie może jeszcze chodzić - powiedziała Phyllis.

- I jest słaby jak niemowlę. Przeleżał w łóżku tyle czasu - dodała Bridget.

- To naprawdę wspaniały mężczyzna - westchnęła Flossie. - Ale są chwile, gdy chętnie bym się go pozbyła.

- Gdybym mogła cofnąć czas, zostawiłabym go przy bramie Namur - powiedziała

Rachel. - Ktoś na pewno by się nim zajął. A gdy tylko odzyskałby przytomność, zaraz rozpoznałby go jakiś oficer. Ktoś na pewno ustaliłby, kim on jest.

Wiedziała jednak, że nie potrafiłaby go porzucić. A teraz nie mogła znieść, że mówią o nim, jakby był ciężarem.

- Boże, zmiłuj się, ależ on jest przystojny - westchnęła Phyllis. - Chyba się wkrótce w nim zakocham.

- My też, Phyll, choć chodzi tu nie tylko o jego urodę, prawda? - stwierdziła

Geraldine. - Ma taki łobuzerski błysk w oku. Nie, Rachel, nie przepraszaj, że go tu sprowadziłaś. Nie żałuję, że spędził z nami te ostatnie dziesięć dni. Ani on, ani Strickland.

- Gerry, musimy już wkrótce coś postanowić - powiedziała Flossie.

- Nie możemy tu siedzieć w nieskończoność. Bardzo stęskniłam się za Anglią.

- Jakies sugestie odnośnie pana Smitha? - spytała Bridget.

- Możemy pukać do wszystkich drzwi na każdej ulicy, pytając, czy komuś nie zginął przystojny dżentelmen z arystokratycznym nosem i łobuzerskim błyskiem w oku.

Roześmiały się.

- Niestety, niektóre z nas nie mówią po francusku, Phyll - zauważyła Flossie.

- Możemy mu zaproponować, by pracował za nas w Londynie, podczas gdy my ruszyłybyśmy w pościg za Crawleyem.

- Damy ustawiałyby się w kolejce tak długiej, że skręcałyby aż za róg - stwierdziła

Bridget. - Po naszym powrocie do Londynu stali klienci nie mogliby się dobić do drzwi.

- A tytułem czynszu powinnyśmy brać od niego procent od zarobków - rzuciła Flossie.

- Wkrótce stałybyśmy się tak bogate, że stać by nas było na kupno dwóch pensjonatów.

Jak to dobrze, że mają duże poczucie humoru, pomyślała Rachel, gdy przyjaciółki

znów się roześmiały. Rysowała się przed nimi dosyć ponura perspektywa. Szanse, że kiedyś znajdą Nigela Crawleya, były niewielkie. Nawet jeśli go dopadną, mało prawdopodobne, że odzyskają choć część swoich pieniędzy. Wiedziała jednak, że duma i oburzenie każą im ruszyć za nim w pościg. Gdy w końcu uznają swoją porażkę i wrócą do branży, zapewne będą jeszcze biedniejsze niż teraz. Dobrze, że przynajmniej potrafią podejść do sytuacji z humorem.

Gdyby tylko potrafiła wymyślić jakiś sposób, żeby im pomóc. Wprawdzie za trzy lata będzie bogata, teraz jednak jest biedna jak mysz kościelna.

- Chyba zapominamy o tym, że Smith stracił pamięć, a nie inteligencję - powiedziała.

- Z każdym dniem zdrowieje, rany mu się goją i chyba już niedługo nie będzie chciał tkwić w łóżku, na naszej łasce. Może to nie my powinniśmy decydować, co z nim zrobić. Może on sam potrafi coś wymyślić.

- Biedaczek - westchnęła Phyllis. - Ruszy ulicą, pukając kolejno do każdych drzwi.

- Porwie go pierwsza kobieta, która mu otworzy - stwierdziła Geraldine. - Masz rację, powinniśmy go zapytać o jego plany na przyszłość.

- Ja to zrobię - zaofiarowała się Rachel. - Posiedzę z nim dzisiejszego wieczoru, podczas gdy wy będziecie zabawiać gości. Jeśli Smith jeszcze nie wie, co zamierza dalej robić, same coś wymyślimy. Skoro tylko rozwiążemy ten problem, będziemy się mogły zająć kwestią zdobycia odpowiednich funduszy, by ruszyć na poszukiwania Crawleya.

Nie chciała traktować go jak problem. Nienawidziła myśli o tym, że zapewne już wkrótce nadejdzie dzień, kiedy Smith przestanie ich potrzebować i odejdzie.

- Rachel, według mnie najciekawszym pomysłem nadal pozostaje ten ze wspinaczką w środku nocy po bluszczu, żeby zdobyć twoje klejnoty - oświadczyła Geraldine, wywołując wybuch śmiechu.

Rachel wstała i odniosła puste filiżanki do zlewu.

Gdy Phyllis wieczorem przyniosła Alleyne'owi kolację i oznajmiła, że następnego ranka dostanie kule, miał ochotę ją pocałować i nawet jej to powiedział. Podeszła do łóżka, kokieteryjnie kołysząc biodrami i pochyliła się nad nim, nadstawiając usta, żeby mógł spełnić obietnicę. Roześmiał się, przyciągnął bliżej jej głowę i cmoknął ją lekko.

- A skąd je weźmiecie? - spytał.

Phyllis wyprostowała się i trzepocząc rzęsami powachlowała się ręką.

- Już ty się nie martw - odparła. - Znam tego i owego.

Niemal dokładnie to samo powiedziała Geraldine, gdy odwiedziła go później, by zabrać tacę po posiłku. Przy okazji poinformowała go, że wkrótce, może nawet następnego dnia, dostanie ubranie.

- Znamy tu różnych ludzi - rzuciła. Stanęła w swej zwykłej pozie z rękami na biodrach i mrugnęła do niego.

Później tego wieczoru usłyszał, jak drzwi wejściowe wiele razy otwierają się i zamykają. Potem dobiegły go męskie głosy zmieszane z kobiecym śmiechem. Wiedział od Stricklanda, że każdego wieczoru w domu odbywały się spotkania przy kartach. Panie trzymały bank i zabawiały gości. Zgodnie z przyjętą zasadą o pierwszej w nocy oferowały inną rozrywkę.

Nie było sensu nieustannie rozmyślać nad swoją dolą. Alleyne zabawiał się więc myślą, że oto znalazł schronienie w domu schadzek i niejako stał się utrzymankiem. Nie miał wątpliwości, skąd będą pochodzić jego kule i ubranie. Owe damy z pewnością nie zamierzały kupić ich w sklepie. W jakimś sensie sprawiło mu to ulgę, choć zapewne poczułby zażenowanie, gdyby zaczął się nad tym dłużej zastanawiać. Wolał się śmiać. Któregoś dnia, gdy wróci mu pamięć, a wraz z nią normalne życie, spojrzy wstecz na ten epizod i będzie

śmiał się do łez.

Jutro o tej samej porze będzie już chyba mógł się poruszać po pokoju. Jeśli dostanie jakieś ubranie, może nawet zdoła wypuścić się dalej. Być może za kilka dni wreszcie wyjdzie na zewnątrz i spróbuje odnaleźć kogoś, kto go rozpozna. W obcym mieście, z którego wyjechała już większość Anglików - z powrotem do domu lub do Paryża, w ślad za armią - będzie to bardzo trudne. Ale przynajmniej zacznie coś robić. Może wtedy zapomni o przerażeniu, które wciąż mu towarzyszyło. Nudził się. Otworzył *Josepha Andrewsa*, którego Rachel zostawiła na stoliku przy łóżku. Po kilku minutach uświadomił sobie jednak, że gapi się wciąż na tę samą stronę, w zamyśleniu marszcząc brwi. Obudził się dzisiaj z popołudniowej drzemki w panicznym strachu o list. Jaki list? Niech to diabli porwą, jaki list? Miał wrażenie, że jeśli tylko zdoła sobie to przypomnieć, wszystko inne powróci do niego wielką falą. Nie udało mu się. Zaczęła go boleć głowa. Zamknął książkę, odłożył ją na stolik i wbił spojrzenie w baldachim nad łóżkiem. Nadal się weń wpatrywał, gdy otworzyły się drzwi do pokoju. W progu stała Rachel. Zabrakło mu tchu.

Miała na sobie bladoniebieską, prostą suknię wieczorową. Nie potrzebowała wyszukanych strojów. Głęboki dekolt i wysoki stan sukni pięknie uwydatniały jej piersi. Miękkie, jedwabiste fałdy spływały na jej kusząco zaokrąglone biodra i zgrabne nogi. Ładniej niż zwykle uczesała włosy. Splotła je w warkocze i upięła w pętle, pozostawiając kilka luźnych loczków na szyi i skroniach. Nie wiedział, czy to, co widzi na jej twarzy, to naturalny rumieniec, czy też dyskretnie użyty róż. Tak czy inaczej nigdy dotąd nie wyglądała tak ponętnie.

Pomyślał, że chyba po raz pierwszy widzi ją w stroju, w którym przyjmuje klientów. Usiłował o tym zapomnieć. Właśnie dzisiaj uświadomił sobie, że o ile do jej towarzyszek zwracał się po imieniu, o tyle do niej zawsze mówił: „panno York”. Nie podobała mu się

myśl, że jest dziwką.

- Dobry wieczór - powiedziała. - Czuje się pan pozostawiony na pastwę losu?

- Jak ryba wyrzucona na piasek - odparł. - Podobno jutro mogę się spodziewać kul, a nawet ubrania. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem wam wszystkim wdzięczny.

Cieszymy się, że możemy pomóc. - Uśmiechnęła się.

- Pani nie pracuje? - spytał i zaraz chciał cofnąć pytanie.

- Nie dzisiaj - odparła. - Przyszłam z panem trochę posiedzieć. Można? Wskazał jej krzesło. Usiadła z gracją, jak dama. Usłyszał z dołu wybuch śmiechu i ucieszył się, że jej tam nie ma.

- Na pewno to pana uszczęśliwi, że będzie pan mógł się znów samodzielnie poruszać i w końcu odzyskać całkowitą sprawność - powiedziała.

- Nawet nie wie pani jak bardzo - odrzekł. - Obiecuję, że niedługo już będę dla pań ciężarem. Jak tylko będę mógł stąd wyjść i przyzwolicie się ubiorę, spróbuję się dowiedzieć, kim jestem i skąd pochodzę.

- Tak? Właśnie dzisiejszego popołudnia rozmawialiśmy o tym, jak mogłybyśmy panu pomóc - powiedziała. - Potem jednak przyszło nam do głowy, że może pan sam już coś wymyślił. Co pan zrobi? Jak zamierza się pan dowiedzieć, kim jest?

Na pewno został tu jeszcze jakiś personel wojskowy i choćby kilku Anglików z wyższych sfer - odparł. - Może ktoś mnie rozpozna albo skojarzy z raportem o moim zaginięciu. Jeśli nie uzyskam odpowiedzi tutaj, spróbuję się jakoś dostać do Hagi. Tam jest brytyjska ambasada. Pomogą mi, a w najgorszym razie zapewnią przejazd do Anglii.

- Ach, więc pan istotnie ma konkretne plany. - Spojrzała na niego pięknymi, brązowymi oczami. - Nie musi się pan jednak spieszyć. Tu jest pana dom, tak długo, jak będzie go pan potrzebował.



Poczuł nagły przypływ pożądania.

- Wręcz przeciwnie - odrzekł. - Przebywam tu już od prawie dwóch tygodni, nie wiedząc, kim jestem i co tu robię, podczas gdy zapewne wielu ludzi poszukuje mnie, obawiając się najgorszego. A co ważniejsze, panie nie mogą się doczekać, żeby wrócić do Anglii. Już i tak zbyt długo was tu zatrzymałem.

- Czas wcale nam się nie dłużył - powiedziała. - Miło nam było z panem przebywać. Będę za panem tęskniła.

Zauważył drobną różnicę w obu zdaniach. Jego też ogarnie tęsknota za złotowłosym aniołem. Miło było wszystkim paniom, ale to „ona” będzie za nim tęsknić. Bezwiednie wyciągnął do niej rękę. Przyglądała się jej przez dłuższą chwilę. Najchętniej cofnąłby dłoń, gdyby mógł to zrobić dyskretnie. W końcu pochyliła się i wsunęła mu w rękę swoją ciepłą, gładką, szczupłą dłoń. Zacisnął na niej palce.

- Odnajdę panią. Któregoś dnia spróbuję choć w części spłacić dług, który mam u pani - powiedział. - Oczywiście nigdy nie zdołam się pani odwdzięczyć za uratowanie mi życia.  
- Nie jest mi pan nic winien - odparła. Nagle zauważył, że oczy jej lśnią od powstrzymywanych łez.

Powinien puścić jej dłoń i zmienić temat. Jest pewnie z tuzin tematów, na które mogliby bezpiecznie porozmawiać. Mógłby ją poprosić, żeby poczytała mu *Josepha Andrewsa*. Zamiast tego mocniej ścisnął jej dłoń.

- Chodź tutaj - powiedział cicho.

Przez chwilę wydawała się zaskoczona. Myślał, że odmówi. Co właściwie nie byłoby takie złe, jeśli wziąć pod uwagę panujące między nimi napięcie. Wstała jednak i nie wypuszczając jego ręki, przysiadła na brzegu łóżka.

Znalazła się zbyt blisko niego. Znowu zabrakło mu powietrza. Czuł jej słodki zapach.

- Róże? - spytał.

- Gardenia - odparła, patrząc mu prosto w twarz szeroko otwartymi oczami. - To jedyne perfumy, jakich używam. Ojciec dawał mi je co roku na urodziny.

Odetchnął powoli.

- Podoba się panu? - spytała.

Pomyślał nagle, że ona z nim flirtuje, na swój subtelny sposób. Czy zaaranżowała całą tę scenę?

- Tak - odparł.

Przyglądał się, jak powoli zwilżyła językiem górną wargę. Nie mógł oderwać oczu. W życiu nie widział ust, które tak kusząco zapraszałyby do pocałunku. A przynajmniej tak mu się wydawało, bo przecież nie mógł być tego pewny.

- Panno York, nie powinienem był prosić, żeby pani usiadła tak blisko - powiedział. -

To pani dobre serce skłoniło panią, by tu przyjść, a ja obawiam się, że za chwilę je wykorzystam. Chcę panią pocałować. Jeśli moje zachowanie wydaje się za impertynenckie lub bezczelne, niech pani usiądzie z powrotem na swoim krześle, a jeszcze lepiej ucieknie z tego pokoju.

Jeszcze szerzej otworzyła swoje piękne oczy. Policzki jej poróżowiały. Rozchyliła zwilżone językiem wargi. Ale się nie poruszyła. „Zgodzi się pan, że doskonale potrafię udawać niewinność, prawda?”

Powiedziała mu to jakiś czas temu. Już wtedy jej przytaknął. Teraz zgadzał się z tym po stokroć bardziej.

- Nie uważam pańskiego zachowania za bezczelne - odparła cicho, niemal szeptem.

Puścił jej rękę i ujął za ramiona. Zauważył, że pokrywa je gęsia skórka. Kilka razy przesunął po nich dłońmi, a potem przyciągnął ją do siebie. Dotknął ustami jej warg. Oparła

mu dłoń na piersi.

Całował ją lekko rozchylonymi ustami. Przesunął językiem wzdłuż jej warg, a potem wsunął go do środka, by popieścić ciepłe, wilgotne wnętrze. To mu nie wystarczyło. A ona nie odsunęła się i nie rozluźniła uścisku, tak jak się tego spodziewał. Nie uśmiechnęła się przekornie i nie uciekła na dół do klientów, którzy mogli jej zapłacić.

Precz z tą myślą.

Zapomniał o opanowaniu i objął ją mocniej. Przyciągnął do siebie, aż oparła się na jego piersi. Pocałował ją namiętnie. Czuł, jak jeden z jej warkoczy dotyka jego policzka. Była tak cudowna, jak to sobie od początku wyobrażał - uległa, zmysłowa i ponętnie kobieca.

Zauważył, że na początku całowała jak niewinna panienka. Nadstawiła zamknięte usta, wydymając lekko wargi i otworzyła je dopiero, ustępując pod naporem jego języka. Była naprawdę uwodzicielska. Wrażenie niewinności mieszało się w niej z gorącą zmysłowością i tworzyło mieszankę wybuchową. Nie spodziewał się, że jeden pocałunek może go tak podniecić. Tak bardzo, że powinno go to zaniepokoić. Na razie jednak nie zwracał na nic uwagi.

Odsunęła się po kilku chwilach i spojrzała na niego pytająco spod półprzymkniętych powiek. Przyciągnął do siebie jej głowę. Teraz pocałował ją z czułością, powoli smakując jej usta.

Tym razem to on w końcu się od niej odsunął, choć z dużym ociąganiem.

- Przepraszam - powiedział. - Zapewne nie jest to dla pani zbyt przyjemne, gdy spodziewała się pani mieć dzisiaj wolny wieczór. A ja nawet nie mogę pani zapłacić, nieważne czy sześć pensów czy też sto funtów. Poza tym lubię panią i nie chciałbym wykorzystywać pani dobrego serca.

Zobaczył w jej oczach coś jakby zdziwienie. Oparła mu głowę na ramieniu i przytuliła

się do jego piersi. Łaskotała go włosami w policzek i nos.

Pomyślał, że chyba pożałuje tego szaleństwa. Powinien ją lepiej traktować. Będzie miał sporo szczęścia, jeśli przyjaźń, która się między nimi naprawdę nawiązała, przetrwa wypadki tej nocy. Zanim jednak nadejdzie jutro i przyniesie mu żal, musi się uporać z palącym podnieceniem.

Nie wiedział, jak długo nie miał kobiety, ale wydawało mu się, że zdecydowanie zbyt długo. Choć przypuszczał, że nie wystarczyłaby mu jakakolwiek kobieta. Niech to diabli porwą, zadurzył się w Rachel York. Zapewne tylko dlatego, że miał stanowczo za dużo czasu i spędzał go na beczynnym leżeniu.

- Nie myślałam o zapłacie - odparła. - Pan mnie nie wykorzystuje.

- W takim razie jest pewnie odwrotnie - rzucił z cichym śmiechem, próbując obrócić sytuację w żart. - To pani wykorzystuje mnie.

- Bo pan jest ranny i słaby? - uniosła głowę, oparła mu ręce na piersi i spojrzała na niego z niepokojem. - Czy takie odniósł pan wrażenie? Nie miałam takiego zamiaru. Zaraz sobie pójdę.

Do diabła, zraniłem ją, pomyślał. Nie powinienem był wspominać o jej profesji.

Najwyraźniej nie traktowała go jak klienta. Wiedziała przecież, że nie może jej zapłacić.

Chwycił ją za ramiona zanim zdążyła wstać.

- Rachel, nie odchodź - zawołał. - Proszę, nie odchodź. Chciałem się tylko upewnić, że ci się nie narzucam. A w rezultacie cię zraniłem. Wybaczysz mi?

Kiwnęła głową. Przyciągnął ją do siebie i znów pocałował.

- Zostaniesz ze mną? - spytał tuż przy jej ustach.

- Tak - odparła. Wydawało mu się, że jest trochę niespokojna.

- Czy w tych drzwiach jest zamek? - spytał.

- Tak.

- W takim razie zamknij je, żeby nam nikt nie przeszkadzał - powiedział. Wstała i podeszła do drzwi. Usłyszał szcęk zamka. Stała przez chwilę, odwrócona do niego plecami. Pomyślał, że zaraz będzie się z nią kochał. Nie czuł z tego powodu wyrzutów sumienia. Przecież właśnie powiedziała, że nie zależy jej na zapłacie, więc naprawdę chce tu z nim być. Świetnie. Jeśli ona pragnie go tak mocno jak on jej, nacieszą się sobą nawzajem, a potem po przyjacielsku rozstaną, gdy już będzie mógł się swobodnie poruszać. Zostaną im rozkoszne wspomnienia.

Kiedy jednak odwróciła się do niego, zobaczył na jej policzkach rumieniec. Zdawało mu się, że wygląda jak niewinne dziewczątko, które czasem udawała. Miał wrażenie, że to ogromne pożądanie, które do niej czuje, jest grzeszne.

Dopiero gdy stanęła przy drzwiach i przekręciła klucz w zamku, w pełni uświadomiła sobie, co właśnie zrobiła i co się za chwilę wydarzy.

Ostrzegął, że ją pocałuje, a ona go nie powstrzymała. Nie chciała. Teraz poprosił ją, by z nim została. Zgodziła się, mimo że nie miała wątpliwości, o co mu chodzi.

Zamierzał się z nią kochać.

Powiedziała: „tak”.

Czy ona oszalała? Czy kompletnie postradała zmysły? Prawie go nie знаła. Przecież nawet nie wiedziała, jak ma na imię. On wkrótce odejdzie, na zawsze zniknie z jej życia, choć obiecywał, że kiedyś ją odnajdzie, by odwdzięczyć się za to, co dla niego zrobiła.

Uważał ją za dziwkę. Myślał, że dla niej to tylko przyjemny flirt.

Jeszcze nie było za późno. Nawet teraz mogła odmówić, otworzyć drzwi i uciec do siebie na poddasze.

Miała dwadzieścia dwa lata. Jej życie pozbawione było jakichkolwiek ekscytujących wrażeń, także zmysłowych. Mężczyźni, z którymi miała dotąd do czynienia, wzbudzali w niej obrzydzenie. Zwłaszcza ci, którzy gościli u lady Flatley i uważali Rachel za łatwą zdobycz tylko dlatego, że była kimś w rodzaju służącej. W końcu spotkała Crawleya, który wydawał się tak różny od znanych jej mężczyzn i zgodziła się za niego wyjść. Okazał się podłym łobuzem.

Pragnęła tego zbliżenia. Właśnie z nim, z Jonathanem Smithem. Tu nie było złudzeń ani obietnic. Nie mieli przed sobą przyszłości, tylko tę dzisiejszą noc. Nie miała siły otworzyć drzwi i wyjść. Wiedziała, że jeśli to zrobi, do końca życia będzie sobie gratulować zdrowego rozsądku. I udawać, że wcale nie żałuje, iż nie miała odwagi zrobić tego, czego pragnęła.

Niesamowicie ją pociągał.

Biła się z myślami zaledwie przez chwilę. Potem powoli odetchnęła i odwróciła się do niego. Jutro być może tego pożałuje, ale będzie się tym martwić później.

Spojrzała na niego i zobaczyła w jego smagłej, przystojnej twarzy gorące pożądanie.

Problem w tym, że nie wiem, jak się do tego zabrać, pomyślała. Gdybym nie odeszła od łóżka, nie miałabym czasu się nad zastanawiać. A oto stoję tu, po drugiej stronie pokoju i nie wiem, co mam dalej robić.

Uśmiechnęła się do niego.

- Będzie mi pan musiał pomóc zdjąć suknię i gorset - powiedziała. Podeszła bliżej, usiadła na brzegu łóżka plecami do niego i pochyliła głowę do przodu.

Nie odezwał się słowem, ale czuła, jak rozpina jej guziki, haftki i rozwiązuje tasiemki.

Przytrzymała suknię na piersiach, gdy ubranie rozluźniło się na plecach. Poczowała na nagiej skórze chłodny powiew. Zsunął jej suknię z ramion. Zadrzała, gdy pogłaskał ją po plecach.

Wstała i opuściła ręce. Suknia wraz z gorsetem zsunęła się jej do stóp. Rachel odsunęła ją nogą. Miała na sobie tylko skąpą, przylegającą do ciała koszulkę i pończochy.

Usiadła na łóżku i zdjęła pończochy. Kątem oka zauważyła, jak on ściąga przez głowę koszulkę nocną i rzuca ją na podłogę, obok jej sukni.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Mimo że przeleżał w łóżku niemal dwa tygodnie, nadal był barczysty, dobrze umięśniony i bardzo męski. Wpatrywał się w nią ciemnym, pełnym pożądania spojrzeniem. Nagle przestraszyła się iskrzącej między nimi, z trudem powstrzymywanej namiętności. Teraz było jednak za późno, by zmienić zdanie.

Strach mieszał się w niej z fascynacją i wszechogarniającym pragnieniem.

- Rozpuść włosy - poprosił. Jednak zanim zdążyła unieść ręce, chwycił jej dłonie. -

Nie, ja to zrobię.

To Geraldine ułożyła jej włosy. Miała trochę czasu przed przyjściem klientów i

zjawiała się w pokoju Rachel na pogawędkę. Bez pytania wzięła szczotkę i wyczarowała piękną fryzurę. Rachel bardzo się z tego ucieszyła. Chciała ładnie wyglądać podczas wieczornej wizyty u Jonathana.

Powoli wyjął szpilki z jej włosów i rozplótł warkocze. Pochyliła głowę, żeby przez cały czas widzieć z bliska jego twarz. Rozplecione włosy opadały wokół nich jak zasłona. Kilka razy przerwał, by przyciągnąć ją bliżej i delikatnie pocałować jej powieki, nos, usta. Piersi miała nabrzmiąte i niemal boleśnie wrażliwe. W dole brzucha i niżej, między udami czuła silne, pulsujące podniecenie.

To wszystko jest grzeszne, a równocześnie niesamowicie pociągające, pomyślała. Jeśli on zaraz nie skończy rozplatać mi włosów, to ogarną mnie płomienie.

- Niestety, rana w nodze sprawia, że nie jestem tak sprawny, jak bym chciał - powiedział w końcu, rozczesując jej włosy palcami. Przyciągnął do siebie jej głowę i dotknął wargami ust. - Będziesz musiała usiąść na mnie i zająć się wszystkim. Wstań na chwilę. Gdy wstała, odwinął kołdrę, żeby mogła się położyć obok niego. Nogi prawie się pod nią ugięły. Nie mogła oddychać. Oparła się kolanem o brzeg łóżka. Obiema dłońmi chwycił brzeg jej koszulki. Uniosła ręce do góry. Zdjął jej koszulkę przez głowę i rzucił na podłogę obok ich ubrań.

Zaskoczona, zdała sobie sprawę, że na stoliku przy łóżku nadal płonie świeca.

Patrzył na nią zmrużonymi oczami, wydymając lekko usta.

- Powinna być jakaś skaza na twojej urodzie, żeby inne kobiety nie czuły się pokrzywdzone - powiedział. - Ja jednak żadnej nie zauważyłem.

Miała dwadzieścia dwa lata, wiedziała, co się za chwilę stanie. Jednak on z pewnością będzie oczekiwał doświadczenia i wprawy. Ale przecież kiedyś powiedziała mu, że zaspokaja tych, którzy gustują w niewinnych dziewczętach.



- Musisz mi pokazać - rzuciła. - To dla mnie nowość, nie pamiętasz? Roześmiał się cicho.

- Usiądź na mnie okrakiem - polecił. - Nauczę cię, jak się kochać, choć pewnie skończę jako uczeń, a nie nauczyciel.

Przez chwilę błogosławiła to, że jest ranny. Musiała uważać, by go nie urazić w nogę, dzięki czemu zapomniała o skrępowaniu, gdy na nim siadała. Między rozsuniętymi udami czuła ciepło jego ciała.

Przejmująca, niemal bolesna słabość popłynęła spiralą w górę jej ciała i zaczęła dławić w gardle. Oparła mu dłonie na ramionach i pochyliła głowę, aby spojrzeć mu w oczy.

W tym momencie przejął inicjatywę. Odchylił lekko jej głowę do tyłu i pocałował ją, głęboko penetrując językiem jej usta. Obudził w niej pragnienia, o których nawet się jej nie śniło.

Dotykał jej ciała dłońmi, palcami, ustami, językiem i zębami. Nie wiedziała, że można tak dotykać. Ssał jej piersi, zwilżał sutki językiem i lekko kąsał, aż stwardniały i stały się niemal niezdolnie wrażliwe. Nagle przykrył dłonią jej pulsującą kobiecość, omal nie doprowadzając jej do szału. Rozchylił płatki ciała i badał wnętrze, pieścił, drażnił. Potem powoli wsunął w nią palec. Uświadomiła sobie, że jest tam wilgotna. Mocno zacisnęła mięśnie, o istnieniu których nie miała nawet pojęcia.

Nie pozostawała bierna, gdy on uczył ją pieścizot. Przesuwała po nim dłońmi, zachwycając się jego męskością. Instykt podpowiadał jej, gdzie się zatrzymać i głaskać. Gdy przestał ssać jej piersi, pochyliła głowę i polizała jego sutek. Jęknął zaskoczony. Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

- Czy tak jest dobrze?

- Ty czarownico!

Przesunęła usta ku drugiemu sutkowi.

- Jeśli za chwilę w ciebie nie wejdem, to chyba się skompromituję - powiedział w końcu.

Nie czekał, żeby przejęła inicjatywę. Oparł dłonie na jej biodrach i przesunął ją niżej.

Poczuła twardego kształt na progu swego nabrzmiałego, pulsującego pragnieniem ciała.

Chwytał ją za biodra i mocno pociągnął w dół. Czowała, jak w nią wchodzi, jak napiera na jej wnętrze. Wrażenie było coraz bardziej nieprzyjemne, w końcu pojawił się ból. Potem nie było już nic. Nie myślała, że on może wejść tak głęboko.

Przez kilka chwil w głowie miała pustkę. Czowała tylko czysto fizyczny wstrząs, że oto utraciła dziewictwo. Zagryzła wargę. W tym samym momencie usłyszała jego zduszony okrzyk.

- Niech to diabli porwą...

Przez kilka chwil żadne z nich nie drgnęło. Potem on zaczął się poruszać.

Wstrząśnięta zamarła z wrażenia. Uniósł ją nieco do góry i raz po raz wsuwał się w nią i wysuwał. I jeszcze, i jeszcze, aż w końcu pociągnął ją mocno w dół i przytrzymał. Głęboko w swym wnętrzu poczuła strumień gorąca. Wiedziała, że to już koniec.

Ogarnęło ją dziwne poczucie zawodu. Najpierw powoli narastała w niej rozkosz, a potem wszystko skończyło się tak szybko. Sam akt cielesny był niemal rozczarowaniem.

Ale nie będzie tego jutro żałować. Nie, nie będzie. Dostała to, czego pragnęła. To pewnie jej wina, że sam koniec tego doświadczenia okazał się niezbyt oszałamiający. Mimo wszystko wspaniale było stać się kobietą i obcować z mężczyzną, który od dwóch tygodni z każdym dniem coraz bardziej ją pociągał.

Oparła czoło na jego ramieniu i czekała, aż oddech jej się uspokoi. Miała nadzieję, że go zbytnio nie rozczarowała.

- Panno York, ciekawie będzie usłyszeć, jak pani to wszystko wyjaśni - odezwał się po minucie czy dwóch całkowitego milczenia i bezruchu. Jego głos brzmiał zdumiewająco normalnie. - Chociaż wybaczy pani, w tej chwili jestem zbyt zmęczony, by wysłuchać tłumaczeń.

Rachel zacisnęła mocno powieki. Jakie to upokarzające! Nie dał się nabrać ani przez chwilę.

Noga bolała go jak sto diabłów. Nie zwracał uwagi na ból. Myślał tylko o własnej irytacji. Uległ pokusie, by zabawić się z kobietą, którą uważał za doświadczoną, a okazało się, że zdeprawował niewinną dziewczynę. Teraz, gdy było już za późno, mówił sobie, że powinien był słuchać głosu własnej intuicji. Zawsze uważał ją za damę. Od początku zwracał się do niej: „panno York”.

Do diabła, dlaczego mu pozwoliła?

Na litość boską, czuł się, jakby ją zgwałcił.

Nawet gdyby była dziwką z dwudziestoletnim doświadczeniem, i tak nie powinien był tego robić. Uratowała mu życie i przez cały czas niestrudzenie go pielęgnowała. A on się jej odwdzieczył pożądlivością i... pozbawił ją dziewictwa.

Ale nie siłą, do diabła!

Mogła go powstrzymać niemal w każdej chwili.

Był zły na nią i wściekły na siebie. Dobry Boże, nawet się nie postarał, by sam akt okazał się dla niej przyjemnym doświadczeniem. Był tak wstrząśnięty...

Odsunęła się od niego i wstała z łóżka. Zabrała ze sobą ubranie i przeszła za parawan w rogu pokoju. Raczej spóźniony pokaz skromności po tym, co tu wyprawiali.

Ryzykując, że noga jeszcze bardziej go rozboli, sięgnął na podłogę po koszulę nocną i włożył ją. Splótł ręce pod głową i czekał, wpatrując się w gładki baldachim.

W końcu wyszła na palcach zza parawanu. Czyżby miała nadzieję, że już zasnął?

Zapomniała zabrać szpilki do włosów Odsunęła najbardziej natrętne kosmyki z twarzy, ale włosy nadal spływały jej na plecy złocistą falą. Pomyślał, że wygląda jeszcze piękniej niż zwykle.

- Myślałam, że pan śpi - powiedziała, zerknąwszy na niego.

- Tak? Panno York, proszę usiąść i wytłumaczyć mi wszystko. Usiadła na krześle i popatrzyła na niego pytająco.

- Dlaczego pani mi nie powiedziała? - spytał. - Czuła się pani zmuszona to uczynić?

Czy powiedziałem lub zrobiłem coś, co sugerowałoby, że nie ma pani wyboru?

Zarumieniła się i zagryzła dolną wargę. Splotła ręce, oparła je na kolanach, wpatrując się w nie przez dłuższą chwilę. Przyglądał jej się niemal z pogardą. Nie powinno mieć znaczenia, czy była dziewicą, czy dziwką. A jednak. Nie był mężczyzną, który deprawował niewinne dziewczęta. Na pewno nie. Czy w takim razie był mężczyzną, który przestawał z dziwkami? Nie wiedział, ale miał nadzieję, że tak nie jest. Dobry Boże, to były kobiety. Istoty ludzkie. Pomyślał o Geraldine i jej koleżankach. Tak, to kobiety z krwi i kości.

- Panie Smith, nie przyszło panu do głowy, że każda kobieta musi kiedyś przeżyć swój pierwszy raz? - spytała.

- Kobieta szanowana, dama, ten pierwszy raz przeżywa w małżeńskim łóżu - odparł. -

Zdaje sobie pani sprawę, że nawet nie mogę zaproponować jej małżeństwa? Być może już jestem żonaty.

Znów zagryzła wargę, ale tym razem ten widok nie wydał mu się czarujący.

- Nie wyszłabym za pana, nawet gdyby był pan wolny - odparła. - Nawet gdyby

klęknął pan przede mną na kolano i mi się oświadczył. Panie Smith, nie jestem idiotką, nawet jeśli do niedawna byłam jeszcze dziewicą. Zrobiłam to z tego samego powodu, co pan. Bo

tego chciałam. Bo pan mi się podoba. To niczego nie zmienia, poza tym, że swoją złością zepsuł pan to, co mogło być rozkosznym wspomnieniem. Dlaczego pan się gniewa? Czy okazałam się aż takim strasznym rozczarowaniem? Pan też mnie rozczarował, jeśli chce pan znać prawdę.

Spojrzał na nią zdumiony i mimo woli się uśmiechnął.

- O, naprawdę? - spytał. - Muszę przyznać, że skończyłem jak niedoświadczony uczeń. Kompletnie mnie pani zaskoczyła.

Spojrzała na niego nieprzejednana.

- Panno York, nie mogę się doczekać, by usłyszeć pani historię - powiedział. - Jest pani damą i jeszcze do niedawna była dziewicą. A jednak mieszka pani w domu schadzek z czterema prostytutkami, które są pani tak drogie, że prędzej będzie pani udawać jedną z nich, niż zacznie się ponad nie wynosić. Być może wydaje się pani nawet, że rzeczywiście jest jedną z nich. Jak długo pani tu przebywa?

- Od piętnastego czerwca - odparła. - Od bitwy pod Waterloo.

- Czyli od chwili, kiedy i ja tu jestem? - Spojrzał na nią, mrużąc oczy.

- Dzień dłużej - sprostowała. - Nie położyliśmy się przez całą noc. Nawet nie spałam w tym pokoju.

Poprawił się, próbując ulżyć zranionej nodze. Powinien pozwolić odejść Rachel.

Niewątpliwie chciała stąd uciec jak najszybciej. Na Boga, rozczarował ją. Jeszcze parę minut temu sam chciał, żeby zeszła mu z oczu. Teraz jednak całe to doświadczenie w domu schadzek wydało mu się nieco absurdalne. Pomyślał, że gdy wysłucha jej historii, wrażenie to zapewne jeszcze się pogłębi. Zresztą, nawet gdyby sobie poszła, i tak nie mógłby zasnąć.

- Skąd pani się tu wzięła? Spojrzała na swoje dłonie. Moja matka zmarła, gdy miałam sześć lat - powiedziała. - Ojciec do opieki nade mną wynajął nianię. Bridget Clover stała się

dla mnie drugą matką, choć dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że musiała być wtedy bardzo młoda. Kochałam ją jak nikogo innego na świecie. Niewiele miałam do czynienia z innymi dziećmi. Z dorosłymi zresztą też. Mieszkaliśmy w Londynie, a ojciec rzadko bywał w domu. Gdy miałam dwanaście lat, okazało się, że Bridget została odprawiona. Byłam zrozpaczona. Ojciec twierdził, że w moim wieku nie potrzebuję już niani, ale wiedziałam, że to tylko wymówka. Nie mógł jej już dłużej płacić. On uprawiał hazard. W tamtym czasie przegrał kilkanaście razy z rzędu w karty. Zobaczyłam się z Bridget dopiero po dziesięciu latach. Właśnie tu, na ulicy w Brukseli, dwa miesiące temu.

- Musiała pani przeżyć szok? - stwierdził.

- Ze względu na jej wygląd? - spytała. - Rzeczywiście miała płomiennie rude włosy i choć nieumalowana, ubrana była w dosyć wyzywający strój. Ale od razu ją poznałam.

Naprawdę nie zauważyłam żadnej zmiany w jej wyglądzie. Dla mnie była po prostu moją ukochaną Bridget.

Zobaczył, jak nerwowo wykręca palce.

- Gdy się kogoś kocha, nie patrzy się na tę osobę obiektywnie - powiedziała. - Widzi się ją sercem. Zastanawiałam się, dlaczego nie odpowiada na moje pytania, co tu robi i gdzie pracuje. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak nerwowo rozgląda się po ulicy, jakby czuła się skrępowana i chciała jak najprędzej się ode mnie uwolnić. Sprawiała mi tym ból.

- Ale pani nie pozwoliła się tak łatwo zbyć? - spytał.

- Nie - westchnęła. - Po jakimś czasie uświadomiłam sobie prawdę. Dla Bridget i jej przyjaciółek byłoby lepiej, gdybym wtedy zadarła nos do góry i ruszyła w swoją stronę.

Uparłam się jednak, żeby ją tu odwiedzić. Nie była tym zachwycona. Zgodziła się dopiero, gdy powiedziałam, że ja też pracuję, jako dama do towarzystwa lady Flatley. I że czuję się samotna i nieszczęśliwa, bo mój ojciec zmarł rok temu, pozostawiwszy po sobie tylko długi.

- A zatem wybrała się pani z wizytą do domu schadzek - rzucił. Jakaż musiała być niewinna i naiwna. Ale też odważna, przyznał w duchu. Dziewczyna kierująca się zasadami, a nie towarzyskimi konwenansami.

- Tak - spojrzała na niego i nagle uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- Tamtego popołudnia, gdy je odwiedziłam, zebrały się tu wszystkie w salonie. Ubrane były w okropne, na pozór przyzwoite stroje i starały się pamiętać o dobrych manierach. Od razu je polubiłam. Były... właściwie nie wiem, jakiego słowa szukam. Szczere. Prawdziwe, nie tak jak lady Flatley i jej zjadliwe przyjaciółki.

Czekał, żeby mówiła dalej. Żeby opowiedziała, co sprawiło, że się tu znalazła.

- U lady Flatley poznałam wielebnego Nigela Crawleya - ciągnęła. - Często tam przychodził. Niekiedy sam, czasami ze swoją siostrą. Był czarujący. Zachwycił wszystkie panie. Nie miał w Anglii swojej parafii. Twierdził, że chce być wolny, by poświęcić się pracy charytatywnej i zbierać fundusze na cele dobroczynne. Przyjechał do Brukseli, ponieważ pragnął nieść pociechę tysiącom żołnierzy, których wkrótce czeka bitwa.

- Od tego są kapelani wojskowi - odezwał się Alleyne.

- Wiem - odparła. - Crawley twierdził, że kapelani poświęcali czas tylko oficerom i zaniebawali potrzeby prostych żołnierzy.

- Jak mniemam, natychmiast się pani w nim zakochała - rzucił sucho. - Był przystojny?

- Och tak - odparła. - Wysoki, jasnowłosy, czarująco uśmiechnięty. Z początku tylko go podziwiałam. On mnie nawet nie zauważał. Byłam niewiele więcej niż służącą.

Zapewne nie zauważał jej dlatego, że nie miała pieniędzy, by napełnić jego dobroczynne kieszenie, pomyślał Alleyne cynicznie.

- Coś mi się tu nie podoba - powiedział. Zmarszczyła brwi.

- Wreszcie zaczął się do mnie zalecać. Nie mogłam mu się oprzeć - podjęła wątek. -

Nie dlatego, że był piękny albo że się w nim zakochałam. Podobał mi się jego zapał do pracy i szerzenia wiary. Był porządnym, solidnym, hojnym i godnym zaufania człowiekiem.

Niewielu takich mężczyzn spotkałam w życiu. Niezaprzeczalnie zawrócił mi w głowie. Panna Crawley została moją przyjaciółką.

Stanowczo coś mi się tu nie podoba - stwierdził. - Jego chyba pociągała pani uroda, a nie majątek. Przypuszczam, że pani jest biedna?

Zauważył, że się zarumieniła. Spojrzała w dół, na swoje dłonie.

- Zaczął ze mną rozmawiać, ilekroć przychodził z wizytą do lady Flatley - ciągnęła. -

Zabierał mnie na spacer, gdy miałam wolny czas. Panna Crawley zaprosiła mnie na podwieczorek. Tamte dni wydają mi się tak odległe. Jakaż byłam wtedy naiwna! Gdy poprosił mnie o rękę, zgodziłam się bez wahania. Któregoś popołudnia, gdy byliśmy na spacerze, natknęliśmy się na Geraldine i Bridget. Poprosił, żebym go przedstawiła, mimo że musiało być dla niego jasne, jak zarabiają na życie. To mi się chyba najbardziej w nim spodobało. Rozmawiał z nimi nadzwyczaj uprzejmie. Nie wiem, jak to się stało, ale zostaliśmy zaproszeni tutaj na podwieczorek.

Umilkła i kilkakrotnie przełknęła z wysiłkiem. Domyślił się, że opowieść zaczyna być dla niej bolesna. Nie odezwał się jednak. Spróbował ułożyć nogę w wygodniejszej pozycji.

Rachel mocno zwinęła palce w pięść i przykryła ją drugą dłonią.

- Crawley miał talent do wyciągania z ludzi informacji - powiedziała. - Jeszcze zanim zaczął się do mnie zalecać, powiedziałam mu o swoim spadku, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. A Geraldine albo Bridget, nie pamiętam, która z nich, opowiedziała mu o ich marzeniu, że zaoszczędzą tyle pieniędzy, by móc kupić gdzieś w Anglii pensjonat i wycofać się z profesji. Chyba nawet same powiedziały mu, że są już bliskie osiągnięcia wymarzonego



celu, ale nie trzymają pieniędzy w banku, bo nie mają do nich zaufania.

Do diabła, jeśli odziedziczyła spadek, to dlaczego pracowała jako dama do towarzystwa i zamieszkała w domu schadzek? - pomyślał zdumiony. Nie chciał jej jednak przerywać, zadając pytania.

- Byłam mu niezmiernie wdzięczna, że potraktował moje przyjaciółki z taką uprzejmością i szacunkiem - powiedziała. - To było śmieszne.

Alleyne się skrzywił.

- A on zabrał wszystkie ich pieniądze? - spytał. - Musi być naprawdę bardzo sprytny.

Nie tak łatwo oszukać prostytutki.

- Był wobec nich bardzo szarmancki i miły - ciągnęła. - Któregoś dnia nadmienił nawet, że darzy prostytutki szczególnymi względami, ponieważ sam Jezus traktował je z szacunkiem. Przekonał je, że przebywając w obcym kraju, w czasie zawieruchy wojennej, są szczególnie narażone na ryzyko kradzieży. Namówił, by powierzyły mu swoje oszczędności, ponieważ on właśnie wyjeżdżał z Belgii. Obiecał, że zabierze pieniądze do Londynu i ulokuje w banku na przyzwoity procent.

- Biedactwa - westchnął ze szczerym współczuciem. Zdążył je już wszystkie polubić.

- Wyjechał z majątkiem, na który przez lata ciężko pracowały - powiedziała. - Zabrał też ze sobą znaczne darowizny na rozmaite cele dobroczynne, uzyskane od lady Flatley i wielu dam w Brukseli. Lady Flatley także wyjeżdżała do Anglii. Usłyszawszy, że chcę wyjść za Crawleya, okropnie się rozgniewała i z miejsca mnie odprawiła. Zdecydowałam się więc wracać z Crawleyami. Mieliśmy się pobrać w Anglii, a potem pojechać do mego wuja i upomnieć się o mój spadek. Jednak gdy czekaliśmy na statek do Anglii, przypadkowo usłyszałam rozmowę tego łotra z siostrą. W gospodzie, zamiast zostać w pokoju, by napisać ostatni list do Bridget, tak jak pierwotnie planowałam, zesłałam za nimi na śniadanie.

Rozmawiali o tym, co zrobią z całą tą masą pieniędzy, śmiejąc się przy tym. Zachowywali się zupełnie inaczej niż zwykle.

Przez dłuższą chwilę przyglądała się swoim dłoniom, marszcząc brwi. Alleyne zastanawiał się, czy będzie w stanie mówić dalej. W końcu jednak uniosła głowę i popatrzyła na niego strapionym, smutnym spojrzeniem.

- Natychmiast zażądałam wyjaśnień - powiedziała. - Nawet nie przyszło mi do głowy, by udawać, że nic nie wiem. Domagałam się, by oddali pieniądze moich przyjaciółek i moje, które oddałam Crawleyowi na przechowanie, choć nie była to duża suma. Oboje przysięgali, że są niewinni i zapewniali mnie, że tylko żartowali. Pobiełam na górę szukać pieniędzy, ale oczywiście niczego nie znalazłam ani w jego pokoju, ani jej. Wiedziałam zresztą, że nigdy nie pozwoliliby mi ich zabrać. Gdybym wezwała posterunkowego, co bym mu powiedziała?

Flossie powierzyła mu pieniądze z własnej woli, przy pełnej aprobacie reszty pań. Ja sama oddałam mu moje pieniądze, był przecież moim narzeczonym. Przypomniałam sobie, że on dla ochrony przed rozbójnikami i złodziejami wozi ze sobą pistolety. Przestraszyłam się i zachowałam jak tchórz. Przeprosiłam oboje za moje idiotyczne wątpliwości, wróciłam do swego pokoju, który na szczęście znajdował się na parterze i uciekłam przez okno. Wróciłam tutaj, by opowiedzieć Bridget i jej przyjaciółkom, że zostały oszukane, a ja mimo woli przyczyniłam się do ich straty.

- To wymagało nie lada odwagi - zauważył. Nadal była smutna.

- Nie czyniły mi żadnych wyrzutów - powiedziała. - Wściekały się i okropnie przeklinały Crawleya i jego łotrostwo, ale mnie Bridget jedynie przytuliła i wybuchnęła płaczem. Myślała tylko o tym, że zostałam zraniona i oszukana, że muszę być tym zdruzgotana.

- Co pani czuła? - spytał Alleyne.

- Chyba utraciłam resztkę wiary w mężczyzn. To z pewnością było bolesne - odparła, kuląc się w sobie. - Ale nie kochałam Crawleya. Zgadając się na to małżeństwo, kierowałam się rozsądkiem, a nie sercem. Teraz czuję tylko zażenowanie i niedowierzenie, że nie dostrzegłam jego prawdziwej natury.

- Niech pani nie będzie wobec siebie zbyt surowa - odparł. - Flossie, Geraldine i reszta pań też nie podejrzewały go o łotrostwo, a przecież to doświadczone, bywałe w świecie kobiety. Przypuszczam, że czuje pani, iż powinna zwrócić pieniądze, które ukradł im pani były narzeczony.

- Tak - kiwnęła głową. - Ale niewiele mogę zrobić, by im pomóc. Planowałyśmy, że zdobędziemy pieniądze, by ruszyć w pościg za Crawleyem. Ale nie udało się nam. Ja od razu natknęłam się na pana, a Flossie i Geraldine na zwłoki chłopca, które właśnie okradano. - Rachel zarumieniła się, zagryzła wargę i w końcu wyjaśniła. - Po skończonej walce poszliśmy na pole bitwy, by szukać przy poległych cennych przedmiotów, ale wróciliśmy z niczym.

- Nie! - Nie mógł powstrzymać śmiechu. - Niemal to widzę. Trzy kobiety maszerują na pole bitwy, by ograbiać zwłoki i przekonują się ostatecznie, że mają na to zbyt miękkie serca. A zatem, panno York, zamiast skarbu znalazła pani mnie, nagiego. Biedactwo.

- Cieszę się, że znalazłam pana, a nie skarb - oświadczyła z niejakim zawstydeniem.

- Dziękuję - odparł i uśmiechnął się do niej. Ale natychmiast spowaźniał, gdy przypomniał sobie, co niedawno zaszło między nimi. Do diabła, to nie powinno się było nigdy wydarzyć. Co go opętało? Oczywiście znał odpowiedź na to pytanie - po prostu uległ pożądaniu.

- Żałuję, że nie mogę im wszystkiego oddać - powiedziała żarliwie. - Chciałabym, żeby ich marzenie stało się znów realne. Niestety, odziedziczę moje klejnoty dopiero, gdy

skończy dwadzieścia pięć lat. Muszę czekać jeszcze całe trzy lata. Oczywiście mogłabym dostać je wcześniej, gdybym poślubiła człowieka, którego zaakceptuje mój wuj. To chyba jednak niemożliwe. Upłynie jeszcze dużo, dużo czasu, zanim znów zaufam jakiemuś mężczyźnie.

- Ach, motywy Crawleya stają się jasne - rzucił. - Jak mniemam, opowiedziała mu pani o tej klauzuli, dotyczącej spadku?

- Tak - spojrzała na niego, marszcząc brwi. - To było z mojej strony bardzo głupie i lekkomyślne, prawda?

- Bardzo - potwierdził, znów zmieniając pozycję.

- Pan cierpi - zawołała, przyglądając się mu uważnie.

- Tylko trochę - przyznał. - Zdaje się, że oddawałem się czynnościom w moim stanie niewskazanym. Można by powiedzieć, że mam to, na co zasłużyłem.

- Boli pana noga? - zerwała się z krzesła. - Przyniosę świeżą wodę i przemyję ranę.

Trzeba ją posmarować maścią i zawinąć czystym bandażem. Niech spojrzę, czy rana krwawi?

Ruszyła do niego, ale powstrzymał ją gestem.

- Panno York, dla mego spokoju, stanowczo lepiej by było, żeby trzymała się pani ode

mnie z daleka - powiedział. - Oboje przyznaliśmy, że to, co się zdarzyło między nami

dzisiejszego wieczoru, było pomyłką i wygląda na to, że okazaliśmy się dla siebie nawzajem

rozczarowaniem. Powinniśmy więc unikać wszelkiej okazji do powtórzenia się tych

wypadków.

Przez kilka chwil patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, coraz mocniej się

rumieniąc. Potem odwróciła się i pośpiesznie ruszyła do drzwi. Szarpała się chwilę z

zamkiem, w końcu otworzyła go i wypadła z pokoju. Głośno trzasnęła drzwiami.

Do diabła, nie była to zbyt szarmancka replika, prawda? Oto oświadczył damie, która

przeżyła swoje pierwsze doświadczenie erotyczne, że okazało się ono wielką pomyłką i rozczarowaniem.

Będzie ją musiał jutro pokornie przeprosić.

Bał się nawet pomyśleć o jutrze.

Obudził się wczesnym rankiem, ogarnięty paniką. Czuł się, jakby w ogóle nie spał tej nocy. Próbował wstać z łóżka i dopiero wtedy przypomniał sobie, że nie może. Musi dotrzeć do bramy Namur. Ona tam na niego czeka, znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie.

Ból rozproszył resztki snu i przerwał senne wspomnienie. Jeśli to było wspomnienie.

Leżał nieruchomo. Jedną ręką osłaniał ranę na udzie, drugą zaciskał na kołdrze. Rozpaczliwie próbował uchwycić resztki snu. Kto na niego czekał? I dlaczego? Kto znalazł się w niebezpieczeństwie?

Może to tylko wytwór jego wyobraźni?

A jeśli to prawdziwe wspomnienie?

Wreszcie dał za wygraną. Po raz setny próbował poskładać to, co mu się przydarzyło, zanim odzyskał przytomność tu w tym domu. Jechał od strony pola bitwy pod Waterloo ku Brukseli. A przynajmniej tak przypuszczał, bo chyba został postrzelony w bitwie? Istniał jakiś list. I kobieta, która czekała na niego u bram miasta.

Był mokry od potu i rozboleła go głowa. Nie potrafił sobie jednak przypomnieć nic więcej. Nie potrafił też logicznie połączyć tych wszystkich elementów. Zresztą mogły być tylko senną wizją. Jeśli walczył w bitwie pod Waterloo, to po co pojechał na północ, na spotkanie z jakąś kobietą? I dlaczego ten list był taki ważny? Czy to ona go napisała, wzywając go, by ją uchronił przed jakimś niebezpieczeństwem? W samym środku bitwy? Nie, to nie miało żadnego sensu.

Z ulgą powitał pukanie do drzwi - przerwało mu ponure rozmyślania. Ale zwrócił twarz do wejścia niemal z obawą, spodziewając się, że zobaczy w nich Rachel. Nie był jeszcze gotów spojrzeć jej w oczy.

W drzwiach stał sierżant Strickland. W rękach trzymał przybory do golenia, pod pachą

miał kule. Uśmiechał się szeroko, choć niemal nie było tego widać poprzez bandaż, nadal zakrywające mu pół twarzy.

- Dzień dobry, sir. Dzisiaj pan wstanie, trzeba się zacząć ruszać - zawołał wesoło na powitanie. Położył przybory do golenia na stoliku i oparł kule o łóżko. - To na pewno poprawi panu humor. Pomogę panu.

- Jeszcze bardziej się ucieszę, jeśli dostanę jakieś ubranie - odparł Alleyne. - Zbyt długo leżę beczynn timer, zdany na łaskę innych. Nie mogę się już doczekać, by wstać i zacząć chodzić. Muszę się dowiedzieć, kim jestem, i wrócić do dawnego życia.

- Jeśli to panu nie przeszkadza, chciałbym sam pana dzisiaj ogolić - powiedział Strickland. - Próbuję się nauczyć widzieć rzeczy jednym okiem.

Alleyne spojrzał na niego z rezerwą.

- Pan naprawdę chce zostać osobistym lokajem, prawda? - spytał.

- Muszę coś zrobić - odparł sierżant, pieniąc mydło pędzlem. - Dotąd znałem się tylko na żołnierce. Zaciągnąłem się do służby u króla, kiedy skończyłem trzynaście lat. Miałem do wyboru to albo zostać złodziejem. Kradzieże i stryczek niespecjalnie mnie jednak kusiły.

Teraz muszę sobie znaleźć jakieś inne zajęcie. Dlaczego nie miałbym zostać lokajem?

Wykonywałem rozkazy i spełniałem zachcianki jaśniepanów przez sześć lat, od kiedy zostałem sierżantem. Z jednym okiem potrafię pana ubrać, ogolić i zadbać o pańskie ubranie równie sprawnie jak z dwójgim.

- Jest jednak pewien problem, nie mam ani grosza. - Pozwolił, by sierżant namydlił mu twarz i przygotował się na to, że ten za chwilę poderżnie mu gardło.

- Widzi pan, ja mam trochę pieniędzy - powiedział Strickland. - Dla dżentelmena to pewnie nieduża suma, ale mnie starczy na jakiś czas. Sir, mnie są potrzebne nie tyle pieniądze, co jakaś konkretna praca i poczucie, że mam cel w życiu. Przynajmniej na

początku, dopóki nie stanę mocno na nogach.

- Wiem, co pan czuje - odparł Alleyne ponuro. - Ale chyba mógłby pan sobie znaleźć lepszego pracodawcę niż ja. Przecież nawet nie wiemy, czy jestem dżentelmenem, prawda?

- O, tego akurat możemy być pewni - uspokoił go sierżant. - Niech pan w to nie wątpi ani przez chwilę. Znałem i prawdziwych dżentelmenów, i prostaków, i takich, co tylko udawali jaśniepaństwo. Pan jest jednym z tych pierwszych i nie ma co do tego wątpliwości. Nie wiem, kim pan jest. Nie służył pan w moim regimencie i nigdy pana wcześniej na oczy nie widziałem, dopiero tam w lesie. Ale wiem, że jest pan dżentelmenem.

Leżał nieruchomo, a sierżant w skupieniu pochylał się nad nim i golił mu zarost.

Przyglądał się bandażom i siniakom na twarzy byłego żołnierza.

- Strickland, czy czuje pan strach? - spytał.

- Zdaje się, że to pan powinien go w tej chwili czuć - odparł sierżant, ukazując zęby w szerokim uśmiechu. - Pierwszy raz kogoś golę. A mam tylko jedno oko, by obserwować, czy dobrze wykonuję robotę.

- Chodzi mi o to, czy pan się nie boi, bo pana dotychczasowe życie tak nagle się skończyło - wyjaśnił Alleyne. - Teraz będzie pan musiał ułożyć je sobie od nowa.

Sierżant skończył golić jeden policzek chorego i się wyprostował.

- Czy się boję? - powtórzył. - Sir, nigdy w życiu się nie bałem. A przynajmniej nigdy nie nazywałem tego strachem, bo takie uczucie wydaje się niezbyt męskie, prawda? Może jednak chodzi nie tyle o sam strach, ale o to, co człowiek z nim robi. Oczywiście, że się boję, sir. Ale przecież nie ma sensu się temu poddawać. Świat nie kończy się na armii. Na pewno coś się dla mnie znajdzie. Może spodoba mi się to bardziej niż dotychczasowe życie? Może nie. Wtedy poszukam sobie czegoś innego. Co mnie powstrzyma? Chyba tylko śmierć, gdy przyjdzie jej godzina, bo na to nie ma już rady.



Pochylił się i zaczął golić drugi policzek mężczyzny.

- Jeśli mam być szczerzy, to zwykłego ludzkiego strachu nie można od razu nazywać tchórzostwem - ciągnął. - Zawsze mówiłem to moim chłopcom przed bitwą. Zwłaszcza najświeższym rekrutom, dopiero co przybyłym z Anglii, dopiero co oderwanym od matek. Sir, jeśli nie czuje pan strachu, nigdy się pan nie dowie, z jakiej jest ulepiony gliny, i na co pana stać. Nigdy nie stanie się pan lepszym człowiekiem. Mam nadzieję, że uda się panu odkryć prawdę o sobie. I gdy w końcu pamięć panu wróci, zobaczy pan, że stał się lepszym człowiekiem. Może pan był mężczyzną, który nigdy nie dojrzał, mimo że osiągnął dorosłość. Może właśnie tego było panu potrzeba. Utracić pamięć, by zacząć żyć innym życiem. Pan wybaczy, sir. Czasami za dużo gadam.

- Strickland, widzę, że z pana niezły filozof - rzucił Alleyne. - Zastanawiam się, czy mam dość charakteru, by sprostać pana oczekiwaniom. Czy już mnie pan zaciął?

- Nie - oświadczył sierżant i się wyprostował. Obejrzał efekty swojej pracy i wytarł Alleyne'owi twarz czystym ręcznikiem. - Uważam, że dość już pan stracił krwi w tym miesiącu.

- Dziękuję. - Przesuwał dłonią po gładkiej twarzy i zamyślił nad słowami sierżanta. Oczywiście, że czuł strach i wstydził się do tego przyznać. Nie było chyba gorszego losu niż stracić pamięć dwudziestu pięciu czy iluś tam lat własnego życia. Czy ma w sobie dość odwagi i siły charakteru, by zbudować nową tożsamość i nowe życie, być może lepsze niż to dotychczasowe?

Zresztą sierżant wcale nie był tak odważny, jak sugerowały jego słowa. Nadal tkwił w domu schadzek, choć przecież mógłby opuścić to miejsce już kilka dni temu. I chciał się zatrudnić u człowieka bez grosza przy duszy, tylko po to, by nie musieć samotnie stawiać czoła rzeczywistości.

Samotność to naprawdę przerażająca myśl. Alleyne nagle uświadomił sobie, że choć z jednej strony niecierpliwił się i chciał wreszcie stanąć na nogi, to z drugiej, równie chętnie by tu został i znalazł jakiś pretekst, by odwlec to, co nieuniknione.

Sierżant, nie spiesząc się, wyflukał w misce pędzel do golenia i brzytwę. Odchrząknął i odezwał się, nie patrząc na Alleyne'a.

- Sir, bardzo lubię mieszkające tu panie - powiedział. - Ostatniej nocy nawet pilnowałem drzwi, żeby mogły swobodnie zabawiać gości i czuć się bezpiecznie, na wypadek, gdyby któryś z nich zaczął rozrabiać. To nieważne, w jaki sposób zarabiają na życie. Ale zastanawiam się, co tu robi panna York. Ona nie jest jedną z nich, prawda? Alleyne spojrzał na niego ostro.

- Wedle mego mniemania ona jest damą - odparł.

- Tak jest, sir - zapewnił sierżant. - Od pierwszej chwili, gdy zaczęła krzyczeć, że pan jest jej mężem i że został pan ciężko ranny, wiedziałem, że jest damą. Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że jej dobre imię ucierpi, tylko dlatego, że mieszka w domu schadzek. Nie chcemy jeszcze pogarszać jej sytuacji. Sir, pan mnie rozumie, prawda? Co mam zrobić ze szpilkami do włosów, które leżą na stoliku przy łóżku? Nie chciałbym, żeby zobaczyły je pozostałe panie, gdy przyniosą panu śniadanie. Mogłyby wyciągnąć niewłaściwe wnioski. Przez chwilę Alleyne czuł się jak szeregowiec w obliczu delikatnej, ale niewątpliwej reprimendy sierżanta. Niech to diabli porwą, zapomniał o szpilkach. Gorąco pragnął, by wspomnienia z ostatniej nocy okazały się tylko snem. Przeczyły temu jednak drobiazgi zostawione przez Rachel na stoliku.

- Strickland, niech pan będzie uprzejmy zebrać je i schować do górnej szuflady tamtej komody. Pannę York rozboleła głowa, gdy przyszła wczoraj wieczorem dotrzymać mi towarzystwa. Wyjęła szpilki i rozpuściła włosy, żeby mniej jej ciążyły.

Cóż za idiotyczne wyjaśnienie!

- Ach tak, rozumiem, sir - powiedział sierżant pogodnie i zebrał szpilki. - Oddałbym życie za tę młodą damę, gdyby ktoś chciał ją skrzywdzić. Pan pewnie też, sir. Nigdy nie zapomnę jak nad panem szlochała, choć nie był pan jej mężem, jak się później okazało. To dama o czułym sercu, sir.

- Sierżancie, doskonale zdaję sobie sprawę, że zawdzięczam jej życie i zdrowie - uciał rozmowę Alleyne.

To wystarczyło. Sierżant zebrał przybory do golenia i wyszedł. Nie czekając na śniadanie, Alleyne odrzucił na bok kołdrę, ostrożnie opuścił nogi na podłogę i sięgnął po kule.

Czuł niepokój, osłabienie i irytację - z tym jakoś sobie poradzi. Dręczyło go też poczucie winy i na to nie było żadnej rady. Chyba że znajdzie jakiś sposób, żeby pojednać się z Rachel York. Czuł jednak, że nie wystarczą zwykłe przeprosiny.

Będzie musiał coś wymyślić.

Mocno wsunął sobie kule pod pachy i stanął na prawej nodze.

Rachel prawie cały poranek spędziła w kuchni. Pomagała Phyllis piec chleb i ciasto, obrała ziemniaki i posiekała warzywa. Reszta przyjaciółek wstawiała późno, z czego Rachel bardzo się cieszyła. Dziwiła się, że Phyllis niczego nie zauważyła. Wydawało się jej, że wydarzenia ubiegłej nocy są wypisane na jej twarzy i ciele.

Była też wdzięczna sierżantowi Stricklandowi, że tego ranka usługiwał Smithowi przy porannej toalecie.

Przed południem zaofiarowała się, że zrobi zakupy. Po powrocie do Brukseli Rachel unikała wychodzenia z domu. Bała się, że zostanie zauważona przez którąś z przyjaciółek lady Flatley i uznana za współniczkę Crawleya. Zdała sobie jednak sprawę, że owe damy

chyba jeszcze nie wiedzą o jego łotrystwie. Być może nigdy się o nim nie dowiedzą, chyba że pofatygują się sprawdzić, co się dzieje z dziełem dobroczynnym, które podobno wsparły.

Dzisiaj Rachel rozpaczliwie potrzebowała ruchu i świeżego powietrza. Nie dbała o to, kogo spotka. Nawet nie pomyślała o tym, że w Londynie, za życia ojca, nie wolno jej było wyjść za próg bez przyzwoitki.

Poszła dalej, niż tego wymagały sprawunki. Spacerowała w parku i przyglądała się łabędziom na jeziorze. Chłoneła ciepło i blask słońca. Zanim ruszyła z powrotem do domu, zrobiło się już popołudnie. Bała się wracać. Będzie musiała stanąć oko w oko ze Smithem.

Wzdrygała się na samą myśl o tym. Jakże zdoła na niego spojrzeć, pamiętając, co się wydarzyło ostatniej nocy? Weszła do domu i usłyszała gwar dochodzący z salonu.

Postanowiła, że najpierw napije się herbaty i trochę uspokoi.

Ostrożnie otworzyła drzwi salonu i zajrzała ukradkiem, obawiając się, że jej przyjaciółki właśnie zabawiają klientów, choć rzadko przyjmowały ich za dnia. Zobaczyła, że rzeczywiście siedzi tam jakiś dżentelmen i omal nie cofnęła się pospiesznie. W pierwszej chwili go nie poznała. Potem jednak zauważyła kule, oparte o krzesło.

- Rachel! - zawołała Bridget. - Chodź, kochanie, i poznaj naszego gościa.

- Czyż nie jest cudowny? - spytała Phyllis wesoło. Geraldine stała przy oknie z rękami opartymi na biodrach.

- Trzeba przyznać, że całkiem przyjemnie prezentuje się w ubraniu - powiedziała. -

Szkoda tylko, że nie ma grosza w kieszeni.

- Niespecjalnie się tym przejmuję, Geny - rzuciła Phyllis.

- Biedak, zaraz zacznie się rumienić - powiedziała Flossie, gdy Rachel z ociąganiem weszła do salonu i zamknęła za sobą drzwi. - Wygląda tak smakowicie, że każda, nawet szanująca się dziewczyna, pobiłaby się o niego ze swymi najbliższymi przyjaciółkami.

Jak zwykle żartowały i flirtowały, a Smith uśmiechał się i pysznie się bawił. Jednak na widok Rachel chwycił kule i zerwał się na nogi. Ukłonił się jej nad wyraz zręcznie.

- Panno York - odezwał się.

Patrzył wprost na nią, a z jego oczu znikł uśmiech. Rachel miała gorącą nadzieję, że się nie rumieni. Widząc go w tej chwili, niemal nie mogła uwierzyć, że kochali się niecałą dobę wcześniej. Na samą myśl o tym miała ochotę umrzeć ze wstydu.

„Wygląda na to, że okazaliśmy się dla siebie nawzajem rozczarowaniem”, słyszała te słowa tak wyraźnie, jakby je właśnie głośno wypowiedział.

Nie zdawała sobie sprawy, że jest taki wysoki. Jego ubranie nie pochodziło zapewne od najlepszych krawców, ale prezentował się całkiem nie źle w śnieżnobiałej koszuli i w wyprasowanym krawacie, zgrabnie zawiązanym na szyi. Dobrze dopasowany niebieski surdut uwydatniał szeroką pierś i ramiona. Szare pantalony gładko opinały zgrabne, dobrze umięśnione nogi, jeśli pominąć zarys bandaża na lewym udzie. Na nogach, zamiast wysokich butów, które pewnie lepiej pasowałyby do tego stroju, miał skórzane trzewiki. Phyllis tak czy inaczej miała rację. Wyglądał cudownie. Miał świeżo umyte włosy, a na czoło nad prawym okiem opadał mu figlarny kosmyk.

- Panie Smith, jak widzę nowe ubranie doskonale na panu leży - powiedziała, starając się, by jej głos zabrzmiał jak zwykle przyjaźnie.

- Wszystko, z wyjątkiem jednego z surdutów - odparł. - I ten, niestety, najbardziej mi się podoba. Jednak nawet z wydatną pomocą sierżanta Stricklanda nie udało mi się w niego wcisnąć.

- Źle oceniliśmy rozmiar, Floss - powiedziała ponuro Geraldine.

- Ma pierś jeszcze szerszą, niż nam się wydawało.

- I ramiona też, Gerry - dodała Flossie, taksując go spojrzeniem.

- Za bardzo się skupiliśmy na jego przystojnej twarzy i łobuzerskim uśmiechu. Nie popełnimy więcej tego błędu.

- Drogie panie, mogłyście mnie spytać o wymiary - odezwał się Smith, ostrożnie siadając z powrotem na krześle, gdy Rachel już zajęła miejsce.

- Obawiały się, że pan ich nie pamięta, a wówczas mnie przypadnie przyjemność zmierzenia pana od stóp do głów - zareagowała Phyllis.

- Będą miały się nauczkę, żeby następnym razem nie ruszać się z domu bez miarki krawieckiej.

Przez następne dziesięć minut rozmowa toczyła się w podobnym tonie, przy akompaniamencie wybuchów śmiechu. Rachel tymczasem starała się opanować i zaplanować, co powie, gdy znajdą się sam na sam, co na pewno nastąpi wcześniej czy później.

I rzeczywiście nie trzeba było długo czekać na ten moment.

- Kuśtykając po korytarzu, zauważyłem, że mają panie za domem ładny ogród - rzucił.

- Ktoś był nawet na tyle przezorny, że pod wierzbą przy sadzawce z liliami umieścił drewnianą ławeczkę. Panie pozwolą, że wyjdę na dwór i pochodzę po ogrodzie. Chciałbym zażyć świeżego powietrza.

- Niech pan uważa i nie przemęczy się podczas spaceru - ostrzegła Bridget. - Proszę pamiętać, że dzisiaj wstał pan po raz pierwszy z łóżka.

- Nie chciałybyśmy kłaść pana tam z powrotem - powiedziała Phyllis.

- Wręcz przeciwnie, Phyll, chciałybyśmy - zareagowała Geraldine.

- Będę ostrożny - obiecał. - Panno York, zechciałaby pani mi towarzyszyć?

Bridget uśmiechnęła się do Rachel i kiwnęła przyzwalająco głową, jakby nadal była jej nianią. Rachel odstawiła filiżankę i wstała. Pomyślała, że wiele by dała, aby uniknąć tego

spotkania. Nie była jeszcze na nie gotowa i chyba nigdy nie będzie. Ale skoro nie mogła cofnąć czasu i zmienić wypadków ostatniej nocy, pozostawało jej tylko stawić czoło konsekwencjom swego zachowania. Otworzyła i przytrzymała drzwi salonu, żeby Smith, wspierając się na kulach, mógł wyjść.

Gdy znaleźli się już na zewnątrz, zauważyła, że poruszał się wolno, ale całkiem pewnie. Zamknęła drzwi i ruszyła za nim, splatając ręce za plecami.

- Panno York, musimy porozmawiać - odezwał się do niej. Pełen flirtu ton, którego używał w salonie, znikł.

- Musimy? - spytała, skupiając uwagę na płytach chodnika, po których spacerowali.

Jak dziecko w zabawie starała się omijać przerwy pomiędzy nimi. - Wolałabym nie. Co się stało, to się nie odstanie. Nie miało to zresztą specjalnego znaczenia, prawda?

- Cóż za cios dla mojej męskiej dumy! - zawołał. - Bez specjalnego znaczenia, dobre sobie. Doskonale zdaję sobie sprawę, że w normalnych okolicznościach prosiłbym panią teraz o rękę.

Poczuła się upokorzona.

- Odmówiłabym - odparła. - Co za niedorzeczny pomysł!

- Cieszę się, że pani tak myśli - rzucił. - Oczywiście nie mogę złożyć pani propozycji małżeństwa. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Nie znam własnego nazwiska, którym mógłbym się podpisać na akcie ślubu albo w księdze parafialnej. Możliwe, że już jestem żonaty.

Zapomniała o tej ewentualności. Poczuła lekkie mdłości.

- Ani teraz, ani nigdy - odparła stanowczo. - Nawet gdy odzyska pan swą tożsamość i upewni się, że nie jest żonaty. Panie Smith, już raz byłam zaręczona, co okazało się wielkim błędem. Nie mam zamiaru popełnić go ponownie.

- A co pani zamierza? - spytał.

Teraz, gdy stał, czuła, że ma nad nią przewagę. Do tej pory to ona patrzyła na niego z góry. Nawet ubiegłej nocy, gdy... och nie, naprawdę wolała o tym nie myśleć.

- Jeszcze nie zdecydowałam - odparła. - Pewnie znów poszukam sobie posady.

- Zdaje się, że będzie pani potrzebowała listu polecającego od lady Flatley. Myśli pani, że go dostanie?

Rachel się skrzywiła.

- Moje przyjaciółki chcą ruszyć w pościg za panem Crawleyem jak tylko znajdą się w Anglii. Oczywiście, jeśli uda im się zdobyć dość pieniędzy, by pokryć koszty przejazdu - powiedziała. - Myślałam, żeby pojechać z nimi. Przypuszczam, że niełatwo będzie go znaleźć i niewielka jest szansa na to, że odzyskają swoje pieniądze, ale czuję, że powinnam im pomóc, jak tylko mogę.

- Panno York, pani przyjaciółki nie potrzebują pani pomocy To doświadczone, bywałe w świecie kobiety. Dadzą sobie radę.

- Tak - odparła i się zatrzymała. Odwróciła się do niego i spojrzała, zagniewana. -

Oczywiście, że dadzą sobie radę. To nieważne, że już nic ich w życiu nie czeka, że nie mogą się spodziewać wolności, szczęścia i dobrobytu. To w końcu tylko dziwki.

Westchnął głośno.

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie jest pani za nie odpowiedzialna. Za mnie też nie - wyjaśnił. - Ani ja za panią. Czasem trzeba po prostu pozwolić innym żyć ich własnym życiem, nawet jeśli pozycja obserwatora sprawia nam ból.

Zmarszczyła brwi. Miała ochotę na porządną kłótnię, ale on nie podjął zaczepki.

- Może powinniśmy usiąść i dopiero wtedy kontynuować tę rozmowę - zasugerował. -

Nie chciałbym się potknąć i paść do pani stóp.



Ruszyła przodem, ale poczekała, aż ostrożnie usadowi się on na ławce, oparłszy kule o kutą żelazną poręcz. Dopiero wtedy przysiadła jak najdalej od niego. Żałowała, że ławka jest taka mała.

- Niech mi pani opowie o swoim wuju - poprosił.

- To baron Weston z Chesbury Park w Wiltshire - zaczęła. - Niewiele więcej potrafię powiedzieć. Był bratem mojej matki, ale wydziedziczył ją, gdy w wieku siedemnastu lat uciekła z domu, by poślubić mego ojca. Widziałam go tylko raz, gdy po śmierci matki przyjechał do Londynu na pogrzeb i został z nami kilka dni.

- To pani jedyny żyjący krewny? - dociekał.

- O ile wiem, tak - odparła.

- Może powinna pani udać się do niego - powiedział. - Przecież pani nie odprawi, prawda?

Odwróciła głowę i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Od kiedy skończyłam sześć lat, miałam z nim do czynienia tylko dwa razy - rzuciła. -

Raz, gdy odmówił wydania mi klejnotów, kiedy skończyłam osiemnaście lat, i drugi raz, w zeszłym roku, gdy ponownie o nie poprosiłam po śmierci ojca. Przy tej okazji napisał do mnie, że nie otrzymam klejnotów, ale jeśli zostałam bez środków do życia, mogę przyjechać i zamieszkać u niego, a on znajdzie mi męża.

- A zatem zaproponował pani dach nad głową - stwierdził.

- Panie Smith, czy pan, na moim miejscu, pojechałby do niego? - spytała. Znów odżył w niej gniew. - Do kogoś, kto zerwał kontakty z pańską matką, gdy wyszła za męża i kto nigdy nie zwracał na pana uwagi, z wyjątkiem kilku dni, gdy miał pan sześć lat? Do kogoś, kto tak niecierpliwie wyczekuje pana przyjazdu, że zaprasza pana do siebie, tylko jeżeli zostanie pan bez środków do życia? I grozi, że po przyjeździe wyda pana za kogoś, kogo sam wybierze.

Pojechałby pan?

Jego bliskość wytrącała ją z równowagi. Ciągle musiała zadzierać głowę, by na niego spojrzeć. Miała wrażenie, jakby na nią czyhał - o wiele większy i potężniejszy, niż się wydawał wtedy, gdy leżał w łóżku.

- Raczej nie - odparł. - Nie, to niewłaściwa odpowiedź. Zapewne powiedziałbym łobuzowi, żeby się wypchał sianem.

Była tak zdumiona, że wybuchnęła śmiechem. Zawtórował jej. Zauważyła, że przypatruje się jej twarzy. Wiedziała, że kiedy się śmieje, robi jej się dołeczek w policzku, i uważała, że wygląda przez to bardzo dziecinnie.

- Niech mi pani opowie o klejnotach - poprosił.

- Nigdy ich nie widziałam - powiedziała, spoglądając na sadzawkę. - Ale wiem, że są naprawdę cenne. Babka zostawiła je mamie, z zastrzeżeniem, że pozostaną w pieczy mego wuja, dopóki mama nie wyjdzie za mąż za jego przyzwoleniem, albo dopóki nie ukończy dwudziestu pięciu lat. Mama wyszła za mąż wbrew jego woli i zmarła, gdy miała dwadzieścia cztery lata. Chyba kontaktowała się z wujem przed śmiercią. Zostawiła mi klejnoty pod tymi samymi warunkami.

- Może uważała, że w pieczy jej brata będą bezpieczniejsze niż w rękach pani ojca - odezwał się.

Zastanowiła się nad tą zawstydzającą ewentualnością. Biedny papa. Wszystko by przegrał i lkał z żalu i skruchy. A potem wróciłby do hazardu, aby spróbować się odegrać.

- A wujowi się wydaje, że te klejnoty są bezpieczniejsze u niego niż u mnie - rzuciła. -

Gdy prosiłam o nie w zeszłym roku, ojciec już nie żył. Wuj odmówił. A przecież to moja własność. Gdybym była mężczyzną, nikt nie broniłby mi dostępu do majątku po osiągnięciu pełnoletności. Żałuję, że nie należą jeszcze do mnie. Oddałabym tym kobietom wszystko, co

straciły, i wskrzesiła ich marzenie. Jakież by były szczęśliwe. I ja razem z nimi.

Zagryzła dolną wargę, czując łzy napływające do oczu.

- Przecież istnieje sposób, by zyskać klejnoty wcześniej, prawda? - powiedział.

Roześmiała się szyderczo, odwróciła głowę i spojrzała na niego. Przyglądał się jej w skupieniu.

- Musiałabym wyjść za mąż - stwierdziła. Uniósł brew. - I zyskać jego aprobatę - dodała.

Uniósł drugą brew. W oczach miał śmiech, który zwykle rezerwował na żartobliwe potyczki z jej przyjaciółkami.

- Panie Smith, nie mogę wyjść za pana - rzuciła ostro. - Sam pan to stwierdził. Zresztą nie chcę wychodzić za mąż tylko po to, by dostać klejnoty.

- Zachwycająca - mruknął i się uśmiechnął.

- Jak pan mógłby zyskać jego aprobatę? - spytała. - Przecież pan nawet nie zna swojego imienia.

Poruszył sugestywnie brwiami i nagle wydał się jej chłopięcy i figlarny i niesamowicie pociągający.

- Panno York, śmiem wręcz powiedzieć: Rachel, czy słyszałaś kiedykolwiek o maskaradzie? - rzucił.

- Co? - spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Będę udawał twojego męża - wyjaśnił. - Pojadę z tobą do Chesbury Park, by wyrwać twoją fortunę ze szponów tego skąpego tyrana, twego wuja. Potem mogłabyś z nią zrobić to, co zechcesz. Chcę cię jednak ostrzec, że nadzwyczaj trudno przyjdzie ci namówić twoje przyjaciółki, by przyjęły od ciebie choćby pensa.

- Ale pan chyba nie może się już doczekać, żeby stąd wyruszyć - zaproponowała. -

Chciałby pan odnaleźć swój dom i rodzinę.

Skrzywił się, a uśmiech w jego oczach nieco przygasł.

- Tak - przyznał. - Choć nie zdaje sobie pani sprawy, jak bardzo się tego obawiam. A jeśli nigdy nie dowiem się, kim jestem? Co wtedy? Albo co gorsza, odnajdę dużą rodzinę i liczne grono przyjaciół, a oni wszyscy wydadzą mi się obcy? Przeraża mnie ta myśl. Może jeśli jeszcze trochę poczekam, pamięć sama mi wróci.

- Ależ ja nie mogę pana o to prosić - zaprotestowała. Myśli kłębiły się jej w głowie.

Nie była w stanie rozsądnie myśleć.

- Nie musisz mnie prosić - znów się do niej uśmiechał. Nagle zapragnęła pochwycić dłońmi choć trochę jego ciepła i optymizmu. - Sam się zaofiarowałem. Panno York, niech mnie pani uratuje przed przerażającym krokiem w nieznane. Zróbmy to.

Było chyba milion powodów, by tego nie robić. Ale w myślach już widziała, jak oddaje Flossie taką samą sumę, jaką ta wręczyła Nigelowi Crawleyowi. Będzie to mogła uczynić naprawdę. Nie powinna też czuć wyrzutów sumienia z powodu oszustwa, prawda? To jej majątek, a wuj Richard zawsze traktował ją podle. Nie była mu nic winna.

- Dobrze - odparła.

Położył ramię na oparciu ławeczki i uśmiechnął się do niej szeroko jak psotny chłopiec. Wyglądał przy tym bardzo pociągająco.

- Mam tylko nadzieję, że nie oczekujesz, bym uklęknął przed tobą, gdy będę ci się oświadczał - rzucił. - Obawiam się, że mógłbym już nie wstać.

Po powrocie z ogrodu Alleyne ponad godzinę leżał w łóżku. Nie spał. Bolały go wszystkie kości i mięśnie, podejrzewał też, że lewą nogę ma spuchniętą. Martwił się, że jest taki słaby, a równocześnie cieszył się, że może się już ruszać i powoli odzyskuje wigor.

Okazał się tchórzem. Zastanawiał się, czy zawsze taki był. Przez dwa tygodnie nie mógł się przecież doczekać, by stanąć na nogi, wyjść z domu i spróbować się dowiedzieć, kim, do diabła, jest. A dzisiaj, gdy ta chwila zdawała się bardzo bliska, ogarnęło go przerażenie.

Och, dobry Boże, w co on się wpakował!

Chciał pomóc Rachel. To prawda, że był na nią zły. Ostatniej nocy nie przyznała się, że jest dziewicą i nie dała mu szansy, by wybrnął z sytuacji z honorem. Mimo to chciał coś dla niej zrobić. Przecież uratowała mu życie. Umarłby tam, w lesie Soignes, gdyby nie pojawiła się przy nim i nie wezwała pomocy. Potem pielęgnowała go przez ponad tydzień. Polubił ją. Zadurzył się w niej. Od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył.

Zaprosił ją do ogrodu, żeby porozmawiać. Pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o jej wuju i zorientować się, czy mogłaby zamieszkać u niego. Zamierzał zaofiarować się, że ją do niego odwiezie. Wprawdzie nie mogłoby się to równać z tym, co ona dla niego uczyniła, ale zawsze byłoby to już coś. Coś rozsądnego, sensownego i uczciwego. A gdy dowie się, że nie jest żonaty, będzie mógł do niej pojechać i poprosić ją o rękę, do czego zobowiązywał go honor.

A co zamiast tego zrobił?!

Chodzi o to, że gdy tylko wspomniał Rachel o swoim szaleńczym planie, znikło przerażenie, które wisiało nad nim przez cały dzień. Czuł jedynie radość ze stojącego przed nim szaleńczego wyzwania.

Czy mówiło to coś o jego charakterze? Czy zawsze tak się zachowywał? Jak dwudziestopięcioletni chłopiec, gotów na każdą najdzikszą psotę? Jeśli rzeczywiście miał dwadzieścia pięć lat. Równie dobrze mógł mieć trzydzieści.

Skrzywił się.

Teraz było już za późno, żeby zmieniać zdanie co do tej eskapady, nawet gdyby chciał. A nie był pewien, czy chce. Przyjmie nowe nazwisko i zyska żonę. Zapewne będzie to małżeństwo z miłości. Stanowczo z miłości. Przekona Westona o tym, że jest szanowanym dżentelmenem.

Zachichotał cicho. Właśnie tego potrzebował. Ogromnego wyzwania. Czuł się... czuł się wreszcie sobą. Wraz z tą myślą nadszedł melancholijny nastrój. Zamknął oczy i zakrył je dłonią.

Spodziewał się, że resztę dnia spędzi w łóżku, a w każdym razie we własnym pokoju.

Jednak późnym popołudniem zjawił się u niego sierżant Strickland i powiedział, że tego wieczoru panie nie przyjmują gości i zapraszają, by zjadł z nimi kolację, jeśli czuje się na siłach.

- Ostrzegam pana jednak, że zaprosiły również mnie - dodał.

- A ja mógłbym uznać, że nie wypada mi jeść kolację z sierżantem? - spytał Alleyne, unosząc brwi. - Strickland, nie wiem jak wysoko zadzieram zwykle nosa, ale teraz z radością zjem kolację z pewnym sierżantem. I z czterema damami lekkich obyczajów.

Pomyślał, że przyda mu się towarzystwo. Strickland pomógł mu włożyć surdut i uczesał go, podczas gdy Alleyne doprowadzał do porządku halsztuk. Nagle zamarł w bezruchu. W przyływie rozbawienia przyszło mu do głowy, że ktoś byłby naprawdę wstrząśnięty, gdyby go teraz zobaczył.

Ta myśl nie kojarzyła mu się jednak z żadną twarzą czy imieniem.

Kto byłby wstrząśnięty?

Przez chwilę myślał, że zdoła z mroków swej pamięci wydobyć imię. Miał wrażenie, jakby w jego świadomości zadrzała zasłona. Że czeka tylko na poryw wiatru, który szarpnie ją na bok i ujawni wszystko, co dotąd skrywała.

Zasłona pozostała na miejscu.

Próbował jeszcze coś ocalić. Czy to był mężczyzna, czy kobieta? Kto, do diaska, pojawił się w jego świadomości? Przecież w tamtej chwili nawet nie próbował sobie niczego przypomnieć.

Nie wiedział.

- Znów pana boli, sir? - spytał sierżant.

- Nie, to nic.

Gdy wszedł do jadalni, z początku miał wrażenie, że sierżant się pomylił, mówiąc, iż panie dziś nie pracują. Ubrały się w swoje najwspanialsze stroje - krzykliwe, kolorowe jedwabne lub satynowe suknie z głębokim dekoltem. Kunsztownie ułożyły fryzury i przybrały je strusimi piórami. Uperfumowały się i mocno umalowały twarze. Przypomniał sobie, jak wyglądały, gdy zobaczył je po raz pierwszy. Ukłonił się im tak nisko i elegancko, jak tylko pozwalały mu na to kule.

- Znów mam wrażenie, że umarłem i znalazłem się w niebie - powiedział.

Zauważył, że mała, czarna muszka, którą Geraldine zwykle przyklejała w kąciku ust, dzisiejszego wieczoru znalazła się na jej dekolcie, tuż przy rowku między piersiami.

Zrozumiał, że wystroiliły się tak, bo zgodził się zjeść z nimi kolację. Miał ochotę zachichotać, ale nie chciał ich obrazić. Naprawdę bardzo je polubił.

Rachel York ubrała się tak samo, jak ubiegłego wieczoru, tylko fryzurę miała prostszą niż wczoraj. W świetle świec z kandelabra jej włosy lśniły jak czyste złoto. Na jej widok

westchnął nad sobą w duchu z politowaniem. Chyba naprawdę, oprócz pamięci, stracił także rozum, skoro wierzył, że ona mieszka i pracuje w domu schadzek. Teraz, gdy znał prawdę, nie miał żadnych wątpliwości, że Rachel jest prawdziwą damą.

Nadal był na nią zły. Na siebie też, za własną głupotę.

To był dziwny posiłek. Nie mieli służby, co zauważył już wcześniej. Najwyraźniej

Phyllis zajmowała się gotowaniem, na szczęście miała do tego niemały talent. Całą piątką podawały do stołu, przynosząc pełne półmiski i zabierając puste naczynia do kuchni. Toczyła się żywa i ciekawa dyskusja. Rozmawiali o Brukseli, jak wyglądała kilka tygodni temu, gdy aż w niej szumiało od rozrywek i gwaru goszczącego tu towarzystwa, i teraz, gdy niemal wszyscy goście z zagranicy wyjechali. Mówili o wojnie i jej pokłosiu, o perspektywach pokoju i dobrobytu dla Europy, teraz, gdy Napoleon Bonaparte został wreszcie pokonany. Poprosili sierżanta Stricklanda o skomentowanie strategii bitwy. Rozmawiali też o Londynie i znajdujących się tam teatrach i galeriach sztuki. Dopiero przy deserze milcząca przez cały wieczór Rachel w końcu się odezwała. Spojrzała przy tym Alleyne'owi prosto w oczy i się zarumieniła.

- Zdaje się, że jednak uda mi się zdobyć moje klejnoty - powiedziała.

- Rache, a więc pozwolisz mi się wdrapać po bluszczu? - rzuciła Geraldine.

- Pan Smith pojedzie ze mną do Chesbury i będzie udawał mojego męża - wyjaśniła

Rachel. - Wuj zaakceptuje nasze małżeństwo i wyda mi mój spadek. Sprzedam wtedy kilka sztuk biżuterii i jeśli nadal będziecie tego pragnęły, ruszymy w pościg za Nigelem Crawleyem. A pan Smith zacznie szukać swej rodziny i domu.

Cztery podekscytowane kobiety narobiły niesłychanej wrzawy. Przekrzykiwały jedna drugą, aż w końcu zwyciężyła Bridget.

- Kochanie, on ma udawać twojego męża? - spytała. - Dlaczego nie zostanie nim



naprawdę?

- Bridge, przywdzieję głęboką żalobę w imieniu swoim i wszystkich kobiet na świecie, jeśli tak się stanie - oświadczyła Geraldine. - W czarnym zresztą bardzo mi do twarzy.

- Ależ to świetny pomysł - powiedziała Flossie. - Nie rozumiem, dlaczego do tej pory na to nie wpadłyśmy. Na pewno się powiedzie.

- To nie może być prawdziwe małżeństwo - wyjaśniła Rachel. - Pan Smith jeszcze nie wie, kim jest. Zresztą postanowiłam, że jeśli kiedyś wyjdę za mąż, to tylko z miłości. Byłam głupia, pozwalając, by w przypadku pana Crawleya wystarczyła mi tylko namiastka uczucia. Dzięki Bogu, w porę zrozumiałam swoją pomyłkę.

- To się musi udać - zawołała Phyllis, przyciskając splecione dłonie do serca. - Panie Smith, wystarczy, że baron tylko raz na pana spojrzy i zaraz pobiegnie po klejnoty.

- Phyll, nie powinnyśmy zakładać, że pan Smith spodoba się baronowi tak samo jak nam - powiedziała Flossie. - Pan Smith będzie go musiał oczarować w nieco inny sposób, ale sądzę, że mu się uda. Ma w oczach łobuzerski błysk, który mówi mi, że dzielnie się sprawi i będzie się przy tym pysznie bawił.

- Jego zachowanie wymownie świadczy o dobrym pochodzeniu, majątku i dużych wpływach - dodała Geraldine. - Och, tak mi serce bije. Rache, czy myślisz, że twój wuj da się nabrać, jeśli to ja podam się za ciebie i będę udawać panią Smith?

- Na pewno nie, Gerry - wtrąciła się Phyllis. - Ale zobacz, jakie to wszystko romantyczne. Zdaje mi się, że pan Smith zakocha się w Rachel, a ona w nim. Potem się pobiorą i będą żyć długo i szczęśliwie.

- Wcale by mnie to nie zdziwiło - odezwał się sierżant. - Och, proszę wybaczyć, że się wtrącam, choć nikt nie pytał mnie o zdanie.

Alleyne uśmiechnął się do zebranych przy stole. Rachel wyglądała na skrepowaną.

Bridget przywołała wszystkich do porządku.

- Powinniśmy stworzyć historię, którą będzie opowiadał pan Smith - powiedziała. -

Musimy mu wymyślić całą przeszłość i teraźniejszość, dopracowując wszystko w szczegółach. Potem powinien na pamięć nauczyć się swojej roli, a Rachel swojej.

Padły liczne sugestie, w większości niedorzeczne, wywołując wybuchy śmiechu.

Alleyne pozwolił się wszystkim wygadać, a potem uniósł rękę, prosząc o uwagę.

- Z pewnością nie będę kominiarczykiem, który nagle odkrył, że jest księciem -

zaoponował. - Ani też diukiem, który jest nieślubnym synem króla z jego ulubioną metresą,

choć przyznam, że obie propozycje wydają się błyskotliwe i wielce ekscytujące. Powiedzmy,

że odegram rolę baroneta, którego majątek znajduje się gdzieś na północy Anglii. Chyba

najlepiej będzie, jeśli panna York i ja omówimy szczegóły między sobą, a potem

przedstawimy wam ostateczną wersję.

- Panna York! - zawołała Phyllis. - Panie Smith, powinien się pan teraz zwracać do

niej: Rachel, a ona do pana: Jonathanie. Chyba że jednak wolałby pan mieć na imię Orlando,

jak to sugerowałam przed chwilą. To tak romantycznie brzmi.

- Mamy butelkę wina - przypomniała Flossie. - Stoi na najniższej półce w spiżarni.

Williamie, bądź tak dobry i przynieś ją. Trzymałyśmy ją na specjalne okazje. Chyba to jest

właśnie taka okazja. Musimy uczcić małżeństwo na niby.

Gdy kilka minut później wznoszono toasty, Alleyne zauważył, że Rachel siedzi w

milczeniu. Wszyscy inni weselili się, jakby rzeczywiście właśnie świętowali zaślubiny. Ich

szaleńczy pomysł miał się wkrótce stać jeszcze bardziej wariacki.

- Sir, nie może się pan pojawić u barona bez lokaja - odezwał się sierżant Strickland,

odstawiając na stół pusty kieliszek. - Pewnie widział pan lepszych służących, bo ja jestem

zwalisty, mówię jak prostak i znam się tylko na żołnierce. Ale lepsze to niż nic. Pojadę z

panem, sir. Niech się pan nie martwi, że nie może płacić mi pensji. Mówiłem już, że mam dość pieniędzy, by kupić sobie bilet do Anglii i utrzymać się przez następny miesiąc czy coś koło tego. Będę miał jakieś zajęcie, dopóki się nie pozbieram.

Alleyn spojrzał na niego i uniósł brwi. Zaiste, ten człowiek miał rację. Jakie wywarłby wrażenie, gdyby pojawił się w Chesbury Park u boku Rachel, bez lokaja? Bez bagażu i pieniędzy, w zasadzie tak jak stał. Nagle uświadomił sobie, że zanim wyruszy do Wiltshire będzie musiał dokładnie zaplanować całą tę eskapadę.

Nie zdążył jednak odpowiedzieć sierżantowi, bo odezwała się Bridget:

- Rachel nie powinna przybyć do swego wuja tylko w pańskim towarzystwie, nawet jeśli na pozór będzie pana żoną - powiedziała.

- Przecież dopiero co się pobraliście, a baron Weston musi uwierzyć, że Rachel przebywała w Brukseli z odpowiednią przyzwoitką. Pojadę z tobą, kochanie i będę tą przyzwoitką. Zresztą skoro pan Smith i Rachel nie są naprawdę małżeństwem, tym bardziej nie powinni podróżować tylko we dwoje, prawda?

- Ależ Bridge, baronowi wystarczy jedno spojrzenie na twoje włosy, by rozpoznać w tobie prostytutkę, nawet jeśli jest zupełnie ślepy - odezwała się Flossie.

- Mogę je ufarbować - odparła Bridget. - Z powrotem ufarbuję je na mój własny kolor, ładny, spokojny, mysi brąz.

- Bridge, nie możemy pozwolić, żeby tobie przypadła cała zabawa - zaprotestowała Geraldine. - Jeśli ty sobie pojedziesz na wakacje na tydzień lub dwa, to nie widzę powodu, dla którego wszystkie nie miałybyśmy jechać. Ja, na przykład, nie mam ochoty wracać do Londynu, do pracy, zanim nie rozprawimy się z tym łobuzem Crawleyem. A nie możemy tego zrobić, dopóki się nie dowiemy, gdzie ten drań się znajduje, prawda? Jeśli do tego czasu mamy siedzieć beczynn timer, to równie dobrze możemy się przy tym nieźle bawić. Podoba mi

się rola pokojówki. Mam talent do układania włosów, same mi to mówiłyście. I do dobierania strojów, aby kobieta wyglądała w nich jak najpiękniej. Rache, pojedę z tobą jako twoja pokojówka. Wuj się zdziwi, jeśli przyjedziesz bez służącej. A ja, przy odrobinie szczęścia, odkryję, że w domu barona Weston aż roi się od wysokich, przystojnych lokajów, w stajniach pełno jest dziarskich, dobrze zbudowanych stajennych, a w ogrodach ogorzałych, atrakcyjnych ogrodników. Nie martw się, nie przyniosę ci wstydu. Kiedy muszę, potrafię się zachowywać bardzo przyzwoicie.

Alleyne patrzył na towarzystwo przy stole, na wpół rozbawiony, na wpół skonsternowany. Zastanawiał się, czy i Rachel ma wrażenie, że straciła panowanie nad sytuacją. Z jej milczenia wnioskował, że chyba tak.

- A co z nami? - spytała Phyllis ze smutkiem w głosie. - Co mamy robić Flossie i ja, gdy wy będziecie się zabawiać w Chesbury Park?

- Phyll, rusz no głową - rzuciła Flossie. Zatrzepotała rękami i kokieteryjnie poprawiła jasne loki. - Panie i panowie, oto stoi przed wami pani Flora Streat, wielce poważana i szacowna wdowa po kapitanie Streacie. Jestem drogą przyjaciółką panny Rachel York, której ślub odbył się właśnie u mnie w domu. A ty, złociutka, jesteś, o ile się nie mylę, siostrą mojego drogiego zmarłego męża - dodała, uśmiechając się łaskawie do Phyllis. - Twój mąż, kapitan Leavey, w tej chwili stacjonuje w Paryżu.

- Co takiego? - odezwała się Phyllis, dopijając kieliszek wina.

- Floss, jak mogłabyś się mylić i nie poznać własnej szwagierki? Przecież razem wyjechałyśmy z Anglii, a teraz wracamy do kraju.

- Nadkładając w podróży trochę drogi, żeby towarzyszyć naszej młodej przyjaciółce lady Smith i jej mężowi do Chesbury Park w Wiltshire - dodała Flossie.

- Żałuję, że skazałam się na rolę pokojówki - powiedziała Geraldine. - Choć może nie.

Gdy nie będę zajęta czesaniem Rachel, zajmę się tymi wszystkimi lokajami, stajennymi i ogrodnikami. I będę plotkować z Willem.

Alleyne odchrząknął. Cztery przyjaciółki zwróciły głowy w jego kierunku, a strusie pióra w ich włosach zafalowały energicznie.

- Musimy jednak pamiętać, że to wszystko nie jest zwykłym żartem - odezwał się. -

Przede wszystkim powinniśmy skupić się na tym, żeby panna York..., to znaczy, żebyśmy oboje z Rachel zrobili jak najlepsze wrażenie na jej wuju. Inaczej nie wyda jej klejnotów.

Wszyscy otrzeźwieli i spojrzeli na niego poważnie.

- Ale będzie przy tym mnóstwo zabawy - dodała Geraldine po krótkiej ciszy.

Znów rozległ się wesoły gwar.

- Powinniśmy poczekać jeszcze tydzień lub dwa, dopóki pan Smith nie odzyska pełni sił, a sierżant Strickland nie będzie mógł zdjąć bandaża - odezwała się w końcu Rachel.

- Rachel, nie pan Smith, tylko Jonathan - upomniała ją Phyllis. - Musisz zacząć się do niego zwracać: Jonathanie. Albo Orlando. Nie uważasz, że on wygląda jak Orlando?

- Zdobyłem przepaskę na oko - oznajmił sierżant. - Jeszcze jej nie zakładam, bo nie do końca zeszyły mi siniaki. Nie chciałbym wszystkich pań wystraszyć.

- Sierżancie, myślę, że mimo siniaków będzie pan wyglądał wspaniale - powiedziała Phyllis. - Najważniejsze, żeby nie było krwi.

- Nie ma potrzeby odkładać wyjazdu ze względu na mnie - zapewnił Alleyne. -

Powinniśmy zacząć tę maskaradę jak najszybciej.

Oto on, człowiek bez pieniędzy, majątku i tożsamości, miał jechać do Anglii, udając czyjegoś męża, w towarzystwie lokaja - wyglądem przypominającego pirata - i czterech rezolutnych dziwek, odgrywających służące i damy. Zamierzali podstępem wydrzeć szacownemu, poważanemu dżentelmenowi klejnoty warte fortunę. A wszystko zaczęło się od

jego spontanicznej sugestii dzisiejszego popołudnia w ogrodzie.

- Panie Smith, na pewno jest pan zmęczony i boli pana noga - odezwała się nagle

Rachel. - Chyba się pan dzisiaj trochę przeliczył z siłami. Jutro musi pan być ostrożniejszy.

Miała rację. Od pewnego czasu starał się ignorować dolegliwości, ale noga pulsowała mu coraz mocniej. Czuł zbliżający się ból głowy. Rachel wstała.

- Chodźmy - powiedziała. - Odprowadzę pana do pokoju. Uniósł brwi. Odprowadzi go? Chyba mógł tam pójść sam? Nie protestował jednak.

- Tak, Rache, idź z nim - rzuciła Geraldine. - Połóż go do łóżka i dobrze przykryj.

- Tylko zachowuj się grzecznie i nie kładź się do łóżka razem z nim - dodała Flossie. -

To szacowny przybytek, a wy jesteście małżeństwem tylko na niby.

- I nie siedź zbyt długo, kochanie - powiedziała Bridget, jakby jej dawna podopieczna przez ostatnie dwa tygodnie nie spędzała w jego pokoju prawie każdego dnia. - Zostaw drzwi otwarte.

- Och, uwielbiam historie miłosne - westchnęła Phyllis. - Nawet jeśli to romans tylko na niby.

- Z kłamstwem tak właśnie jest - odezwał się Alleyne, jak tylko znaleźli się z Rachel z dala od reszty towarzystwa. - Rozrasta się do niebotycznych rozmiarów, niczym śnieżka, która pociąga za sobą lawinę. Czy nie przeraża pani całe to przedsięwzięcie?

Weszli do jego pokoju i Rachel przymknęła drzwi.

- Przeraża mnie wszystko, co usłyszałam, począwszy od dzisiejszego popołudnia -

odparła Rachel. - Ale nie powstrzymam ani pana, ani moich przyjaciółek. Pan pomoże mi zapewnić im szczęście. Powinny zerwać z życiem, które dotąd wiodły. Wbrew pozorom nie są zepsute ani nieokrzesane. Panie Smith, to moje przyjaciółki. Jeśli nawet zostaniemy zdemaskowani, to i cóż z tego? Gorzej już być nie może, prawda? Wuj i tak będzie musiał

wydać mi klejnoty, jak tylko skończę dwadzieścia pięć lat.

- Powinniśmy posłuchać ich rady - powiedział. - Od tej chwili musisz się do mnie zwracać: „Jonathanie”, a ja do ciebie: „Rachel”. Mamy wyglądać na dwoje głęboko w sobie zakochanych ludzi, a nie na parę, która zachowuje się wobec siebie sztywno i oficjalnie.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Dobrze - odparła. - Ale jedna rzecz musi być między nami jasna, panie... Jonathanie.

Ostatnia noc nie może się powtórzyć. Nie będzie żadnego flirtu, ani z mojej, ani z twojej strony. Możliwe, że już jesteś żonaty. Nawet gdybyś nie był, na pewno nie chciałbyś wziąć ślubu, zanim nie przypomnisz sobie swego dawnego życia. A ja nie chcę mieć męża.

Wydawało mi się, że go potrzebuję, gdy spotkałam Crawleya. Jednak od chwili, gdy się od niego uwolniłam, uświadomiłam sobie, że moja niezależność jest zbyt cenna, bym miała z niej tak łatwo zrezygnować.

- Poza tym, ostatniej nocy oboje doznaliśmy rozczarowania - stwierdził, nie chcąc, by do niej należało ostatnie słowo.

- Tak. - Zarumieniła się ze wstydu.

- Nie będziemy zatem flirtować ze sobą na osobności, choć publicznie powinniśmy sobie okazywać gorące uczucie - stwierdził.

Uciekła spojrzeniem w bok. Uświadomił sobie, że nieźle się bawi. Ale był też bardzo zmęczony i czuł ból w całym ciele. Usiadł na łóżku i oparł kule u wezglowia. Rachel chciała mu pomóc, ale powstrzymała ją gestem.

- Nie ma potrzeby, abys nadal pomagała mi przy każdej czynności - powiedział. -

Prawdę mówiąc, wolałbym, żebyś od tej chwili trzymała się ode mnie z daleka.

Pobladła nagle.

- Doskonale - odparła. - Przyślę tu sierżanta Stricklanda. Odwróciła się na pięcie i

wyszła bez słowa. Alleyne podejrzewał, że nie tylko jest niedoświadczona, ale wręcz do bólu niewinna. Przed chwilą chyba go nie rozumiała. Myślała, że nie może znieść jej dotyku. W zasadzie miała rację, ale przyczyna była zupełnie inna, niż sobie zapewne wyobrażała. Nadal był na nią zagniewany. Ale nie był martwy. Wydawała mu się najpiękniejszą, najbardziej ponętą kobietą, jaką, z tego co pamiętał, dotąd widział.

Teraz, gdy było już za późno, przyszło mu do głowy, że wymyślenie maskarady, która wymaga, aby przebywał bardzo blisko Rachel, to chyba najgłupsza rzecz, jaką zrobił w życiu.

A przypuszczalnie popełnił niejedno głupstwo!

Kto by pomyślał, że jeden upadek z konia narobi w jego życiu tyle zamieszania?

Usiłował przygotować się do snu, gdy zjawił się sierżant Strickland, żeby mu pomóc.

- Przyzwójcie się pan zachował, sir - powiedział. Pomógł Alleyne'owi zdjąć surdut i podniósł mu nogi na łóżko. - Proszę wybaczyć, że narzucam się ze swoim zdaniem, choć pan o nie nie pytał.

- Dziękuję, Strickland - odrzekł Alleyne. - A skoro jest pan przyzwyczajony do wygłaszania swoich opinii niezależnie od tego, czy ktoś o nie pyta, czy nie, nie musi pan przeproszać za każdym razem, gdy się to panu zdarzy.

- Dziękuję, sir - powiedział sierżant, pomagając Alleynowi zdjąć spodnie. - Trochę się panu rozluźnił bandaż. Chce pan, żebym go poprawił?

- Tak, proszę - rzucił Alleyne. - Pan chyba rozumie, że moje małżeństwo z panną York będzie zupełnie fikcyjne, prawda?

- Rozumiem tyle, sir, że postanowił pan zostać mężem i opiekunem tej damy, nieważne czy na niby, czy naprawdę - ciągnął Strickland. - Jest pan dżentelmenem, a dżentelmen nie zrywa tego rodzaju znajomości, chyba że chce tego rzeczona dama. Więc to niezupełnie jest fikcyjne małżeństwo. Przyzwójcie się pan zachował, zwłaszcza że ostatniej



nocy pannę York tak rozboleła tutaj głowa, że aż rozpuściła włosy. Następny ruch należy do niej, prawda? To ona zdecyduje, czy małżeństwo będzie prawdziwe. To znaczy, gdy pamięć już panu wróci i dowie się pan, czy jest żonaty, czy nie.

- Dziękuję, sierżancie - skwitował krótko Alleyne. Jego nowy lokaj zdjął mu właśnie bandaż i zwijał go, by ponownie okręcić nogę. Alleyne zauważył, że mimo lekkiej opuchlizny rana goiła się całkiem ładnie. - Należał mi się wykład o obowiązkach dżentelmena.

- Nie, sir, ja po prostu za dużo gadam - zaproponował Strickland. - Nie ma tu gangreny, prawda? Za jakiś tydzień lub dwa będzie pan zupełnie zdrowy. Choć zdaje się, że o wiele dłużej potrwa zanim w pełni odzyska pan władzę nad sobą.

Sierżant skończył bandażować nogę i się wyprostował. Alleyne spojrzał na niego z namysłem.

- Strickland, czy byłby pan skłonny pożyczyć mi połowę pańskich pieniędzy? - spytał.

Sierżant stanął na baczność i odparł bez wahania:

- Sir, próbowałem wymyślić jakiś sposób, by zaproponować panu choć część pieniędzy, tak by się pan nie obraził. Nie jest tego zbyt wiele, ale dżentelmen powinien dysponować jakąś gotówką. To nie w porządku, żeby oglądał się na damy, nawet gdy zechce napić się piwa. To nie musi być pożyczka. Podzielę się z panem. Starczy dla nas obu.

- A jednak potraktujemy to jako pożyczkę - oświadczył stanowczo Alleyne. - Mam nadzieję, że krótkoterminową. Jak dobrze zna pan Brukselę? Czy stacjonował pan tutaj przed bitwą? Gdzie mógłby się udać dżentelmen, by grać o duże stawki? Oczywiście poza tym domem.

- W karty? - sierżant pomagał Alleyne'owi zdjąć resztę ubrania i założyć koszulę nocną. - Znam jedno czy dwa miejsca, ale nie takie, w których mógłby się pokazać ktoś z towarzystwa.

- To nieważne - odparł Alleyne. Szansa, że zostanie rozpoznany, jeśli uda się w miejsce uczęszczane przez arystokrację, była kusząca. Z drugiej strony mogło to teraz tylko skomplikować sprawy, skoro obiecał pojechać z Rachel do Anglii. - Niech pan mi poda adres.

- Zamierza pan zagrać, sir? - spytał Strickland. Wsunął Alleyne'owi poduszkę pod nogę, co natychmiast przyniosło mu ulgę. - Czy pan pamięta, jak się gra?

- Dziwna sprawa z tą utratą pamięci - powiedział Alleyne. - Przynajmniej w moim przypadku. Pamiętam wszystko z wyjątkiem szczegółów dotyczących mojej własnej osoby.

- Szczęściło się panu w kartach, sir? - spytał sierżant.

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Taką mam jednak nadzieję. Jeśli nie, to wkrótce w Chesbury Park pojawi się u boku żony pewien żenująco zubożały dżentelmen. I oprócz długu wdzięczności u tych dam, będę miał jeszcze potężny dług honorowy u pana.

- Ale poszczęściło się panu w miłości - rzucił sierżant wesoło, najwyraźniej głęboko przekonany, że to małżeństwo na niby wkrótce przerodzi się w prawdziwy związek, na dodatek z miłości. - Uznajmy to za dobry znak, sir. Dowiem się, które miejsce będzie najbardziej odpowiednie. Od czasu bitwy mogło się tu trochę pozmieniać. Jeśli wolno, pójdę z panem, sir. Żeby mieć na wszystko baczenie. Znaczy się, gdyby ktoś próbował jakichś paskudnych sztuczek, choć raczej się tego nie spodziewam. Sam też spróbuję szczęścia.

- Zgoda - powiedział Alleyne. - Cóż to, jest jeszcze wcześnie, a już mnie pan skazuje na ciemność i sen?

Sierżant zdmuchnął świece i ruszył do drzwi.

- Pan jest zmęczony, sir - rzucił Strickland. - Panna York tak powiedziała, choć sam też to zauważyłem.

Oto położyli mnie do łóżka jak dziecko, pomyślał Alleyne. A pora jest tak wczesna, że inni mężczyźni dopiero wyruszają szukać nocnych rozrywek. Żałował, że nie pamięta ani

jednego wieczoru, gdy sam to robił. Pragnął wydobyć choć jedno wspomnienie zza grubej kotary, która tak nieustępliwie broniła dostępu do jego dawnego życia. Tylko jedno. A wtedy cała reszta powróci szeroką falą. Był tego pewien. W oczekiwaniu na sen nie mógł się zabawiać wspomnianiem przeszłości. Zaczął więc na nowo przeżywać kilka minionych godzin.

Wkrótce cicho chichotał pod nosem.

Rachel szczerze wątpiła, że uda się jej rozpoznać wuja, gdy wreszcie go zobaczy.

Ostatni raz widziała go, kiedy miała sześć lat. Wtedy wydawał się jej wysoki, szeroki w ramionach, silny, miły i godzien zaufania. Wkrótce jednak wspomnienia o nim stały się gorzkie.

Powóz podskoczył w koleinie drogi, wzbijając fontannę błota. W wąskiej przestrzeni między siedzeniami Rachel niechcący trąciła kolanem nogę Jonathana. Na szczęście nie tę ranną. Zresztą rana szybko się goiła. Minęło dwa i pół tygodnia od chwili, kiedy zaczął się poruszać o kulach, teraz mógł już stawać na nodze, choć gdy chodził, nadal podpierał się laską.

Rachel pospiesznie się przesunęła. Spojrzała mu w oczy, a potem odwróciła wzrok, udając, że chciała tylko popatrzeć na krajobraz za oknem. Oboje dotrzyмали umowy, którą zawarli tamtego dnia, gdy Jonathan zasugerował maskaradę i starali się nie przebywać ze sobą sam na sam. Zamienili ledwie parę słów.

W jego towarzystwie czuła się skrępowana. Nadal nie mogła uwierzyć w to, co się stało tamtego okropnego wieczoru. To się nie powinno wydarzyć! Musiało się jej to przyśnić. Zaraz jednak przesuwały się jej przed oczami wyraziste bezwstydnne obrazy ich obojga. Miała wtedy ochotę wskoczyć do pierwszej z brzegu kałuży, by się ukryć na jej dnie i ochłonać.

Co gorsza on z każdym dniem nabierał sił i zdrowia. I stawał się bardziej męski i przystojny, i... w ogóle. Nawet gdybym rozmyślała sto lat, nie potrafiłabym przewidzieć, że moje życie przybierze taki obrót, pomyślała, chwytając za rączkę nad jej ramieniem, gdy powóz znów podskoczył na wybojach. To zbyt dziwaczne. Wstrząsy obudziły Bridget.

Usiadła i poprawiła kapturek.

- Omal nie zasnęłam - rzuciła.

- Naprawdę ładnie teraz wyglądasz - powiedziała Rachel.

- To dlatego, że przypominam stateczną matronę, kochanie - odparła Bridget załośnie.

- To dlatego, że znów wyglądasz jak moja dawna niania - Rachel ścisnęła jej rękę.

Flossie, Phyllis i Geraldine jechały za nimi w drugim powozie razem z sierżantem

Stricklandem. Wszystkie cztery kobiety przed wyjazdem z Brukseli porzuciły krzykliwe

kolorowe stroje i ubrały się z niemal komiczną przyzwoitością. Bridget, z twarzą bez cienia

makijażu i włosami w nieciekawym, brązowym kolorze, wyglądała tak, jak ją Rachel

zapamiętała z dzieciństwa. Wydawała się też młodsza, choć pewnie sama nigdy by tego nie

przyznała.

Jonathan prezentował się wręcz nieprzyzwoicie elegancko. Miał kosztowne ubranie. I

miął pieniądze. Rachel nie wiedziała, jak je zdobył. Choć oczywiście nie musiała się

specjalnie wysilać, żeby zgadnąć. Parę razy wyszedł z domu z sierżantem Stricklandem. Za

drugim razem wrócił z laską i kufrem pełnym nowych ubrań i butów. Zamówił też obfitość

jedzenia dla wszystkich domowników. Zapłacił nawet za swoją i Rachel podróż do Anglii,

choć ona miała najszczerzy zamiar zwrócić mu pieniądze, jak tylko dostanie klejnoty i część

z nich sprzeda. I to on, już w Anglii, wynajął dla nich konie i powozy.

Jeśli w swoim dawnym życiu był nałogowym hazardzistą, to najwyraźniej nie wyszedł

z wprawy. Wygrał chyba pokaźną sumę.

Rachel nienawidziła hazardzistów. Jej ojciec był jednym z nich. To dobrze, że nie

zakochała się w Jonathanie, że ich małżeństwo było tylko fikcją. Hazardziści nie byli

odpowiedzialnymi mężami ani opiekunami rodzin. To zresztą za mało powiedziane. Zdarzały

się im chwile ogromnego dobrobytu i szalonej rozrzutności, a po nich następowały tygodnie i

miesiące skrajnego ubóstwa i ukrywania się przed wierzycielami.

Oczywiście Jonathan miał jeszcze inne wady. Który dżentelmen wpadłby na tak

szalony pomysł, a do tego jeszcze wprowadził go w życie i realizował go z takim entuzjazmem? Godzinami omawiał szczegóły z nią i jej przyjaciółkami. I zawsze wyglądało na to, że doskonale się bawi.

Ma takie piękne oczy, pomyślała ze złością. A gdy iskrzą się w nich figlarne błyski, stają się niemal świetliste. Spojrzała na niego i zauważyła, że wpatruje się w nią uważnie.

- Niedługo dojedziemy - powiedział.

Na ostatnim postoju, przy zmianie koni, zapewniono ich, że następna nie będzie już potrzebna. Przez chwilę Rachel pragnęła znaleźć się jak najdalej od Chesbury Park. Miała wrażenie, że żołądek podchodzi jej do gardła. Czowała, że ogarnia ją panika. Do licha, co ona wyprawia?

Jak to co? Chce dostać to, co jest jej własnością, co zostawiła jej matka. Zresztą teraz było już za późno na zmianę planów. Ze spojrzenia Jonathana wyczytała, że wie, jak bliska jest ucieczki. W jego spojrzeniu czaił się uśmiech. To też ją złościło. Jakim cudem uśmiech tak rozświetlał jego oczy, gdy cała twarz była poważna? Na pewno wie, jak pociągająco przy tym wygląda.

- Czy okolica wydaje ci się znajoma? - spytała.

- To Anglia - odparł, wzruszając ramionami. - Rachel, nie zapomniałem ojczystego kraju, tylko miejsc, które są mi najbliższe.

Prawie nie słyszała jego odpowiedzi. Powóz minął kutą, żelazną bramę. Uświadomiła sobie, że wjeżdżają do Chesbury Park. Żwirowy podjazd wił się wśród starych dębów i kasztanowców. Park wydał się Rachel zatrwazająco wielki i dostojny. Na nowo uderzyła ją zuchwałość czynu, który zamierzają popełnić.

W prześwitach między drzewami widać było imponującą rezydencję z szarego kamienia, o wiele okazalszą niż się Rachel spodziewała. Więc to tutaj dorastała jej mama?

Właśnie stąd pochodziła? Dom otaczały obszerne trawniki, na których rosły samotne drzewa.

Po jednej stronie domu dostrzegła duże jezioro, przed frontem ciągnęły się klomby.

Dopiero gdy powóz minął jezioro, skręcił przy stajniach i wjechał na podjazd przed

domem, Rachel przyszło do głowy, że wuj może być nieobecny. Jakiż byłby to cios dla ich

planu! Niemal miała nadzieję, że tak właśnie będzie. Tyle że znaleźliby się wówczas w

nieznanej okolicy, w środku Wiltshire, w zasadzie bez grosza i bez pomysłu, co robić dalej.

Jonathan pochylił się do przodu i oparł rękę na jej kolanie.

- Spokojnie - powiedział. - Wszystko będzie dobrze.

Podskoczyła na siedzeniu, ale bynajmniej się nie uspokoiła. Powóz zatrzymał się u

stóp szerokich kamiennych schodów, biegnących ku dużym, podwójnym drzwiom. Te jednak

pozostały zamknięte. Nikt nie wybiegł na powitanie przybyłych. Żaden stajenny nie przyszedł

zająć się końmi. Woźnica zeskoczył z kozła, otworzył drzwiczki i wystawił schodki. Do

dusznego wnętrza pojazdu wdarło się świeże, letnie powietrze. Jonathan ostrożnie wysiadł i

opierając się mocno na lasce, pomógł wsiąść Rachel.

Reszta towarzystwa wysiadała z drugiego powozu. Geraldine i sierżant Strickland

pozostali dyskretnie z boku. Geraldine mimo gładkiej, szarej sukni i płaszcza oraz dużego

czepka nadal wyglądała na ognistą włoską aktorkę. Było jasne, że służące od pierwszej chwili

ją zniechęcają, a służący zapewne się o nią pobijają. Sierżant Strickland z czarną przepaską na

pustym oczodole i żółtymi śladami sińców na twarzy rzeczywiście wyglądał jak pirat.

Flossie i Phyllis ruszyły na spacer wzdłuż tarasu, podczas gdy Jonathan pomagał

wsiąść Bridget. Phyllis wyglądała jak stateczna mężatka, której nigdy nawet w głowie nie

powstała nieprzyzwoita myśl. Jasne loki Flossie zostały ujarzmione pod zgrabnym czarnym

kapturkiem. Odziana w skromną czerń kobieta, wyglądała krucho, pięknie i szacownie,

niczym żona pastora.

- Bridge, nadal nie mogę przywyknąć do tego, że nie muszę już mrużyć oczu, gdy

patrzę na twoje włosy - powiedziała Phyllis.

- Rachel, poszczyp sobie policzki - poradziła Flossie. - Jesteś blada jak zjawa.

Jonathan ujął rękę Rachel i wsunął sobie pod ramię. Wzdrygnęła się zaskoczona.

Uśmiechnął się do niej. Patrzył na nią z sympatią i uwielbieniem.

- Zaczynamy przedstawienie - szepnął.

- Tak. - Uśmiechnęła się do niego olśniewająco.

Poprowadził ją po schodach i zastukał w drzwi gałką laski. Upłynęła cała minuta, a przynajmniej tak im się wydawało, zanim otworzył im podstarzały odźwierny. Patrzył to na jedno, to na drugie, jakby każde z nich miało dwie głowy.

- Pani Streat, pani Leavey, panna Clover oraz pan Jonathan Smith z żoną, z domu panną Rachel York, z wizytą do barona Weston - oznajmił Jonathan rzeczowo, wręczając służącemu wizytówkę. - Czy pan baron jest w domu?

- Zobaczę, sir - odparł obojętnie służący. Odsunął się jednak z przejścia, żeby mogli wejść do środka.

Jonathan pamiętał nawet o tym, by zamówić sobie wizytówki.

Podłoga w holu została ułożona w białą - czarną szachownicę. Rzędy wysokich, spiralnie skręconych kolumn podtrzymywały sufit ozdobiony wizerunkami aniołków i cherubinów. We wnękach w ścianach, na kamiennych postumentach stały marmurowe popiersia, patrząc na przybyłych surowym, martwym spojrzeniem. Na wprost drzwi wejściowych biegły w górę wspaniałe szerokie schody, które na wysokości pierwszego piętra rozdzielały się na dwie strony. Oświetlał je wielki żyrandol.

Rachel pomyślała, że hol został zaprojektowany tak, by zrobić wrażenie na gościach.

W jej przypadku na pewno się to udało. Służący zniknął na piętrze. Rachel zawsze sobie



wyobrażała Chesbury Park jako duży dom, otoczony sporym ogrodem. Nie spodziewała się okazałej rezydencji ani - wbrew nazwie rozległego parku. Po raz pierwszy zrozumiała ogrom buntu swej matki, gdy uparła się wyjść za papę, mimo sprzeciwu wuja Richarda. Uciekła z tego domu do ciasnych, ciemnych mieszkań, jakie zwykle wynajmowali w Londynie.

- Ten dom jest ogromny - wyszeptała Phyllis.

Rozglądali się dookoła z wyraźnym podziwem. Wszyscy z wyjątkiem Jonathana, jak zauważyła Rachel. Patrzył z zaciekawieniem, ale czuł się tu zupełnie swobodnie. Czy to oznaczało, że przywykł do takich wnętrz?

Po długiej chwili, która wydawała się wiecznością, służący zjawił się z powrotem i poprosił, by poszli za nim. Poprowadził ich na drugie piętro. Przez wysokie podwójne drzwi, znajdujące się na wprost schodów, weszli do salonu. Na ścianach, obitych brokatem w kolorze czerwonego wina, wisały portrety i pejzaże w ciężkich, złotonych ramach.

Kasetonowy sufit ozdabiała pełne przepychu sceny z mitologii greckiej. Wysokie okna udekorowano obfitymi, aksamitnymi zasłonami. Niemal całą podłogę pokrywał perski dywan. Ciężkie, złocene meble rozstawiono w kilku miejscach w taki sposób, by skupić wzrok na wielkim, pięknie rzeźbionym marmurowym kominku.

Przy kominku, zwrócony plecami do niego, stał mężczyzna. Nie był chyba stary, choć taki się na pierwszy rzut oka wydawał. Szczupły, poszarzały na twarzy i zgarbiony. Jednak nawet gdyby się wyprostował, byłby zaledwie średniego wzrostu. Rachel nie widziała swego wuja od szesnastu lat i teraz bacznie mu się przyglądała. Był zupełnie inny, niż go zapamiętała. Czy to mógł być on?

Patrzył na nią bystrym spojrzeniem spod siwych, krzaczastych brwi. Podeszła bliżej i złożyła przed nim głęboki, formalny ukłon. I wtedy go rozpoznała. Przypomniała sobie te oczy, które zawsze patrzyły wprost na nią. Wielu dorosłych w ogóle nie zauważało dzieci.

- Wuj Richard? - Zastanawiała się, czy powinna podejść jeszcze bliżej niego i pocałować go w policzek. Za długo się jednak wahała i odpowiedni moment minął. Zresztą wydawał jej się zupełnie obcy, nawet jeśli był jej jedynym żyjącym krewnym.

- Rachel? - Wuj kiwnął głową uprzejmie, ale obojętnie. Ręce trzymał założone na plecach. - Jesteś podobna do matki. Wyszłaś więc za mąż, tak?

- Tak - potwierdziła. - Zaledwie przed tygodniem, w Brukseli, dokąd pojechałam jeszcze przed bitwą pod Waterloo. - Rachel odwróciła głowę i uśmiechnęła się ciepło do Jonathana, który stanął u jej boku.

- Wuju Richardzie, pozwól, że ci przedstawię sir Jonathana Smitha. Jonathanie, to baron Weston. Panowie wymienili ukłony.

- Zanim wyszłam za mąż, mieszkałam w Brukseli z moimi najbliższymi przyjaciółkami - ciągnęła Rachel. - A ponieważ one również w tym tygodniu wracały do Anglii, były tak miłe, że dotrzymały nam towarzystwa w drodze tutaj. Czy pozwolisz, że je przedstawię? Pani Streat, jej Szwagierka pani Leavey i panna Clover, która była tak miła, że towarzyszyła mi jako przyzwoitką, gdy opuściłam posadę u lady Flatley.

Nastąpiły ukłony i dygnięcia.

- Phyllis i ja wręcz upierałyśmy się, by towarzyszyć naszej młodej przyjaciółce aż do pańskiego domu i dopiero potem ruszyć dalej - wyjaśniła Flossie. - Choć oczywiście nie było takiej potrzeby, skoro jest już mężatką i towarzyszy jej nasza droga Bridget. Ale my ją tak lubimy.

Dziwnym trafem udało się jej wyglądać uroczo, a równocześnie sprawiać wrażenie zmęczonej, jakby przyjazd tutaj był wielkim wysiłkiem i bohaterskim poświęceniem.

- Tłumaczyłyśmy naszej drogiej Rachel, że baron Weston na pewno będzie na nas zły, jeśli porzucimy ją natychmiast po przybyciu do Anglii - dodała Phyllis z łaskawym

uśmiechem, niczym królowa obdarzająca uwagą prostaka. - Choć zdaje się, że nie byłby pan zbyt zagniewany, skoro Rachel jest już mężatką. Nadal trudno nam w to uwierzyć, prawda, Floss... Floro? Takie szaleńcze, romantyczne zaloty, a potem wzruszająca ceremonia zaślubin.

- Zechcą panie usiąść - zaproponował wuj Rachel. - Pan też, Smith. Za chwilę podadzą nam podwieczorek. Każę dla wszystkich państwa przygotować pokoje. To nie do pomyślenia, by miały panie kontynuować podróż, zanim porządnie nie odpoczną.

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony, milordzie - powiedziała Flossie. - Nie nawykłam do podróży i muszę przyznać, że jestem bardzo zmęczona, po kilku dniach spędzonych w drodze.

- A ja wymiotuję, ilekroć tylko cienkie deski pokładu oddzielają mnie od przepastnych głębi oceanu - dodała Phyllis. - Przypuszczam, że powinnam powiedzieć, iż cierpię na chorobę morską. Jestem jednak znana z tego, że nie przebieram w słowach, prawda, Floro?

Rachel usiadła na kanapie, Jonathan tuż przy niej. Spotkali się wzrokiem. W jej oczach czaił się grymas, w jego spojrzeniu był śmiech. Jak dotąd doskonale odegrał rolę szacownego dżentelmena. Rachel miała nadzieję, że Flossie i Phyllis nie będą za dużo mówić.

Po chwili znów spojrzała na wuja. Przyglądała mu się z troską. Więc to był ten wysoki, silny i roześmiany mężczyzna, którego pamiętała z dzieciństwa? Nawet jeśli wziąć pod uwagę to, że była bardzo mała i patrzyła na niego oczami dziecka, to bardzo się zmienił przez ostatnie szesnaście lat. Wydawał się chory. Chory, wymizerowany i słaby.

Myślała, że przyjedzie tu, by stawić czoło silnemu, gniewnemu, upartemu mężczyźnie. Kомуś, kogo będzie mogła bez wyrzutów sumienia oszukać i pokonać.

Nienawidziła tego, że wydaje się taki kruchy. Niepokoiło ją to, była nawet trochę przestraszona. To jej jedyny żyjący krewny. Jedyny człowiek, dzięki któremu nie czuła się zupełnie sama na świecie. Jakże absurdalna była ta myśl. Przecież przez dwadzieścia dwa lata

prawie nie utrzymywali ze sobą kontaktów. Widzieli się zaledwie przez kilka dni, gdy miała sześć lat. Później przysłał jej dwa listy, w obu odmawiając jej tego, o co prosiła. Mimo to czuła niepokój.

Alleyne cieszył się z powrotu do Anglii. Miał wrażenie jakby znalazł się w domu, choć nie miał pojęcia, gdzie dokładnie mieszka. Dobrze się czuł w tym miejscu, choć okolica nie wydawała się mu znajoma, podobnie jak baron Weston. Zastanawiał się jednak, czy baron nie rozpozna jego. Oczywiście, gdyby tak się stało, sprawy bardzo by się skomplikowały.

Weston okazał się zupełnie inny, niż Alleyne to sobie wyobrażał. Nie był obcesowym, brutalnym despota, chociaż, jak to zwykle chorzy, mógł jeszcze stać się drażliwy i dość nieprzyjemny. A najwyraźniej był chory. Niemniej Alleyne czuł się podekscytowany wyzwaniem, teraz gdy wreszcie zaczęli grę. Ostatnie dwa tygodnie, gdy czekał, aż noga na tyle mu się zagoi, by mógł znieść podróż, zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

Zauważył, że Rachel wygląda na zaniepokojoną. Nic dziwnego. To był jej wuj, jedyny krewny. Alleyne ujął rękę, oparł ją sobie na rękawie i przykrył dłonią. Flossie oświadczyła, że dom jest piękny i że nader przypomina rezydencję jej szwagra w Derbyshire. Dom brata Phyllis, co musiała sobie nagle uświadomić.

- Prawda, Phyllis? - spytała, uśmiechając się uprzejmie.

- Floro, dokładnie to samo sobie pomyślałam - potwierdziła Phyllis.

- Wuju Richardzie, jak się czujesz? - spytała Rachel, pochylając się lekko ku niemu.

- Całkiem dobrze - odparł Weston i usiadł na krześle przy kominku. Alleyne miał wrażenie, że baron niemal stoi nad grobem. - Rachel, to wszystko wydarzyło się chyba dosyć niedawno, prawda? Pojechałaś do Brukseli jako dama do towarzystwa lady Flatley. Czy znałaś już wtedy Smitha?

- Tak - odparła. To oczywiście było częścią wymyślonej przez nich historii. -

Poznaliśmy się w zeszłym roku w Londynie, krótko po śmierci papy A potem spotkaliśmy się znów w Brukseli i wtedy Jonathan zaczął się o mnie starać. Gdy lady Flatley postanowiła wracać do Anglii przed bitwą pod Waterloo, Bridget zaproponowała, żebym zamieszkała wraz z nią i jej przyjaciółkami.

- Bridget jest naszą najdroższą przyjaciółką - powiedziała Flossie, na wypadek gdyby Weston nie zrozumiał, że łączy je bardzo bliska więź.

- Bridget była moją nianią przez sześć lat po śmierci mamy - wyjaśniła Rachel. -

Ucieszyłam się, gdy spotkałyśmy się ponownie w Brukseli i z radością przyjąłam jej zaproszenie, zwłaszcza że poparły je Flora i Phyllis. A potem Jonathan przekonał mnie, żebyśmy się pobrali przed powrotem do domu.

Weston przyglądał się bacznie Alleyne'owi. Zanim jednak zdążył powiedzieć choć słowo, podano podwieczorek. Phyllis bez pytania zajęła się nalewaniem herbaty i podawaniem filiżanek.

- Milordzie, doszliśmy do wniosku, że powinnam towarzyszyć lady Smith w podróży tutaj, ponieważ jest mężatką dopiero od niedawna - powiedziała Bridget. - A Flora i Phyllis nie mogły się oprzeć pokusie, żeby nie pojechać razem z nami.

Alleyne nadal czuł rozbawienie na widok ładnej, przyzwoicie wyglądającej młodej damy, która mówiła głosem Bridget Clover, poznanej przez niego w Brukseli.

Tymczasem Weston znów skupił na nim spojrzenie.

- A pan, Smith? - spytał. - Kim pan właściwie jest? Smith to dosyć popularne nazwisko. Jest kilku wywodzących się z dobrego rodu w Gloucestershire. Czy właśnie stamtąd pan się wywodzi?

- Raczej nie, sir - odparł Alleyne. - Pochodzę z Northumberland. Prawie cała moja rodzina mieszka tam od wielu pokoleń. Northumberland to, pomijając Szkocję, najdalej

wysunięty na północ region, który zdołali wymyślić.

Alleyne wyjaśnił dalej, że dwa lata temu odziedziczył po ojcu duży, dobrze prosperujący majątek. Nie przesadnie duży, choć Geraldine i Phyllis najchętniej zrobiłyby z niego prawdziwego bogacza. Alleyne, wspierany przez Rachel, zwrócił im uwagę, że powinien pozować na dżentelmena, jakiego zaakceptowałyby Weston, ale nie może udawać kogoś bardzo znacznego, gdyż baron może nabrać podejrzeń, stwierdziwszy, że nigdy o nim nie słyszał. Alleyne opowiadał właśnie, że pojechał do Brukseli, ponieważ stacjonował tam wraz ze swym pułkiem jego kuzyn.

- I oto tam znów spotkałem Rachel - zakończył, odwracając się do niej z czułym uśmiechem. Przykrył jej dłoń swoją. - Nie zapomniałem jej. Jakże bym mógł? Zakochałem się w niej, kiedy tylko znów ją ujrzałem.

Ciekawe, że zarumieniła się i zagryzła wargę.

- W całym moim życiu nie widziałam czegoś równie wzruszającego jak ten romans, rozkwitający pod czujnym okiem naszej drogiej Bridget - westchnęła Phyllis. - A także moim i Flory, milordzie.

- Pan Smith tak bardzo przypomina mi mojego ukochanego zmarłego męża - powiedziała Flossie. W jej ręce nagle pojawiła się chusteczka. - Pułkownik Streat zginął bohaterską śmiercią dwa lata temu w Hiszpanii.

Alleyne pomyślał, że Streat awansuje w oszałamiającym tempie. Dwa tygodnie temu zaczynał przecież jako kapitan. Miał nadzieję, że przyjaciółki nie posuną się za daleko w swoich kłamstwach. No, chyba że miały niezawodną pamięć. Baron odstawił pustą filiżankę.

- Muszę przyznać, że jestem rozczarowany. Rachel uznała za stosowne wyjść za mąż, nie kontaktując się ze mną. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że jest już pełnoletnia i od ponad roku może poślubić kogo zechce. Z pewnością nie potrzebowała mojego pozwolenia. Ale

miałem nadzieję, że poprosi mnie o błogosławieństwo. A gdybym zaakceptował jej wybór, wyprawiłbym jej wesele tu w Chesbury. Nie poinformowano mnie jednak o niczym. Zaczynam zatem z przegranej pozycji, pomyślał Alleyne. Weston widzi we mnie mężczyznę, którego namiętność popchnęła do zachowania się wbrew konwenansom. Nie przywiózł Rachel do Anglii, do domu, by dopiero tu wziąć z nią ślub. Nie pojechał z Rachel do Northumberland, żeby przedstawić ją swojej rodzinie. Nie przywiózł jej do Chesbury Park, by poprosić jej wuja o błogosławieństwo. Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach zacząłby się zastanawiać, dlaczego tego nie zrobił. Ale przecież baron Weston nigdy nie interesował się sprawami swojej siostrzenicy. Jego obecna troska wydawała się raczej hipokryzją, żeby nie użyć dosadniejszego słowa.

- Sir Jonathan jest tak cudownie romantyczny i spontaniczny - odezwała się Phyllis, przyciskając ręce do piersi. - Uparł się, żeby zaślubiny odbyły się Brukseli, milordzie, aby mógł przywieźć Rachel do domu już jako swoją małżonkę. Mój drogi pułkownik Leavey jest taki sam.

- I taki był pułkownik Streat - dodała Flossie. - Nalegał, żebym podróżowała z armią po całej Hiszpanii, i w lecie, i w zimie.

O, kolejny pułkownik. Ale czy Flossie nie twierdziła przed chwilą, że nie nawykła do podróży?

- Więc teraz przyjechałaś tutaj - rzucił Weston, nadal przyglądając się Alleyne'owi i Rachel. - Nietrudno zgadnąć dlaczego.

Rachel uniosła brodę do góry i spokojnie popatrzyła wujowi prosto w oczy.

- Wuju, poślubiłam dżentelmena, którego powinieneś zaakceptować, nawet jeśli wydaje ci się, że pobraliśmy się w zbytnim pośpiechu - powiedziała. - Dlaczego miałabym brać ślub tutaj? Nigdy się mną nie interesowałeś. Nigdy nie chciałeś mnie poznać. Nawet po

śmierci papy, gdy zaprosiłeś mnie tutaj, zrobiłeś to tylko po to, by wydać mnie jak najszybciej za mąż i pozbyć się mnie. Cóż, wyręczyłam cię. Przyjechałam po swój spadek, po klejnoty po mamie. Tym razem nie masz powodu mi odmówić.

Wojownicze słowa i wrogi ton zdecydowanie nie były najmądrzejszym posunięciem.

Nie uwzględniał ich żaden omówiony wspólnie plan. Alleyne jednak podziwiał Rachel za to, że nie wdzięczy się do wuja. Najwyraźniej postanowiła, że przynajmniej w swoich uczuciach będzie szczerą, nawet jeśli wszystko inne było kłamstwem. Mocniej ścisnął jej dłoń.

- Rachel, nie wiedziałem, że muszę mieć powód - odparł Weston. Rachel westchnęła.

Alleyne pogładził jej dłoń i odezwał się pierwszy.

- Sir, pańska ostrożność w sprawach siostrzenicy i wątpliwości w stosunku do mnie są zrozumiałe, a nawet wskazane - powiedział. - Nie oczekiwałem, że pan się ucieszy, gdy bez uprzedzenia zostanie postawiony przed faktem, że jesteśmy małżeństwem. W dodatku natychmiast usłyszał pan prośbę o wydanie klejnotów powierzonych pańskiej pieczy przez zmarłą panią York. Proszę pana tylko o to, by dał mi pan czas. Chciałbym udowodnić, że naprawdę jestem godzien ręki pańskiej siostrzenicy, że wybrała mnie nie tylko w porywie serca, ale też kierowana rozsądkiem. Nie jestem łowcą posagów. Nie roztrwonimy spadku Rachel. Proszę, by pozwolił nam pan tutaj zostać na próbę, w zasadzie na tak długo, jak uzna pan za stosowne. Oczywiście, nie mogę się już doczekać, by zabrać moją żonę do domu. Ale chcę też, żeby była szczęśliwa. A zdobycie pańskiego zaufania i uznania, uczyni ją szczęśliwą.

Kłopot z odgrywaniem jakiejś roli polegał na tym, że łatwo się można było w niej zatracić. Alleyne mówił teraz ze szczerym przekonaniem. A przecież każde słowo było kłamstwem. Choć rzeczywiście pragnął szczęścia Rachel.

Baron przyglądał się Alleyne'owi posępnie przez kilka niepokojąco długich chwil.



- Dobrze, Smith - odparł w końcu i kiwnął głową. - Zobaczymy, co będę o was myślał za miesiąc. Tymczasem zaniedbałem resztę moich gości. Madame, więc jak długo przebywała pani z mężem w Hiszpanii? - skierował pytanie do Flossie. Miesiąc?

Flossie z zapałem zaczęła opisywać barwne lata spędzone w Hiszpanii. Alleyne przyjrzał się uważnie baronowi. Ten człowiek jest chory, to było jasne od samego początku. W ciągu ostatnich kilku chwil jego twarz jednak wyraźnie poszarzała. Czy był to skutek spotkania z piątką niespodziewanych gości? Czy może emocji, które go ogarnęły, gdy zobaczył Rachel i odczuł jej wrogość?

A może czegoś zupełnie innego?

Alleyne zerknął na Rachel. Ona również była blada. Uśmiechnął się do niej i mrugnął. Na dobre i na złe, przez następny miesiąc będzie jej oddanym mężem. Niech to diabli, spodziewał się, że wystarczy kilka dni, najwyżej tydzień. Teraz jednak nie mieli już odwrotu, mogli tylko brnąć dalej w tę maskaradę. Uniósł ich splecione ręce i przycisnął usta do jej dłoni. Uśmiechnął się do niej czule, doskonale zdając sobie sprawę, że jego gest obserwowali wszyscy w salonie. Miał wręcz taką nadzieję.

Od ponad dwóch tygodni niemal jej nie dotykał i właśnie zdał sobie sprawę, jak rozsądnie było trzymać się od niej z daleka. Była naprawdę zbyt piękna i pociągająca, by zachował spokój ducha. Powinien uważać i ograniczyć do minimum okazywanie jej uczuć. Dobry Boże, miesiąc. Cały miesiąc. Mógł mieć pretensję tylko do siebie, prawda?

- Wszyscy lokaje wyglądają jak ropuchy, a stajenni jak szczury - oświadczyła

Geraldine. - Nie widziałam dotąd żadnego ogrodnika, więc nie tracę jeszcze nadziei, choć nie wydaje się, aby było ich tu zbyt wielu. Kucharka się dąsa, bo ma tyle dodatkowych gąb do wykarmienia.

- Och, Geraldine, jak możesz tak pochopnie osądzać - odparła Rachel ze śmiechem. - Nie ma potrzeby, żebyś mnie czesała. Sama mogę to zrobić.

Geraldine jednak zdecydowanym ruchem ujęła szczotkę i pomachała nią.

- Rache, jeśli mam udawać pokojówkę, to będę cię czesać, sznurować ci gorsety, zapinać suknie i układać wieczorem do snu - oznajmiła. - Niewiele więcej będę miała do roboty. Pan Edwards, odźwierny, opowiada całej służbie, jakie to z Floss i Phyll wielkie damy. Co tylko świadczy o tym, jak się zna na ludziach. Nie mogłam nawet zerknąć na Willa, bo wybuchnąłabym śmiechem.

- To nie żarty - powiedziała Rachel. - Mój wuj jest chory. Przywitał nas raczej chłodno, choć zachowywał się uprzejmie, zwłaszcza w stosunku do Flossie i Phyllis. Nie akceptuje mojego małżeństwa, a przynajmniej pośpiechu, z jakim zostało zawarte. Upłynie wieczność, zanim przekonamy go, że zostaliśmy z Jonathanem dla siebie stworzeni, a nasze małżeństwo jest trwałe i szczęśliwe. I że powinien przekazać mi klejnoty. Nie zanosz się na to, żebyśmy mieli w najbliższym czasie ruszyć w pościg za Crawleyem.

- Nie przejmuj się tym zanadto - odparła Geraldine, przeciągając szczotką po włosach

Rachel. - Człowiek taki jak Crawley zawsze będzie próbował swoich sztuczek, dopóki ktoś go na tym nie przyłapie. Znajdziemy go i rozprawimy się z nim, nawet jeśli przyjdzie nam czekać na to rok. Floss napisała do Londynu, żeby przesłano nam tutaj wszystkie listy.

Zresztą, to nie ty powinnaś nam zwrócić te pieniądze, Rache. Nawet jeśli to zrobisz, to

oddamy ci wszystko co do grosza. Szczerze mówiąc, przyjechałyśmy tutaj, bo nie mogliśmy się oprzeć takiej wspaniałej przygodzie. Więc nie zwracaj na nas uwagi.

Rachel siedziała nieruchomo, gdy Geraldine układała jej fryzurę. Nagle uświadomiła sobie, że między jej i Jonathana gotowniami, do których przylegały sypialnie, nie ma drzwi, jest tylko łukowato wykończone przejście. Postanowili trzymać się od siebie z daleka i zbliżać tylko wtedy, gdy wymagała tego maskarada. Myśl, że jak prawdziwe małżeństwo mieszkają w przyległych do siebie apartamentach, których nie oddzielały nawet drzwi, wydawała się dosyć krępująca. Jonathan był teraz w swoim pokoju. Sierżant Strickland pomagał mu przebrać się do kolacji. Słyszała nawet szmer ich głosów.

- Oooo, wyglądasz cudownie! - zawołała Geraldine, gdy kilka minut później skończyła czesać Rachel. - Chyba zemdleję z zachwytu.

Rachel zerknęła na nią ze zdziwieniem. Geraldine nie mówiła jednak do niej. W przejściu stał Jonathan. Geraldine wcale nie przesadzała. Ubrany był w elegancki strój wieczorowy. Włożył białą koszulę, złocistą kamizelkę i czarny frak, kremowe pantalony, białe pończochy i czarne buty. Chyba sam zawiązał sobie halsztuk, bo sierżant Strickland na pewno nie osiągnąłby takiego kunsztu. Ciemne włosy, które urosły mu przez ostatni miesiąc, zostały gładko uczesane, choć jak zwykle na czoło opadał mu jeden kosmyk.

Rachel ucieszyła się, że siedzi przy toalecie, bo na jego widok poczuła słabość w kolanach. Choć nigdy by się do tego nie przyznała, nawet gdyby łamano ją kołem. Był taki przystojny.

- Ach, cóż za wyszukana uwaga - powiedział z uśmiechem. Potem obrzucił Rachel spojrzeniem od stóp do głów. Miała na sobie bladozieloną suknię wieczorową. Uszyto ją trzy lata temu, była jednak prawie nowa, gdyż Rachel do tej pory rzadko miała okazję ją nosić. - Zatrzymamy cię jednak, Geraldine. Dokonałaś naprawdę nadzwyczajnych rzeczy z włosami

lady Smith. A może to ona sama, a nie jej uczesanie sprawia, że serce mi mocniej bije.

Właściwie nie musiał tego mówić, skoro jej wuja nie było w pobliżu. Rachel zauważyła jednak, że Jonathan mruga do Geraldine, i zrozumiała, że zabawia się jej kosztem. Wstała, obracając na palcu obrączkę, którą kupił jej, kiedy tylko dotarli do Anglii.

- To wszystko razem - odparła Geraldine. - Te złociste włosy jeszcze dodają jej urody.

Czasami żałuję, że moja matka była Włoszką. Lepiej już pójdę do Willa i dowiem się, co on myśli o tym miejscu.

Znikła w przejściu.

- A więc, Rachel? - spytał, splatając ręce na plecach.

- A więc, powinniśmy udawać, że zamiast przejścia jest tu solidna ściana - odparła, unosząc podbródek do góry.

Mimo że Geraldine i sierżant Strickland znajdowali się zaledwie o kilka kroków od nich, sytuacja wydawała się jej stanowczo zbyt intymna. Uniósł brew. Był przy tym arogancki, a jednocześnie niesamowicie przystojny.

- Milady, zejdziemy na dół? - Ukłonił się przed nią elegancko i podał jej ramię.

- Ciągle myślę o tym, że mieszkała tu moja matka, aż do siedemnastego roku życia, kiedy to uciekła z moim ojcem - powiedziała, ujmując go pod rękę. Ruszyli do drzwi. - Tu dorastała. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, znałabym to miejsce. Często bym tu z nią przyjeżdżała; spędzałabym w Chesbury Park Boże Narodzenie i wakacje, nie tylko przed, ale i po śmierci mamy. Dobrze poznałabym mojego wuja. Miałabym jeszcze jednego krewnego poza papą.

- Weston nigdy nie wybaczył twojej matce - rzucił.

- Gdy dorastałam, marzyłam o braciach i siostrach, o kuzynach i wujach albo choćby jednym wujku. - Westchnęła i zaraz poczuła się trochę głupio, że otworzyła przed nim serce.

- Rachel, mam nadzieję, że nie żałujesz tego, co robimy - powiedział. - Jest już za późno na żal, prawda? Maskarada musi trwać dalej.

- Nie żałuję - odparła. - Mój wuj tylko udawał, że pragnąłby, byśmy tu przyjechali przed ślubem, aby mógł wyprawić mi wesele. Kazał nam czekać cały miesiąc. On mnie nie kocha. Szkoda tylko, że on jest chory. Myślisz, że może umrzeć?

Ta perspektywa bardzo nadal ją martwiła, choć Rachel nie wiedziała dlaczego. Wuj nic dla niej nie znaczył. Zresztą sam był temu winien. Jonathan pogładził ją po dłoni. Flossie, Phyllis i Bridget siedziały już w salonie i rozmawiały z wujem Rachel. Wyglądały niezwykle porządnie i szacownie.

Jakże łatwo stworzyć pozory, pomyślała Rachel. Tyle że teraz trzeba je będzie utrzymywać przez cały miesiąc. Czy zostaną tu tak długo?

Wuj był nienagannie ubrany, nadal jednak wydawał się mizerny i przygarbiony.

Rachel poczuła wyrzuty sumienia, ale skarciła się za to w duchu. Gdyby wuj był w dobrym zdrowiu, na pewno by jej nie obchodziło, że go oszukuje. Czy jego choroba coś zmienia?

Przecież i tak jej nie kochał. Jej, Rachel, swej siostrzenicy, najbliższej krewnej.

Podczas kolacji oczekiwała sztywnej atmosfery, ale bardzo się pomyliła. Każdy starał się podtrzymać konwersację. Nikt też nie skomentował faktu, że jedzenie było źle przyrządzone i niemal zimne. Pod koniec posiłku Jonathan zapytał o majątek.

- Powiem rządcy, żeby pana oprowadził - powiedział wuj Richard. - Ostatnio słabo się czuję i niewiele wychodzę na zewnątrz. Drummond pokaże panu wszystko, co chce pan zobaczyć. Rachel też, jeśli ją to ciekawi, choć przypuszczam, że nie. Damy mają inne zainteresowania.

- Ależ to mnie ciekawi, wuju Richardzie - odparła poirytowana Rachel. - Niewiele wiem o życiu na wsi. Z wyjątkiem kilku ostatnich miesięcy, całe życie mieszkałam w

Londynie. Z przyjemnością dowiem się wszystkiego, jako że teraz, po ślubie z Jonathanem, będę przecież mieszkać z dala od miasta.

Wież nie byłaby jej obca, gdyby tylko wuj zaprosił ją tutaj kilka razy, gdy dorastała.

- Jeśli o mnie chodzi, to świnie, krowy i sianokosy niespecjalnie mnie interesują - oświadczyła Flossie. - Za to nie mogę się doczekać, żeby obejrzeć park. Oczywiście za pańskim przyzwoleniem, milordzie.

- Madame, będę niepokieszony, jeśli podczas pobytu w Chesbury nie poczuje się pani jak u siebie w domu - odparł.

- Sir, czy trzyma pan dużą stajnię? - spytał Jonathan. - Może mógłby mi pan użyczyć konia?

- Sir Jonathanie, czy to dobry pomysł? - odezwała się Bridget. - Pańska noga jeszcze się w pełni nie zagoiła.

Wcześniej opowiedzieli wujowi Rachel, że Jonathan został ranny w Brukseli, gdy próbował opanować konia, który poniósł na ulicy.

- Potrzebuję trochę ruchu - odparł Jonathan.

- Nie mam tak dużej stajni jak kiedyś - odparł wuj Richard. - Proszę jednak korzystać z tego, co jest.

Rachel uśmiechnęła się do Jonathana i dotknęła jego dłoni. Odgrywanie swojej roli przychodziło jej z większą trudnością niż reszcie. Powinna się jednak przyzwycząić do publicznego okazywania uczuć mężczyźnie, który jest jej niedawno poślubionym małżonkiem.

- Jonathanie, bądź bardzo ostrożny - poprosiła.

- Kochanie, musisz ze mną pojechać - odparł i uśmiechnął się do niej tak czule, że z trudem się powstrzymała, by nie odsunąć się od niego na bezpieczną odległość.

- Nie umiem jeździć konno - rzuciła. - Zapomniałeś? Na moment w jego oczach zapłonęło zdziwienie.

- Ja też nie - wtrąciła się Bridget. - Nie przejmuj się tym, Rachel.

- A ja, gdy byłam w Hiszpanii z pułkownikiem Streatem, nie tylko jeździłam konno - oznajmiła Flossie. - I nawet polubiłam te bestie.

Jonathan nakrył dłoń Rachel swoją.

- Kochanie, oczywiście, że pamiętam - odparł. - Jeśli jednak mamy spędzać czas razem, musimy szybko naprawić to zaniedbanie. Nauczysz się jeździć. Ja cię nauczę.

Zobaczyła w jego oczach znajomy figlarny błysk.

- Ależ ja nie chcę - zaprotestowała, próbując cofnąć rękę. Zacisnął na niej palce i uśmiechnął się szeroko.

- Kochanie, czy ty przypadkiem nie jesteś tchórzem? - spytał. Uniósł do ust ich splecione dłonie, tak jak to zrobił wcześniej w salonie. - Skoro mamy mieszkać na wsi, to musisz umieć jeździć konno. Jutro rano udzielę ci pierwszej lekcji.

- Jonathanie, naprawdę wolałabym nie - odparła, żałując, że nie poruszyli tego tematu wcześniej, na osobności. Mogłaby wówczas kategorycznie odmówić.

- Zobaczysz, jeszcze będziesz jeździć konno. - Posłał jej uśmiech pełen ciepła, zachwytu, czułości i... łobuzerstwa.

Westchnęła głośno. Phyllis też.

- Ach, uwielbiam patrzeć na miłość rozkwitającą na moich oczach - powiedziała. - To w jakiejś mierze koi moje serce, podczas rozłąki z moim drogim pułkownikiem Leaveyem, który musiał ruszyć na Paryż wraz ze swoją kompanią.

Rachel skrzywiła się. Pułkownik, który dowodzi zaledwie kompanią? Jednak jej wuj najwyraźniej niczego nie zauważył.

- Rachel, ty już kiedyś jechałaś konno - powiedział. - Ze mną, gdy przyjechałem do Londynu na pogrzeb twojej matki.

Nie pamiętała tego, ale kiedy tylko o tym wspomniał, natychmiast sobie przypomniała. Miała sześć lat i rozumiała, że jej matka nie żyje. Pamiętała nawet, że rozpaczliwie płakała nad grobem i ścisnęła ojca za rękę, tuląc się do nogawki jego spodni. A równocześnie, jak to dziecko, w ciągu następnych dni była szalenie szczęśliwa. Wuj Richard od rana do wieczora zabierał ją wszędzie ze sobą, pokazywał jej miejsca, których nigdy przedtem ani potem nie widziała. Zabrał ją do menażerii w Tower i na występy koni w amfiteatrze Astleya. Kupił jej lody u Guntera. Kupił jej też porcelanową lalkę, którą wkrótce potem roztrzaskał po pijanemu jeden z kompanów ojca. Ale najbardziej ekscytujące ze wszystkiego było to, że posadził ją przed sobą na koniu i pozwolił jej jechać razem z nim. Nie chciała tego pamiętać. Wuj ją potem zostawił. Odezwał się do niej ponownie dopiero wtedy, gdy miała osiemnaście lat. Napisała do niego, prosząc o wydanie klejnotów matki, gdyż ojciec od wielu miesięcy tkwił po uszy w długach i nawet skromne jedzenie na ich stole trzeba było kupować na kredyt.

- To było bardzo dawno temu - powiedziała sztywno Rachel.

- Tak - potwierdził wuj. - Bardzo dawno temu.

Był blady i mizerny. Wydawał się zmęczony. Nienawidziła go za to, że wspominał przeszłość. I za to, że jest taki słaby. Chciała rzucić się mu na szyję i łkać z żalu.

- Od dłuższego czasu nikogo nie przyjmowałem ani nie bywałem w towarzystwie - powiedział. - Musimy to naprawić. Zaproszę sąsiadów, żeby poznali moją siostrzenicę i jej świeżo poślubionego męża oraz resztę moich gości. Rachel, urządzę przyjęcie z okazji waszego ślubu, skoro już za późno na to, by odbyło się tutaj wasze wesele. Może nawet wyprawię bal.



Rachel z przerażenia szeroko otworzyła oczy. Nie przyszło jej do głowy, że będą musieli odegrać maskaradę przed kimś innym niż jej wuj. Ale też nie spodziewała się, że pozostaną tu dłużej niż kilka dni. Zaprosi gości? Uczci ich zaślubiny? Spojrzała na Jonathana, ale nie doczekała się pomocy z jego strony. Uśmiechał się do niej i patrzył na nią z... uwielbieniem.

- To wspaniały pomysł, kochanie - powiedział. - Nie będziemy musieli czekać.

Zatańczymy ze sobą, jeszcze zanim pojedziemy do Northumberland.

Tańce. Wuj Richard mówił o balu. Rachel nigdy nie była na balu, choć umiała tańczyć. Kiedy była dziewczynką, jednym z najgorętszych jej marzeń było pójść na bal. Na chwilę przerażenie ustąpiło miejsca ogromnej tęsknocie. Tu, w Chesbury, odbędzie się bal, a ona będzie gościem honorowym. I zatańczy. Z Jonathanem.

- Wuju, nie! - zawołała, wracając do rzeczywistości. - Naprawdę nie wolno ci robić tyle szumu. Nie spodziewaliśmy się czegoś takiego. Zresztą Jonathan nie może tańczyć. Nawet gdy chodzi, musi się podpierać laską.

- Ależ moja noga z każdym dniem ma się coraz lepiej - zaprotestował Jonathan.

- Bal? - powtórzyła z wielką radością Flossie. - Milordzie, pomogę panu w przygotowaniach.

- Ja też - zaofiarowała się Phyllis. - Och, jakże żałuję, że nie będzie tu z nami mojego drogiego pułkownika Leaveya, abym mogła z nim zatańczyć - westchnęła smętnie.

- Rachel, uważam, że stanowczo powinienem zrobić dużo szumu - powiedział wuj

Richard. - Jestem sam. Moja żona zmarła osiem lat temu, nie wydawszy na świat dzieci. A moja siostra miała tylko jedną córkę. Ciebie. Tak, zrobię dużo szumu.

Wydawał się wręcz uradowany tą perspektywą.

Na chwilę Rachel skupiła się na jednej myśli. Wuj Richard był żonaty? Miała ciotkę?

Poczuła smutek, jakby opłakiwała kogoś, kogo nie zdążyła poznać. Ogarnęła ją złość, że nie wiedziała, że nikt jej nigdy nie powiedział. A teraz wuj Richard chce wydać bal, bo była córką jego jedynej siostry?

Rachel wstała raptownie, wrywając dłoń z ręki Jonathana. Z hałasem odsunęła krzesło.

- Floro, Phyllis, Bridget, zostawmy mego wuja z Jonathanem - powiedziała. -

Przejdźmy do salonu.

Spojrzała na wuja, nawet nie kryjąc złości. Zauważyła, że znów poszarzał na twarzy i się zgarbił.

- Wuju, obawiam się, że wyczerpaliśmy twoje siły - rzuciła. - Wyglądasz na zmęczonego. Proszę, nie czuj się zobowiązany dołączyć do nas w salonie, by nadal nas zabawiać.

Wuj wstał jej śladem. Jonathan też.

- Może rzeczywiście położę się dzisiaj wcześniej - oznajmił. - Już teraz. Smith, niech pan będzie uprzejmy udać się wraz z paniami do salonu. Tam podadzą wam herbatę. Życzę wszystkim dobrej nocy. Do zobaczenia jutro rano.

Kilka chwil później Rachel poprowadziła wszystkich do salonu. Po prostu nie spodziewała się czegoś takiego. Nie sądziła, że poczuje emocjonalną więź z człowiekiem, którego nienawidziła od lat ani że polubi rodową siedzibę, w której jej stopa nigdy nawet nie powstała. Gdy zgodziła się na szaleńczy plan Jonathana, nie przypuszczała, że będzie ją obchodzić przeszłość, z którą dotąd nie miała nic wspólnego.

Nie wiedziała, jak głębokie były rany, zadane jej w dzieciństwie.

- Przyjadą sąsiedzi z wizytą - powiedziała Flossie, gdy znaleźli się w salonie. Opadła na krzesło z wielce zadowoloną miną. - Odbędzie się przyjęcie z okazji ślubu. Może nawet

bal. Ciekawe, co na to powie Gerry!

- Ten człowiek jest chory - rzuciła Bridget.

- Kucharce należy wypłacić pensję i odprawić ją stąd - oświadczyła Phyllis. - Nie powinno się jej wpuszczać za próg kuchni.

- Phyll, zdaje się, że częściowo właśnie w tym tkwi problem - powiedziała Bridget. -

Trzeba go trochę odkarmić zdrowym, smacznym, należycie przygotowanym jedzeniem.

- To nie do zniesienia - zawołała Rachel, stając na środku pokoju. Z bezsilności zacisnęła ręce w pięści. - Nie możemy pozwolić, żeby zjechali się tu sąsiedzi. Żeby przedstawiono im Jonathana i mnie, jakbyśmy naprawdę byli małżeństwem. Bal na naszą cześć nie może się odbyć. Musimy coś zrobić. Jonathanie, przestań się uśmiechać. Ty nas w to wpakowałeś. Znajdź teraz jakieś wyjście.

Podejrzanie szybko spoważniał i ujął ją za rękę.

- Rachel, kochanie, przecież właśnie o to nam chodziło, prawda? - powiedział. - Twój wuj akceptuje cię jako swoją siostrzenicę i uznaje nasze małżeństwo, nawet jeśli nie jest zachwycony pośpiechem, z jakim zostało ono zawarte. Daje nam znakomitą okazję, byśmy jemu i okolicznym mieszkańcom zaprezentowali się jako idealna para. Czegóż więcej moglibyśmy pragnąć?

- Rachel, on ma rację - wtrąciła się Bridget. - Baron Weston spodobał mi się bardziej, niż się spodziewałam. Wygląda na to, że z ochotą wita w tobie odzyskaną siostrzenicę i z radością przedstawi cię jako swoją najbliższą krewną.

- Czy wy nie rozumiecie, że w tym tkwi cały problem? - Rachel usiłowała zabrać rękę, ale Jonathan je przytrzymał. - Jego uczucie, jeśli on w ogóle coś do mnie czuje, to ostatnia rzecz, jakiej pragnę czy potrzebuję. Jestem tu po to, żeby go oszukać, skłonić do tego, by oddał mi moje klejnoty.

- Mogłabyś powiedzieć mu prawdę - zasugerowała Bridget. - Tak chyba byłoby

najlepiej, kochanie. Potrzebujesz swego wuja tak samo, jak on potrzebuje ciebie.

- Powiedzieć mu teraz prawdę? - spytała Rachel przerażona. - To niemożliwe.

- Bridge, jeśli Rachel to zrobi, baron Weston pewnie odwoła bal - zauważyła Flossie. -

To by była wielka szkoda.

Jonathan oparł sobie ręce Rachel na piersi i przykrył je dłońmi.

- Rachel, to ja zasugerowałem, żebyśmy tu przyjechali, ale chyba nie wziąłem pod

uwagę uczuć twoich i Westona. Czy chcesz, żebym poszedł do niego i wszystko mu wyznał?

Zrobię to, jeśli sobie tego życzysz.

Spojrzała mu w oczy, świadoma, że mówi poważnie. Decyzja należała do niej. Jeśli

chce, może tę maskaradę zakończyć już teraz. Wystarczy, że powie jedno słowo i wszyscy

znajdą się w drodze donikąd, już dziś w nocy albo jutro wczesnym rankiem. Patrzył na nią

pytająco ciemnymi oczami. Jej przyjaciółki siedziały obok siebie, wpatrując się w nią z

zapatym tchem. Jeśli teraz wyzna prawdę, nigdy więcej nie zobaczy swego wuja. Nie miała

co do tego żadnych wątpliwości.

- Już za późno - odparła, unosząc podbródek do góry. - Zresztą jest dla mnie

oczywiste, że jego plany wcale nie oznaczają, iż darzy mnie uczuciem. Nadal uważa, że ma

prawo zatrzymać to, co jest moją własnością. Zamierza nas tu trzymać cały miesiąc, tylko

dlatego, że gniewa się, bo nie spytaliśmy go o zgodę, zanim wzięliśmy ślub. Niby dlaczego

mielibyśmy to robić? Nie jest moim opiekunem, i nic dla mnie nie znaczy.

Jonathan nadal się do niej uśmiechał. Nie widziała jednak w jego oczach ani śladu

figlarnego błysku. Akurat teraz, gdy najbardziej potrzebowała jego poczucia humoru.

- A tacy z herbatą jak nie było, tak nie ma - zauważyła Phyllis. - Założę się, że wcale

się nie pojawi. Oj, mam fatalną opinię o kucharce i jej pomocnicach.

- To był długi, męczący dzień - odezwał się Jonathan, nie spuszczać wzroku z

Rachel. Nadal trzymał ją za rękę. - Może wszyscy powinniśmy pójść za przykładem Westona i położyć się spać wcześniej.

- Dobry pomysł - powiedziała Bridget i wstała.

- Poza tym, musisz jutro wcześnie wstać, kochanie - dodał Jonathan, już ze swoim zwykłym figlarnym uśmiechem. - Ranek to najlepsza pora na konną przejażdżkę.

Rachel zdecydowanym ruchem cofnęła rękę.

- Nie mam najmniejszego zamiaru uczyć się jeździć konno - oświadczyła. - Przeżyłam szczęśliwie dwadzieścia dwa lata, chodząc po ziemi. Nie mam ambicji zostać znakomitą czy choćby tylko przeciętną amazonką.

- Jesteś tchórzem - powiedział Jonathan z wesołym błyskiem w oku.

- Rachel, jazda konna to umiejętność, którą powinna posiadać każda dama - wtrąciła się Bridget. - Teraz masz wreszcie szansę się tego nauczyć.

- Pomyśl tylko jakie wrażenie zrobisz na baronie, gdy wstanie jutro rano i zobaczy was oboje zajętych nauką jazdy konnej - dodała Flossie.

- Choć jeśli nie chcesz, żeby sir Jonathan cię uczył, to ja z przyjemnością skorzystam z jego propozycji.

- Flossie, przecież ty już jesteś doświadczoną amazonką - przypomniał jej Jonathan z uśmiechem. - Przemierzyłaś z pułkownikiem Streatem całą Hiszpanię.

- No cóż, ale może jeszcze czegoś się od ciebie nauczę? - rzuciła, trzepocząc rękami.

- Rachel, będziecie tak romantycznie wyglądać, jadąc ramię w ramię w promieniach porannego słońca - westchnęła Phyllis.

- Kochanie, nie zmuszaj mnie, bym na serio nazwał cię tchórzem - powiedział Jonathan.

- Nie bój się, ona na pewno wstanie - obiecała Flossie, podnosząc się z krzesła. - Jeśli nie zechce wychylić nosa spod kołdry z własnej woli, pošlę do niej Geny, żeby wylała na nią dzbanek zimnej wody.

- A jeśli nie zrobi tego Geraldine, ja sam się tym zajmę - oznajmił Jonathan.

- Możecie mnie nawet siłą zaciągnąć do stajni - stwierdziła Rachel, z oburzeniem spoglądając na rozbawione towarzystwo. - Ale i tak nie zmusicie mnie, żebym wsiadła na konia. Zapewniam was.

Zignorowali jej protesty. Wesoło życzyli sobie dobrej nocy i ruszyli do swoich pokoi.

Rachel wiele by dała, żeby znaleźć się z powrotem w swoim pokoiku na poddaszu na ulicy rue d'Arenberg w Brukseli. Była jednak w Chesbury Park, w rodzinnym domu matki, w siedzibie rodowej swych przodków.

Allayne wstał o świcie; miał za sobą niespokojną noc. Przede wszystkim dlatego, że choć między sypialniami jego i Rachel były dwie gotowalnie, to nie dzieliły ich żadne drzwi. Ostatniego wieczoru Rachel w bladozielonej sukni, z włosami kunsztownie ułożonymi przez Geraldine, wyglądała szczególnie pięknie. Trochę go irytowało, że tak niesamowicie go pociąga akurat teraz, gdy z determinacją starał się zachowywać wobec niej obojętność. Choć właściwie trudno się temu dziwić, jeśli wziąć pod uwagę, że spędzili ze sobą noc. Gdyby to tylko było możliwe, Allayne wolałby zapomnieć o tym incydencie. Nie miał jednak zbyt wielu wspomnień, które mogłyby przesłonić tamtą noc.

Gdy w końcu zasnął, spoczynek zakłócały mu poplątane sny, które wydawały się realne, dopóki nie próbował przywołać ich na jawie. Ten o liście i kobiecie, czekającej przy bramie Namur już znał. Pojawił się jednak nowy. Pamiętał z niego tylko fontannę z marmurową sadzawką, stojącą pośrodku okrągłego ogrodu pełnego kwiatów. Woda tryskała z niej na dziesięć metrów w górę. Krople wody mieniły się w słońcu, tworząc tęczę. Mimo dużego skupienia, nie udało mu się usytuować fontanny i ogrodu w jakimś konkretnym miejscu. Z początku myślał, że to może Chesbury. Potem jednak przypomniał sobie, że tutaj przed domem jest tylko szereg klombów. Przypuszczał, że jeśli było to wspomnienie czegoś, co istniało naprawdę, mógł je wywołać przyjazd na wieś. Co za głupi, absurdalny sen, pomyślał. Tak samo głupi jak inne sny, fragmenty wspomnień czy czym tam, u diabła, były. Ruszył w kierunku stajni. Miał ze sobą laskę, choć starał się nie opierać na niej całym ciężarem ciała. Było jeszcze wcześnie, ale chciał przed przyjściem Rachel obejrzeć konie i wybrać dla nich odpowiednie wierzchowce. Chciał się też przekonać, czy zdoła wsiąść na konia. Jego lewa noga nie była jeszcze w pełni sprawna. Z ociąganiem poprosił Stricklanda, żeby tu z nim przyszedł.

Gdy Alleyne i sierżant weszli na brukowany dziedziniec stajni, zobaczyli tylko jednego stajennego. Stał w drzwiach jednego z boksów i drapał się z niemądrą miną. Na ich widok ziewnął i zniknął w boksie.

- Stajnie wyglądają tak samo jak kuchnia - zauważył sierżant. - Jakby nie było tu komu wszystkiego doglądać, sir.

Alleyne przyznał, że rzeczywiście chyba od jakiegoś czasu w stajni brakowało dozoru.

Zaczął po kolei oglądać konie. Wyglądało na to, że są karmione i pojone, ale oporzędzane raczej pobieżnie. Wyjątek stanowił piękny czarny ogier, należący, jak się potem okazało, do pana Drummonda, rządcy w Chesbury. Nieprzyjemny zapach i wygląd boksów świadczyły, że nie sprzątno ich od przynajmniej kilku dni.

- Osiodłaj te dwa konie i wyprowadź na dziedziniec - polecił Alleyne stajennemu, który pojawił się z powrotem, jak tylko stało się jasne, że przybysze nie zamierzają się wynieść i pozostawić go drapaniu i rozmyślaniom. - Temu załóż damskie siodło.

- Sprzątnij też należycie boksy i rozsyp w nich świeżą słomę, zanim państwo wrócą - dodał Strickland.

- Ja tam słucham rozkazów pana Renny - odparł chłopak zuchwale. Na oczach zdumionego stajennego lokaj Alleyne'a przekształcił się w sierżanta, którym do niedawna był.

- Doprawdy, chłopcze? - spytał Strickland. - Jeśli pan Renny jeszcze śpi, bo bardzo się wczoraj zmęczył, będziesz słuchał poleceń każdego, kto każe ci porządnie wykonać robotę, za którą pan baron ci tu płaci. Przestań się drapać, jakby cię pchły oblażyły, i stań na baczność.

Zadziwiająco, ale chłopak spełnił rozkaz niczym szeregowiec pod krytycznym spojrzeniem swego sierżanta.

- Rusz się teraz i poszukaj siodeł, chłopcze - powiedział Strickland spokojnie.

Alleyne zachichotał, ale niemal natychmiast spoważniał. Baron najwyraźniej przestał



doglądać majątku. Jego choroba spowodowała rozluźnienie dyscypliny w stajniach. I najwyraźniej również w kuchni. Alleyne mógł to ocenić po jakości kolacji podanej ubiegłego wieczoru. Zauważył, że Weston ledwie skubnął jedzenie. Nie wyglądało jednak na to, by zanedbywał majątek od dawna. Miejsce nie było zapuszczone.

Gdy pięć minut później Alleyne wsiadał na konia, okazało się to tak trudne, jak się obawiał. Po kilku nieudanych próbach, sierzant zaproponował, że go podsadzi na siodło. Alleyne odmówił i w końcu poradził sobie, wsiadając niezgrabnie z prawej strony konia. Dzięki temu nie obciążał zranionej nogi. Na szczęście z chwilą, gdy już usiadł w siodle, prawie mu nie dokuczała.

- Wie pan, Strickland, to chyba była ostatnia rzecz, jaką robiłem, zanim upadłem w lesie Soignes, uderzyłem się w głowę i straciłem przytomność i pamięć - rzucił, ujmując cugle.

- Sir, widać, że się pan urodził w siodle - powiedział Strickland i cofnął się o krok.

Koń, zapewne nieujężdżany od kilku dni, zaczął harcować, podrzucać bokiem i wstrząsać łbem.

Alleyne nawet nie zauważył, że zwierzę nie stoi spokojnie i nieruchomo. Opanował konia i reagował na jego ruchy zupełnie bezwiednie. Najwyraźniej korzystał z umiejętności nabytych dawno temu, w innym życiu. Strickland ma rację, pomyślał i od razu poweselał.

- Poczekaj tutaj - rzucił. - Przejadę się dookoła dziedzińca.

Czuł się w siodle zdumiewająco dobrze. Od razu wiedział, że jeździł konno całe życie.

Skierował zwierzę na tyły stajni i pocwałował po trawniku, próbując sobie wyobrazić siebie w gronie innych jeźdźców, podczas wyścigu, skoków przez ogrodzenia i żywopłoty, na polowaniu. Próbował zobaczyć siebie ruszającego do bitwy, na czele oddziału kawalerii albo kierującego atakiem piechoty. Usiłował przypomnieć sobie te ostatnie chwile w lesie, gdy

noga bolała go już pewnie jak sto diabłów, a on się martwił o list i kobietę czekającą na niego przy bramie Namur. Próbował sobie wyobrazić, co mogło spowodować upadek i uderzenie w głowę, które pozbawiło go pamięci.

Bezskutecznie. Zawrócił konia do stajni. Rozmyślenia zaowocowały jedynie lekkim bólem głowy.

Rachel już czekała. Rozmawiała z sierżantem, zerkając bojaźliwie na przeznaczonego dla niej konia. Miała na sobie wygodną niebieską suknię podróżną i kapelusz, umieszczony zawadiacko na upiętych do góry złocistych włosach. Stała oświetlona promieniami słońca i gdyby nie kapelusz, znów wyglądałaby jak złotowłosa anioł.

Alleyne poczuł niepokój. Wypadki wczorajszego dnia potoczyły się inaczej, niż przewidywał. Zaczynał się obawiać, że Weston wcale nie jest takim okrutnym potworem, jak go opisywała Rachel, i że nie jest jej obojętny, choć tak twierdziła, być może nawet była o tym przekonana.

- Dzień dobry - powiedział. Uchylił kapelusza i ukłonił się jej.

- Dzień dobry - odparła. Gdy podjechał do niej bliżej, zbladła ze strachu i szeroko otworzyła oczy. - Och nie, nie mogę. Naprawdę nie mogę. To nie ma sensu. Gdybym zaczęła jeździć jako dziecko, może byłabym teraz w miarę doświadczoną amazonką. Ale nie mogę zacząć nauki jazdy w wieku dwudziestu dwóch lat! Zresztą pora, żebyś zsiadł z konia, zanim znów zaczniesz cię boleć noga.

Wydawało się nieprawdopodobne, że nigdy w życiu nie siedziała na koniu. Alleyne zdawał sobie sprawę, że nie może oczekiwać, by Rachel po prostu wskoczyła na siodło swojego konia i znikła za horyzontem. Pewnie nawet nie siądzie dzisiaj sama na koniu. Ale będzie jeździć. O tak, już jego w tym głowa. Uparł się, że tego dokona.

- Musisz zobaczyć, jak wygląda świat z perspektywy końskiego grzbietu - powiedział.

- Poczujesz taki zachwyt, że nic mu nie dorówna.

- Wierzę ci. Nie muszę tego sama sprawdzać - odparła. - A teraz wracam do domu.

Przysunął się bliżej, blokując jej drogę.

- Nie, dopóki mi nie udowodnisz, że nie jesteś tchórzem - rzucił. - Najpierw

przejedziesz się razem ze mną. Będiesz bezpieczna. Mimo tego, co się stało w Belgii, nie pozwolę ci spaść. Obiecuję.

- Przejechać się z tobą? - spojrzała mu prosto w oczy.

Ojej. Zrozumiał, o co jej chodzi, mimo że nie powiedziała tego głośno. Gdy zeszłego wieczoru trzymał jej dłonie na swej piersi, zrobiło mu się gorąco. Nie spał potem pół nocy, myśląc o tym, że ona jest tak blisko i że nie dzielą ich żadne drzwi. I oto teraz proponuje jej, żeby przejechała się razem z nim na koniu? Tak naprawdę to nawet nie była propozycja, tylko wyznanie. A co tam. Postanowił, że nauczy ją jeździć konno, i dopnie swego.

- W normalnych okolicznościach zasugerowałbym, żebyś oparła stopę na moim lewym bucie tak, bym mógł cię posadzić na koniu - powiedział. - Niestety, nie jestem w stanie zaprezentować ci dzisiaj pełni mojej siły, wzbudzając tym twój zachwyt. Strickland, czy da pan radę posadzić lady Smith tu na siodle?

Rachel wydała z siebie ni to krzyk, ni to pisk.

- Tak, sir - odparł sierżant. - Panienka wybaczy mi śmiałość. Pan Smith... Powinienem powiedzieć: „sir Jonathan”, a do pani zwracać się: „lady Smith”. Sir Jonathan zadba o pani bezpieczeństwo. Widać wyraźnie, że się urodził w siodle, sam mu to niedawno powiedziałem. Spodoba się pani przejażdżka, zobaczy pani.

Sierżant Strickland patrzył w nią, jak w święty obrazek, więc zapewne nie zrobiłby niczego wbrew jej życzeniu. Na szczęście, a może na nieszczęście, zadziałał bardzo szybko. Zanim Rachel zdążyła otworzyć usta, żeby zaprotestować, chwycił ją dłońmi w talii, uniósł

do góry i posadził na koniu tuż przed siodłem. Jonathan objął ją ramionami.

- Och! - zawołała. - Och! - Chwyciła się go kurczowo w przyływie paniki.

- Uspokój się - powiedział, obejmując ją mocniej. - Nic złego ci się nie stanie, chyba że zaczniesz się ze mną szarpać. Rozluźnij się, kochanie. - Uśmiechnął się.

- Już po wszystkim, panienko... lady Smith - rzucił sierżant Strickland. - Raczej nie urodziła się pani w siodle. Ale na pewno urodziła się pani po to, by znaleźć się w ramionach sir Jonathana.

Sierżant zachichotał z własnego dowcipu, odwrócił się na pięcie i znikł w budynku stajni. Niewątpliwie zamierzał odnaleźć resztę stajennych i zapędzić ich wszystkich do roboty.

Rachel tymczasem nieco się rozluźniła. Nadal jednak siedziała zupełnie nieruchomo.

Nie ruszała nawet głową i patrzyła wprost przed siebie.

- Zapewne wyobrażasz sobie, że siedzisz teraz w salonie i zastanawiasz się, czy wziąć się za haftowanie, czy też otworzyć książkę - rzucił.

- Nigdy ci tego nie wybaczę - powiedziała cichym, napiętym tonem. Roześmiał się i skłonił konia, by ruszył.

Sam też pewnie nigdy sobie tego nie wybaczy. Czuł na piersi ciepło jej ciała. I zapach gardenii. Gdy stoi się pewnie obiema nogami na ziemi i patrzy z dołu, nie ma się wrażenia, że jeździec znajduje się bardzo wysoko. Z wysokości końskiego grzbietu ziemia wydaje się zatrważająco odległa. Rachel bardzo się bała otwierającej się wokół niej przestrzeni. Gdyby koń stał zupełnie nieruchomo, być może po kilku chwilach zdołałaby się opanować. Ich wierzchowiec nie miał jednak zamiaru tkwić w miejscu, od razu zaczął brykać i wstrząsać łbem. A potem, stukając kopytami na brukowanym dziedzińcu, ruszył do przodu.

Rachel była przekonana, że lada chwila spadnie i ktoś będzie musiał zbierać z ziemi

jej doczesne szczątki. Albo za kilka dni obudzi się gdzieś z guzem wielkości kurzego jaja na głowie i nie będzie niczego pamiętać. Nawet tej chwili, swojej pierwszej od szesnastu lat konnej przejażdżki.

Pierś Jonathana tuż przy jej lewym ramieniu wydawała się mocna i solidna. Rachel mogłaby się o nią oprzeć i poczuć względnie bezpiecznie. Nie chciała jednak okazywać takiej słabości. Specjalnie wyprostowała plecy. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Jonathan obejmuje ją ręką w talii. Nawet gdyby przechyliła się do tyłu, przytrzymałby ją i uchronił przed upadkiem. Drugą ręką trzymał cugle i równocześnie odgradzał ją ramieniem od pustki gdzieś tam w dole. Czowała ciepło jego ciała, zapach wody kolońskiej i mydła. Nagle zdała sobie sprawę, że coś jeszcze chroni ją przed ześlizgnięciem się z konia. Jonathan przyciskał prawe udo do jej pośladków, a lewe do jej kolan.

Dziwne, że uświadomiła sobie obecność mężczyzny dopiero teraz, o wiele później, niż przestraszyła się konia i niebezpieczeństwa. Zdążyli opuścić dziedziniec stajni. Skręcili na tyły domu. Pojechali brzegiem jeziora, a potem przez rozległy trawnik, ciągnący się aż do odległej linii drzew.

- To nie ma sensu - oznajmiła. - Nie nauczysz mnie jeździć konno.

- Owszem, nauczę - odparł. - Postanowiłem to zrobić. Dochodzę do wniosku, że z natury jestem upartym, narzucającym wszystkim swoją wolę człowiekiem. Musiałem chyba być generałem albo przynajmniej pułkownikiem. Być może byłem bliskim kompanem pułkownika Leaveya i Streata.

Nie odwróciła się do niego. Bała się. Ale i tak wiedziała, że się uśmiecha. Pyszenie się bawił, tak samo jak wczoraj. I niczym się nie przejmował.

- Twoi żołnierze na pewno cię nienawidzili - rzuciła mściwie. Roześmiał się.

- Nie możesz mieszkać na wsi i nie umieć jeździć konno - powiedział. - To kompletny

absurd.

- Z wyjątkiem ostatnich kilku miesięcy, całe życie mieszkałam w Londynie - odparła.

- I tam też będę mieszkać do końca życia, gdy skończy się ta farsa.

- Co zamierzasz tam robić? - spytał.

- Znajdę sobie posadę - powiedziała. - Albo, jeśli uda mi się uzyskać mój spadek, sprzedam klejnoty, spłacę dług wobec moich przyjaciółek i będę żyć z procentów. Co ty wyprawiasz?

- Ponagliam konia do stępa - odparł.

- Ty naprawdę wierzysz, że uda ci się namówić mnie, bym któregoś dnia zrobiła to sama na własnym koniu? - spytała.

- Miałem nadzieję, że to się stanie dzisiaj - przyznał. - Widzę jednak, że byłem zbyt optymistą, kazać osiodłać dla ciebie konia. Trzeba z tym będzie poczekać do jutra.

- Co ty robisz? - znów spytała.

- Przechodzę do truchtu - zachichotał. - Rachel, uspokój się. Nie zamierzam galopować z tobą na złamanie karku ani skakać przez bramy czy żywopłoty. Pokłusujemy sobie po trawie tam i z powrotem, żebyś mogła się przyzwycząić do jazdy. Nie stanie ci się żadna krzywda. Pokłusujemy? - To słowo zabrzmiało złowroźnie.

Nagle uświadomiła sobie, że powietrze poranka jest orzeźwiająco chłodne. Czowała, jak owiewa jej twarz. Zdobyła się na odwagę i rozluźniła mięśnie szyi. Odwróciła głowę, by się rozejrzeć. Zobaczyła piękne jezioro, ciągnące się brzegiem trawnika. W spokojnych, ciemnych wodach odbijały się drzewa na jego przeciwległym brzegu. Trawnika tak dawno nie strzyżono, że właściwie stał się łąką. Porastały go stokrotki, jaskry i koniczyna, tworząc zielono - białe - żółte dywan. Unosiły się nad nim owady i trzepoczące skrzydłami barwne motyle. Ponad ich głowami przelatywały ptaki. Koń rytmicznie uderzał kopytami o ziemię.

Rachel nagle przypomniała sobie, jak w wieku sześciu lat jechała ulicami Londynu i alejkami Hyde Parku, siedząc na koniu przed wujem Richardem. Wydawało się jej wtedy, że jazda konna to chyba najbardziej ekscytująca rzecz na świecie. Pomyślała teraz, że chyba się wtedy nie myliła. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że zaczęli już kłusować. A może cwałowali. Usłyszała własny śmiech i odwróciła głowę, by podzielić się radością, z siedzącym za nią mężczyzną. Spojrzał na nią ciemnymi, poważnymi oczami.

Nie odezwała się ani słowem. Żołądek podszedł jej do gardła. On też milczał.

Zmieszana odwróciła głowę i rozejrzała się dookoła. Nadal czuła radość, ale była też przejmująco świadoma obecności Jonathana. Przez chwilę zastanawiała się, czy miałyby odwagę zrobić z nim to, co zrobiła w Brukseli, gdyby zamiast rannego, nieprzytomnego i leżącego na ziemi, zobaczyła go najpierw w ubraniu, na koniu, gdyby wiedziała, jak bardzo jest męski i pełen wigoru.

Pewnie uciekłyby i nigdy nie wróciła. Choć może nie. Przecież nie oddała mu się dlatego, że wydał się jej słaby i wąty, prawda? Po prostu oszalała i tyle. A potem zgodziła się na tę szaleńczą maskaradę. Kiedyś uważała się za dziewczynę niemal do znudzenia rozsądną.

Musiała taka być, żeby utrzymać w jako takim porządku egzystencję swoją i ojca. Nie rozwodziła się jednak dłużej nad tą myślą. Wbrew okolicznościom, wbrew sobie doskonale się bawiła. Odległe drzewa zbliżały się w szybkim tempie. Za chwilę zawrócą w kierunku stajni. Jej pierwsza lekcja jazdy, jeśli tak to można nazwać, dobiegnie końca. Rachel nie chciała się przyznać, nawet przed samą sobą, że będzie jej trochę żal.

- I jak? - spytał Jonathan, przerywając dłuższe milczenie. Zwolnił i pozwolił koniowi iść stępa.

- Muszę przyznać, że przejażdżka jest całkiem przyjemna - powiedziała sztywno. -

Wiem jednak ponad wszelką wątpliwość, że nie zdołam jeździć sama.

- O tak, zrobisz to - zapewnił.

Nie zawrócił od razu, tak jak się spodziewała. Podjechał do brzegu lasu, a potem skierował konia między drzewa. Oboje schylili głowy pod zwisającymi nisko gałęziami. Na skraju lasu trawa rosła jeszcze gęsto, ale im dalej w głąb, tym było jej mniej, niewątpliwie wskutek niewielkiej ilości światła, przedzierającego się przez gęstwinę liści i gałęzi. Gdy zatrzymali się po chwili, usłyszeli szum płynącej wody.

- Ach, tak podejrzewałem - powiedział. - Zdaje się, że przez ten las płynie rzeka, która zasila jezioro. Sprawdźmy to?

- Drzewa rosną tam zbyt gęsto - zauważyła.

- Musimy więc pójść pieszo - odparł. - Zaczekaj chwilę, nic ci się nie stanie. Zsiadł z konia i się skrzywił.

- Zapomniałeś o swojej ranie, prawda? - upomniała go. Wcale nie czuła się bezpieczna. - I nawet nie masz ze sobą laski.

Uśmiechnął się do niej, wyciągnął ręce i zсадził ją z konia. Zaciśnął przy tym mocno zęby, więc ten wysiłek sprawił mu pewnie dotkliwy ból.

- Rachel, mam absolutnie dość własnej słabości - powiedział. I chodzenia o lasce, jakbym był osiemdziesięciolatkiem z podagrą. Przywiązał konia do drzewa i rzucił: - Chodź, poszukamy rzeki. Na szczęście dla Jonathana, który mocno utykał, znajdowała się bardzo blisko. Widok wynagrodził ich wysiłek. Rzeka, dosyć wąska w tym miejscu, spływała w dół niezbyt stromego zbocza. Nie tworzyła wodospadu, jednak woda wartko płynęła po kamieniach, pieniąc się miejscami. Na obu brzegach rosły wysokie drzewa. Widok był tak piękny, że aż zapierał dech w piersiach. Szum i bulgotanie wody mieszały się ze świergotem ptaków, ukrytych wśród gałęzi. Powietrze pachniało wilgocią i świeżą zielenią.

Rachel, która całe życie mieszkała w mieście, miejsce to wydało się rajskim



zakątkiem. Czowała się oszołomiona. Miała wrażenie, jakby wielka pięść uderzyła ją w serce, odbierając jej oddech.

- Usiądźmy - zasugerował Jonathan.

Stali na dużym, płaskim kamieniu, wokół którego wartko płynęła woda. Rachel zauważyła, że Jonathan przyciska dłoń do lewego uda.

- Ty głuptasie - powiedziała. - Powinieneś jeszcze leżeć w łóżku.

- Doprawdy? - uniósł brwi i spojrzał na nią wyniośle. - A ty, Rachel, nadal byś mnie pielęgnowała? Zdaje się, że bezpowrotnie utraciliśmy niewinność tamtych pierwszych dni.

Nie roztkliwiaj się nade mną. Noga zdrowieje i nie zamierzam się z nią cackać.

Usiadł ostrożnie na kamieniu. Lewą nogę wyciągnął przed siebie, prawą ugiął w kolanie. Objął kolano ręką, a drugą oparł z tyłu. Rachel usiadła obok, odsuwając się jak najdalej. Objęła kolana rękami. Czasami Jonathan wydawał się taki wesoły i figlarny. Rachel niemal zapomniała, że dręczy go nieustanny lęk. Nie był przecież sir Jonathanem Smithem.

Rachel nie знаła nawet jego prawdziwego imienia. On też nie.

- A jak wsiądziesz z powrotem na konia? - spytała.

- Sam się nad tym zastanawiałem - zaśmiał się cicho. - Pomyślę o tym, gdy nadejdzie pora. To piękny i zaciszny zakątek. Idealne miejsce na flirt, jeśli ktoś miałby na to ochotę.

- Ale tak nie jest - rzuciła pospiesznie.

- Nie - potwierdził. - Z pewnością nie jest.

Mimo woli poczuła się urażona. Czy musiał tak wyraźnie podkreślać, że wskutek swej nieporadności tamtej nocy przestała mu się zupełnie podobać? Ze okazała się dla niego rozczarowaniem.

Jakie to upokarzające!

Oparła podbródek na kolanach i rozejrzała się dookoła. Chyba nigdy nie była pod

takim wrażeniem piękna przyrody. Zawsze sobie wyobrażała, że wieś by się jej nie spodobała. A teraz czuła, że taka sceneria koi duszę.

- Wiele się traci, gdy się całe życie mieszka w mieście - powiedziała.

- To prawda - zgodził się. - Pięknie tutaj.

- A ty wychowałeś się na wsi? - spytała.

- Rachel, czy to podchwytliwe pytanie? - odezwał się po krótkiej chwili milczenia. -

Zdaje się, że mimo wszystko potrafię na nie odpowiedzieć. Chyba tak. Na pewno spędziłem w majątku na wsi dużą część życia. Ta okolica nie wydaje mi się znajoma. Chyba nigdy przedtem tu nie byłem. Twój wuj też mnie nie rozpoznał, prawda? Ale czuję się tu swobodnie, jakbym w takim otoczeniu odnalazł swoje miejsce.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego, opierając policzek na kolanie.

- Czy czujesz się bardziej sobą? - spytała. - Czy pojawiły się jakieś konkretne wspomnienia, choćby nawet najmniejsze?

Pokręcił głową. Zmrużonymi oczami wpatrywał się w płynącą wodę, w której migotały odblaski porannego słońca.

- Nie - powiedział. - Prześladowają mnie tylko sny i nie jestem nawet pewien, czy to coś więcej niż senne marzenia. Boję się, że jeśli za bardzo się na nich skupię, sprowadzą mnie na manowce. Może zacznę sobie wymyślać rzeczywistość, która w niczym nie przypomina prawdziwej. Jest list, który muszę pilnie doręczyć, ilekroć o nim śnię. I kobieta, czekająca przy bramie Namur. Gdy ty i Strickland przynieśliście mnie do miasta, czy tam była jakaś kobieta?

- Dziesiątki - odparła. - I setki, a może tysiące mężczyzn. Panował kompletny chaos, choć niektórzy starali się przywrócić jako taki porządek. Nikt cię nie rozpoznał, choć kilka kobiet z desperacją wpatrywało się w twarze rannych, zapewne w nadziei, że zobaczą kogoś

bliskiego.

- Więc może to tylko sen - rzucił. - A jeśli nie, to kim była? Kim jest? - Nie

znajdowała słów, by go pocieszyć. Ciśniej objęła rękami kolana.

- Ostatniej nocy śniło mi się coś nowego - ciągnął. - Fontanna z sadzawką, stojąca  
pośrodku dużego, kolistego ogrodu pełnego kwiatów. Woda tryskała wysoko w niebo. Nic  
więcej. Gdy usłyszałem szum wody, pomyślałem, że może zobaczę tu coś, co pomogłoby mi  
wyjaśnić, skąd się wziął mój sen. Ale wyraźnie widziałem w nim nie rzekę, tylko fontannę  
zbudowaną przez człowieka; starannie wkomponowaną w ogród. Światło słoneczne odbijało  
się w kroplach wody i tworzyło tęczę. Są tacy, którzy twierdzą, że nasze sny są bezbarwne. Ja  
jednak widziałem tę tęczę w całej jej wspaniałości. Czy to dowodzi, że tamta fontanna  
naprawdę gdzieś istnieje? I jakie to ma dla mnie znaczenie?

- Może znajduje się w miejscu, gdzie wyrosłeś? - zasugerowała. - Twoim domu na  
wsi.

Milczał przez jakiś czas. Rachel wsłuchiwała się w szum wody i śpiew ptaków.

Uświadomiła sobie, jaki spokój można znaleźć w takim zakątku. Zastanawiała się, czy jej  
matka przychodziła właśnie w to miejsce, by bawić się tu jako dziecko, by rozmyślać i  
marzyć jako dziewczyna. Czy to tu rozważała brzemienną w skutkach decyzję, czy zerwać z  
papą, czy też raczej sprzeciwić się wujowi Richardowi i uciec z ukochanym?

Dawno, bardzo dawno temu, chyba jeszcze za życia mamy, papa był szykowny,  
czarujący i roześmiany. Dopiero w późniejszych latach uzależnienie od hazardu i w pewnej  
mierze od alkoholu zmieniło go na gorsze i sprawiło, że stał się nieprzewidywalny i  
gwałtowny. Nietrudno zrozumieć, dlaczego mama dla niego porzuciła wszystko. Oczywiście,  
gdyby pożyła rok dłużej, dostałaby owe klejnoty, które teraz usiłowała uzyskać Rachel.

Powodziłoby im się o wiele lepiej... dopóki papa wszystkiego by nie przegrał, co z pewnością

nastąpiłoby prędzej czy później.

- Chyba zawsze kochałem ziemię - rzucił Jonathan. - Zastanawiam się, czy cierpiałem z tego powodu, zważywszy na to, że byłem młodszym synem, skazanym na karierę w armii.

A może się do tego nie przyznawałem, skoro wiedziałem, że gdy dorosnę, nigdy nie odziedziczę majątku i nie będę mógł żyć blisko natury.

- Mówiłeś o niebezpieczeństwie, wynikającym ze zbyt dużego skupienia się na snach - powiedziała. - Czy przyszło ci do głowy, że nawet twoje przypuszczenia co do własnej osoby nie są prawdziwymi wspomnieniami? Czy masz pewność, że byłeś oficerem?

Odwrócił głowę i spojrzał jej prosto w oczy, unosząc brwi. Patrzył długo. Nie mogła od niego oderwać wzroku.

- Nie - odparł w końcu. Zaśmiał się, choć wcale nie wyglądał na rozbawionego. - Nawet tego nie mogę być pewien, prawda? Dlaczego jednak znalazłem się w pobliżu bitwy, skoro nie byłem wojskowym? Dałem się postrzelić dla zabawy? Wygląda na to, że jestem bardzo lekkomyślnym mężczyzną, prawda? Choć jeśli przyjąć, że nie jestem wojskowym, łatwiej będzie wyjaśnić, dlaczego byłem sam i oddaliłem się z pola bitwy.

- To tylko sugestia - powiedziała. - Wiem nie więcej niż ty I właśnie przyszło mi do głowy coś jeszcze. Jeśli masz około dwudziestu pięciu lat, to by znaczyło, że posiadasz patent oficerski od pięciu do siedmiu lat. A jednak, oprócz ran, które poniosłeś w dniu bitwy, nie miałeś na ciele żadnych blizn po ranach z poprzednich bitew. To chyba mało prawdopodobne, a może wręcz niewiarygodne?

- Może zawsze miałem niesamowite szczęście - rzucił. - A może kryłem się za postawnym sierżantem albo szeregowcem, gdy pojawiała się niebezpieczeństwo w postaci kuli albo szabli. A może aż do bitwy pod Waterloo cały czas stacjonowałem w Anglii.

Rachel westchnęła i z powrotem oparła podbródek na kolanach.

Gdybym tylko mogła zrobić coś, co pomogłoby mu odzyskać pamięć, pomyślała.

Poczułabym wtedy, że uczyniłam więcej, niż tylko uratowałam mu życie. Zobaczyłabym, jak staje się sobą i wraca między ludzi, wśród których żył. Zachowałabym miłe wspomnienia, spokojna, że odzyskał swoją prawdziwą tożsamość i da sobie radę sam.

Zastanawiała się, co mogłaby zrobić. Prowadzić poszukiwania na własną rękę? Miała kilka przyjaciółek w Londynie. Może napisać do nich i zapytać, czy nie słyszały o jakimś dżentelmenie z wyższych sfer, który zaginął podczas bitwy pod Waterloo? Samo pytanie wydawało się absurdem. Z pewnością zaginęły setki mężczyzn. Zresztą żadna z jej przyjaciółek nie obracała się w najwyższych sferach. Powinna jednak chociaż spróbować. Przecież on przyjechał tutaj, żeby jej pomóc.

- Chyba spędziliśmy dość czasu, by pokazać twemu wujowi, że z ogromnym zapałem uczę cię jazdy konnej - Jonathan przerwał jej rozmyślenia. - A także, że płonę do ciebie wielką namiętnością i nie mogę się oprzeć, by nie spędzić sam na sam z tobą kilku chwil.

- Spojrzała mu w oczy. Uśmiechał się od niechcenia. Najwyraźniej porzucił powagę, przynajmniej na jakiś czas.

Pochylił się do niej i zanim sobie uświadomiła jego zamiar, dotknął wargami jej ust.

Powinna odsunąć się od niego, wstać, otrzepać suknię i wrócić do miejsca, gdzie zostawili konia. To byłoby najprostsze wyjście na świecie. Dotykał tylko jej ust.

Nawet nie przyszło jej to do głowy. Siedziała nieruchomo, powstrzymywana zdumieniem i jeszcze innym, o wiele bardziej kuszącym uczuciem. Pocałunek był delikatny, niemal senny. Bynajmniej nie pożądlivy. Na pewno nie doprowadziłby do bardziej namiętnego uścisku. A jednak brat i siostra czy przyjaciele, tak się nie całowali. W tym pocałunku było coś zdecydowanie zmysłowego. Emocje nim wywołane zmieszały się w Rachel z odczuciami wywołanymi przez piękno natury, szum wody i liści oraz śpiewu

ptaków. Pomyślała, że w głębi serca właśnie o tym przez całe życie marzyła. Choć może nie była to świadoma myśl. Gdyby rozważyła ją na chłodno, pewnie wydałaby się jej dziwna. Gdy przerwał pocałunek, spojrzała na niego rozmarzona, z rozchyłonymi ustami, zupełnie bezbronna wobec obudzonych w niej emocji.

- Doskonale, Rache - rzucił. - Jesteś zarumieniona i wyglądasz, jakbyś dopiero co się całowała. Właśnie tak powinnaś wyglądać po powrocie z naszej przejażdżki - uśmiechnął się do niej.

Poczuła się jak idiotka. To wszystko było tylko częścią maskarady, niczym więcej.

Zerwała się na nogi i otrzepała spódnicę.

- Nie przypominam sobie, żebyś pozwoliła ci zwracać się do mnie Rache - powiedziała niemądrze. Roześmiał się.

- No cóż, twoje słowa podziały na mnie niczym płachta na byka - powiedział. - Od tej chwili będę się do ciebie zwracał wyłącznie Rache. Możesz w ramach rewanżu mówić do mnie Jon.

Ruszyła z powrotem, nie oglądając się za siebie. Ostrożność nakazała jej jednak zatrzymać się w pewnej odległości od konia. A potem zauważyła, że Jonathan bardzo mocno utyka. Pewnie gdy siedział na kamieniu, noga porządnie mu zesztyniała.

- Chyba lepiej będzie, jeśli wrócę pieszo do stajni i poszukam tam jakiegoś powozu czy dwukółki, którą można by cię stąd zabrać - zasugerowała.

- Rache, jeśli zrobisz choć krok w tym kierunku, zapomnę, że kiedykolwiek słyszałem o jakichś klejnotach i pójdę, gdzie mnie oczy poniosą - zagroził. - A właściwie pokuśtykam, podpierając się laską. Tobie pozostawię przekonanie Westona, że powinien ci oddać twój spadek jeszcze przed ukończeniem dwudziestu pięciu lat, choć twój świeżo poślubiony mąż właśnie cię porzucił.

- Wystarczyło powiedzieć: „nie” - odparła.

Podszedł do konia od jego prawego boku. Gdy wdrapywał się na jego grzbiet, nie wyglądało to zbyt zgrabnie, a jednak mu się udało. Zaciśnął z bólu zęby. A potem, gdy na nią spojrzął, udawał, że ten grymas był uśmiechem.

- Rache, ty też wsiądź od tej strony, choć w rezultacie w drodze powrotnej będziesz oglądać to samo - powiedział.

- Wrócę piechotą - odparła.

- Nie mamy pewności, że twój wuj zobaczy nas, jak wracamy, a szkoda - rzucił. -

Gdyby rzeczywiście mógł nas zobaczyć, poganiałbym cię batem, by mu pokazać, że wyszłaś za człowieka, który wie, jak utrzymać kobietę w ryzach. Oprzyj nogę na moim prawym bucie albo zsiądę i przerzucę cię przez konia jak worek.

Czuła oburzenie i próbowała ocalić resztki godności. A mimo to jego słowa wydały się jej zabawne. Roześmiała się. Potem wykonała jego polecenie. Żadne z nich nie powtórzyłyby tego manewru przed szerszą widownią. W końcu jednak, po dłuższym niezdarnym wdrapywaniu się i podciąganiu do góry, przy licznych stękaniach i wybuchach śmiechu, znalazła się na grzbiecie konia. Znow siedziała przed Jonathanem, choć odwrócona twarzą w drugą stronę.

- Będę miała te same widoki co poprzednio - zauważyła.

- Narzekasz? - spytał. - Mógłbym spróbować nakłonić konia, żeby wracał do stajni, stąpając do tyłu, ale wątpię, czy mu się to spodoba. Albo ty mogłabyś przerzucić nogi ponad końskim łbem i odwrócić się w pożądaną stronę.

Cały czas się śmiali. Niczym para niemądrych dzieci, pomyślała później. I dlaczego niby miałyby uznać tę jego idiotyczną, rzuconą dla żartu propozycję za wyzwanie. Przecież nadal nie czuła się na koniu bezpiecznie. Miała wrażenie, że znajduje się kilometr od ziemi.

Na szczęście nisko nad nimi zwisała gałąź, co dawało iluzję bezpieczeństwa. Rachel chwyciła się jej, a reszty dokonała przekora i brawura. Przełożyła nogi, odsłaniając przy tym kostki, łydki i kolana. Udało im się nie spaść. W końcu usadowiła się, z nogami zwisającymi przez lewy bok konia. Jonathan otoczył ją ramionami, tak jak poprzednio. Oboje prawie nie mogli złapać tchu ze śmiechu.

Rachel chyba jeszcze nigdy w życiu nie zrobiła czegoś tak nieprzystojnego.

- A gdybym teraz zasugerował, żebyś stanęła na końskim grzbiecie na jednej nodze, kręcąc obręczami na szyi, rękach, uniesionej nodze i w talii? - spytał Jonathan.

Rachel aż pisnęła.

- Mogłabyś w ten sposób zbić fortunę w amfiteatrze Astleya - powiedział.

Wyprowadził konia spomiędzy drzew na łąkę. Ruszył stępą, a potem truchtem w kierunku stajni i domu.

- A potem mogłabym z niej żyć, gdy już połamałabym sobie wszystkie kości - odparła.

- Nie potrzebowałabym nawet moich klejnotów.

W drodze powrotnej patrzyła na jezioro i otaczającą je rozległą łąkę, ciągnącą się aż do wzgórz porośniętych drzewami. Nadal zdumiewało ją, że to Chesbury Park, dom rodzinny jej matki. Zawsze wyobrażała sobie, że jest o wiele skromniejszy.

- Pomyśleć tylko, że zostało nam zaledwie trzydzieści dni - rzucił Jonathan. - Z miesiąca pobytu tutaj jeden dzień mamy już za sobą.

- I każdego z tych trzydziestu dni będziesz mnie musiał namawiać, żebym usiadła w damskim siodle i wyjechała na łąkę.

- Ha! - zawołał. - Więc jednak udało mi się przekonać cię do jazdy konnej, prawda?

- Chyba tak. Nie chciała, żeby ta przejażdżka dobiegła końca. Nie mogła się już doczekać następnej. Oczywiście następnym razem spróbuje pojechać sama i już wiedziała, że



będzie przerażona. Uświadomiła sobie jednak, że z powodu skromnej egzystencji, jaką papa wiodł w Londynie, ominęło ją w życiu wiele rzeczy. Może nie było jeszcze za późno, by się nimi nacieszyć.

- Niezupełnie - odparła. - Nie zamierzam jednak siedzieć beczynie przez trzydzieści jeden dni, kręcąc młynka palcami.

- Tak myślałem - powiedział. - Udało mi się przekonać cię do jazdy konnej.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Rachel po powrocie z przejażdżki od razu poszła do siebie na górę. Żeby napisać list, jak wyjaśniła.

Alleyne zszedł więc sam na śniadanie. Przełknął tłusty, zimny bekon, niedopieczone kielbaski, spalone tosty i popił to słabą, letnią kawą. Darował sobie jajecznicę, zastygniętą w twardą skorupę na półmisku. Gdy po śniadaniu wyszedł na dwór, zobaczył Flossie i Phyllis siedzące razem z baronem na długiej ławce wśród rabat kwiatowych. Flossie ubrała się w czerń od stóp do głów. Nawet jej koronkowa parasolka była czarna. Phyllis z kolei cała na różowo. Ładnie razem wyglądali. Wyjątkowo szacownie. Alleyne opanował przyływ rozbawienia i podszedł do nich, starając się jak najmniej podpierać laską. Po przejażdżce noga sprawowała się nad wyraz dobrze.

- Oto i sir Jonathan - odezwała się Flossie, kręcąc parasolką. Alleyne uklonił się całej trójce.

- Dzień dobry - Weston kiwnął głową.

- Sir Jonathanie, widziałyśmy pana przez okno - zawołała Phyllis. - Prawda, Floro?

Namówiłyśmy pana barona, żeby też podszedł i popatrzył. Obejmował pan Rachel i przytrzymał ją, żeby nie spadła z konia. Muszę przyznać, że razem wyglądaliście na taką piękną, romantycznie zakochaną parę.

Alleyne podziękował jej uśmiechem.

- Sir, znaleźliśmy wśród drzew kaskadę i spędziliśmy przy niej trochę czasu - powiedział. - To piękna część parku.

Weston przytaknął. Nie wyglądał lepiej niż wczoraj wieczorem, mimo snu i odpoczynku.

- Smith, dotarła do mnie skarga głównego stajennego, że pański lokaj wtrąca się do

prowadzenia stajni - rzucił baron.

Gdy Alleyne i Rachel wrócili z przejażdżki, zastali Stricklanda w stajni. Rozebrany do pasa, w towarzystwie kilku stajennych czyścił boksy. Alleyne nie zgodził się, żeby sierżant przerwał pracę i pomógł mu się przebrać.

- Sir, proszę wybaczyć - odparł. - Mój lokaj był sierżantem w piechocie, dopóki nie stracił oka w bitwie pod Waterloo. Ma w zwyczaju ciężko pracować i rozkazywać innym.

- Czy w stajniach są jakieś zaległości w pracy? - spytał baron, marszcząc brwi.

Alleyne się zawahał. Pozwolił, by jego lokaj rozkazywał stajennym z Chesbury i zaprowadził w stajniach porządek. To stanowiło naruszenie zasad etykiety i mogło nie spodobać się Westonowi.

- Wczesnym rankiem Strickland udał się ze mną do stajni, żeby pomóc mi dosiąść konia, ponieważ to mój pierwszy raz w siodle, od kiedy zraniłem się w nogę - wyjaśnił. - W stajni był tylko jeden stajenny, konie wymagały oporządzenia, a boksy należało sprzątnąć.

Przypuszczam, że wszystko to zostałoby wykonane, a przynajmniej zaczęto by pracę, gdybyśmy przyszli tam z godzinę później. Poinstruję mojego lokaja, żeby w przyszłości ograniczył się do dbania o moje osobiste potrzeby.

Weston nie przestawał marszczyć brwi.

- Nie byłem tam od kilku miesięcy, od ostatniego ataku serca - powiedział. - Możliwe, że dyscyplina nieco się rozluźniła. Zajmę się tą sprawą.

Alleyne z rozbawieniem patrzył, jak Flossie troskliwie kładzie baronowi rękę na ramieniu.

- Milordzie, nie wolno się panu przemęczać - odezwała się. - Pod żadnym względem, nawet żeby dotrzymywać nam towarzystwa. Doskonale damy sobie radę same. I zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby zadbać o pana wygodę, prawda, Phyll?

- Madame, to miłe, co pani mówi - odparł baron. Nadal jednak marszczył brwi i nad czymś się zastanawiał. - Rabaty są pełne chwastów. A żwirowe ścieżki miejscami porastała trawa.

- Ale chwasty też są ładne - pocieszyła go Flossie. - W zasadzie nigdy nie rozumiałam, dlaczego niektóre rośliny pielęgnuje się jako kwiaty, a inne, niemniej piękne, z pogardą traktuje jako chwasty.

- Pani Streat, próbuje pani poprawić mi humor - powiedział baron Weston z uśmiechem. - I nie bez powodzenia. Mimo wszystko powinienem zamienić słowo z głównym ogrodnikiem.

- Milordzie, osoba, z którą ja chciałabym pomówić, to pańska kucharka - odezwała się Phyllis, opuszczając parasolkę na ziemię. - Bez obrazy, ale moim zdaniem należy jej udzielić kilku wskazówek.

Alleyne jęknął w duchu. Jeśli nie będą bardziej ostrożni, jeszcze dziś mogą zostać wyrzuceni z Chesbury Park. Flossie cicho, dyskretnie zachichotała. Zwykle śmiała się głośno i rubasznie.

- Milordzie, nie trzeba długo znać mojej szwagierki, by zauważyć, że gotowanie jest jej pasją - powiedziała. - Pułkownik Leavey, gdy przebywa w Anglii, trzyma w domu kucharkę, ale biedna kobieta zwykle spędza czas beczynnie. Phyllis nie może się oprzeć, aby samej nie zająć się gotowaniem. Nie przepada za tym, co przyrządzi ktoś inny. A trzeba przyznać, że gotuje znakomicie. Baron westchnął.

- Niewiele ostatnio jem, a mimo to zdaję sobie sprawę, że posiłki, które podaje moja kucharka, pozostawiają wiele do życzenia - rzucił. - Jednak znalezienie tu, na prowincji, kogoś, kto ją zastąpi, może się okazać trudne. A nie mogę przecież pozwolić, madame, żeby mój gość zajął się gotowaniem dla mnie.

- Milordzie, proszę mi wierzyć, to mi sprawi ogromną przyjemność - oświadczyła

Phyllis. - Natychmiast udam się do kuchni i przejrzę menu. Zdaje się, że wprowadzę do niego pewne zmiany.

Wstała z ławki zachwycona i tryskająca energią. Flossie również wstała i spojrzała na barona, kręcąc nad głową parasolką.

- Milordzie, jak miło, że pan nas tu przyprowadził - powiedziała.

- Teraz jednak naprawdę powinien pan wrócić do domu, żeby odpocząć. Zwłaszcza że po południu mają przecież przybyć goście. Odprowadzę pana do domu. Muszę napisać kilka listów. Będzie pan tak dobry i powie mi, gdzie znajdę papier, pióra i atrament.

Weston wstał. Flossie ujęła go pod ramię i razem, w doskonałej komitywie ruszyli ścieżką do domu. Phyllis została z tyłu.

- Kochane biedaczysko - powiedziała, gdy nie mógł już jej usłyszeć.

- Panie Smith, oni go naprawdę bezwstydnie wykorzystują. Wygląda na to, że stajnie są w bardzo złym stanie, podobnie jak ogrody. Geny twierdzi, że kucharka ma skłonność do ginu. A ochmistrzyni nie tylko do ginu, ale także do porto, więc prawie w ogóle nie wychodzi ze swego pokoju. Majordomus zaś to stary, stetryczały ramol, który zupełnie nie panuje nad służbą.

- Phyllis, nie wątpię, że ty i Geraldine doprowadzicie przynajmniej niektóre sprawy w kuchni do porządku - powiedział Alleyne, uśmiechając się od ucha do ucha. - Muszę przyznać, że mój żołądek niezbyt dobrze zniósł to, co mu dotąd serwowano, choć jako gość nie powinienem narzekać.

- Dzisiaj może się pan spodziewać smacznego obiadu - obiecała. - Panie Smith, niech no tylko wejdę do kuchni, a polecą głowy. Potrafię rozkazywać równie dobrze, jak mój mąż pułkownik - roześmiała się figlarnie.

Alleynę chichotał pod nosem, przyglądając się, jak odchodzi. Flossie pomagała baronowi wejść po schodach. Obie były wspaniałe i najwyraźniej pysznie się bawiły. A po południu mieli przybyć goście, prawda? Wszyscy więc będą musieli dalej podtrzymywać tę farsę. No cóż, żal i wyrzuty sumienia nie miały w tej chwili sensu. Jak ktoś, chyba Makbet, powiedział w sztuce: „Tak głęboko w tym toniemy, że iść wstecz nie mogąc, musimy naprzód kroczyć”.

Alleynę usiadł na ławce. Miał zamiar odszukać rządcę i poprosić go o pokazanie folwarku, postanowił jednak poczekać z tym do jutra, a dzisiaj dotrzymać towarzystwa Rachel, gdy pojawią się goście. Poza tym Strickland zaczął się już rządzić w stajni, a Phyllis wkraczała do kuchni. Alleynę musiał uważać, żeby jego zainteresowanie majątkiem nie zostało uznane za próbę wtrącania się w nie swoje sprawy.

Ale rzeczywiście był ciekaw tej posiadłości. Nie mógł zapomnieć tego, co powiedział Rachel, że wydaje mu się, iż dorastał w majątku ziemskim. Życie na wsi było dla niego tak naturalne jak oddychanie. Kochał ziemię. Rozglądał się dookoła i niemal łkał z emocji, jakby po kilku tygodniach pobytu w Brukseli i długiej podróży wrócił do domu.

Czy był młodszym synem? Oficerem? To musiał być dla niego prawdziwy dramat, skoro nie mógł nawet marzyć o pozostaniu w majątku, który zapewne należał do ojca, a potem przejście na starszego brata. Jak sobie radził z tym uczuciem? Dąsał się, złościł, miał o wszystko pretensje? Nie potrafił sobie wyobrazić siebie w takiej sytuacji, ale czy mógł być pewien czegośkolwiek? Czy utrata pamięci może spowodować zmianę osobowości? Może tłumiał w sobie uczucia, był niespokojny i niespełniony? Może nienawidził wojska? Albo udawał przed sobą, że je uwielbia? Robił dobrą minę do złej gry? A jeśli rzeczywiście nigdy nie był oficerem, być może snuł się przez życie bez celu?

Jeśli pamięć nigdy mu nie wróci, jeśli nigdy nie odnajdzie swej rodziny, mógłby

znaleźć pracę jako rządcą. A może był rządcą. To przecież zajęcie dla dżentelmena. A choć był pewien, że jest dżentelmenem, nie wiedział, jak wysoko się znajdował w hierarchii społecznej. Może zawsze musiał pracować. Co jednak robił rządcą podczas bitwy pod Waterloo, włócząc się po lesie Soignes z kulą z muszkietu w udzie?

Zazdrościł dzisiaj Rachel i Flossie pisania listów. Zapewne nie zawsze lubił się tym zajmować, ale teraz przewrotnie żałował, że nie ma nikogo, zupełnie nikogo, do kogo mógłby napisać. Zastanawiał się, czy to on sam napisał ten list, który powracał w jego snach. Czy też ktoś napisał do niego. A może... tej możliwości jeszcze nie rozważał - list wcale nie był do niego, ale od niego. Może pełnił tylko funkcję posłańca.

Zamknął oczy i próbował sobie wyobrazić taki przebieg wypadków. Od kogo i do kogo przewoził ten list? I dlaczego znalazł się sam w lesie? Poczł znajomy ból głowy. Gdy znów otworzył oczy, zobaczył Bridget i Rachel. Wstał i przywitał je z prawdziwą ulgą.

Rachel przebrała się w lekką, muślinową suknię w kwiaty. Alleyne z pewnym zażenowaniem przypomniał sobie, że tam, nad rzeką, znów ją pocałował. Obiecywał sobie, że niczego takiego więcej nie zrobi. Oczywiście zatuszował swój błąd rozsądnie brzmiącą wymówką. Tak naprawdę nie chciał i nie powinien tego robić, ale Rachel na łonie natury zdawała się jaśnieć pięknym blaskiem. Niech to diabli porwą! Śmiali się z jej wyczynów na koniu niczym swawolne dzieci. Wydała mu się nieodparcie pociągająca.

Na Boga, przecież nie zaproponował przyjazdu do Chesbury, żeby teraz ulec jej urokowi. Chciał być wolny, gdy stąd odjedzie. Nie wiedział przecież, jakie obowiązki i więzi emocjonalne utracił wraz z pamięcią, i odkryje na nowo, gdy pamięć mu wróci. Na pewno nie pragnął się z nikim wiązać.

Rachel nie włożyła kapturka. Włosy jej lśniły w blasku słońca niczym czyste złoto.

Bridget przewiesiła sobie przez łokieć podłużny, płaski koszyk. W słomianym kapeluszu, z ciemnymi włosami, łagodnie uśmiechnięta Bridget wydawała się młodsza niż w Brukseli.

Była naprawdę ładna, choć pewnie już dawno temu skończyła trzydzieści lat.

- Panie Smith, chcę ściąć trochę kwiatów, żeby udekorować dom - zawołała, gdy podeszły bliżej niego. - Niech pan siądzie. Rachel dotrzyma panu towarzystwa. Doprawdy, powinien pan jak najmniej obciążać tę nogę.

- Tak, proszę pani - odparł z uśmiechem. Poczekał, aż Rachel usiądzie i dopiero wtedy zajął miejsce obok niej. - Jest pani pewna, że potrafi odróżnić kwiaty od chwastów?

- To prawda, że mnóstwo tu chwastów - przyznała Bridget, rozglądając się krytycznie po rabatach. - Powinnam była przynieść ze sobą grackę. Chętnie bym się zabrała za ten ogród. W takim stanie przynosi wstyd.

- Moim zdaniem wygląda całkiem ładnie - zaprotestowała Rachel.

- Kochanie, to dlatego, że wychowałam się w mieście - powiedziała Bridget.

- A pani nie? - spytał Alleyne.

- Nie - odparła. - Panie Smith, dorastałam na plebanii. Ojciec był biednym jak mysz kościelna pastorem. W domu było nas siedmioro, z czego ja najstarsza. Uwielbiałam pomagać matce w ogrodzie. Od frontu hodowałyśmy kwiaty, a na tyłach domu miałyśmy warzywa. Nie ma przyjemniejszej rzeczy na świecie, niż zanurzyć ręce w ziemi. Gdyby Charlie Perrie miał przy domu ogródek, kilka kur i może świnkę, to chyba bym za niego wyszła, choć był skąpym ponurakiem. Niestety nie miał, więc w wieku szesnastu lat ruszyłam szukać szczęścia w Londynie. Poczułam się, jakbym Pana Boga za nogi złapała, gdy pan York zatrudnił mnie jako nianię Rachel. Trwało to całe sześć lat. Od tamtej pory nie narzekam na swój los, ale dla mnie prawdziwe szczęście to posiadanie ogrodu. Jeśli naszej czwórce uda się kiedyś ziścić marzenie o prowadzeniu pensjonatu, to musi on mieć duży ogród. I dużą kuchnię dla Phyllis.



Ale chyba za dużo gadam. Pójdę zerwać trochę kwiatów.

Ruszyła wzdłuż rabat, schylając się po kwiaty.

- Czy to Bridget nauczyła cię czytać? - spytał Rachel.

- Chyba raczej moja matka - odparła. - A może ojciec. Lubił czytać i miał bardzo dobre wykształcenie. Kiedyś, gdy byłam jeszcze mała, dużo mi czytał.

- Jak wyglądało twoje życie? - spytał. Zastanawiała się dłuższą chwilę.

- Byłam chyba bardzo przywiązana do matki - odrzekła. - Pamiętam, że gdy pojawiła się Bridget, przez pewien czas miewałam ataki hysterii. Myślałam, że Bridget, chce zająć miejsce mamy. Jednak wkrótce, ze zmiennością właściwą dzieciom, pokochałam ją jak matkę. Gdy została odprawiona, byłam bardzo nieszczęśliwa. Z czasem ojciec zaczął coraz więcej pić i grać o coraz wyższe stawki. Podobała mi się jednak rola pani domu, odpowiedzialnej za prowadzenie naszego gospodarstwa. Wydaje mi się, że robiłam to całkiem nieźle. Nauczyłam się rozsądnie planować wydatki i odkładać coś na ciężkie czasy, gdy dobrze nam się powiodło. Niestety, przez kilka ostatnich lat ojciec stale przegrywał. Kochałam go. Na zawsze zachowam wspomnienia o tych chwilach, gdy kochał mnie całym sercem i gdy ja mogłam go kochać. Tyle że pod koniec jego życia nie było ich wiele.

- Nigdy nie zostałeś posłana do szkoły? - spytał.

- Nie - potrząsnęła głową.

- Miałaś jakieś przyjaciółki? - ciągnął.

- Kilka - spuściła wzrok na ręce. - Mieliśmy dobrych sąsiadów, z którymi przyjaźnię się do dzisiaj.

Była samotnym, żyjącym w niedostatku dzieckiem, pomyślał Alleyne, patrząc na nią spod półprzymkniętych powiek. Przypuszczał, że przez wiele lat po odejściu Bridget była spragniona miłości. I przyjaciół. Ale cieszyła się tym, co ma. Nie narzekała.

Pomyślał, że źle zrobił. Zamiast rzucać się w tę maskaradę niczym rozbrykany uczeń, powinien był bardziej stanowczo nalegać, żeby poprosiła wujka o pomoc. Tu było jej miejsce, tu powinna mieszkać. Panna Rachel York z Chesbury Park. Zaczynał mieć poważne wątpliwości co do uczuć, jakie żywiła do Westona.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- To wcale nie było takie złe życie - powiedziała. - Nie chcę, abyś odniósł wrażenie, że ojciec traktował mnie okrutnie i zaniedbywał albo że go nienawidziłam. Wcale nie. To było jak choroba. Nie mógł się powstrzymać, żeby nas nie rujnować. Potem zmoęła go prawdziwa choroba, pozornie lekka. Po trzech dniach zmarł.

- Tak mi przykro - rzucił.

- A mnie nie - odparła z wymuszonym uśmiechem. - Życie stało się dla niego udręką.

Dla mnie też.

Mówiąc te słowa, zagryzła wargę i opuściła głowę, by ukryć łzy. Zobaczył, jak jedna kropla spada jej na dłoń. Powstrzymał odruch, by ją objąć i przytulić. Na pewno nie potrzebowała jego współczucia.

- A teraz wydaje ci się, że klejnoty rozwiążą wszystkie twoje problemy - rzucił. - I pozwolą ci żyć długo i szczęśliwie.

Spojrzała na niego gniewnie oczami pełnymi łez.

- Nie! - krzyknęła. Zerwała się na nogi i Spiorunowała go wzrokiem. - Oczywiście, że nie! Pieniądze nie wrócą mi ojca, nie mogą sprawić, by w moich wspomnieniach stał się taki, jak kiedyś. Taki, jakim go znała i pokochała mama. Pieniądze nie dadzą mi szczęścia. Nie jestem głupia, Jonathanie. Ale pieniędzmi gardzą tylko ci, którzy mają ich pod dostatkiem.

Dla zwykłych ludzi są one ważne. Dzięki nim mamy co jeść i w co się ubrać. I możemy spełnić nasze marzenia. Musisz pochodzić z bogatej rodziny, bo inaczej nigdy byś nie

powiedział tego, co przed chwilą. I zdaje mi się, że jesteś podobny do mego ojca. Tak jak on jesteś hazardzistą. Tak się akurat złożyło, że gdy grałeś ostatnim razem w Brukseli, szczęście się do ciebie uśmiechnęło. Wygrałeś dość pieniędzy, żeby teraz się nimi nie przejmować. Następnym razem szczęście może cię opuścić.

- Rachel, miałem na myśli coś innego - stwierdził. Pochylił się i próbował ująć ją za rękę. Wyrwała mu dłoń.

- Wcale nie - zawołała. - Ludzie zawsze tak mówią, gdy zauważą, że kogoś obrazili swoimi słowami. Cóż innego mogłeś mieć na myśli? Uważasz, że pochodzę z niezamożnej rodziny i zawsze musiałam się bardzo starać, by związać koniec z końcem. Twoim zdaniem, jak tylko dostanę klejnoty w swoje ręce, natychmiast zmarnotrawię cały majątek, tak jak ojciec zawsze trwonił swoje wygrane i znów będę biedna. Zresztą jestem tylko kobietą. Co kobieta mogłaby wiedzieć o planowaniu i rozsądnym wydawaniu pieniędzy? Tak właśnie myślisz, prawda?

- Rachel, to ty lepiej ode mnie wiesz, co myślę - odparł. - Przepraszam cię, że odezwałem się tak obcesowo. Naprawdę, bardzo cię przepraszam.

Chciał powiedzieć, że ona potrzebuje o wiele więcej niż pieniędzy, rodziny i przyjaciół. Poczucia, że gdzieś przynależy. Potrzebuje miłości. Niekoniecznie cielesnej, choć na to też pewnie przyjdzie czas. Potrzebuje domu. Chesbury i Westona. Tyle że po śmierci ojca była zbyt uparta, żeby to przyznać. A teraz znalazła się w paskudnej sytuacji, która może jej uniemożliwić pojednanie z wujem.

Do diabła. To wszystko jego wina. Chciał powiedzieć, że w tym domu może znaleźć większy skarb niż klejnoty. Weston był tak samo samotny i spragniony rodziny jak ona. Musiał jednak przyznać, że jego słowa zabrzmiały niezręcznie. W dodatku on wymyślił podstępny sposób zdobycia klejnotów.

Nie - odezwała się. - Ty wcale mnie nie przepraszasz. Mężczyźni nigdy nie przepraszają. To oni rządzą światem, a kobiety są tylko głupiutkimi stworzeniami, które nie potrafią zrozumieć, co zapewni im szczęście. Wiem, że nie chcesz tutaj być, mimo że to ty zasugerowałeś, żebyśmy przyjechali do Chesbury i odegrali tę maskaradę. Jesteś skazany na pobyt tutaj przez cały miesiąc. Nic mnie nie obchodzi, co sobie myślisz o mnie i moim pragnieniu, by dostać wreszcie mój majątek. Nic a nic mnie to nie obchodzi.

Alleyne wstał. Widział, że Rachel jest bardzo zdenerwowana. O wiele bardziej, niż mogła to sprawić jego uwaga. Domyślał się, że pobyt w Chesbury Park przebiega zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażała. Czuł się winny z tego powodu.

- Rachel, może powinniśmy zakończyć całą tę maskaradę - powiedział. - Wyjaśnię wszystko twemu wujowi, twoje przyjaciółki jakoś ułożą sobie życie, a ty zostaniesz tutaj.

- O tak! - zawołała. - Proponujesz to rozwiązanie, bo zabawa już ci się znudziła.

Zostawisz mnie tutaj samą, gdzie mnie nie chcą, gdzie nie chcę być? Zmusisz mnie, żebym opuściła moje najdroższe przyjaciółki i skazała je na życie, o jakim nie mogę nawet spokojnie myśleć? No to się pomyliłeś.

Uderzyła go pięścią w pierś. Niezbyt mocno, ale stracił równowagę, gdyż nie podpierał się laską. Zachwiał się do tyłu, niezdarnie zamachał rękami i opadł na ławkę.

Spojrzał na nią i uniósł brwi.

- To wszystko przez ciebie! - zawołała z gniewem. - Nigdy w życiu nikogo nie uderzyłam.

- Chyba jeszcze nigdy nikt mnie nie uderzył i nie przewrócił - odparł. - Ale zdaje się, że mi się należało. Nerozważnie dobrałem słowa. Postaram się o tym pamiętać następnym razem, gdy spróbuję być dla ciebie miły, a ty będziesz rozwścieczona jak osa.

- Miły! - warknęła z pogardą. - Nie jestem rozwścieczona. Zanim jednak Rachel na

dobrze zaczęła się z nim kłócić, podbiegła Bridget z koszem pełnym kwiatów.

- Co się stało? - spytała. - Panie Smith, czy pan upadł? Ostrzegałam pana...

- Bridget, to tylko sprzeczka zakochanych - odparł Alleyne z niemądrym uśmiechem. -

Nasza pierwsza. Oczywiście najzupełniej z mojej winy. Rachel mnie popchnęła i przewróciła.

- Tam w Brukseli, to wszystko wydawało się wspaniałym pomysłem - powiedziała

Rachel. - Myśleliśmy, że to będzie świetna zabawa. I jest. I dalej będziemy się świetnie

bawić. Myślę, że wuj Richard jest bliski śmierci.

Uniosła rąbek sukni, obróciła się na pięcie i niemal pobiegła do domu. Alleyne chciał

za nią pójść, ale Bridget powstrzymała go gestem.

- Niech pan ją zostawi - poradziła. - Pamiętam chwile, gdy każdej nocy rozpaczliwie

plakała za matką. I pamiętam, jak jeden z kompanów pana Yorka rozbił po pijanemu jej

śliczną lalkę z porcelany. Rachel zawinęła szczątki w gałganek i plakała nad nimi co noc. Tak

naprawdę plakała z tęsknoty za wujem. Po śmierci matki pojawił się w jej życiu niczym

promień słońca i kupił jej tę lalkę. A potem równie nagle zniknął. Wydawało się, że po roku

Rachel o wszystkim zapomniała i stała się energiczną, dzielną dziewczynką. Teraz jednak

zastanawiam się, czy rzeczywiście tak było. Nienawidzi barona. I nie przyzna się chyba nawet

przed sobą, że nadal rozpaczliwie pragnie jego bliskości i że pragnie go kochać. To brat jej

matki. Jej jedyna rodzina.

- O Boże! - westchnął Alleyne. - Ja też odniosłem takie wrażenie. Zobacz, w jaką

kabałę ją wpakowałem.

- Niech się pan nie martwi - odparła Bridget. - Wszystko się jakoś ułoży. Zobacz pan.

Alleyne żałował, że nie czuje takiej samej pewności jak ona.

Ktoś pukał do jej drzwi. Rachel nie zdążyła jeszcze ochłonać po kłótni z Jonathanem.

Do pokoju weszła Geraldine, nawet nie czekając na pozwolenie.

- Rache, co za afera - zawołała. - Phyll jest w kuchni i toczy prawdziwą bitwę.

Przejęła komendę nad podkuchennymi, jedzeniem i piecem. Kucharka się wycofała, żeby przegrupować siły i przygotować kontratak. Razem z ochmistrzynią popijają gin dla kurażu.

A potem, śmiem twierdzić, polecą garnki i ostre słowa. Za nic nie chcę, żeby mnie to ominęło, więc tylko szybko przekażę ci wiadomość. Baron prosi cię do swojego prywatnego apartamentu. Lepiej idź. Może uda ci się dowiedzieć, gdzie trzyma klejnoty. Mogłabym wówczas założyć czarny płaszcz i maskę, chwycić nóż w zęby i w bezksiężycową noc wdrapać się po bluszczu.

Rachel mimo woli się roześmiała. Spiesząc do apartamentów wuja, pomyślała, że tak naprawdę pragnie znaleźć się jak najdalej od Chesbury. Nagle wszystkie ich kłamstwa wydały się jej nikczemne. Co jednak mogła zrobić? Przecież nie tylko ona była zaangażowana w to oszustwo. Nie mogła zdemaskować swoich przyjaciółek. Nienawidziła Jonathanana. Po prostu nienawidziła. W swoim poprzednim życiu na pewno był bogatym, aroganckim, gruboskórnym typem. Rozmyślnie zignorowała fakt, że ją przeprosił. Drzwi otworzył lokaj.

- Rachel, wejdz i usiądź - powiedział wuj.

Nie wstał z krzesła. Opierał nogi na wyściełanym podnóżku. Wydawał się zmęczony, ale obserwował ją bystro spod krzaczastych brwi. Rachel przeszła przez pokój i usiadła na wskazanym miejscu. Siedzieli zwrócenii twarzą w stronę dużych okien z widokiem na klomby przed domem i ciągnące się za nimi trawniki.

- Wuju, jak się czujesz? - spytała. - Z twoim zdrowiem chyba nie jest najlepiej?

- To moje serce - odparł. - Powoli słabnie. A może szybko. Któż to wie? W ciągu ostatnich trzech lat przeżyłem kilka ataków, z czego ostatni w lutym tego roku. Już dochodziłem do siebie, gdy znów stało się coś, co poważnie nadwerżyło moje siły. A wczoraj ty przyjechałaś.

Czy sugerował, że jej przyjazd - tak jak tamto nieznane jest bliżej wydarzenie - nadszarpnął jego zdrowie? Czy mogła się temu dziwić? W zeszłym roku odrzuciła jego zaproszenie, a teraz pojawiła się tu niespodziewanie. Nawet nie napisała do niego, żeby zawiadomić o swoim przybyciu. I jeszcze przywiozła ze sobą spore towarzystwo. Rachel nigdy nie przyszło do głowy, że wuj przez te szesnaście lat się zestarzeje. I na pewno nigdy nie pomyślała, że może zapaść na zdrowiu. Spodziewała się zobaczyć tego samego energicznego, śmiałego, pewnego siebie mężczyznę. Tyle że tym razem nie byłaby wobec niego bezbronna.

- Jeśli chcesz, jutro wyjedziemy - rzuciła. - Albo jeszcze dzisiaj.

- Nie o to mi chodziło - odparł. - Rachel, jak dobrze znasz Smitha? Co ty o nim wiesz?

Przyznaję, że jest przystojny i czarujący. A przynajmniej potrafi być czarujący, gdy zechce.

Czy wyszłaś za niego, bo jako dama do towarzystwa nie miałaś zbyt dużego wyboru? To nierozsądne. Kiedyś będziesz bardzo bogatą kobietą. Gdybyś w ciągu minionego roku wyszła za mąż za kogoś, kogo bym zaakceptował, już byłabyś bogata.

- Kocham Jonathana - oświadczyła Rachel. - I wiem, że to mężczyzna, z którym szczęśliwie i bezpiecznie przeżyję całe życie. Wuju Richardzie, nie mógłbyś dla mnie wybrać lepszego kandydata.

- A jednak całkiem niedawno ostro się pokłóciliście - zaproponował wuj. - On cię chyba uraził, a ty go odepchnęłaś, aż się przewrócił.

Rachel na chwilę zamknęła oczy. Oczywiście! Z tego okna wuj doskonale widział to,

co się stało. Nawet nie musiała wstawać, by zobaczyć ławkę, na której siedzieli z Jonatanem.

Dziękowała Bogu, że okno było zamknięte, zatem wuj nie usłyszał ani słowa z tego, co powiedzieli.

- To nic - odparła. - Burzliwa wymiana zdań, szybko przzerwana i zażegnana. To wszystko.

- Ależ wy się nie pogodziliście - stwierdził wuj. - Rozstałaś się z nim w gniewie, a on nie poszedł za tobą.

- To nic poważnego - upierała się. Oparła dłonie na kolanach.

- Mam szczerą nadzieję, że nie popełniłaś tego samego błędu, co twoja matka - powiedział.

Spojrzała na niego ostro.

- Skąd wiesz, że to był błąd? - spytała. - Nie akceptowałaś jej małżeństwa. Gdy uciekła z moim ojcem, zerwałeś z nią wszelkie więzi i nie widziałeś się z nią aż do jej śmierci. Skąd wiesz, że przez te wszystkie lata nie była szaleńczo szczęśliwa? Skąd wiesz, że nie pozostałaby szczęśliwa aż do śmierci papy w zeszłym roku?

- Rachel, nie chcę mówić źle o Yorku - westchnął. - To twój ojciec i zapewne go kochałaś. To zupełnie naturalne.

- Ja go uwielbiałam - zawołała żarliwie, choć miała świadomość, że przesadza w swoim zapewnieniu. Kochała ojca aż do końca, ale nie było to łatwe. Czasami wręcz go nienawidziła. - Kto dał ci prawo, żeby sądzić kogokolwiek? - ciągnęła. - Zerwałeś z mamą wszelkie kontakty tylko dlatego, że nie podobał ci się mąż, którego sobie wybrała. A potem, gdy umarła, przyjechałeś, żeby triumfować nad jej grobem. Kto dał ci prawo do tego, by najpierw pozyskać uczucia jej dziecka... żeby wkupić się w jego łaski lodami, lalką i przejażdżką na koniu, a potem zupełnie zniknąć z jego życia? Zostawiłeś mnie z poczuciem,



że nie zasługuję na miłość. Jestem twoją siostrzenicą. To nie moja wina, że nie podobał ci się mój ojciec. Jestem córką twojej siostry. Kimś, kto zasługiwał na twoją uwagę.

- Rachel. - Wuj zamknął oczy, odchylił głowę na wyściełane oparcie fotela i przycisnął dłoń do serca. - Rachel.

Wstała z krzesła, choć nogi się pod nią trzęsły.

- Przepraszam - powiedziała. - Tak mi przykro, wuju Richardzie. Proszę, wybacz mi.

Nigdy się nie kłóczę. A dzisiaj zrobiłam to już dwa razy. Przyjechałam do Chesbury jako gość.

To z mojej strony niewybaczalne, napadać na ciebie, jakbyś to ty naruszył mój spokój. To wszystko wydarzyło się tak dawno temu. A ty przecież po śmierci papy zaofiarowałeś mi tu dom, choć wiązała się z tym groźba wydania mnie za mężczyznę, którego sam wybierzesz.

- Groźba - roześmiał się cicho. - Rachel, miałaś dwadzieścia jeden lat. Z tego, co wiedziałem, nie dano ci szansy byś poznała odpowiednich kandydatów. Twój ojciec nie wprowadził cię w towarzystwo. Myślałem, że oddam ci przysługę.

- No cóż, nie odniosłam takiego wrażenia podczas lektury twego listu - odparła. -

Choć być może zaważyło to, że nie byłam do ciebie przyjaźnie nastawiona. Nie złożyłeś mi kondolencji z powodu śmierci papy.

- Bo nie czułem żalu - odparł zmęczonym tonem. - Myślałem, że oto w końcu otrzymujesz szansę, by nacieszyć się życiem, kiedy jesteś jeszcze młoda. Niestety, nie przewidziałem, że będziesz go opłakiwać.

- To nieważne - rzuciła. - Ja już znalazłam i pochwyciłam swoją szansę na szczęście.

Zrobiłam to w pełni świadomie, wuju. Wybrałam majątnego mężczyznę. Kocham go, a on kocha mnie.

Przez chwilę tak się wczuła w odgrywaną rolę, że niemal uwierzyła w swoją miłość do Jonathana.

- Czy podać ci wody? - spytała.

- Nie - potrząsnął głową.

- Nie wiedziałam, że jesteś chory - rzuciła. - Zdenerwowałam cię swoim przyjazdem.

Powinnam była trzymać się z daleka.

- Minęły dwadzieścia trzy lata od ucieczki twojej matki - powiedział. - Była ode mnie

piętnaście lat młodsza. Traktowałem ją bardziej jak córkę niż siostrę. Bardzo ją kochałem.

Ona jednak była impulsywna, uparta i beznadziejnie romantyczna. Źle rozegrałem sytuację z Yorkiem. A chociaż moje małżeństwo było szczęśliwe, to od chwili, gdy uciekła twoja matka, przez cały czas czułem pustkę. Cieszę się, że przyjechałaś. - Zamknął oczy.

Przez te wszystkie lata, które upłynęły od śmierci matki, w każdej chwili mogłeś tę pustkę wypełnić, pomyślała Rachel, rozdarta między okropnym żalem i rosnącym gniewem.

Nie chciała się już jednak z nim kłócić. Zawsze, przez całe swoje życie, zachowywała spokój.

Tylko w ten sposób udało się jej wytrzymać z ojcem i jego kompanami, i opanować chaos, panujący w ich życiu.

- Wuju Richardzie, oddaj mi klejnoty - poprosiła. - Dla mnie i dla Jonathana będą cenną pamiątką. Zostaniemy jeszcze kilka dni, a potem wyjedziemy i zostawimy cię w spokoju. Będę do ciebie pisać i odwiedzać cię.

Obiecała sobie, że będzie do niego pisać. Wyzna mu całą prawdę. Jeśli wuj jej wybaczy, będzie do niego często przyjeżdżać. Postara się nie mieć mu za złe błędów z przeszłości. Może jeszcze zdołają nawiązać bliższą więź.

- Nie chcę, żebyś tak szybko wyjechała - odparł. - Rachel, w tym domu od dawna nie gościli młodzi ludzie. Podobają mi się twoje przyjaciółki. To czarujące damy. Nie przyjmowałem u siebie gości i nie spotykałem się z sąsiadami, chyba że w kościele. Od ostatniego balu w Chesbury upłynęło chyba ze dwadzieścia lat. Urządzimy tu bal w ciągu

najbliższego miesiąca. Zostań, żebyśmy się mogli nawzajem poznać, żebym poznał bliżej twego męża.

Rachel zagryzła wargę. Z każdą mijającą chwilą coraz bardziej uświadamiała sobie, że popełniła obrzydliwe oszustwo i odczuwała coraz większą udrękę.

- A co z moimi klejnotami? - spytała.

Wuj dłuższy czas zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Rachel, nie obiecuję ci niczego, nawet na koniec spędzonego tu miesiąca - odparł w końcu. - Zobaczymy. Z tego, co Smith mówił o sobie, mniemam, że wystarczy mu na wasze utrzymanie. Nie potrzebujesz zatem klejnotów, żeby je sprzedać. A jeśli chodzi o to, by je nosić... No cóż, to stara, ciężka biżuteria, nieodpowiednia dla bardzo młodej damy. To klejnoty rodowe, powierzone mojej opiece, najpierw przez moją matkę, a potem przez twoją. Więc wszystko na nic, pomyślała Rachel. Choć jest jeszcze cień nadziei, powiedział przecież „zobaczymy”. Mogła jeszcze wysuwać argumenty. Zauważyła jednak, że wuj znów przycisnął dłoń do serca i zbladł. Spojrzała na niego zaniepokojona. Pochyliła się nad nim, ale nie mogła się przemóc, by go dotknąć.

- Wuju Richardzie, zmęczyłam cię - powiedziała. - Czy mam wezwać twojego lokaja?

Wyszła pospiesznie z pokoju, nie czekając na odpowiedź. Na szczęście lokaj czuwał pod drzwiami, nie musiała więc go szukać. Jak dziwnie upłynął ten poranek, pomyślała, schodząc na dół. Wydał się jej dłuższy niż cały dzień albo i tydzień. Rachel czuła się emocjonalnie wyczerpana. Dotąd w jej życiu nie gościło zbyt wiele uczuć i namiętności. Teraz było ich aż za dużo.

Kucharka i ochmistrzyni nie ustąpiły. Osobiście przedstawiły sprawę baronowi

Weston. Ochmistrzyni od razu postawiła wszystko na jedną kartę. Oświadczyła, że skoro jego lordowska mość nie może jej zaufać w kwestii znalezienia dla niego najlepszej służby, to ona

z miejsca rezygnuje. Nie będzie jednak tolerować tego, że nieznane jej damy wkroczyły do kuchni i tak zdenerwowały kucharkę, że biedna kobieta nie zdoła przygotować porządnego posiłku, dopóki pani Leavey przebywa w Chesbury.

Baron odprawił kucharkę i przyjął rezygnację ochmistrzyni.

- Nie zdawałem sobie w pełni sprawy, jak niesmaczne stały się nasze posiłki -

powiedział, gdy po kolacji zebrali się w salonie. - Dziękuję pani, madame. Nawet w Carlton House nie podają lepszych dań. Zdawało mi się, że nie mam apetytu, a dzisiejszego wieczoru najadłem się do syta.

Phyllis się zarumieniła.

- A ciasteczka na podwieczorek były lekkie jak chmurka - dodał i się zaśmiał. -

Wszyscy sąsiedzi będą teraz próbowali ukraść mi kucharkę.

Alleyne pomyślał, że Weston już wygląda o wiele lepiej.

Po południu odwiedzili ich państwo Rothe z synem i dwiema córkami, a także pani Johnson, jej siostra, panna Twigge oraz wielebny Crowell z żoną. Wszyscy zostali na podwieczorku. Wyrazili wielką radość z poznania siostrzenicy barona i jej niedawno poślubionego małżonka. Wydawali się oczarowani Flossie i Phyllis, które na godzinę oderwały się od obowiązków w kuchni. Pani Crowell ucięła sobie miłą pogawędkę z Bridget. Z tego, co Alleyne usłyszał z ich konwersacji, rozmawiały o kwiatach, warzywach, żywopłotach i tym podobnych rzeczach.

- Madame, nie mogę oczywiście oczekiwać, że pani będzie nadal pracować w mojej kuchni - westchnął baron. - Zobaczę, jakie rozwiązanie zasugeruje jutro mój rządca.

- Ależ milordzie, nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności - zapewniła go Phyllis.

- Nie lubię siedzieć beczynnie, jak wyjaśniłby to panu pułkownik Leavey, gdyby tutaj był.

Gotowanie pasjonuje mnie tak, jak inne damy haftowanie albo malowanie.

- Milordzie, za pańskim pozwoleniem, jutro rano pójdę do pokoju ochmistrzyni, przejrzę rachunki i zaplanuję pracę służby na cały dzień - oznajmiła Flossie. - To dla mnie żaden kłopot. Pułkownik Streat wprawdzie zatrudniał komplet służby, ilekroć byliśmy w kraju, ja jednak zawsze sama nadzorowałam jej pracę.

- Madame, to bardzo uprzejme z pani strony - powiedział baron Weston, najwyraźniej zbity z pantafyku. - Będę naprawdę wdzięczny.

Bridget tymczasem przyniosła baronowi poduszkę pod głowę i podnózek. Jeszcze przy kolacji zaofiarowała się, że zaparzy mu specjalną herbatę, która dobrze robi na serce. Alleyne był zdumiony, że nikt ich nie wypędził, choć niemal natychmiast po przyjeździe zaczęli się wtrącać w sprawy majątku. Trzeba jednak przyznać, że jakość posiłków niezmiernie się poprawiła. Strickland zaś - gdy pomagał mu się przebrać do kolacji - zaraportował, że ze stajni uprzątnięto górę nawozu, a główny stajenny zajął się wreszcie wydawaniem poleceń i pilnowaniem, żeby zostały należycie wykonane.

- Powiedziałem mu, że rozumiem jego przygnębienie, skoro pan baron pozbył się większości koni, na których polował, nie jeździ już konno i nawet rzadko kiedy każe zaprzęgać powóz - wyjaśnił sierżant. - To jednak nie usprawiedliwia tego, że przestał być dumny z własnej pracy i zaniedbał się w wykonywaniu obowiązków, za które otrzymuje pensję, jedzenie i dach nad głową. Powiedziałem mu, że gdyby był żołnierzem, musiałby czyścić i ładować broń, a także utrzymywać rynsztunek w należyтым porządku i zachowywać jaką taką trzeźwość nawet w czasie pokoju. Nigdy przecież nie wiadomo, kiedy jaśniepaństwo z jednego kraju pokłóci się z jaśniepaństwem z drugiego i armie znów będą miały co robić.

Nikt ich nie przepędził. A Weston wydawał się zadowolony z ich towarzystwa. Ale też w trakcie wieczoru często, z dosyć ponurą miną, przyglądał się Rachel. Ona jako jedyna

nie kiwnęła palcem, żeby oczarować barona. Ani też nie wysilała się, by odgrywać rolę szczęśliwej młodej małżonki, choć przecież po to tu przyjechała.

Alleyne zdawał sobie sprawę, że Rachel oczywiście nadal jest na niego zła.

Tak jak poprzedniego wieczoru wszyscy zdecydowali się wcześniej położyć spać. Gdy Weston nie mógł jej już usłyszeć, Bridget przyznała, że takie spokojne noce to luksus, który nigdy się jej nie znudzi. Phyllis z zapałem się z nią zgodziła, zwłaszcza że rano musiała wcześniej wstać, by przygotować śniadanie. Alleyne'owi chyba nie do końca odpowiadało to, że kładzie się do łóżka o tak wczesnej porze. Czuł niepokój. Zastanawiał się, czy nie pójść na spacer, ale zobaczył z okna sypialni, że na dworze trochę się zachmurzyło. Noc była ciemna, a za mało znał park, żeby odważyć się błądzić po nim po ciemku. Poza tym jeśli zobaczyłby go Weston, na pewno zastanawiałby się, dlaczego mąż jego siostrzenicy nie spędza nocy w łóżu swojej żony. W końcu nie upłynął jeszcze ich miesiąc miodowy. Strickland pomógł mu zdjąć ciasno dopasowany żakiet i gawędzili jeszcze przez chwilę, zanim go odprawił. Stał przy oknie. Wokół panowała cisza. Geraldine chyba też już wyszła. Jakiś czas temu słyszał, jak rozmawia i śmieje się z Rachel.

Przeszedł do gotowalni. Obok, w gotowalni Rachel było ciemno, ale widział słaby odbłask świecy z jej sypialni. Zatem jeszcze nie spała. Wahał się przez chwilę. Sypialnia nie była najrozsądniejszym miejscem na spotkanie sam na sam, ale przynajmniej mogli pomówić na osobności.

- Wchodzę - zawołał. - Załóż coś na siebie, nie chciałbym, żebyś poczuła się skrępowana.

Stała przy oknie, tak jak on parę minut temu. Miała na sobie prostą, bawełnianą koszulę nocną. Wyglądała w niej tak pociągająco, jakby włożyła przejrzyste koronki.

Geraldine wyszczotkowała jej włosy. Spływały teraz lśniąca falą do połowy pleców. Nogi

miała bosc. Obejmowała ramiona rękami. Spojrzała na niego zdumiona i oburzona.

- Nie bój się - rzucił. - Nie przyszedłem egzekwować swoich małżeńskich praw.

- To po co przyszedłeś? - spytała, przesuwając wzrokiem po jego koszuli, spodniach i stopach w pończochach. - Idź sobie.

- Rache, jesteśmy świeżo poślubionymi małżonkami - odparł. - Podobno pobraliśmy się z miłości. A my milczymy z zaciśniętymi ustami i z trudem uprzejmie się odnosimy do siebie. Czy w ten sposób zdołamy przekonać twego wuja, że nasz związek jest doskonały?

Odwróciła się do okna i zapatrzyła w ciemność. Oparł się ramieniem o framugę w przejściu między gotownią i sypialnią.

- Gdy planowaliśmy tę maskaradę, zapomnieliśmy, że będziemy musieli stale przebywać ze sobą - powiedziała. - Ty jesteś lepszym aktorem niż ja.

- Czyżbym napawał cię odrazą? - westchnął i spojrzał na nią z lekką irytacją. - Jeszcze nie tak dawno temu wystarczyło, że weszłaś do mojego pokoju i dzień stawał się piękniejszy.

Byłem tobą oczarowany od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem. Wiedziałaś o tym? A ty lubiałaś ze mną przebywać. Przychodziłaś ze mną posiedzieć, porozmawiać i poczytać mi, choć właściwie nie było już potrzeby, żebyś stale nade mną czuwała. Czy moglibyśmy oboje zapomnieć o tym, co się stało i zmieniło wszystko między nami?

- Nie - odparła po dłuższym milczeniu. - To niemożliwe. Tego nie można tak po prostu wyrzucić z głowy. Zachowałam się niezdarnie. Nie miałam żadnego doświadczenia i wywołałam w tobie niesmak.

- Rachel, niech to diabli porwą! - zawołał rozdrażniony. - Myślisz, że się przejmuję twoim brakiem doświadczenia? Mam żal tylko o to, że mnie nie uprzedziłaś. Ale to już przeszłość. Powinniśmy o tym zapomnieć.

- Nie można o tym zapomnieć - powiedziała. - Głupotą jest nawet sugerowanie,

żebyśmy spróbowali.

- Dobry Boże, Rachel, kochaliśmy się, to wszystko - zaproponował. - Może nie okazało się to poruszającym doświadczeniem, ale też nie było wcale takie złe. To tylko akt płciowy.

- Właśnie - rzuciła.

Oczywiście kobiety podchodziły do tych spraw inaczej niż mężczyźni. Nie miał pojęcia, skąd o tym wie. Zachował się głupio. Nie powinien był mówić, że to tylko akt płciowy. Właśnie to odczuła najdotkliwiej. Wiedział, że dla niej ich zbliżenie było przejmującym, choć niekoniecznie przyjemnym doświadczeniem.

Niech to diabli porwą, mógłby w tej chwili kuśtykać ulicami Brukseli albo Londynu i szukać swoich przyjaciół i krewnych. Do licha, co go podkuśliło? Dlaczego wpadł mu do głowy ten idiotyczny pomysł? No tak. Rachel chciała pomóc swoim przyjaciółkom, a on chciał pomóc jej. Zawdzięczał jej życie, a poza tym chyba nadal był w niej trochę zadurzony.

- No cóż, Rache, będziesz musiała się jutro postarać i lepiej odegrać swoją rolę - powiedział. - Musisz udawać, że jesteś we mnie zakochana. W przeciwnym razie nasz przyjazd tutaj okaże się daremny i za miesiąc wyjedziemy z niczym.

Odwróciła się do niego.

- Mój wuj choruje na serce - odparła. - Może umrzeć w każdej chwili. Powiedział, że cieszy się z mojego przyjazdu. Chce, żebyśmy tu zostali. Mimo że widział z okna naszą kłótnię dzisiejszego ranka, chce nas oboje poznać. Twierdzi, że od kiedy moja matka uciekła z moim ojcem, czuł w życiu pustkę. Postanowił wydać bal na naszą cześć... Ale przecież mógł to zrobić już wiele lat temu. Mogłabym go często odwiedzać w ciągu ostatnich szesnastu lat. Gdyby wybaczył mamie wcześniej, przyjeżdżałaby tu razem ze mną. A teraz on jest umierający.

Zakryła usta dłonią. Zdążył jednak zauważyć, że zagryzła górną wargę, usiłując



opanować emocje.

- Rachel, może już czas, żebyś mu wybaczyła - zasugerował.

- Jak? - spytała. - Jak? W moim życiu też była pustka. Czasami wydawało mi się, że dla ojca jestem bardziej matką niż córką. Tak trudno było się nim opiekować.

Patrzył na nią posepnie. Jak ciężkie brzemie przeszłości nieśli ze sobą ludzie. Czy utrata pamięci nie była w takim razie błogosławieństwem? Jakie problemy on ciągnął za sobą, zanim nie spadł z konia i nie uderzył się w głowę?

- Nienawidzę tego - zawołała nagle i podeszła gwałtownie do łóżka, by odwinąć kapę.

- Nienawidzę uzalania się nad sobą i czarnej rozpacz. Nigdy się nie załamywałam. To do mnie niepodobne. Nigdy nie opowiadałam na prawo i lewo, że moje życie jest ciężkie. Po prostu żyłam. Dlaczego teraz widzę je inaczej?

- Może dlatego, że przyjechałaś tutaj i stanęłaś twarzą w twarz z przeszłością - odparł.

- Odczuwasz przy tym złość, ponieważ musisz ukrywać swoje prawdziwe intencje. To wszystko moja wina.

- Nie waż mi się znów proponować, że wyznasz wujowi Richardowi prawdę - Rachel usiadła na łóżku i zacisnęła dłonie na materacu. Chyba nie była świadoma, że jej zachowanie można by potraktować jako zaproszenie. - Na to jest już za późno.

- Ciekaw jestem, czy zdajesz sobie sprawę, że nawet jeśli uda ci się uzyskać spadek, twoje przyjaciółki nie wezmą z niego ani grosza jako rekompensaty za to, co zabrał im Crawley - rzucił.

- Oczywiście, że wezmą. - Ze zdumienia szerzej otworzyła oczy. - To wszystko stało się przeze mnie. To marzenie pozwalało im przetrwać.

- Wątpię - odparł. - Rachel, to silne kobiety. Przeszły już w życiu niejedno i zniosą jeszcze wiele. Nie jesteś za nie odpowiedzialna. Ja też nie. One tego nie potrzebują.

- Spróbuję je jakoś przekonać - nie ustępowała. - Muszę. Najpierw jednak muszę przekonać wuja Richarda. Dziś rano powiedział, że nie spieszy mu się z oddaniem klejnotów. Stwierdził, że jesteś wystarczająco majątny, żeby nas utrzymać, więc właściwie ich nie potrzebuję. To nie w porządku. Dlaczego muszę błagać i prosić? Jeśli mu na mnie zależy, powinien oddać mi to, co moje.

Alleynę pomyślał nagle, że w jej życiu brakuje śmiechu. Tak mało się do tej pory śmiała. Dziś rano, gdy ze śmiechem wdrapывała się na konia, beznadziejnie płacząc się w spódnicy i pokazując gołe nogi, wydawała się zupełnie odmieniona.

To on ją wpakował w tarapaty i on powinien ją z nich wyciągnąć. A przy okazji mógłby się też postarać, żeby się więcej śmiała. Tak, właśnie to dla niej zrobi.

- Rachel, jutro będziemy musieli udawać, że kochaliśmy się w tym łóżku przez całą noc - powiedział. - Skoro nie zgadzasz się, żebym skończył tę maskaradę, musimy oboje z przekonaniem brać udział w tym przedstawieniu. Uśmiechnij się do mnie.

- Co? - spojrzała na niego zdumiona.

- Uśmiechnij się do mnie - powtórzył. - To chyba nie jest takie trudne. Kiedyś ci się udawało. No, uśmiechnij się.

- Co za bzdura!

- Uśmiechnij się.

Rozciągnęła usta w uśmiechu. Wydawała się skrępowana, a jednak patrzyła na niego wyzywająco. Roześmiał się.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedział. - Wyobraź sobie, że kochasz mnie nad życie. Ze przed chwilą się kochaliśmy, a ja właśnie wracam, bo ciągle mi mało. Uśmiechnij się do mnie.

Po chwili dziękował Bogu, że został w progu, oparty ramieniem o framugę.

Uśmiechnęła się do niego promiennie. Miał wrażenie, że żołądek podchodzi mu do gardła.

Czuł napięcie w lędźwiach, ale usiłował je opanować. Zdawał sobie sprawę, że bez zakietu, ubrany tylko w koszulę i pantalon, nie zdoła ukryć podniecenia.

Uśmiechnął się do niej leniwie. I zobaczył, że zacisnęła palce na krawędzi materaca, aż jej zbieleły kostki.

- Zobaczmy się jutro w stajni, o tej samej porze co dzisiaj - rzucił cicho. - Dobranoc, kochanie.

Nie odezwała się. W ciszy wrócił do swej sypialni. Potem przez godzinę albo dłużej przewracał się na łóżku, przeklinając się w duchu za ten swój mały eksperyment.

Następnego ranka lekcję jazdy konnej trzeba było odwołać. Chmury, które napłynęły w nocy przyniosły ze sobą deszcz. Mżyło niemal do południa.

Jak tylko się wypogodziło, Alleyne ruszył na spotkanie z Paulem Drummondem, rządcą Chesbury, który zgodził się oprowadzić go po folwarku. Dzisiaj jeszcze bardziej niż wczoraj czuł, że wychował się w majątku ziemskim. Widoki, dźwięki i zapachy parku i stajni wydały mu się tak bliskie, jakby znał je od dziecka.

Zwiedzanie majątku okazało się fascynującym doświadczeniem. Alleyne wszystkimi zmysłami chłonał wrażenia. Zielone łąny zbóż falujące na wietrze. Pola leżące odłogiem, ciemnobrązowe i wilgotne po deszczu. Krowy i owce pasące się na łąkach. Świnie w zagrodach. Kury i kaczki drepczące swobodnie po podwórzu. Ogromne ogrody warzywne i sady. Obora pachnąca słomą i nawozem, a w niej krowa ze słabowitym cielakiem. Wozy na siano, pługi i brony.

- To duża, dobrze utrzymana posiadłość - zauważył Alleyne w drodze powrotnej do stajni.

- Tak - potwierdził Drummond. - Mogłaby oczywiście prosperować jeszcze lepiej, gdyby wprowadzić kilka ulepszeń i nowinek. Niestety, od kiedy jego lordowską mość zachorował, stracił zainteresowanie sprawami majątku. Pozwala mi wszystkim zarządzać, ale nie chce słyszeć o zmianach.

Alleyne nie wypytywał dalej. To nie jego sprawa. Rozumiał jednak frustrację rządcy i współczuł mu. Brak ujścia dla energii i entuzjazmu do pracy stanowczo mógł odebrać radość życia.

Czy on sam czuł coś takiego w swoim dawnym życiu? Czyżby wiódł żywot bez celu i sensu? Nagle przypomniał sobie coś, co powiedział mu sierżant Strickland w Brukseli.

„I gdy w końcu pamięć panu wróci, zobaczy pan, że stał się lepszym człowiekiem.

Może pan był mężczyzną, który nigdy nie dojrzał, mimo że osiągnął dorosłość. Może właśnie tego było panu potrzeba. Utracić pamięć, by zacząć żyć innym życiem”.

Jedno wiedział na pewno. Jego przeznaczeniem było życie na wsi. Blisko ziemi. Jeśli po upływie tego miesiąca odkryje, że jednak jest oficerem, wystąpi z armii. Jeśli rzeczywiście był młodszym synem bez majątku i źródeł dochodu, poszuka zatrudnienia jako rządca. Nawet jeżeli jego bliscy, kimkolwiek byli, uznają takie zajęcie za coś poniżej ich godności.

Nie wiedział, jakim był człowiekiem. Ale tu i teraz był gotów wziąć swoje życie we własne ręce i zrobić z nim to, co chciał.

Drummond przerwał mu rozmyślenia, pytając o jego własny majątek w Northumberland. Łatwość, z jaką wymyślił swoją posiadłość, przekonały Alleyne'a, że ziemia była mu bardzo bliska, co pomogło mu uczynić kłamstwa wiarygodnymi. Wrócił wczesnym popołudniem, zostawił konia w stajni i poszedł do domu. Po raz pierwszy od przyjazdu do Chesbury czuł się pełen optymizmu.

Bridget wyrywała chwasty na jednym końcu klombu. Towarzyszyło jej dwóch ogrodników, jeden pośrodku, drugi na przeciwnym krańcu rabaty. Czterech innych kosiło trawę. Dwóch parobków grabiło ją w kopki. W powietrzu wisiał ciężki zapach świeżo skoszonej, lekko wilgotnej trawy.

Rachel stała na zwirowej ścieżce i przyglądała się pracy. Usłyszawszy jego kroki, odwróciła się i uśmiechnęła olśniewająco. Alleyne zastanawiał się, co takiego sprawiło, że odzyskał jej łaski. Zaraz jednak przypomniał sobie ich wczorajszą rozmowę. Sam wspomniał, że z okien salonu jej wuja roztacza się widok właśnie na klomby. Odwzajemnił się uśmiechem, objął ją w tali i pocałował w usta. Postarał się, żeby ich uścisk nie trwał za długo, gdyż mogłoby się to wydać wulgarne.

W pobliżu znajdowała się przecież Bridget i kilkoro służących. Cofnął głowę, znów się uśmiechnął i przytrzymał ją w talii.

- Nie było mnie tylko dwie godziny - powiedział. - A wydały mi się wiecznością, kochanie.

- Cały ranek żałowałam, że nie pojechałam z tobą - odparła. - Czas rzeczywiście ciągnął się w nieskończoność.

Alleyne zastanawiał się, czy aktorzy na scenie w takiej sytuacji, jak on teraz, również znajdowali się w stanie nieustającego podniecenia. Uśmiechnął się i mocniej przytulił Rachel do siebie. Kiwnął głową w kierunku pracujących przed domem.

- Jak mniemam, to dzieło Bridget? - spytał.

- Flossie zebrała całą służbę - wyjaśniła. - Geraldine opowiedziała mi przebieg tego spotkania. Flossie odwołała się do uczciwości służących wobec pana, który zawsze był dla nich dobry i hojny, a teraz jest zbyt chory, by zauważyć, że opuścili się w obowiązkach.

Wszyscy zalali się rzewnymi łzami i rzucili do pracy. Oto odzew ogrodników. Oczywiście Bridget nie mogła się powstrzymać, by się nie przyłączyć.

Alleyne roześmiał się, a po chwili zawtórowała mu Rachel. Zauważył, że miała dziś na sobie bladożółtą suknię, a Geraldine znów ułożyła jej włosy w misterną fryzurę, tworzącą wokół twarzy złocistą aureolę. Chociaż właściwie takie szczegóły nie miały większego znaczenia. Rachel była dla niego uosobieniem piękna. Nawet gdy miała na sobie prostą bawełnianą koszulę nocną i włosy rozpuszczone luźno na plecy.

Pocałował ją w czubek nosa. Oczywiście tylko ze względu na jej wuja, który mógłby ich obserwować z okien swego salonu.

- Rachel, widzisz jakąś różnicę? - zawołała Bridget. Wyprostowała się i otarła wierzchem dłoni pot z czoła.

- Tak - przyznała Rachel, patrząc na wypieloną część rabaty. - Kwiaty mienią się teraz żywszymi kolorami. Ach, jak rozkosznie pachnie trawa!

Przymknęła oczy i odetchnęła głęboko. Wpatrującemu się w nią Alleyne'owi, wydała się do głębi szczęśliwa.

- Bridget, jeszcze ją nawrócimy na życie na wsi - powiedział. Bridget spojrzała na nich i się uśmiechnęła.

- Taką mam nadzieję - odparła. - Ze względu na wasze szczęście, sir Jonathanie.

Ostatniej nocy Rachel długo nie mogła zasnąć. W głowie kłębiły się jej setki nieprzyjemnych myśli. Ostatecznie doszła jednak do wniosku, że jedyne, co może zrobić przez najbliższy miesiąc, to ciągnąć to, co zaczęła i jak najlepiej odegrać swoją rolę.

Postanowiła również, że postara się ze wszystkich sił zapomnieć o uprzedzeniach i spróbuje poznać swego wuja bliżej. Kto wie, czy to nie jest jej ostatnia szansa. Kolejny atak serca może się dla niego okazać śmiertelny.

Postanowiła uwolnić się od przygnębienia i poczucia winy. Miała ich absolutnie dość.

Jednego była pewna. Nie mogła zmienić przeszłości. Mogła jedynie w pełni żyć obecną chwilą i jak najlepiej pokierować swoją przyszłością.

Przez następny tydzień pilnie uczyła się jazdy konnej. W nagrodę zyskała poczucie spełnienia i radość, jakich dotąd nie знаła. Spędzała czas z wujem. Często sama szukała jego towarzystwa, zamiast tylko godzić się na przypadkowe spotkania. Chodziła na nabożeństwa do kościoła. Pomogła też Flossie i Bridget wypisać zaproszenia na bal, według listy przygotowanej przez wuja. Uczestniczyła w licznych spotkaniach z sąsiadami. Kilka razy wybrała się z rewizytą w towarzystwie Jonathana i Bridget, raz czy drugi także Flossie. Flossie jednak rzadko oddawała się życiu towarzyskiemu, ponieważ większość czasu spędzała nad rejestrami wydatków, próbując przywrócić w nich porządek. Często też

zasiadała nad księgami majątku z panem Drummondem, który cierpliwie objaśniał jej rubryki i kolumny cyfr.

Rachel, tak jak o to prosił, okazywała Jonathanowi miłość. Uśmiechała się do niego i śmiała się z nim. Jeździła z nim konno i spacerowała. Odwiedzili folwark, gdzie w skupieniu słuchała jego wyjaśnień. Trzymała go z rękę, splatając się z nim palcami. Pozwalała, żeby ją całował w rękę i nawet w usta pod najdrobniejszym pretekstem. Siedziała przy nim i rozmawiała, patrzyła na niego z podziwem i oddaniem. Zachowywała się jak świeżo poślubiona, zakochana małżonka. Czasami wręcz zapominała, że to tylko rola. Ze oboje udają.

Rachel zobaczyła w swych oczach blask, a na twarzy rumieniec szczęścia, których nie widziała od czasów dzieciństwa. Z jednej strony pragnęła, by ten miesiąc próby już się skończył. Przypuszczała, że przyjaciółki też się już niecierpliwią, i chcą wyruszyć na poszukiwania Nigela Crawleya. Z drugiej strony, w głębi serca obawiała się chwili, w której opuści Chesbury i wróci do Londynu, by szukać zajęcia, jeśli wuj okaże się uparty w kwestii klejnotów.

Któregoś dnia, podczas pysznego obiadu przygotowanego przez Phyllis, Rachel zauważyła, że wuj wygląda o wiele lepiej niż tydzień temu. Przybrał trochę na wadze, a jego twarz przestała być chorobliwie blada. Czasami nadal wydawał się ponury i przygnębiony, zwłaszcza gdy przyglądał się Rachel. Znajdował jednak w sobie energię, żeby zabawić towarzystwo i na ogół był w dobrym humorze. I najwyraźniej polubił Flossie, Bridget i Phyllis.

Rachel uśmiechnęła się do niego.

- Dziś po południu znów odwiedzą nas proboszcz z żoną - powiedział wuj. -

Proboszcz musi ze mną omówić pewną sprawę, a pani Crowell chciałaby chyba porozmawiać



z panną Clover. Drummond zabiera panią Streat do kowala, a pani Leavey jak zwykle nalega, by przygotować dla nas podwieczorek i kolację. Rachel, może wymknęlibyście się gdzieś z Jonathanem tylko we dwoje? Kilka ostatnich dni było chłodnych i pochmurnych, ale dzisiaj jest słonecznie i ciepło. Szkoda marnować taki dzień na siedzenie w domu.

Poza porannymi lekcjami jazdy konnej Rachel i Jonathan nigdy nie byli sami. Zawsze ktoś im towarzyszył. Teraz wcale nie była pewna, czy chce zostać z nim sam na sam, tym razem bez koni, na których mogłaby skupić uwagę.

Rachel odwróciła się do Jonathana z radosnym pytaniem w oczach. W myślach nakazywała mu, żeby znalazł jakąś wymówkę. Właśnie zdała sobie sprawę, że Jonatan, opalony po wielu dniach spędzonych na świeżym powietrzu, wygląda niewiarygodnie pociągająco. Uśmiechnął się do niej i spojrzał na nią z uwielbieniem. Przykrył ręką jej dłoń leżącą na stole.

- Wspaniały pomysł - powiedział. - Sir, gdzie powinniśmy się wybrać? Co pan proponuje?

- Może nad jezioro? - podsunął wuj Richard. - Jeszcze tam nie byliście, prawda?

Weźcie łódkę i popłyńcie na wysepkę. W tym roku pewnie zarosła chaszczami, ale zawsze stanowiła przyjemne ustronie. Jest tam altana, z której roztacza się ładny widok na park.

- Och, sir Jonathanie, niech pan zabierze Rachel na wysepkę - zawołała Flossie. - To na pewno cudowne, malownicze miejsce. I będziecie tam zupełnie sami.

Spojrzała na Rachel z figlarnym błyskiem w oku.

- Rachel, weź ze sobą parasolkę, żeby osłonić twarz przed słońcem - poradziła Bridget.

- Ale ja się boję wody - oświadczyła Rachel.

- Bzdura, kochanie! - Jonathan uśmiechnął się do niej szeroko i uścisnął jej dłoń. -

Stałaś na pokładzie przez cały rejs z Ostendy i bardzo ci się to podobało.

- Ale to był duży statek - zaprotestowała. - A tu będziemy w małej łódce, bardzo blisko wody.

- Nie ufasz mi, że zdołam cię uchronić przed niebezpieczeństwem? - pochylił ku niej twarz.

Rachel westchnęła.

- Och, wiesz, że ufam ci bezgranicznie.

- To świetnie - uniósł jej dłoń do ust. - W takim razie wyprawa postanowiona. Sir, dziękujemy, że pozwolił nam pan opuścić popołudniowe spotkanie z gośćmi. Muszę przyznać, że perspektywa spędzenia kilku godzin sam na sam z moją żoną, jest kusząca.

- Przygotuję wam kosz z wiktuałami - powiedziała Phyllis, przyciskając obie dłonie do serca.

Niecałą godzinę później Jonathan zapakował koszyk z jedzeniem do łódki, wybranej dla nich przez głównego ogrodnika.

Rachel niepewnie spoglądała na łódź i wodę. Jezioro zawsze wydawało się jej duże.

Teraz wyglądało jak ogromne, otoczone lądem morze. Nie umiała pływać. Fakt ten nie martwił jej podczas rejsu z Anglii do Belgii i z powrotem. Pomyślała wtedy, że jeśli statek zatoni, to umiejętność pływania i tak jej nie pomoże. Teraz jednak było inaczej.

- Czy to naprawdę było konieczne? - spytała.

- Skoro twój wuj sam to zasugerował? - odparł. - Musiałem się zgodzić. Zresztą, czy naprawdę wolałabyś spędzić to popołudnie z wielebny i jego małżonką?

Rachel domyśliła się, że pytanie jest retoryczne, ale wcale nie była pewna, czy odpowiedziałaby na nie tak, jak się spodziewał. Jonathan wyciągnął do niej rękę, by pomóc jej wsiąść do łódki. Wyglądało na to, że już pewnie trzyma się na nogach, choć przestał się

podpierać laską zaledwie parę dni temu.

Gdy wsiadała do łodzi, ta zakołysała się niebezpiecznie. Rachel opadła szybko na jedną z ławeczek i z rezygnacją poddała się swemu losowi. Jonathan zdjął surdut, położył go obok kosza na dnie łodzi i usiadł na ławce naprzeciwko. Wydawał się silny i pełen energii. Zdjął i odłożył kapelusz. Wiatr od razu potargał mu włosy.

- Wyglądasz na bardzo zadowolonego z siebie - rzuciła, otwierając parasolkę, żeby osłonić twarz i szyję przed promieniami słońca. Jonathan ujął wiosła.

- A dlaczego nie? - spytał, manewrując łódką po wodzie. Rachel kurczowo chwyciła się burty. - Słońce świeci tak pięknie, że jestem pełen chęci do życia.

- Myślałam, że powinniśmy unikać przebywania ze sobą sam na sam - powiedziała.

Spojrzała na jego lewą nogę, którą zginał i prostował w trakcie wiosłowania. Aż trudno było uwierzyć, że to ten sam mężczyzna, który nie tak dawno leżał na jej łóżku w domu schadzek i wydawał się bliższy śmierci niż życia. Zastanawiała się, kim on jest.

Czasami zapominała, że Jonathan Smith to wymyślona tożsamość. Dziwnie było nie znać jego prawdziwego imienia. Jemu na pewno wydawało się to bardziej niż dziwne.

- Rache, przecież nie jesteśmy dziećmi, prawda? - powiedział. - Nie będziemy się ze sobą kłócić przy każdej możliwej okazji. Umówmy się, że nacieszymy się po prostu wolnym popołudniem, które nam się niespodzianie trafiło, dobrze?

- Dobrze - odparła i odwróciła głowę, żeby rozejrzeć się dookoła. Powierzchnia jeziora migotała w słońcu. Drzewa na przeciwległym brzegu wydawały się zieleńsze niż zwykle. Dziwne, ale teraz, gdy znalazła się w łodzi, woda już się jej nie wydawała taka groźna. A może Rachel czuła się bezpieczniej, bo widziała, że Jonathan dobrze sobie radzi z wiosłami?

- Umiesz pływać?

- Czyżby kolejne z twoich podchwytliwych pytań? - spytał. - Może wyskoczę za burzę, żeby się przekonać? A co zrobisz, jeśli zostaną po mnie tylko bąbelki na powierzchni wody? Tkwiałabyś tu sama do końca swego wdowiego życia. Tak, Rachel, umiem pływać. To dziwne, że podświadomie wiem o sobie takie rzeczy, prawda? A ty? Umiesz?

- Nie - potrząsnęła głową. Zanurzyła rękę w wodzie i poruszyła palcami. Woda była chłodna, ale nie zimna. - Nigdy nie miałam okazji się nauczyć.

- To następne zaniedbanie, które musimy naprawić - powiedział.

Nie protestowała. Zawsze się jej wydawało, że pływanie musi być cudowne. Poruszać się w wodzie, unosić się na jej nietrwalej, ustępliwej powierzchni. Teraz bardziej niż kiedykolwiek dotąd pragnęła poznać wszystko, co ją ominęło z tego powodu, że mieszkała w Londynie i nigdy, nawet na krótko nie pojechała na wieś.

- Jak się bawiłaś, gdy byłaś mała? - spytał. Niemal nie pamiętała, co znaczy się bawić.

- Czytałam, szyłam i haftowałam - odparła. - Czasami malowałam. Gdy opiekowała się mną Bridget i wcześniej, jeszcze za życia mamy, chodziłam na spacer, na przykład do Hyde Parku. Czasami zabierałyśmy ze sobą piłkę.

- A po odejściu Bridget? - dopytywał się.

- Nie wolno mi było wychodzić bez służącej - ciągnęła. - Czasami, gdy mieliśmy pokojówkę, chodziłam do biblioteki. I kilka razy wyprawiałam się na zakupy z naszymi sąsiadkami.

- Wyjazd do Brukseli wydał ci się na pewno wielką przygodą - rzucił.

- W pewnym sensie, tak - odparła. - Pamiętaj jednak, że pracowałam i miałam dużo obowiązków.

- Czy lady Flatley zabierała cię gdzieś ze sobą? - dopytywał się. - Na bale, wieczorki, rauty?

- Nie - potrząsnęła głową. - Pojechała do Brukseli, bo przebywał tam jej syn, oficer kawalerii. Towarzyszyła mu jego narzeczona, panna Donovan wraz ze swymi rodzicami.

Właściwie wcale nie byłam tam potrzebna, może z wyjątkiem poranków. Albo żeby podawać herbatę i spełniać różne polecenia, gdy lady Flatley miała gości.

- Nie miałaś zatem okazji spotkać mnie przedtem? - westchnął.

- Nie - odparła. - Jedyne raz, kiedy byłam o krok od jakiejś rozrywki, to wieczór, gdy w lesie Soignes urządzono piknik przy księżycu. Lady Flatley chciała mnie zabrać, żebym nosiła jej szal, na wypadek gdyby się ochłodziło. Jednak w ostatniej chwili pan Donovan zdecydował się towarzyszyć żonie i córce i zabrakło dla mnie miejsca w powozie.

Przeżyła wówczas gorzkie rozczarowanie. Przestał wiosłować. Patrzył na nią, mrugając gwałtownie powiekami.

- O co chodzi? - pochyliła się do niego. - Czy ty tam byłeś? Na tym pikniku?

Widziała napięcie na jego twarzy i wysiłek, z jakim próbował sobie przypomnieć. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Po chwili jednak pokręcił głową.

- Kto go urządził? - spytał.

- Nie pamiętam - odparła po krótkim namyśle. - Chyba jakiś hrabia. Nie cieszył się najlepszą reputacją. A po pikniku krążyły plotki, że omal nie skompromitował pewnej młodej damy, która pewnie była tak głupia i naiwna, że uległa jego urokowi. Nie, nie potrafię sobie przypomnieć. On nigdy nie gościł u lady Flatley.

- Czasami mam wrażenie, że gruba kotara, która przesłania mi pamięć drży, jakby miała się zaraz odsunąć - westchnął. - Jednak za każdym razem nieruchomieje i pozostaje na miejscu. Skoro byłem wtedy w Belgii, jest całkiem możliwe, że uczestniczyłem w tym pikniku. Przez chwilę miałem wręcz pewność, że tam gościłem. Chyba robię się już nudny, ciągle rozwodząc się nad żalonym stanem mej pamięci. A przecież wybraliśmy się tutaj,

żeby przyjemnie spędzić czas. Dobrze się bawisz?

- Tak - odparła.

I rzeczywiście tak było. Coraz bardziej ulegała urokowi życia na wsi. Konne przejażdżki, spacery po parku i wśród pięknych klombów przed domem, wizyty sąsiadów, a teraz jeszcze wycieczka na wyspę. To wszystko wydawało się jedną wielką idyllą.

Oczywiście, jeśli pominąć maskaradę, jaką tu urządzała. Myśl o niej odbierała jej radość.

Rachel starała się więc o niej zapomnieć.

Jonathan znów poruszył wiosłami. Wkrótce dobili do niewielkiej przystani na wyspie.

Porządnie przywiązał łódź do pala i pomógł Rachel wysiąść.

Wyspa miała kształt pagórka. Sprawiała wrażenie większej, niż się to wydawało z drugiego brzegu. Weszli na szczyt wzniesienia, choć mogliby też pójść zarośniętą ścieżką, która zapewne wiodła dookoła wyspy. Jonathan niósł koszyk. Rachel zaproponowała, że może z uwagi na jego lewą nogę, na którą nadal lekko utykał, to ona poniesie kosz, ale się nie zgodził.

Na zboczach wzniesienia rosły krzewy i trochę drzew. Szczyt pokrywała tylko gęsta, wysoka trawa. Stała tam altana wyglądem przypominająca zrujnowaną, kamienną pustelnię. Pod skośnym dachem z łupków ustawiono solidną drewnianą ławkę. Można było schronić się tu przed deszczem lub słońcem. Z altany roztaczał się wspaniały widok na jezioro i dom.

Nie chcieli jednak siedzieć w cieniu. Dzień był piękny i słoneczny, wiał lekki, ciepły wiaterek. Jonathan postawił kosz na ziemi, a Rachel oparła obok swoją parasolkę.

Spacerowali i podziwiali roztaczające się dookoła widoki. Najbardziej podobał się im widok na rzekę, spływającą kaskadą po skałach do jeziora.

Rachel czuła na ramionach ciepło słońca. Niebo nad jej głową było ciemnobłękitne.

Pachniały kwiaty. Nie pamiętała, kiedy ostatnio doświadczyła tak niezwykłego ukojenia.

Nawet tamten poranek przy kaskadzie nie mógł się z tym równać. Odchyliła głowę do tyłu, żeby poczuć na twarzy promienie słońca. Rozłożyła ręce na boki i powoli obróciła się dookoła.

- Czyż świat nie jest pięknym miejscem? - spytała.

Jonathan klęczał przy koszyku. Wyjął cienki koc, przezornie włożony tam przez

Phyllis, by rozłożyć go na trawie. Był bez surduta i kapelusza, które zostawił w łodzi. Wiatr szarpał mu koszulę i rozwiewał włosy. Spojrzał na nią, mrużąc oczy przed blaskiem słońca.

- O tak - zgodził się. - A kobieta, stojąca na jego szczycie, jest jednym z jego cudów i jeszcze dodaje mu uroku.

Rachel poczuła się nagle zupełnie bezbronna. Opuściła ręce. Była skrępowana tym, że tak otwarcie okazała radość. Wyspa nagle wydała się jej mała i odosobniona. A Jonathan klęczał przed nią, pełen wigoru, wręcz nieprzyzwoicie przystojny. Znieruchomiał na dłuższą chwilę. Powietrze między nimi niemal się iskrzyło. W końcu odwrócił wzrok. Zamknął wieko koszyka i wstał, żeby rozłożyć koc.

- Rachel, kłopot w tym, że ilekroć patrzymy na siebie dłużej niż kilka sekund, czujemy wzajemne pożądanie - odezwał się w końcu głosem pełnym napięcia. - Od razu jednak przypomina nam się ten nieszczęsny epizod, który zepsuł to, co nas łączyło. Na krótką chwilę uległem czystej żądzy, a ty pokusie, i utraciliśmy naszą przyjaźń. Od tamtej pory wszystko się zmieniło.

Nagle dzień nie był już taki jasny i radosny. Wydawało się, że słońce zasłoniły ciężkie chmury, choć niebo pozostało błękitne. Rachel objęła ramiona rękami, jakby chciała się osłonić przed chłodem.

Żądza. Pokusa.

Czy naprawdę łączyła ich przyjaźń? Oczywiście, że tak. Oboje chyba czuli też do

siebie wzajemną sympatię.

- Zabierz mnie do domu, spakuj się i wyjedź - powiedziała. - Wyjaśnię wszystko wujowi. Nie musisz się już o nic martwić. Nie jesteś mi nic winien.

- Nie o to mi chodziło. - Westchnął. - Ja po prostu żałuję, że utraciliśmy to, co nas łączyło. I zastanawiam się, czy ty też odczuwasz żal.

- Nic nas nie łączy - rzuciła.

- Wręcz przeciwnie - odparł zniecierpliwiony. - Wiodłaś dotychczas niespokojne życie i zapewne nie możesz się już doczekać, by zyskać pewną niezależność. Chciałabyś kierować własnym losem, być może nawet kiedyś zdecydowałaś się na małżeństwo i macierzyństwo.

Ja z kolei chciałbym jak najszybciej odnaleźć własną przeszłość, by poukładać sobie teraźniejszość i odważnie spojrzeć w przyszłość. Gdy skończy się ten miesiąc,

najprawdopodobniej rozejdziemy się każde w swoją stronę i nigdy się już nie spotkamy.

Jednak zawsze coś nas będzie łączyć. Będziemy się nawzajem pamiętać, czy tego chcemy, czy nie. Nigdy nie zapomnę kobiety, która uratowała mi życie. Zdaje się, że ty też nie zapomnisz mężczyzny, którego uratowałaś. Czy mamy siebie zapamiętać takich jak teraz?

Miesiąc, który upłynął od tamtej nocy, nie był dla nas radosny i szczęśliwy, prawda?

Przez ostatni tydzień była szczęśliwa. Jonatan wydawał się zawsze pełen śmiechu i optymizmu. W towarzystwie zachowywali się jak para zakochanych. A jednak miał rację.

Może z wyjątkiem poranków, gdy jeździli razem konno, nie czuli się w swoim towarzystwie swobodnie. A przecież w ciągu pierwszych dwóch tygodni w Brukseli lubili ze sobą przebywać.

- Więc co proponujesz? - spytała. - Że uściśniemy sobie ręce i się pogodzimy?

Odwróciła głowę. Spojrzała na jezioro i dalej na kaskadę, na drugim brzegu. Miała ochotę się rozpłakać. Przed tamtą feralną nocą była w nim chyba trochę zakochana. Potem czuła tylko



fizyczne pożądanie, a to już nie było takie radosne, porywające uczucie.

Przedtem się przyjaźnili. Tamtej nocy utraciła przyjaciela.

- Rachel, musimy wrócić i stworzyć inne wspomnienia, które zabierzemy ze sobą w przyszłość - powiedział. - Lepsze, piękniejsze wspomnienia.

- Co? - spojrzała na niego przez ramię.

Stał na drugim końcu koca, szeroko rozstawiając nogi, z rękami opartymi na szczupłych biodrach. Koszula trzepotała mu na wietrze.

- Rachel, powinniśmy się kochać - dokończył. - Tym razem z radością i z rozkoszą.

Musimy doprowadzić nasze zbliżenie do innego, szczęśliwego i radosnego dla nas obojga spełnienia. Tutaj, na otwartej przestrzeni, w słońcu i ciepłym letnim wietrze. Oboje bardzo tego potrzebujemy.

Pomysł przyszedł mu do głowy dopiero wtedy, gdy na nią spojrzął i otworzył usta.

Uświadomił sobie, że może żałować swoich słów, kiedy się nad nimi spokojnie zastanowi. A jednak za nic nie cofnąłby ich teraz, gdy już je wypowiedział. Od początku jej pożądał.

Rachel była naprawdę niezwykle piękna. I oto znaleźli się na wyspie zupełnie sami. Były jednak jeszcze inne względy, które przekonały go do tego pomysłu.

Powiedział prawdę. Ilekroć na nią patrzył, zawsze przypominał sobie tamtą noc.

Wtedy to, co zrobili, wydawało się tylko występkiem. Od tamtej pory urosło do rozmiarów śmiertelnego grzechu i zepsuło łączącą ich więź, a przez to wspomnienia, które o sobie zachowają. Przedtem między nimi było coś czułego i dobrego - przyjaźń, a może nawet więcej. Bardzo chciał ją pamiętać taką, jak na początku, gdy ją zobaczył i uległ jej urokowi.

Chciał też, by ona pamiętała go jako człowieka, którego polubiła, z którym pragnęła przebywać nawet wtedy, gdy już nie musiała opatrywać mu ran.

Musieli jakoś naprawić tamtą noc w Brukseli.

Patrzyła na niego przez ramię, oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

- Czyś ty oszalał? - spytała.

- Bo wierzę, że z kolejnego występuku zrodzi się coś dobrego? - odparł pytaniem. -

Możliwe. Niestety, mimo że przy tamtej okazji oprócz požądania czułem do ciebie sympatię, to w gruncie rzeczy potraktowałem cię jak dziwkę. Nienawidzę myśli o tym, ale to prawda.

Stawia mnie to w okropnym świetle. Gdy odkryłem, że jesteś dziewczicą, miałem do ciebie pretensje, że mi nie powiedziałaś. A jeszcze przedtem cię rozczarowałem. To był twój pierwszy raz. Przeze mnie stał się dla ciebie okropnym doświadczeniem.

- To nie była tylko twoja wina - powiedziała. - Nie uwiodłeś mnie. Jeśli już, to raczej

ja ciebie. Pozwoliłam ci myśleć, że tam pracuję i że możesz mnie mieć. A potem byłam taka

nieporadna, że... To zresztą nieważne.

Przyglądał się jej uważnie. Ubrana w lekką suknię z muslinu, w niewielkim słomianym kapelusiku, z gładko uczesаныmi lśniącymi włosami stanowiła uosobienie piękna i kobiecości. Nagle uderzyło go, że Rachel jest prawdziwą damą. Powinien się do niej subtelnie zalecać, zamiast proponować jej zbliżenie tutaj na trawie. Ale przecież jej życie dotąd płynęło w sposób zupełnie nietypowy dla młodej damy. Od piętnastego czerwca jego życie też zaczęło się toczyć dosyć dziwnym torem.

Stała niedaleko i tylko patrzyła na niego. Rozmowa się urwała. Na kilka chwil zapadła cisza. Wszystkimi zmysłami chłonał docierające doń wrażenia. Ciepły wiatr, blask słońca migoczący na powierzchni jeziora, brzęczenie owadów w wysokiej trawie i trele ptaka ukrytego wśród gałęzi.

Rachel spuściła wzrok.

- Nie dotknę cię bez twojej zgody - rzucił. - Jeśli chcesz, zapomnimy o wszystkim, co właśnie zostało powiedziane. Usiądziemy na kocu i zjemy podwieczorek, który przygotowała dla nas Phyllis. A potem wrócimy do domu. Będziemy nadal udawać, że wszystko jest w porządku. A potem rozstaniemy się i spróbujemy zapomnieć, że się kiedykolwiek spotkaliśmy. Nie chcę jeszcze bardziej pogarszać relacji między nami.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła. Spuściła wzrok na rozpostarte dłonie. Nie widział jej twarzy, ukrytej pod rondem słomianego kapturka.

- Ja nie wiem, jak... się kochać - odparła. - Niewiele miałam do czynienia z mężczyznami za życia ojca i później, gdy pracowałam u lady Flatley, dopóki nie poznałam Nigela Crawleya. A i on całował mnie tylko w rękę. Tamtej nocy w Brukseli nie wiedziałam, co mam robić. Ja nie wiem, jak sprawić ci przyjemność.

Uświadomił sobie nagle, że jego uczucia do Rachel York chyba są głębsze, niż mu się

dotąd wydawało. Zamknął na chwilę oczy.

- Ty nie musisz wiedzieć - powiedział. - Ja wiem. Rachel, chcę zostawić ci po sobie piękniejsze wspomnienia. I chcę zabrać ze sobą szczęśliwsze wspomnienia o tobie. Ale najpierw coś mi powiedz. Czy tamta noc miała jakieś konsekwencje? Jesteś w ciąży? To się stało miesiąc temu. Powinnaś już wiedzieć.

Spojrzała mu w oczy i się zarumieniła.

- Nie - odparła.

- I teraz też ich nie będzie - zapewnił. - Obiecuję. Rachel, pozwól mi się z tobą kochać.

Niemal niedostrzegalnie uniosła brodę wyżej, nie spuszczać z niego wzroku.

- Dobrze - odparła.

Podeszła do niego. Zatrzymała się dopiero na kocu o pół kroku od niego. Rozwiązał wstążki pod jej brodą, zdjął kapelusik i rzucił go na ziemię. Ujął jej twarz w dłonie i dotknął ustami jej warg.

Od pierwszej chwili czuł do Rachel silne pożądanie, które nie osłabło z upływem czasu, mimo pogorszenia się stosunków między nimi. Właściwie od początku było to coś więcej niż pożądanie. Głębokie pragnienie. Płomienna namiętność. Niemal natychmiast uświadomił sobie, że odwzajemniona. Pragnęli się nawzajem. Teraz, gdy oboje przyznali, że chcą się ze sobą kochać, nic, żadne bariery wychowania czy konwenansów nie mogłyby zgasić żaru, który zrodził się między nimi. Rachel objęła go za szyję i przylgnęła do niego całym ciałem. Objął ją ręką w talii, a drugą oparł na jej pośladkach. Jeszcze mocniej przyciągnął ją do siebie.

Pogłębił pocałunek. Wsunął jej język do ust. Rozchyliła je, doprowadzając go niemal do szaleństwa. Pragnął jednak, żeby połączyło ich coś więcej niż pospieszna, bezrozumna

żądza. Odsunął się nieco i spojrzął jej w oczy. Patrzyła na niego spod pół przymkniętych powiek, wzrokiem zamglonym z pożądania, które wcale nie ustępowało jego namiętności.

Usta miała wilgotne i rozchylone. Rachel. Złocisty anioł.

Uśmiechnęli się do siebie.

Całował jej czoło, powieki, skronie i policzki. Starał się opanować pragnienie. Gdy znów dotknął jej warg, całował ją powoli, badał jej usta językiem i lekko kąsał wargi.

Odwzajemniała mu się z delikatną, naturalną namiętnością. Płonał z pożądania. Pomyślał, że wspaniale jest kochać się na świeżym powietrzu. Czuł chłód wiatru i ciepło słonecznych promieni. Widział światło słońca przez przymknięte powieki. Słyszał brzęczenie owadów w trawie, czuł pod stopami, jaka jest miękka. I trzymał w ramionach cudowną, złotowłosą kobietę.

Nagle przypomniał sobie, że miejsce, w którym stoją, jest widoczne z domu. To nie miało znaczenia, w końcu uchodzili za męża i żonę. Z drugiej strony wolałby jednak zapewnić im trochę prywatności.

- Chyba powinniśmy się położyć - powiedział tuż przy jej ustach.

- Tak.

Położyła się na kocu. Poprawiła fałdy sukni, jakby chciała się zakryć, by zachować pozory przyzwoitości. Przez chwilę znów wydawała się skrępowana. Ukląkł przy niej i pochylił się, by pocałować ją delikatnie w usta. Przez suknię ujął w dłoń jej pierś i pocierał kciukiem sutek, dopóki nie stwardniał, napinając cienki muślin. Przesunął rękę na drugą pierś, a potem w dół ciała, na płaski brzuch i niżej aż do szczytu ud. Objął miękki wzgórek całą dłonią. Pocałował Rachel i uniósł głowę, by spojrzeć jej w twarz.

Uśmiechnęła się do niego. Powoli, niemal sennie, niesamowicie zmysłowo. Przesunął dłoń jeszcze niżej, obrysowując zgrabny kształt jej nóg. Potem obiema rękami uniósł jej

suknię powyżej kolan, dbając jednak, by nie poczuła się skrepowana. Pomyślał, że mają przecież mnóstwo czasu, by mogła się przyzwyczać. Zdjął jej buty, zsunął pończochy i rzucił je na trawę. Pochylił się i całował jej stopy, kostki, wewnątrz kolan i ud. Nie posunął się wyżej. Była taka niedoświadczona. Pragnął sprawić jej rozkosz, ale nie chciał jej szokować.

Zsunął jej suknię z ramion aż do łokci, żeby mogła uwolnić ręce. Ssał jej piersi.

Głaskała go palcami po włosach, a potem sięgnęła niżej, by wysunąć mu koszulę ze spodni.

Wsunęła pod nią ręce i dotykała jego pleców. Czuł przeszywający go dreszcz, brakowało mu tchu. Pieścili się wolno, niemal leniwie. Płomień namiętności ledwie się tlił w oczekiwaniu na chwilę, gdy ogarnie ich całych. Nie musieli się spieszyć. Namiętność i najwyższa rozkosz.

- Ach - westchnął, zamykając jej usta pocałunkiem.

- Ach - powtórzyła.

Pocałował ją i uniósł jej suknię wyżej. Zaczął ją pieścić między udami. Pocierał delikatnie, wyczuwając dotykiem coraz większy żar i wilgoć. Czuł też rosnące napięcie w lędźwiach. Nagle zdał sobie sprawę, że położyła na nim dłoń i lekko go dotykała, choć nawet nie próbowała rozpiąć mu spodni. Rozchylił płatki jej ciała. Była gładka i wilgotna. Widział, że może się już poddać pulsującemu w nim pożądaniu. Nie musiał się powstrzymywać. Była gotowa go przyjąć.

- Rozpalona i wilgotna - szepnął, kłusząc jej wargi. - Czy wiesz, jaka to rozkoszna zachęta dla mężczyzny, który pragnie się w tobie zatracić?

- Czy to nie jest krępujące? - spytała z cichym, zdyszonym śmiechem.

Jej niewinność wydała mu się dziwnie wzruszająca. Dlaczego poprzednio jej nie zauważył? Ale tamten raz już się nie liczył. Tylko to, co działo się tu i teraz było ważne.

Najważniejsze. Wsuwał i wysuwał z niej palce.

- Przeciwnie, nieskończenie kuszące - odparł. - Ciało kobiety gotowe do miłości.

Twoje ciało oczekujące na mnie.

Pochylił nad nią twarz.

- Och - westchnęła tuż przy jego ustach.

Uwolnił się ze spodni. Pochylił się i przylgnął do niej całym ciałem, rozsuwając kolanem jej nogi.

- Rachel, właśnie taką namiętność przeżywaną wspólnie z tobą chcę zapamiętać - powiedział tuż przy jej ustach. - I chcę, żebyś ty także ją taką zapamiętała. - Wsunął pod nią rękę i uniósł ją nieco do góry. - Tamto wspomnienie już nie istnieje. Znikło na zawsze.

Wyczuł, że się uśmiecha.

Uniósł głowę i powoli w nią wszedł. Przyglądał się jej przez cały czas. Uśmiechała się, ale zagryzła dolną wargę i przymknęła oczy, gdy wsunął się w nią do końca. Zatrzymał się na chwilę. Ugięła kolana i oparła stopy na ziemi. Zacisnęła się wokół niego. Uwolnił rękę i oparł się na łokciach. Instynkt nakazywał mu jak najszybciej poszukać rozkoszy i spełnienia. Starał się jednak chłonać i przeżywać wszystkie wrażenia. Rachel była niewiarygodnie piękna. Widział to i czuł całym ciałem. Kochali się w upojny letni dzień, w cudownym miejscu. Cieszył się, że to się dzieje tutaj, a nie w łóżku w sypialni. Miał dziwne wrażenie jakby natura darzyła ich swym błogosławieństwem, jakby stali się jej częścią. Częścią jej piękna, światła i ciepła. I odwiecznego cyklu życia.

Trwał nieruchomo, chłonać dotyk, urodę i zapach Rachel. Otworzyła w końcu oczy, zamglone pożądaniem, i uśmiechnęła się do niego sennie i zmysłowo. Czuł rozkosz graniczącą niemal z bólem i cudowną świadomość, że już wkrótce przyniesie im obojgu ukojenie i spełnienie. Być może nawet najwyższą rozkosz. Mocno, powoli zacisnęła się wokół niego i zamknęła oczy. Wiedział już, że nie ma odwrotu. Nie spocznie, dopóki nie zabierze jej dalej, poza granicę bólu.

Oparł czoło tuż przy jej głowie i zaczął się w niej poruszać. Wysuwał się prawie do końca i wracał raz po raz w powolnym, mocnym rytmie. Odczytywał reakcje jej ciała i starał się opanować własne pragnienia. Nie chciał skończyć zbyt szybko i znów pozostawić ją samą, niezaspokojoną i rozczarowaną.

Musi ją zaspokoić. Tylko wtedy zyska przebaczenie i spokój ducha.

Już po kilku minutach zrobiło się im gorąco. Rozpaleni, spoceni i zdyszani nie zwracali na nic uwagi. Rachel nie pozostawała bierna. Z początku jej ruchy były chaotyczne. Dziwne, ale ten brak doświadczenia jeszcze bardziej go rozpalił. Wkrótce jednak zaciskała się wokół niego miarowo, podążając za jego rytmem. Unosiła biodra do góry i przyciskała do niego, by znaleźć się jak najbliżej i wzmocnić cudowne doznania.

Kochanie się z nią było rozkoszną udręką. Pod koniec stało się niemal nieznośnie bolesne. Czekał, dopóki nie wyczuł ponad wszelką wątpliwość, że jest bliska szczytu. I celowo zamarł na chwilę, żeby zgubiła rytm. A potem wszedł w nią szybko i głęboko.

Jęknęła. Napięła się cała i poderwała do góry. Potem krzyknęła i zadygotała w spełnieniu. Mimo bolesnego napięcia poczuł się w tej chwili wolny od winy i odkupiony. Jakby był zbrukany i nagle został oczyszczony.

Drżąca i zaspokojona przytuliła się do niego z całej siły, a potem powoli rozluźniła. Zdawał sobie sprawę, że niełatwo jest doprowadzić kobietę do szczytu. Nie wiedział, czy kiedyś zwracał uwagę na to, by w zbliżeniach cielesnych zaspokajać nie tylko siebie, ale także kobietę. Jeśli nie, to teraz odkrył wspianiałą tajemnicę. Wspólnie przeżywany akt miłosny sprawiał nieopisaną rozkosz. Gdy już się uciszyła i rozluźniła, mógł w końcu sam poszukać zaspokojenia. Poruszał się w niej szybko, ostro i głęboko, aż dotarł do kresu. W ostatniej chwili wycofał się i wytrysnął na trawę. Odkupienie win nie zdałoby się na nic, gdyby przy okazji poczęło się dziecko.



Przez kilka chwil leżał na niej całym ciężarem i rozpamiętywał niedawne uniesienie.

Wyczuwał, że ona też jeszcze raz w milczeniu przeżywa doznane wrażenia. Zsunął się z niej i położył obok. Ramieniem zasłonił oczy przed słońcem. Czekał, aż uspokoi mu się oddech i bicie serca. Czuł na twarzy przyjemnie chłodny wiatr. Odnalazł rękę Rachel, uściśnął i splótł ich palce.

Co teraz? - zastanawiał się. Czy zaleczył jedną ranę, ale zadał następną?

Przypomniawszy sobie, że przed tamtą feralną nocą był w niej zakochany, ale wmawiał sobie, że te uczucia są jedynie skutkiem fizycznego osłabienia i bezczynności. To, co przed chwilą z nią przeżył, było aktem miłości. Pomyśli o tym później.

Odplynał w sen, ukołyszany brzęczeniem owadów i własnym zmęczeniem.

Czuła, jak trawa łaskocze jej stopy i łydki. Słońce nagrzało materiał sukni i świeciło jej w twarz, nieosłoniętą kapturkiem czy parasolką. Jonathan leżał przy jej boku. Czuła promieniujące od niego ciepło. Ich splecione dłonie były wilgotne od potu. Nad głowami przeleciała im para ptaków. Rachel chyba nigdy w życiu nie doznała takiego szczęścia.

Nigdy, nawet przez chwilę. Oczywiście wiedziała, że jest w Jonathanie zakochana. Już od dawna. Nie pozwoli jednak, by ta myśl zepsuła jej radość z tej chwili.

On pochodził z innej sfery. Rachel przypuszczała, że stał w hierarchii towarzyskiej dużo wyżej od niej, mimo że jej matka była córką barona. Co gorsza, stracił pamięć, a z nią całą swoją przeszłość. Nawet jeśli nie miał żony albo narzeczonej, to jego dotychczasowe życie wypełniali ludzie i doświadczenia, wśród których nie było dla niej miejsca. Kochała Jonathana Smitha, ale nie знаła człowieka, którym był przedtem. Nie wiedziała nawet, jak się nazywa.

Kochała uludę, iluzję, która przybrała postać tego właśnie mężczyzny z krwi i kości.

Kochała go, ale nie uzurpowała sobie do niego żadnych praw. Miłość do niego była

nieuchwytna i przelotna. I niech taką zostanie. A gdy odejdzie, nie będzie cierpiała, nie pozwoli, by złamał jej serce. Po prostu go zapamięta i będzie wspominać. Miała teraz najcudniejsze, najwspanialsze na świecie wspomnienie. Zachowa je na przyszłość, którą będzie musiała przeżyć bez niego.

Jakże cudownym darem była pamięć. A on swoją utracił! Na nowo uderzyła ją potworność tej straty. Odwróciła głowę, by na niego spojrzeć. Wpatrywał się w nią sennym spojrzeniem, opierając dłoń na czole.

- Rache, nie wiem jak ty, ale ja jestem zlany potem - powiedział.

Czy spodziewała się czułych, romantycznych deklaracji? Roześmiała się cicho.

- Jonathanie, czyżbyś nie wiedział, że damy nigdy się nie pocażą? - spytała.

- W takim razie zostawię cię tutaj w całej twojej damskiej doskonałości, a sam pójde popływać, dobrze? - rzucił.

Przyjemnie jej się leżało na słońcu. Jednak gdy odwróciła się do niego, poczuła, że muślinowa suknia klei jej się do pleców, a kosmyki włosów przyłgnęły do czoła wilgotnego od potu. Słońce jeszcze przed chwilą przyjemnie ciepłe, nagle stało się nieznośnie gorące.

- Pewnie i tak woda jest dla mnie za głęboka - powiedziała. - Ja nie umiem pływać.

- Przy brzegu woda jest całkiem płytka - odparł. - Nawet jeśli nie umiesz pływać, możesz się pluskać w wodzie.

Roześmiała się.

- Nigdy w życiu nie pluskałam się w wodzie - rzuciła.

Poczuła dziwne pragnienie, by to właśnie zrobić, by zachowywać się jak dziecko, by

bawić się i czerpać z tego radość. Usiadł i puścił jej rękę. Ściągnął koszulę przez głowę.

Potem zsuł wysokie buty i wstał, by zdjąć spodnie. Ubrany tylko w bieliznę uśmiechnął się

do Rachel szeroko. Był piękny. Tylko blednąca blizna na lewym udzie psuła doskonałość

jego proporcjonalnie zbudowanego ciała. Nagle Rachel przypomniała sobie, jak kiedyś powiedział, że jeśli jest jakaś skaza na jej urodzie, to on jej nie zauważył.

- Chyba się nie wstydzisz, co? - spytał i uśmiechnął się szeroko, opierając ręce na biodrach. - Przecież widziałas mnie już i bez tego.

- Ani trochę - odparła.

Właściwie dlaczego miałaby się wstydzić? Przecież przed chwilą się kochali. Jeszcze czuła lekkie obrzmienie i rozkoszną wrażliwość tam, gdzie się poruszał.

- Rache, jeśli chcesz się pluskać, to musisz zdjąć suknię - powiedział.

Wstała i rozebrała się do halki. Nie czuła skrępowania. Wręcz przeciwnie. Wypełniała ją beztroska radość i swoboda. Po raz pierwszy w życiu wykąpie się w jeziorze. Wyjęła szpilki z włosów i potrząsnęła głową, aż włosy rozsypały się jej na ramiona. Odwróciła się do niego i zaśmiała ze szczęścia.

Obserwował ją spod półprzymkniętych powiek.

- Mogę się już pluskać - oznajmiła.

- Wrzuć mnie do zimnej wody zanim eksploduję z pożądania - odparł. Rachel

roześmiała się i pobiegła do jeziora, piszcząc, gdy drobne kamyki wbijały się jej w stopy.

Rachel była wręcz olśniewająco piękna i w dużej mierze nieświadoma własnej nieziemskiej urody. Alleyne doszedł do wniosku, że to chyba najwspanialsza cecha jej charakteru. Pobiegł za nią do wody, przegonił i z głośnym pluskiem wskoczył do jeziora. Nie wiedział, jakie życie odnajdzie, gdy w końcu stąd wyjedzie i odzyska siebie. Nie wiedział, jakie relacje, zobowiązania i uczuciowe związki tworzyły kanwę tamtego życia, które niejako zostawił za sobą w lesie Soignes. Powinien chyba zachować ostrożność i nie rzucać w to nowe życie, którym żył od tamtej pory.

Jednak teraz, w tym momencie, był zakochany w Rachel. Chciał cieszyć się chwilą. Tak po prostu. Przeszłość skrywała przed nim kotara niepamięci. Przyszłość była niepewna. Ale dzisiejszy dzień wydał mu się cudowny. Tak jak ona. Piękna, cudowna.

Zanurzyła stopę w wodzie, roześmiała się i cofnęła ją. Nogi miała długie i zgrabne.

Tu, gdzie stał, niedaleko od brzegu, woda sięgała mu do piersi. Kilka kroków dalej pewnie już do szyi, a jeszcze dalej zakryłaby go całego z głową. Przy brzegu było jednak dostatecznie płytko dla kogoś, kto nie umiał pływać. Zanurzyła drugą stopę i też ją cofnęła.

Nabrał wody w dłonie i ochlapał ją. Zapiszczała. A potem wskoczyła do wody i zanurzyła się z głową, a jej włosy unosiły się ciemnozłotą falą na powierzchni. Krztusząc się i parszcząc wynurzyła się na powierzchnię i przetarła oczy.

Uśmiechnął się do niej. Nawet nie zauważył, jak fala wody zalała mu twarz. Zaczął krztusić się i kasłać. Może i nie umiała pływać, ale za to świetnie potrafiła chlapać na niego wodą.

- Och, to cudowne. Woda jest taka ciepła - zawołała. Znów zanurzyła się głębiej i odgarnęła włosy z twarzy. Mokre przylgnęły jej do głowy, spływały po plecach i unosiły się na wodzie. - Jak się pływa?

- Najpierw kilka lekcji, a potem dużo ćwiczeń - odparł. - Czyżbyś chciała się ze mną ścigać do przeciwległego brzegu i z powrotem?

- Naucz mnie - zażądała.

Wyglądało na to, że o ile wobec koni odczuwała lęk, który z uporem i wielką determinacją starała się pokonać, o tyle wody nie bała się zupełnie.

Nauczył ją unosić się na wodzie. Opanowała to zdumiewająco szybko, choć nie obyło się bez kilku zachłyśnięć i zakrztuszeń, aż musiał ją mocno uderzać w plecy. Jeszcze nie potrafiła utrzymać się dłużej na wodzie, ale i tak radziła sobie zdumiewająco dobrze.

- Nim minie lato, będziesz pływać jak ryba - powiedział. I zaraz przypomniał sobie, że oboje wyjadą stąd jeszcze przed końcem lata.

Zostawił ją w płytkiej wodzie i popłynął na środek jeziora. Cieszył się własnymi odzyskanymi siłami i unoszącą go chłodną wodą. Niedaleko od przystani rosło drzewo, zwieszając nad wodą kilka konarów. Alleyne popłynął ku niemu. Zauważył, że w tym miejscu woda jest głęboka, a jedna z gałęzi wydaje się dosyć mocna. Ociekając wodą, wdrapał się na stromy w tym miejscu brzeg.

- Dokąd idziesz? - zawołała Rachel.

- Nurkować - odparł z szerokim uśmiechem.

Oczywiście wspinanie się na drzewo, gdy było się niemal nagim, nie należało do przyjemności. Czuł jednak, że musiał to już kiedyś robić wiele razy. Usiadł na gałęzi i powoli przesuwiał się ku jej końcowi, badając, czy się pod nim nie łamie. Konar jednak utrzymał jego ciężar i nie wygiął się ani nie złamał.

- Uwważaj - poprosiła Rachel. Stała w wodzie i osłaniała dłonią oczy przed blaskiem słońca.

Uśmiechnął się do niej i powoli stanął na gałęzi, rozkładając ręce, by utrzymać

równowagę. Gałąź trzymała się mocno. Oczywiście musiał się popisać przed Rachel. Stał prosto, wyciągając ręce przed siebie. Potem ugiął kolana i skoczył w dół wyprostowany jak strzała. Wszedł gładko w wodę i zwinął w kłębek dopiero, gdy od dna dzieliło go zaledwie kilka centymetrów. Odbił się i poczuł znajomy przyływ entuzjazmu, że oto zrobił coś zuchwałego, niebezpiecznego i zakazanego w dzieciństwie. Wypłynął na powierzchnię i uśmiechnął się od ucha do ucha do swoich odważnych i zuchwałych współników w przestępstwie.

Zobaczył jednak tylko Rachel York. Stała z dłonią przyciśniętą do ust. Opuściła ją i uśmiechnęła się z wyraźną ulgą. Poczł się zupełnie zdezorientowany. Kogo spodziewał się ujrzeć? Kogo? Na pewno kilka osób. Ale wystarczy, że przypomni sobie choć jedną. Tylko jedną. Boże, błagam, choćby tylko jedną. Rachel z zatroskaną miną ruszyła ku niemu. Zatrzymała się jednak, gdy woda sięgnęła jej do ramion.

- Co się stało? - spytała. - Głuptasie, zrobiłeś sobie krzywdę, prawda? Uderzyłeś się w głowę? Chodź tutaj.

Odwrócił się, spojrzał na nią przez ramię i popłynął do brzegu. Wdrapał się na skarpe i nie oglądając za siebie, ruszył na szczyt wzniesienia. Dlaczego nie mógł sobie nic przypomnieć? Co było tego przyczyną? Rana na głowie już mu się przecież zagoiła. Bóle głowy minęły. Pojawiały się tylko wtedy, gdy zbyt intensywnie próbował sobie coś przypomnieć. Przygotował się na długie czekanie i czekał cierpliwie. Czasem jednak, niczym złodziej w nocy, do jego myśli zakradła się panika. Usiadł po turecku na kocu, oparł dłonie na kolanach i zwiesił głowę. Starł się równo, głęboko oddychać. Usiłował opanować przejmujący go drżeniem, podświadomy lęk.

Nie słyszał, kiedy do niego podeszła. Zdał sobie sprawę z jej obecności dopiero, gdy go objęła. Uklękła przy nim i oparła mu głowę na ramieniu. Poczł na szyi jej mokre włosy.

- Czasem czuję się zupełnie bezsilny - powiedział po dłuższej chwili.

- Wiem - odparła. - Och, Jonathanie.

- To nie moje imię - rzucił. - Zostałem okradziony nawet z imienia. Rachel, ja nie wiem, kim i czym jestem. Wydaje mi się, że znam ciebie, Geraldine czy sierżanta Stricklanda lepiej niż siebie samego. Ty przynajmniej jesteś w stanie opowiedzieć mi wspomnienia ze swej przeszłości. Widzę cię jako osobę o wyjątkowym charakterze, ukształtowaną przez określone okoliczności. Ja nie mam przeszłości. Pierwsza rzecz, którą pamiętam, to przebudzenie w domu na rue d'Aremberg w obecności czterech mocno umalowanych kobiet. To wydarzyło się niewiele ponad miesiąc temu.

- Ja wiem, kim jesteś - odparła. - Nie znam twojego dawnego życia. Znam tylko te wydarzenia z twojej przeszłości, które stały się też moim udziałem. A jednak wiem, że jesteś człowiekiem pełnym śmiechu i energii, śmiałym i dobrym. Nie wierzę, żebyś się bardzo zmienił w zasadniczych cechach twego charakteru. Nadal jesteś sobą. Przez ostatnie tygodnie poznałam twoją odwagę. W chwilach takich jak ta może ci się wydawać, że nie starczy ci sił, że życie w zawieszeniu nie ma sensu. Ale dasz sobie radę, pokonasz zwątpienie. Jestem tego pewna, bo cię znam. Naprawdę. Żałuję, że nie mogę zwracać się do ciebie po imieniu, bo imię jest ważne, jest częścią tożsamości. Ale nawet bez imienia ja cię znam.

Wysłuchał się we własny oddech. Po paru minutach oparł czoło o głowę Rachel.

- Wiesz, dlaczego zaproponowałem tę maskaradę? - spytał. - Nie uświadamiałem sobie tego aż do tej chwili. Nie zrobiłem tego tylko ze względu na ciebie. Choć oczywiście wtedy w to wierzyłem. Chodziło także o mnie. Chciałem odwlec moment, gdy zacznę szukać swej tożsamości.

- Bałeś się, że nie dowiesz się, kim jesteś? - spytała.

- Nie! - Przytulił policzek do jej mokrych włosów. - Wręcz przeciwnie. Bałem się, że

odnajdę ojca i matkę i nie poznam ich. Braci i siostry, żony i dziecka... spojrzę na nich jak na nieznajomych. Zobaczę dziecko, które sam spłodziłem i kochałem, a ono będzie mi obce.

Wynalazłem więc powód, żeby nie zacząć poszukiwań. Myślałem, że jeśli poczekam, pamięć sama mi wróci. Tak chyba musiałem rozumować. Zrobiłem to podświadomie.

- Jonathanie - szepnęła. Tuliła go mocno przez dłuższą chwilę, gdy w milczeniu starał się opanować rozpacz. W końcu uniósł głowę.

- Przypuszczam, że Phyllis śmiertelnie się na nas obrazi, jeśli nie zjemy do ostatniego okruszka przygotowanego przez nią podwieczorku - rzucił.

- Tak - zgodziła się.

- Jesteś głodna?

- Trochę - przyznała. - Nie, szczerze mówiąc, jestem okropnie głodna.

- Mógłbym zjeść konia z kopytami - ze zdumieniem uświadomił sobie, że to prawda. -

Co właściwie nie powinno mnie dziwić, bo przecież dopiero co żywiłowo się kochaliśmy, a potem dużo pływałem.

Nie odpowiedziała. Podeszła do kosza z jedzeniem i zaczęła przeglądać jego

zawartość. Mokre włosy zwisały jej wokół twarzy niczym ciemnozłota zasłona, więc nie

widział jej miny. Chyba nawet nie pomyślała o tym, żeby się ubrać. Przyglądał się jej bez

jednej pożądliwej myśli. Co by bez niej zrobił przez te wszystkie minione tygodnie? Co on

zrobi, gdy ten miesiąc dobiegnie końca?

Po wyprawie na wyspę, życie w Chesbury płynęło spokojnym rytmem. Rachel była

niemal szczęśliwa, mimo że wpakowała się w jeszcze gorszą kabałę. Uwielbiała życie na wsi.

Spacerowała wśród klombów i po parku. Z coraz większą wprawą i swobodą jeździła konno z

Jonathanem. Uczyła się pływać i wiosłować po jeziorze. Urządzała pikniki w różnych

pięknych miejscach. W deszczowe dni siedziała w salonie i patrzyła przez okno na skąpany w



deszczu krajobraz. Wraz w Jonathanem, Flossie i panem Drummondem odwiedzała folwark. Składała wizyty dzierżawcom, przynosząc im kosze z jedzeniem, przygotowanym przez Phyllis. Jeździła powozem w odwiedziny do sąsiadów. Buszowała w sklepiku we wsi. Zwiedziła kościół i cmentarz, oprowadzona przez pana Crowella. Miała wrażenie, że ciągle jej mało. Mogłaby tu żyć szczęśliwie do końca swoich dni i nigdy nie zatęsknić za gorączkowym życiem Londynu. Czuła się ukojona, jakby odnalazła swój dom. Dobrze się czuła w towarzystwie wuja. Z początku niechętnie, a potem z dziwną radością i wdzięcznością spędzała z nim coraz więcej czasu. Polubiła wspólne poranki w jego saloniku, gdy wuj odpoczywał po śniadaniu. Czasami siedzieli i patrzyli przez okno, prawie się nie odzywając do siebie. Cisza nigdy nie wydawała się im krępująca. Czasami wuj zapadał w drzemkę. Niekiedy opowiadał o jej dziadkach i matce. Rachel czuła, że powoli odkrywa dziedzictwo, którego istnienia niemal sobie nie uświadamiała.

Któregoś deszczowego popołudnia wuj zabrał ją i Jonathana do galerii rodzinnej na drugim piętrze. Rachel unikała tego miejsca. Wuj objaśnił jej koligacje z wszystkimi przodkami, których portrety wisiały w galerii. Rachel poczuła wszechogarniające wzruszenie. Jej życie nie było już takie samotne i puste. Odnalazła swoje korzenie.

Jedyny portret jej matki został namalowany, gdy miała zaledwie trzy lata. Stała w gronie rodziny. Obok niej młody, szczupły, przystojny, jasnowłosy wuj Richard. Rachel z początku bała się spojrzeć. Potem jednak z niemal żarłoczną zachłannością przyglądała się małej rumianej dziewczynce o puciołowatej buzi otoczonej burzą złocistych loków. Nie potrafiła jednak połączyć twarzy tego dziecka z bardzo mglistymi wspomnieniami swej matki.

- Gdy podrosła, wyglądała prawie tak jak ty - powiedział wuj.

- Papa zawsze żałował, że nie zamówił jej portretu - westchnęła Rachel. - Czasami

próbuję sobie przypomnieć jej twarz, ale nie mogę, choć bardzo się staram. Uświadomiła sobie, że Jonathan ujął ją za rękę. Uścisnął ją i splótł ich palce. Próbował ją pocieszyć. A przecież to on potrzebował pocieszenia. Ona przynajmniej wiedziała, kim była jej matka, i dobrze pamiętała swego ojca. Żył jej wuj Richard. Tu była siedziba jej rodu, otaczały ich portrety jej przodków.

Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego. Od tamtego popołudnia na wyspie połączyła ich łagodna czułość. A jednak bardzo się starali, by nie powtórzyło się to, co się stało na wyspie. Żadne z nich nie odważyło się przekroczyć progu sypialni drugiego. Mimo to Rachel zdawała sobie sprawę, że właśnie łącząca ich zażyłość, bardziej niż wcześniejsze demonstracyjne okazywanie uczuć, zyskuje aprobatę wuja Richarda dla ich małżeństwa.

Cieszyła się, że zachowa o Jonathanie ciepłe wspomnienia. A równocześnie na myśl o tym, że dzień ich rozstania zbliża się coraz bardziej, czuła ból w sercu niemal nie do zniesienia.

Miała wrażenie, że podczas minionych tygodni Jonathan odzyskał spokój.

Najwyraźniej bardzo mu się podobało to, co się działo w folwarku. Spędzał tam dużo czasu i często rozmawiał z panem Drummondem. Ilekroć znalazł się w towarzystwie jej wuja, wypytywał o prace w majątku. Czasami Jonathan wspominał o innowacjach, które można by wprowadzić w gospodarce, czy to sugerowanych przez pana Drummonda, czy też wynikających z jego własnych przemyśleń. Wuj Richard zaakceptował niektóre z proponowanych zmian. Polubił Jonathana i obdarzył go szacunkiem. Rachel żałowała, że nie ma jakiegoś łatwego i bezbolesnego sposobu, by wyplątać się z sytuacji, w której się znaleźli. Starła się więc nie myśleć o tym, co będzie później. W końcu Rachel i tak wyzna prawdę i poprosi o przebaczenie. Od wuja będzie zależeć, czy go udzieli, czy nie.

Rachel wyczuwała, że jej przyjaciółki jeszcze nigdy w życiu nie były tak szczęśliwe.

Geraldine nie umiała czytać i pisać, nie mogła więc prowadzić ksiąg rachunkowych

domu. Objęła jednak większość obowiązków ochmistrzyni i z entuzjazmem zarządzała służbą. Także lokajami, ponieważ majordomus z powodu podeszłego wieku nawet nie zauważył, kiedy stracił kontrolę nad podwładnymi. Geraldine stopniowo przeprowadzała spis obrusów, pościeli, porcelany, szkła, srebra i różnych cennych przedmiotów. Pod jej rządami dom zaczął lśnić czystością. Upierała się, żeby spełniać też obowiązki pokojówki Rachel. W wolnych chwilach siadała w izbie ochmistrzyni i nadzorowała szycie i cerowanie. Zupełnie nie przypominała tej dawnej Geraldine, którą Rachel poznała w Brukseli. Wyglądało na to, że znalazła się w swoim żywiole. Tak długo namawiała sierżanta Stricklanda, aż ten, chcąc nie chcąc, przejął nadzór nad lokajami i nieoficjalnie został majordomem, choć ten tytuł nadal należał do Edwardsa.

Phyllis z radością gotowała i rządziła się w swoim nowym królestwie, w kuchni Chesbury Park. A ponieważ była doskonałą kucharką i miała dobre serce, nikt chyba nie miał jej za złe, że zaanektowała ten teren.

Flossie prowadziła księgi rachunkowe domu. Spędzała dużo czasu z panem Drummondem, który zaczął się do niej zalecać.

Któregoś wieczoru zebrały się wszystkie w gotowalni Rachel. Sierżant Strickland stanął w przejściu do sąsiedniej gotowalni i skrzyżował ręce na piersi.

- Nie martwcie się - zapewniła Flossie. - Powiedziałam panu Drummondowi prawdę o sobie, nie wspominając przy tym o was. On wie, kim jestem i nadal chce się ze mną widywać, głuptas jeden.

- Boże, miej nas w opiece - zawołała Phyllis, przyciskając dłoń do serca. - Jakie to romantyczne! Chyba się zaraz rozpłaczę. Albo zemdleję.

- Phyll, lepiej uważaj - poradziła Bridget. - Uderzysz głową o kant umywalni. A potem znów zemdlejesz na widok własnej krwi.

- Przyjmiesz go? - spytała Geraldine. - Chętnie zostałabym twoją druhną. Choć

właściwie mogłoby się to wydać dziwne, zważywszy na to, że uchodzę tu za pokojówkę Rachel.

- On jest dżentelmenem - odparła Flossie z tragiczną miną.

- No to co? - spytała Geraldine. Podparła się pod boki i spojrzała zaczepnie.

Flossie nic nie odpowiedziała.

Bridget co kilka dni chodziła na plebanię, by odwiedzić panią Crowell i zająć się jej ogrodem. Poza tym w każdej wolnej chwili, ubrana w duży fartuch i słomiany kapelusz z szerokim rondem, znikwała w parku, zabierając ze sobą narzędzia ogrodnicze.

Najwyraźniej żadnej z nich nie spieszyło się, by wyruszyć w pościg za łotrem, który okradł je z pieniędzy i marzeń. Jonathan również z wiadomych już Rachel powodów z niechęcią myślał o rozpoczęciu swoich poszukiwań. Rachel mogła się więc uspokoić i cieszyć tygodniami poprzedzającymi bal, który wuj Richard uparł się wyprawić na cześć jej i Jonathana. Wiele wysiłku włożono w to, by należycie przygotować wielką fetę. Całe sąsiedztwo aż huczało z podniecenia w oczekiwaniu na radosne wydarzenie. W okolicznych domach nie było sali balowej. Wieczorki urządzone od czasu do czasu w dużej izbie na piętrze wiejskiej gospody nie mogły się równać ze wspaniałością balu w prawdziwej sali balowej.

Rachel postanowiła, że będzie się wspaniale bawić przez cały wieczór, a potem, gdy dobiegnie on końca, spróbuje wziąć sprawy w swoje ręce. Jeszcze raz poprosi wuja Richarda o klejnoty. Jeśli je dostanie, wówczas wyjedzie, sprzeda przynajmniej część z nich i zrobi z uzyskanymi pieniędzmi to, co planowała. Jeśli wuj się nie zgodzi, Rachel przestanie zabiegać o spadek i wyjedzie bez niego. Jej przyjaciółki będą musiały radzić sobie same. Jonathan też. Próbowwała mu jakoś pomóc. Napisała do swoich trzech przyjaciółek w Londynie.

Dwie z nich już odpowiedziały. Żadna nie słyszała o dzentelmenie, który zaginął podczas bitwy pod Waterloo. Rachel zresztą nie spodziewała się, że czegoś się dowie. A mimo wszystko musiała przyznać, że poczuła rozczarowanie. Chciała pomóc Jonathanowi odzyskać to, co utracił podczas upadku w lesie Soignes. Przypuszczała, że po wyjeździe stąd, już nigdy się nie zobaczą. Zapewne nigdy nawet się nie dowie, co się z nim będzie dalej działo, czy odzyska pamięć i odnajdzie swoją rodzinę. W tej myśli było coś przygnębiającego. Nie chciała się nad tym zastanawiać. Unikała też myśli o tym, co zrobi, gdy już stąd wyjedzie. Oczywiście wiele zależało od tego, czy będzie miała ze sobą klejnoty, czy nie. A co z wujem? Jak się poczuje, gdy dowie się, że został oszukany? Czy mimo wszystko przebaczy jej i odda klejnoty, czy nie? Rachel nadal nie wiedziała, czy wuj ją kocha.

Mimo wszystko czekała na bal w gorączkowym podnieceniu. Nigdy nie brała udziału w tak wielkiej uroczystości, nigdy nie była na balu. Umiała tańczyć tylko dlatego, że ojciec lubił tańczyć i nauczył ją w mniej burzliwych, weselszych czasach. Nucił pod nosem melodię i prowadził ją pewnie i z wdziękiem. Ale zatańczyć na wielkiej sali, przy dźwiękach orkiestry, z obcymi mężczyznami... Zatańczyć z Jonathanem... Nie potrafiła wyrazić słowami tego, co czuje.

Wuj Richard wezwał miejscową szwaczkę i polecił jej zostać kilka dni w Chesbury, by uszyć paniom nowe suknie, jeśli miałyby takie życzenie. Rachel nie pozostawił takiego wyboru. Nie oglądając się na koszty, zamówił dla niej nową suknię balową. Nastąpiła krótka sprzeczka z Jonathanem, kto za nią zapłaci. W tej kwestii wuj postawił jednak na swoim.

- Smith, Rachel jest moją siostrzenicą - oznajmił i uciszył protesty gestem. - Gdyby to zależało ode mnie, Rachel zostałaby w wieku osiemnastu lat zaprezentowana w towarzystwie, a ja pokryłbym rachunek za jej pobyt w Londynie przez cały sezon. Sprawy potoczyły się tak, że to będzie jej pierwszy bal w towarzystwie i równocześnie bal z okazji jej ślubu. Nie

pozwolę odebrać sobie przyjemności ubrania jej na tę okazję.

Te dziwne słowa nieco zaniepokoiły Rachel, ale nie chciała się przejmować tym drobnym kłamstwem. Tak czy inaczej próby wuja, by wynagrodzić jej lata zaniedbań i ostatecznie się z nią pojednać, wzruszyły ją bardziej, niż była skłonna przed sobą przyznać.

- Dziękuję, wuju - powiedziała bliska łez. - Jesteś taki dobry i hojny.

Jonathan tylko się uklonił i więcej już nie protestował. Rachel zastanawiała się zresztą, czy stać by go było na to, by zapłacić za jej suknię. Ile pieniędzy zostało mu z tego, co wygrał w Brukseli? Ostatnie dni przed balem upłynęły bardzo szybko. W końcu nastał wyczekiwany dzień. Służba i liczna rzesza pomocników, wynajętych specjalnie na tę okazję, krzątała się już od rana, by skończyć wszystkie przygotowania na czas. Po południu wszyscy wycofali się do swoich pokoi, by się przebrać.

Rachel weszła do swej gotowalni i zobaczyła wspaniałą suknię przygotowaną do włożenia. Geraldine czekała na nią z balią pełną gorącej wody. Dopiero wtedy Rachel obudziła się do rzeczywistości. Była niemal chora z wyczekiwania. To przecież był jej pierwszy bal. I początek końca.

Jutro...

Nie będzie teraz myśleć o jutrze. Najpierw nacieszy się dzisiejszym wieczorem.

- O Boże, Rachel, mam ochotę się rozplakać - westchnęła Geraldine.

- Może jednak zamiast tego znajdę sobie cichy kącik i przetańczę wieczór z Willem.

Nieważne, czy on tego chce, czy nie.

Rachel sama miała ochotę się rozplakać. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak cudownie.

Suknia z wysokim stanem miała dół z koronki na białej satynie. Rąbek wykończono zieloną taśmą w liście i wyhaftowano w gałązki. Obszerna spódnica miękkimi fałdami spływała na biodra, podkreślając figurę. Głęboko wycięty stanik uszyto z jasnozielonej satyny, krótkie bufiaste rękawki z materiału w zielone i białe paski. Do tego satynowe zielone pantofelki i długie białe rękawiczki. Geraldine zaczesła włosy Rachel gładko do góry, pozostawiając kilka loczków na skroniach i szyi. Wsunęła w koafiurę dwa białe strusie pióra, które kołysały się przy każdym ruchu głową.

- Geraldine, dokonałaś cudu - westchnęła Rachel, stojąc przed podłużnym lustrem w swojej gotowalni.

- Moim zdaniem tego cudu dokonała natura - odezwał się jakiś głos. - Geraldine dodała tylko kilka drobnych upiększeń.

W przejściu między gotowalniami stał Jonathan. Rachel odwróciła się do niego.

Ubrany w strój wieczorowy wyglądał tak wspaniale jak pierwszego wieczoru po przyjeździe do Chesbury. Nie, jeszcze piękniej. Przecież od tamtej pory opalił się i zmężniał. Ostrzygł też włosy. Nawet gdyby był jej obojętny, i tak wydałby się jej najprzystojniejszym mężczyzną na świecie.

- No, no - cmoknęła Geraldine. - Wyglądasz bardzo elegancko. Żałuję, że tam w Brukseli nie przywiązałyśmy cię do łóżka, gdy miałyśmy jeszcze okazję.

Jonathan uśmiechnął się szeroko i pogroził Geraldine palcem. Wydawał się

niesamowicie przystojny. W opalonej twarzy zęby lśniły mu śnieżną bielą.

- Geraldine, we cztery byście mnie zamęczyły - odparł. - Dziś byłbym ledwie cieniem człowieka.

- Nawet twój cień byłby wart grzechu - rzuciła Geraldine. - Czy Will jeszcze tam jest? Muszę nauczyć go tańczyć.

- Już uciekł na dół - odparł Jonathan. - Zdaje się, że wyczuł, co się święci.

- Biedaczek, nie wie jeszcze, że jest bez szans - westchnęła czule Geraldine i dziarsko wyszła z pokoju.

Jonathan uśmiechnął się do Rachel. Uświadomiła sobie, że przecież nie jest jej już obojętny. Od miesiąca odgrywała rolę kochającej małżonki. Ta maskarada nie pozostała bez wpływu na jej uczucia. Przeżyli też tamto popołudnie na wyspie. Nie wspominali o nim w rozmowach, ale oboje na pewno o nim nie zapomnieli. Jak mogłaby zapomnieć?

- Wyglądasz naprawdę pięknie - powiedział, wchodząc do jej gotowalni.

- Dziękuję - uśmiechnęła się melancholijnie. - Dzisiaj będę się bawić, jak jeszcze nigdy dotąd. To mój pierwszy bal i być może ostatni. Jonathanie, to koniec. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Jutro pójdziemy do wuja i jeszcze raz poprosimy go o klejnoty. Jeśli odmówi, nie będę z nim dalej walczyć. Wyjedziemy pojutrze bez względu na wszystko. Znowu będziesz wolny.

- Naprawdę? - spytał cicho. - Rachel, musimy...

Przerwało mu pukanie. Jonathan podszedł do drzwi i otworzył. Wuj Richard wszedł do środka i stanął jak rażony piorunem. Obejrzał Rachel od stóp do głów.

- Och, Rachel, nawet nie wiesz, jak bardzo pragnąłem cię zobaczyć w takiej chwili - powiedział. - I jak bardzo chciałem zobaczyć twoją matkę, ubraną na jej pierwszy bal. Nie chciała się z nim kłócić, zwłaszcza dzisiaj. Pytanie wyrwało się jej jednak, zanim



zdażyła się powstrzymać.

- Dlaczego powiedziałaś, że zostałam w wieku osiemnastu lat zaprezentowana w towarzystwie, gdyby udało ci się dopiąć swego?

Wuj gestem podziękował za krzesło, które chciał mu podsunąć Jonathan.

- Twój ojciec nie chciał nawet o tym słyszeć - odparł. - Przez te wszystkie lata nie pozwolił mi też zapraszać cię tutaj na wakacje. Nie zgodził się, bym posłał cię na jakąś dobrą pensję dla dziewcząt. Z tego co mówiłaś, zorientowałem się, że nie dawał ci prezentów, które co roku posyłałem ci na Gwiazdkę i urodziny. Po ślubie nie pozwolił twej matce kontaktować się ze mną. Dopiero gdy była już na łożu śmierci. Ale wina nie leżała tylko po jego stronie. Źle rozegrałem te jego konkury. Byłem młody, władczy i nieustępliwy. To ja popchnąłem ich do ucieczki. Jak jednak mogę żałować tego, co się stało, skoro z ich związku narodziłaś się ty?

Dziwne, że prawda okazała się taka prosta. I jak szybko wyjaśniła szesnaście lat wzajemnej niechęci. Wuj Richard nie zaniedbywał ani jej, ani jej matki. Wszyscy cierpieli długoletnią rozłąkę i smutek, ponieważ dawno temu dwóch upartych mężczyzn pokłóciło się o jedną kobietę.

- Wujku - szepnęła Rachel, podchodząc do niego bliżej. Powstrzymał ją gestem.

- Rachel, jutro usiądziemy i poważnie porozmawiamy - powiedział. - Ty, ja i twój mąż. Mamy sporo do omówienia, ale to może poczekać. Nic nie powinno nam zmącić radości tego wieczoru. Dzisiaj wreszcie zobaczę, jak tańczysz na balu, który mogłem dla ciebie wyprawić. Zatańczysz z mężem, który jest cię godny, z którym będziesz dzielić szczęście do końca życia. W pełni zasługujesz na to szczęście.

Rachel miała wrażenie, jakby ktoś wbił jej nóż w serce. Och, jaką cenę przyszło jej zapłacić za oszustwo. Jonathan założył ręce na plecach i przyglądał się jej w skupieniu.

- Przyniosłem ci to - ciągnął wuj, unosząc aksamitne puzderko, którego wcześniej nie zauważyła. - Rachel, te klejnoty należały do twojej ciotki. Teraz są twoje. Cieszę się, że nie masz na sobie innej biżuterii.

Otworzył szkatułkę. Rachel zobaczyła sznur pereł, na którym wisiał szmaragd, oprawiony w brylanty. Obok leżały jeszcze kolczyki ze szmaragdów i brylantów.

- To mój prezent ślubny dla ciebie - powiedział wuj.

Rachel czuła, że uginają się pod nią nogi. Jonathan objął ją w tali i podtrzymał.

- Sir, to piękny komplet - powiedział. - W duchu ubolewałem nad tym, że nie miałem jeszcze okazji kupić mojej żonie biżuterii. A teraz niemal się z tego cieszę. Pozwoli pan?

Jonathan wyjął naszyjnik z puzderka i zapiął go Rachel na szyi. Ciężki, zimny klejnot spoczął w całej swej wspaniałości na jej dekolcie. Szmaragd znalazł się w rowku między piersiami. Jonathan zapiął Rachel kolczyki w uszach. Uśmiechnął się do niej. Nadal utrzymywał się w roli, jakby nie czuł, że ich maskarada z farsy przemieniła się w dramat.

- Wujku - Rachel podeszła do niego. Objęła za szyję i przytuliła policzek do jego twarzy. Nie była jednak w stanie wydusić najprostszycy słów. Coś boleśnie dławilo ją za gardło. - Wujku.

Pogładził ją po plecach.

- Nie potrzebujesz ich, by dodać sobie urody - powiedział. - Ale powinny należeć do ciebie. Komu innemu mógłbym oddać klejnoty Sarah? Pozostał mi tylko jeden daleki kuzyn i jego żona, ale prawie wcale ich nie widuję.

Oczywiście jutro mu je odda. Miała wrażenie, że naszyjnik wisi jej na szyi niczym brzemień winy. Ale przecież obiecała sobie dzisiejszy wieczór. Co więcej, ten wieczór należał do jej wuja. Może wkrótce, w przyszłości, jeśli Bóg pozwoli, by wuj pożył dłużej, przebaczy jej to, co zrobiła. Albo przynajmniej czas stępi ból, który on poczuje, gdy dowie się prawdy.

Rachel cofnęła się i z uśmiechem ujęła wuję pod rękę.

- Zejdziemy na dół? - zaproponowała.

Odwróciła twarz do Jonathana i ujęła go pod ramię drugą ręką. Przycisnął jej dłoń pokrzepiająco do swego boku. Czy jednak poza tym drobnym gestem mógł jej ofiarować prawdziwe pocieszenie? Tam, w Brukseli, maskarada, którą zaproponował, wydawała się pysznym figlem. Przystała na nią z ochotą. Nie mogła więc winić go za wszystkie konsekwencje, jakie przyjdzie jej ponieść.

To był bal w wiejskim majątku i nie mógł się równać ze wspaniałymi fetami, w których Alleyne zapewne uczestniczył podczas sezonu w Londynie. Mniejszą liczebność gości i niedostatek przepychu obecni nadrabiali jednak entuzjazmem. Goście przybyli ze szczerym zamiarem, by się dobrze bawić. Tłumnie i radośnie tańczyli przy dźwiękach orkiestry jeden skoczny taniec za drugim.

Nikt jednak nie zdołał zaćmić blasku, jakim promieniała Rachel. Wprost emanowała radością. Olśniła Alleyne'a i wielu gości. Alleyne był więcej niż olśniony. Oczywiście był w niej po uszy zakochany. Wiedział to ponad wszelką wątpliwość od tamtego popołudnia na wyspie. Cierpiał śmiertelne katusze, próbując na osobności zachowywać się obojętnie. A równocześnie publicznie musiał wobec niej udawać, że gorąca miłość i oddanie, które jej okazuje, to tylko pozory. Korytarz między ich sypialniami był pokusą, którą zwalczał z coraz większym trudem. Nie chciał jednak jeszcze bardziej uwikłać jej w ten związek. Mógł jej przecież złamać serce w chwili, gdy odzyska pamięć. Chciał coś dla niej zrobić. Niemal od chwili przyjazdu do Chesbury stało się dla niego jasne, że wuj kocha Rachel, a ona będzie tu szczęśliwa. Dziś Weston wreszcie wytłumaczył powód długoletniej rozłąki z Rachel. Jeszcze bardziej utwierdziło to Alleyne'a w jego przekonaniu. Tu, w Chesbury Park, było miejsce, gdzie Rachel powinna zamieszkać. Alleyne postanowił, że wróci tu po ich wyjeździe. Wyzna

Westonowi prawdę i weźmie, słusznie zresztą, całą winę na siebie. Poprosi o przebaczenie dla Rachel. Weston kocha ją mocno i bezgranicznie, na pewno jej wybaczy i z powrotem przyjmie ją do siebie. Po pewnym czasie Rachel wyjdzie za mąż i będzie żyła długo i szczęśliwie. Nawet po śmierci Westona będzie miała dom.

A gdy on odzyska pamięć i przekona się, że nie jest żonaty albo zaręczony...

Nie śmiał o tym nawet myśleć.

Zatańczyli ze sobą pierwszą turę tańców. Alleyne'owi wydawało się, że gdyby ten bal odbywał się w Londynie, gdyby Rachel właśnie debiutowała w towarzystwie, pewnie by się naraziła na ostrą krytykę ze strony osób ściśle przestrzegających konwenansów. Zgodnie z etykietą młode damy powinny okazywać lekkie znudzenie, jakby wraz z wyjściem z pokoju dziecięcego traciły dziecięcą radość i oblekały się w cyniczną dorosłość. Rachel nie ukrywała radości. Znała kroki tańców i przez kilka pierwszych minut kroczyła dostojnie i elegancko. Potem nagle zaśmiała się i radośnie przytupnęła. Alleyne również się roześmiał.

- Czy nie powinnaś oszczędzać energii na resztę wieczoru? - spytał.

- Po co? - odpowiedziała pytaniem. Policzki miała zarumienione. Oczy jej błyszczały.

- Dlaczego mamy oszczędzać to, co najcenniejsze, na później? Chcę żyć bieżącą chwilą. Być może to wszystko, co jest mi dane.

- Zawsze mamy tylko bieżącą chwilę - powiedział. Znow się roześmiał i też przytupnął. To zdanie zapadło mu jednak mocno w pamięć.

Zobaczył Westona, stojącego w drzwiach sali balowej w towarzystwie jednego z sąsiadów. Baron wyraźnie zadowolony obserwował Rachel, kiwając głową w takt muzyki.

Nadal nie wyglądał na okaz zdrowia, ale nie był tak blady i wychudzony jak miesiąc wcześniej. Już nie wydawał się bliski śmierci. O, gdyby mógł pożyć jeszcze rok czy dwa dłużej. Dla Rachel.

Następne tury każde z nich przetańczyło z innymi partnerami. Alleyne najpierw z Flossie i Bridget, a potem z pannami z okolicy Dawno porzucił nadzieję, a może obawy, że zostanie rozpoznany przez kogoś z sąsiadów barona. Zorientował się, że tylko nieliczne rodziny często wyprawiały się do Londynu i nikt z nich nie obracał się w kręgach arystokracji.

Ostatnim tańcem przed kolacją miał być walc. Jedyne walc tego wieczoru. Liczne pary wyszły na parkiet. Alleyne zbliżył się do Rachel, stojącej z boku pod rękę z wujem.

- Nie tańczysz? - spytał.

- Niestety, nie umiem - odparła.

- Czas więc, żebyś się nauczyła - powiedział i wyciągnął do niej rękę.

- Tu i teraz? - rzuciła, otwierając oczy ze zdumienia. - Lepiej nie.

- Tchórzysz, kochanie? - uśmiechnął się. - Ja cię nauczę.

- Zatańcz, Rachel - zachęcił wuj.

Alleyne myślał, że Rachel odmówi. Roześmiała się jednak i podała mu rękę.

- Czemu nie? - powiedziała. - Jeśli zrobię z siebie widowisko, zapewne rozbawię wszystkich gości i dostarczę im tematu do rozmów na cały następny tydzień.

Niełatwo było nauczyć ją walca na oczach reszty gości. Zwłaszcza że wokół w takt muzyki wirowały pary. Wszyscy obecni szybko zrozumieli, co się dzieje. Wykrzykiwali słowa zachęty, śmiali się, klaskali i najwyraźniej świetnie się bawili. Rachel potykała się i myliła krok, ale nie przestawała promienieć radością. Śmiała się i z determinacją próbowała dotrzymać kroku Jonathanowi. A potem nagle uchwyciła rytm i kroki. Zamiast na swoje stopy spojrzała mu z uśmiechem w oczy.

- Tańczę walca - oznajmiła.

- Właśnie - zgodził się. - Rozluźnij się i pozwól mi cię poprowadzić. Poddała mu się i

wkrótce całkiem zgrabnie tańczyli razem walca. Nie próbował trudniejszych figur czy obrotów. Zauważył, że Rachel zagryzła dolną wargę i przestała się uśmiechać. Patrzyła mu w oczy i mocno opierała rękę na jego ramieniu. Splatali się dłońmi. Obejmował ją w talii. Dzieliły ich od siebie ledwie centymetry. Czuł ciepło promieniujące z jej ciała i zapach gardenii. Od popołudnia spędzonego na wyspie razem jeździli konno, spacerowali i nawet pływali. Jednak od tamtej pory niemal się nie dotykali. Oboje unikali wzajemnej bliskości. Teraz tańczyli walca na sali balowej w Chesbury, na oczach kilkudziesięciu gości. A jednak zdawało im się, jakby byli sami, tylko we dwoje. Wirowali powoli w czarownym świetle, który wkrótce zniknie. Jeszcze dwa, trzy dni i być może już nigdy więcej jej nie zobaczy. Piękna, cudowna Rachel. Złocisty anioł. Przez kilka minut tańczyli w milczeniu.

- Jak ci się podoba twój pierwszy bal? - spytał.

- Był wspaniały - odparła, wyrażając to, co on sam myślał. - Jest wspaniały, przecież jeszcze trwa.

Widział jednak w jej oczach świadomość tego, że bal wkrótce się skończy. Na prowincji bale nie trwały tak jak w Londynie całą noc. W mieście podczas sezonu towarzyskiego ludzie nie mieli wiele zajęć. Następnego dnia po balu mogli się wyspać, a potem wstać, by znów się bawić. Tutaj, jak tylko walc dobiegnie końca, zostanie podana kolacja. Wkrótce po niej bal się skończy. Blask w oczach Rachel zgasł. Za chwilę znów lśniły. Od łez, które próbowała przed nim ukryć, szybko pochylając głowę.

Na szczęście znajdowali się blisko wyjścia na taras. Poprowadził ją w tańcu na zewnątrz i zatrzymał się przy kamiennej balustradzie. Po pachnącej kwiatami, dusznej atmosferze sali balowej, rześkie nocne powietrze przyjemnie chłodziło policzki.

- Jonathanie, ja tego już dłużej nie wytrzymam - szepnęła, zaciskając palce na szmaragdowym wisiorku.

Wiedział, o co jej chodzi. Położył dłoń na jej szyi.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, że go pokocham - powiedziała. - Ani że on mnie kocha. Nigdy nie pomyślałam, że istnieje tak proste wytłumaczenie naszej długiej rozłąki.

- Powinnaś była tu przyjechać, gdy cię zaprosił - stwierdził.

- Po śmierci ojca? - spojrzała na jezioro, na którym księżyc lśnił srebrzystą smugą. -

Czułam się przygnębiona i nieszczęśliwa. Myślałam, że jeśli choć trochę mu na mnie zależy, przyjedzie do mnie, tak jak po śmierci mamy. Nie przyszło mi do głowy, że może być chory, i to uniemożliwi mu podróż. A on nawet nie pomyślał, by mi o tym napisać. Przypuszczał zapewne, że ja to już wiem. Ton jego listu wydał mi się obcesowy i rozkazujący I zimny.

- Gdybyś wtedy tu przyjechała, nie znalazłabyś się w Brukseli i nie spotkałabyś

Crawleya - powiedział. - Nie chciałabyś go teraz odnaleźć, aby odebrać mu pieniądze przyjaciółek. Nie zaangażowałabyś się w tę maskaradę.

- I nie poznałabym ciebie - dodała.

- Pomyśleć tylko - roześmiał się cicho. - Gdybyś w zeszłym roku przyjechała tu na zaproszenie wuja, najprawdopodobniej ja już bym nie żył.

- Chyba bardzo bym tego nie żałowała - rzuciła.

- Ja też - zapewnił żarliwie.

- Patrz - wskazała ręką w dół.

Na padoku za stajniami dwoje ludzi tańczyło przy świetle księżyca. Wielki, trochę niezdarny mężczyzna i wysoka, zgrabna kobieta. Geraldine i Strickland.

- Oto para połączona przeznaczeniem - powiedział. Odwrócił się i oparł plecami o balustradę. Przyjrzał się Rachel. - Co zamierzasz?

- Juro wyjaśnię moim przyjaciółkom, że nie mogę im pomóc. Na zawsze jednak pozostanę ich dłużniczką i zwrócę im pieniądze, jak już będę mogła, to znaczy za trzy lata.

Pojutrze wszyscy stąd wyjedziemy. Nie poproszę wuja Richarda o moje klejnoty. Jak tylko wrócimy do Londynu, napiszę do niego i wyznam całą prawdę. I zwrócę mu tę biżuterię. Ty będziesz wolny. Możesz robić, co chcesz. Możesz szukać swojej rodziny. Dopiero niedawno przyszło mi do głowy, że zgadzając się na tę maskaradę, wyrządziłam im krzywdę.

Zatrzymałam cię przy sobie o cały miesiąc dłużej, niż było konieczne. Ile cierpienia im przysporzyłam!

- Rachel, po co czekać z wyznaniem? - spytał. - Wuj cię kocha. Zawsze cię kochał.

Potrząsnęła głową.

- Pozwól mi się z nim jutro spotkać i wszystko mu opowiedzieć - poprosił. - Potrafię tak przedstawić mu sprawy, by ci wybaczył. Nie będzie miał do ciebie żalu, gdy dowie się, że to ja zasugerowałam maskaradę. A ty zgodziłaś się tylko dlatego, że kochasz swoje przyjaciółki i masz wobec nich dług honorowy. Przecież nie wiedziałaś, że Weston przez te wszystkie lata troszczył się o ciebie i próbował nawiązać z tobą kontakt. Wuj zrozumie, że teraz, gdy miałaś okazję go bliżej poznać i pokochać, utrzymywanie pozorów stało się dla ciebie nie do zniesienia. Pozwól mi to dla ciebie zrobić.

Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nie - odparła. - Sama się wpakowałam w tę kabałę i sama się z niej wydobędę. Nie musiałam się zgadzać na twoją propozycję.

- Więc nie pisz, tylko mu powiedz - rzucił. - Rachel, zrób to już jutro i ufaj, że on cię kocha. Zawsze cię kochał.

- Już za późno - stwierdziła. - Nie zasługuję na zaufanie ani na miłość. Straciłam do nich prawo. Muzyka cichnie, walc dobiega końca. Musimy iść na kolację i wyglądać promiennie i radośnie. Wuj wydaje się dzisiaj szczęśliwy, prawda? I chyba czuje się lepiej niż wtedy, gdy tutaj przyjechaliśmy. Musimy mu podarować spokój do końca tego wieczoru.



Musimy. A przynajmniej ja muszę.

Alleyne pomyślał, że najchętniej by się w tej chwili zastrzelił. Bez słowa podał jej ramię. Wprawdzie bal wyprawiono z okazji jej zamążpójścia, Rachel jednak nie spodziewała się przemówień i toastów podczas kolacji, a także wielkiego weselnego tortu. Wspólnie z Jonathanem musieli go pokroić i przejść od stołu do stołu, częstując wszystkich gości.

Uśmiechała się przez cały czas i czuła, że robi się jej słabo. Powinna była trochę pomyśleć, zanim zgodziła się na ten plan.

Okazało się, że najgorsze jeszcze przed nimi. Po rozdaniu tortu Rachel z Jonathanem w końcu usiedli. W jadalni panował gwar podniecenia. Goście niecierpliwie czekali na powrót do sali balowej na ostatnie kilka tur. Nieoczekiwanie baron Weston wstał i gestem poprosił o ciszę. Wszyscy niemal natychmiast umilkli.

- Uważam za stosowne ogłosić to publicznie teraz, choć zamierzałem powiedzieć o tym mojej siostrzenicy i jej mężowi jutro na osobności - przemówił. - W jakimś sensie dotyczy to przecież całej okolicy. Wszyscy zapewne wiedzą, że jestem ostatnim męskim potomkiem mojej linii rodu. Wraz z moją śmiercią ród i tytuł wygaśnie. Na szczęście fortuna i majątek nie podlegają majoratowi i mogę nimi dysponować wedle mej woli. Długo zastanawiałem się, czy nie zostawić ich dalekiemu kuzynowi ze strony matki, choć on mieszka w Irlandii i widziałem go zaledwie dwa czy trzy razy w życiu. Zawsze zamierzałem zostawić znaczną część fortuny mojej siostrzenicy, Rachel, ponieważ jest moją najbliższą krewną. Podczas minionych kilku tygodni poznałem ją bliżej i mocno pokochałem. Poznałem też jej męża, sir Jonathana Smitha, rozsądnego, godnego zaufania człowieka, najwyraźniej głęboko przywiązanego do ziemi. Poczyliłem kroki, by jutro zmienić mój testament. Gdy mój żywot dobiegnie końca, wszystkie moje dobra odziedziczy Rachel.

Nie słyszała ożywionego gwaru i oklasków, które rozległy się po tej przemowie.

Zaszumiało jej w uszach, poczuła chłód na twarzy, gdy cała krew odpłynęła jej z głowy.

Uświadomiła sobie, że za chwilę zemdleje. Pochyliła głowę i zakryła twarz rękami. Jonathan położył jej na szyi chłodną dłoń. Odetchnęła głęboko kilka razy. Gdy uniosła głowę, wuj stał koło niej. Wstała i uścisnęła go w milczeniu. Goście zaszemrali z aprobatą i znów zaczęli klaskać.

- Rachel, to mi sprawi ogromną radość - powiedział. Odsunął ją nieco od siebie i uśmiechnął się do niej rozpromieniony. - Będę najszczęśliwszym z ludzi.

- Nie chcę, żebyś u...u...umarł. - Jęknęła. Objęła go za szyję i ukryła twarz na jego ramieniu.

Nagle sama zapragnęła umrzeć. Tak po prostu umrzeć. Później nie była w stanie pojąć, jak udało się jej przetrwać resztę wieczoru. Uśmiechała się, rozmawiała i śmiała z gośćmi, omijając z daleka znajome osoby. Skupiła się na tym, by wyglądać na rozpromienioną młodą małżonkę. Nie bez powodzenia. Dzięki Bogu. W ogólnym zamieszaniu, które nastąpiło po odjeździe gości, Rachel uciekła i zamknęła się w swojej sypialni. Zapomniała jednak o tym jak bezceremonialne potrafią być jej przyjaciółki. Już po kilku minutach stłoczyły się w jej gotowalni. Bridget, Flossie, Geraldine i Phyllis. A także sierżant Strickland, który stanął w przejściu do gotowalni Jonathana, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- No, Rache, teraz naprawdę znalazłaś się w opałach - odezwała się Geraldine.

- Dowiedzieliśmy się o wszystkim dopiero przed chwilą, bo wyszliśmy na dwór - powiedział sierżant i się zaczerwienił. - Znaczy się Geraldine i ja. Poszliśmy popatrzeć na konie.

- Will, przecież myśmy tańczyli - sprostowała Geraldine. - I się całowaliśmy. A potem wróciliśmy do domu i Phyll nam powiedziała.

- Kochanie, chyba lepiej będzie, jeśli stąd wyjedziemy - odezwała się Bridget.

- Wyjedziemy? - Phyllis wydawała się oszołomiona. - Wyjedziemy, Bridge? A kto będzie gotował panu baronowi?

- Przyjechałam tu, by poprosić o mój spadek - powiedziała Rachel. - Wszystko wydawało się takie proste. Miałam udawać, że wyszłam za mąż. Przyjechałam tu z moim domniemanym mężem, by przekonać wuja Richarda, że może mi zaufać i powierzyć klejnoty matki. Rozpaczliwie pragnęłam pomóc wam w odnalezieniu Nigela Crawleya i zwrócić wam wszystko, co ukradł. A teraz... nie mogę tego zrobić. Musimy...

- Chwileczkę, Rachel - Flossie uciszyła ją gestem. - O co chodzi z tym zwracaniem? Chciałaś nam oddać to, co wziął Crawley? Przecież on cię wykorzystał i okradł tak samo jak nas. Czyś ty oszalała?

- Gdyby nie ja, nigdy byście go nie spotkały - odparła Rachel.

- Rachel, kochanie, nawet by się nam nie śniło, by wziąć od ciebie jakieś pieniądze.

Planowałyśmy tylko pożyczkę na pokrycie kosztów podróży, którą zresztą byśmy ci wkrótce oddały.

- Święta racja - oznajmiła Geraldine, biorąc się pod boki. - W głowie ci się pomieszało? Przecież to nie ty nas okradłaś.

Phyllis podbiegła do Rachel i mocno ją uścisnęła.

- Rachel, to cudownie, że o nas pomyślałaś - zawołała. - Wiesz, że już od dawna nikt nie zrobił dla nas nic dobrego? Pobyt tutaj, w Chesbury Park, jest wspaniały. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa. Zdaje się, że nie tylko ja. Tobie zawdzięczamy te cudowne wakacje. Nie czyń więc sobie z naszego powodu żadnych wyrzutów. I tak masz już dość zmartwień.

- I to nie byle jakich - westchnęła Geraldine.

- Panienko, nie prosiła mnie pani o radę i nie moja to rzecz się wtrącać, bo jestem przecież tylko lokajem bez oka, a i to nie najlepszym - odezwał się sierżant Strickland. - Ale powinniście państwo... i pan też, sir, choć chowa się pan w swojej sypialni, zamiast stawić tu czoło sytuacji, powinniście się naprawdę pobrać i będzie po kłopotach.

- Jakie by to było romantyczne - westchnęła Phyllis. - Masz absolutną rację, Will.

- Nie - odparła stanowczo Rachel. - To nie jest żadne rozwiązanie. Zamierzam wszystko wkrótce wyjaśnić, a potem pomyślę, jak sobie dalej ułożyć życie. Ostatnia rzecz, której pragnę, to małżeństwo z przymusu. Jonathanowi też to niepotrzebne. Już ja coś wymyślę.

Ale co? Chyba tylko Bóg jeden wie. Wuj Richard wydawał się dzisiaj taki szczęśliwy.

Nie wiedziała, że majątek nie podlega majoratowi. Nawet się nad tym nie zastanawiała.

Geraldine, Phyllis, Bridget i Flossie miały jeszcze mnóstwo pomysłów, ale Rachel już ich nie słuchała. Sierżant Strickland wycofał się do gotowalni Jonathana. W końcu wszystkie cztery przyjaciółki uściśniły Rachel i mówiąc jedna przez drugą, ruszyły do swoich pokoi.

Geraldine przypomniała sobie, że jest pokojówką Rachel. Wróciła więc, by pomóc jej się rozebrać i wyszczotkować jej włosy. Upłynęła niemal wieczność, zanim Rachel wreszcie została sama i mogła skulić się na łóżku, naciągając kołdrę na głowę.

Minęła godzina od chwili, gdy sierżant Strickland, nie powiedziawszy ani słowa, wycofał się do swojego pokoju. Alleyne stał przy oknie swej sypialni i patrzył na park w świetle księżyca. Zastanawiał się, czy Rachel również nie śpi. Rozważał, czy nie powinien pójść jutro rano do Westona bez wiedzy Rachel. Doszedł do wniosku, że chyba jednak nie. Wyrządził jej już dostateczną krzywdę. Nie wolno mu odbierać jej swobody decyzji, jak zakończyć tę sprawę. A najwyraźniej sama chciała się z nią uporać. Raczej wyczuł niż usłyszał poruszenie za sobą. Odwrócił głowę i zobaczył Rachel stojącą na progu gotowalni. Było ciemno, nie paliła się żadna świeca, jednak oczy na tyle przyzwyczyły mu się do ciemności, że widział ją wyraźnie. Miała na sobie tę samą białą nocną koszulę, co tamtego wieczoru, gdy przyszedł do jej sypialni. Rozpuściła włosy.

- Myślałam, że już śpisz - powiedziała.

- Nie.

- Aha.

Stała w milczeniu, najwyraźniej nie wiedząc, co powiedzieć.

- Wejdz - rzucił.

Podeszła szybko i zatrzymała się o krok od niego.

- Chcę, żebyś jutro rano wyjechał - powiedziała.

- Tak? - zdziwił się.

- Tak - potwierdziła. - Opowiem wszystko wujowi. Nie mogę pozwolić, by zmienił testament na moją korzyść, prawda? Ale on będzie winił nie tylko mnie, lecz również i ciebie. Oskarży cię, że zniszczyłeś moją reputację i zażąda, byś się ze mną ożenił. Oczywiście, jeśli wcześniej nie każe nam obojgu po prostu wynieść się z jego majątku. Muszę być przygotowana na każdą ewentualność. Jonathanie, nie pozwolę, żeby zmuszano cię do

małżeństwa ze mną.

- To i tak niemożliwe - odparł. - Rozmawialiśmy już o tym, pamiętasz? Dopóki nie wiem, kim jestem, dopóki nie dowiem się, czy jestem już żonaty, czy nie, nie mogę się ożenić ani nawet obiecać, że się z tobą ożenię.

- Ale kiedyś wreszcie się tego dowiesz - powiedziała Rachel. - I może okaże się, że jesteś kawalerem. Nie pozwolę, by ktokolwiek zmusił cię do małżeństwa ze mną. To byłoby nie w porządku. Zaangażowałeś się w tę maskaradę dla mnie. O niczym więcej poza udawaniem nie było mowy. Zresztą, nie chcę zostać twoją żoną. Zapewne nigdy nie wyjdę za mąż. Zdecyduję się na małżeństwo, tylko jeżeli spotkam miłość mego życia, jeżeli zyskam przekonanie, że będziemy razem szczęśliwi do końca życia. Jeśli w ogóle można mieć taką pewność. Jonathanie, nie jest moją intencją obrażać cię. Wiem, że ty, tak samo jak ja, nie chcesz się angażować w małżeństwo i dlatego mogę mówić z tobą szczerze. Nie chcę, żebyś czuł się zobowiązany mi się oświadczyć, gdy już będziesz miał w tej kwestii wolną rękę. Zresztą nie dopuszczę, żeby tak się stało. Musisz wyjechać wczesnym rankiem, zanim wuj Richard wstanie.

- Więc to pożegnanie? - spytał.

- T...tak - odparła.

Ujął jej rękę. Była zimna jak lód. Zaczął ją rozcierać dłońmi.

- Nie zrobię tego - rzucił. - Jutro oboje stawimy mu czoło.

Honor i troska o Rachel dyktowały mu, by stanął przed Westonem razem z nią.

Weston obdarzył go zaufaniem. Musi spojrzeć mu w oczy, gdy baron powie mu, że tego zaufania nadużył. Rachel zadrżała.

- Lepiej połóżmy się do łóżka - powiedział.

- Razem?

Nie o to mu chodziło. Wyczuwał jednak, że ona potrzebuje bliskości, a może czegoś więcej. Potrzebowała czułego uścisku. Chciał jej to ofiarować. Boże, miej go w swej opiece.

- Czy tego właśnie chcesz? - uniósł jej dłoń do ust. Kiwnęła głową.

- Jeśli ty też tego pragniesz.

Roześmiał się cicho i przyciągnął ją do siebie. Uniosła ku niemu twarz. Spotkali się ustami, zgłodniali z pragnienia i pożądania, złączeni potrzebą, by dać sobie nawzajem pociechę i znaleźć w swoich ramionach ukojenie.

Jak to nazwała Geraldine? Opały. Znaleźli się w opałach. Jutro spróbują się z nich wydobyć. A na razie mieli dla siebie tę noc.

Schylił się i uniósł ją w ramionach, po prostu dlatego, że teraz, gdy noga już mu się zagoiła, mógł to zrobić. Zaniósł ją do łóżka i położył na środku. Zdjął z siebie całe ubranie i położył się obok niej.

Kochali się tylko raz. Żarliwie, niespiesznie, niemal sennie. Alleyne zdał sobie sprawę, że nie było to tylko fizyczne zbliżenie. Ale też nie miłość, skoro Rachel go nie kochała, a przynajmniej nie taką miłością, o jakiej marzyła. A jednak to, co ich połączyło, było bezcenne. Pełna czułości bliskość i wzajemne ukojenie.

Zasnęła, jeszcze zanim się z niej wysunął i położył obok. We śnie przytuliła się do niego. Oparł policzek na jej głowie i zaraz potem odpłynął w nieświadomość.

Rachel prawie nie tknęła śniadania. Odsunęła od siebie talerz. Nie była w stanie nawet spojrzeć na Jonathana. Poszła do niego w środku nocy, żeby go przekonać do natychmiastowego wyjazdu z Chesbury i zasnęła w jego łóżku. A zanim zasnęła...

To było bardzo zawstydzające.

Jednak to nie Jonathan odebrał jej apetyt. Wuj Richard już nie spał, choć jak zwykle zjadł śniadanie w swoim apartamencie. Przystąpił na dół lokaja z prośbą, by oboje przyszli do

niego, jak tylko skończą posiłek.

Geraldine pakowała na górze kuferek Rachel. Wyjadą stąd najpóźniej w południe.

Rachel skupiła się tylko na tej myśli. Najpierw jednak musiała stawić czoło temu, co czekało ją ze strony wuja. Miała nadzieję, że poczuje jakąś ulgę, gdy już ruszą w drogę? Tak wiele rzeczy zostanie bezpowrotnie straconych. Rozgniewa, zasmuci i rozczaruje wuja. I w końcu go opuści. A potem czekają rozstanie z Jonathanem.

Życie wydało się jej ponure i beznadziejne. Jedyłą pociechą była świadomość, że gorzej już być nie może.

Rachel wstała i odsunęła krzesło. Jonathan również. Gdy wychodzili z jadalni, ani Bridget, ani Flossie nie odezwały się nawet słowem. Wuj Richard siedział w tym samym fotelu co zwykle, tyle że dzisiaj zwrócony plecami do okna. Rachel zauważyła, że znów wydaje się chory. Ostatni wieczór okazał się ponad jego siły. A teraz jeszcze...

- Usiądźcie - poprosił poważnym tonem.

- Wujku, muszę ci coś powiedzieć - odezwała się Rachel. - Nie ma na co czekać. Ja tylko...

- Rachel, proszę - uciszył ją gestem. - Ja muszę coś powiedzieć pierwszy. Zabrakło mi odwagi, by powiedzieć to wcześniej, ale teraz czas już na to najwyższy. Proszę, usiądź. Pan też, Smith.

Zdenerwowana Rachel przysiadła na brzeжку krzesła. Jonathan usiadł na krześle obok.

- Myślę, że tak czy inaczej podjąłbym tę decyzję, którą ogłosiłem wczoraj - powiedział wuj. - Rachel, zawsze pragnąłem, żebyś tu przyjechała i poczuła się jak w domu. I doczekałem się. Jesteś tu i w dodatku jesteś szczęśliwa. Szczęśliwa ze swoim mężem. Z człowiekiem, który cię kocha i który zna się na prowadzeniu majątku ziemskiego. On będzie dbał o Chesbury Park, nawet jeśli zamieszkacie na stałe daleko stąd, na północy Anglii.



- Wujku Richardzie...

- Nie - powtórnie uciszył ją gestem. - Pozwól mi skończyć. Zapewne i tak podjąłbym znaną ci już decyzję. Choć za chwilę pewnie wyda ci się, że próbuję cię po prostu przekupić, by uciszyć wyrzuty sumienia. Zamierzałem ci dzisiaj powiedzieć, że zatrzymam klejnoty do twoich dwudziestych piątych urodzin, skoro takie było życzenie twojej matki. Rozumowałem, że zapewne do tego czasu zdążę już umrzeć.

- Wujku, nie mów tak - Rachel pochyliła się do przodu. - Ja już nie chcę tych klejnotów.

Baron westchnął i odchylił głowę na oparcie fotela. Znowu poszarzał na twarzy.

- Rachel, one przepadły - powiedział.

- Przepadły?

- Zostały skradzione - wyjaśnił.

- Jonathan wstał, nalał wody do szklanki i postawił ją w zasięgu ręki barona. Potem podszedł do okna, by popatrzeć na klomby.

- Skradzione? - wyszeptała Rachel.

- Nawet nie wiem kiedy, jak i przez kogo - ciągnął wuj. - Nie było ich tam, gdzie zwykle, gdy zajrzałem do skrytki po jakiś drobiazg mniej więcej tydzień przed twoim przyjazdem. Nie mogłem uwierzyć, że zrobił to ktoś ze służby, nawet jeśli wszyscy się nieco opuścili w wypełnianiu obowiązków przez ostatnie parę lat. A jedyny obcy, który gościł w bibliotece i mógł zobaczyć, gdzie trzymam kosztowności, to duchowny, człowiek uczciwy i oddany dobroczynności. Podejrzewanie go nie ma sensu.

Jonathan zerknął przez ramię i spotkał się spojrzeniem z Rachel.

- Duchowny - powtórzyła. - Nigel Crawley?

- Nathan Crawford - odparł wuj.

- Wysoki, jasnowłosy, przystojny? - dopytywała się, coraz szerzej otwierając oczy. -

Niezwykłe czarujący? W wieku około trzydziestu, czterdziestu lat. W towarzystwie siostry?

Wuj patrzył na nią zdumiony.

- Ty go znasz? - spytał.

- Zdaje się, że to ja go tu skierowałam - roześmiała się nerwowo. - Poznałam go w

Brukseli, gdy pracowałam u lady Flatley. Nawet się z nim zaręczyłam. Mieliśmy wrócić do

Anglii i pobrać się, a potem przyjechać tutaj i skłonić cię do oddania mi klejnotów.

Podśluchałam jednak, jak razem z siostrą zaśmiewali się, co zrobią z datkami, które dostali na

cele dobroczynne. Oni mieli też przy sobie dużą sumę pieniędzy, w zasadzie oszczędności

całego życia, powierzone im przez moje cztery przyjaciółki, które tu ze mną przyjechały. Wuj

Richard przymknął oczy. Zrobił się śmiertelnie blady.

- Wielu ludzi z okolicy przekazało mu pieniądze na cele dobroczynne - powiedział. -

Ja także. Dałem mu je od razu w bibliotece i nawet nie próbowałem przed nim ukrywać, gdzie

jest skrytka. Wydawał się nadzwyczaj godny zaufania. Przypuszczam, że wrócił tu później po

klejnoty. Nietrudno jest się włamać do Chesbury, a moja służba nie grzeszyła ostatnio

czujnością. Rachel, tak czy inaczej klejnoty znikły, a ja nie zrobiłem nic, by je odzyskać.

Dziwne, że Rachel myślała teraz tylko o wuju, zważywszy na to, z jaką determinacją

pragnęła przedtem dostać klejnoty. Nie przyniosły jej nic prócz trosk. A teraz przepadły.

Trudno. Rachel podbiegła do wuja, uklękła i przytuliła policzek do jego kolan.

- Wujku, to nieważne - powiedziała. - Naprawdę. Najważniejsze, że on nie zrobił ci

krzywdy. Nigdy nie widziałam tych klejnotów. Czego oczy nie widziały, tego sercu nie żal.

Niemal cieszę się, że zginęły.

- Chyba nie zdajesz sobie sprawy, że one były warte fortunę - odparł wuj, gładząc

Rachel po głowie. - Nie mogę sobie wybaczyć, że oszukiwałem cię od chwili twego

przyjazdu. Powinienem być od razu ci powiedzieć. Powinienem być rozpocząć poszukiwania klejnotów, jak tylko zginęły.

- Wujku, twoje oszustwo to nic - rzuciła. Poglaskała ją po włosach. Stojący przy oknie Jonathan odchrząknął.

Rachel serce mocniej zabiło.

- Jeśli byłaś zaręczona z tym Crawfordem, Crawleyem czy jak mu tam, to jak mogłaś... - zapytał wuj w ciszy, która zapadła.

- Sir, to Rachel przedstawiła Crawleya swoim przyjaciółkom - odezwał się Jonathan. -

On zabrał im oszczędności całego życia, obiecując ulokować je na korzystny procent w londyńskim banku, a one jeszcze mu podziękowały. Rachel uznała, że to ona ponosi winę za ich stratę. W skrytości ducha przysięgła sobie, że zwróci im wszystko co do grosza. W tym celu potrzebowała swojego spadku, by móc sprzedać część biżuterii. Rachel zamknęła oczy.

- Smith, a jaka w tym pańska rola? - dociekał baron Weston.

- Zawdzięczam Rachel życie - odparł Jonathan. - Po bitwie pod Waterloo znalazła mnie rannego, bliskiego śmierci. Pielęgnowała mnie i przywróciła do zdrowia. Rachel chciała pana przekonać, żeby oddał jej spadek i potrzebowała męża.

- Pan nie jest jej mężem? - spytał wuj.

- Nie, sir.

Rachel pomyślała, że to nie w porządku, aby Jonathan sam wszystko wyjaśniał. Nie chciała, żeby tak się stało. Ale nie otworzyła oczu ani nie odezwała się nawet słowem. Cały ten okropny poranek wymknął się jej spod kontroli.

- Dlaczego nie? - spytał wuj cichym, surowym tonem.

- Gdy odzyskałem przytomność, okazało się, że straciłem pamięć - wyjaśnił Jonathan.

- Nie wiem nic o swojej przeszłości. Nie wiem nawet, czy już nie jestem żonaty.

- Zatem nie jest pan sir Jonathanem Smithem - stwierdził wuj.

- Nie, sir - odparł Jonathan. - Nie wiem, jak się naprawdę nazywam.

- I nie ma pan majątku w Northumberland?

- Nie, sir.

- To wszystko moja wina - odezwała się Rachel. - Jonathan uznał, że zawdzięcza mi życie. Wiedział, że ponad wszystko na świecie chcę dostać te klejnoty w swoje ręce.

Zaproponował więc, że mi pomoże. Wszystko to, absolutnie wszystko, moja wina. Nie wolno go za nic winić. Nie potrafiłam jednak wytrwać w tym oszustwie, zwłaszcza po ostatnim wieczorze. Nie wiedziałam, że przysyłałeś mi prezenty urodzinowe, że chciałeś mnie wysłać do szkoły i zafundować mi sezon towarzyski w Londynie. Myślałam, że zupełnie o mnie zapomniałeś. Że mnie nienawidzisz. Gdy podarowałeś mi naszyjnik i kolczyki cioci, to było ponad moje siły A potem ogłosiłeś, że wszystko mi zostawisz, bo mnie kochasz. Przyszłam tu dzisiaj, żeby ci wszystko wyznać. Jonathan nalegał, aby mi towarzyszyć.

- A to dopiero. - Wuj westchnął po krótkim milczeniu.

Potem zrobił coś tak zdumiewającego, że Rachel zerwała się na nogi ze strachu.

Zaczął się śmiać. Najpierw tylko drżał i mogłoby się wydawać, że to skutek furii. Potem rozległ się niski gardłowy dźwięk, który można by uznać za przedśmiertne rżenie. A potem zabrzmiał szczery, gromki, wyraźny śmiech.

Odchyliła głowę do tyłu i niepewnie zajrzała wujowi w twarz. Śmiech był jednak na tyle zaraźliwy, że nie mogła się powstrzymać, by nie zawtórować, nawet jeśli nie znała przyczyn wesołości wuja. Kąciki jej ust zadrgały. Poczwała śmiech rodzący się jej w piersi.

Zakryła twarz rękami i wybuchnęła śmiechem.

- Sytuacja jest naprawdę cudownie absurdalna - rzucił ironicznie Jonathan.

Cała trójka zaczęła się nagle pokładać ze śmiechu. Sprawy, które jeszcze przed chwilą

wydawały się im tragiczne, teraz niezmiernie ich bawiły. Gdy ochłoną i wszystko przemyśla, zapewne znów ogarnie ich przygnębienie. Później, gdy była już w stanie myśleć, Rachel doszła do wniosku, że życie jest czasem śmieszniejsze niż farsa. Zanim którekolwiek z nich zdołało ochłonąć i spojrzeć w oczy ponurej rzeczywistości, nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła Flossie, a zaraz za nią Geraldine, Phyllis i Bridget. Flossie wymachiwała kartką papieru.

- Rachel, on jest w Bath - zawołała. - Łobuz jest w Bath i z wdziękiem wyłudza ostatnie grosze od tamtejszych rezydentek. Podaje się za Nicholasa Croydena. Ale to on, jestem pewna.

- Rache, ruszamy za nim - oświadczyła Geraldine. - Will go przytrzyma, a ja wyrwę mu po kolei wszystkie paznokcie.

- Ja mu przefasonuję nos - dodała Phyllis, wymachując obsypanym mąką wałkiem.

- A ja wyrwę mu wszystkie włosy - rzuciła Bridget.

- To od jednej z naszych znajomych - powiedziała Flossie, machając listem. - Będzie miała go dyskretnie na oku, dopóki tam nie dotrzemy. Rachel, jedziesz z nami?

Wuj Richard odchrząknął.

- Rachel, czas już chyba najwyższy, żebyś mi należycie przedstawiła swoje przyjaciółki i twoją, hm, pokojówkę.

Ostatecznie wszyscy pojechali do Bath.

Z początku wyglądało na to, że Phyllis zostanie w Chesbury. Przerażała ją myśl, że baron Weston nie będzie miał kucharki i porządnego jedzenia, które miało przywrócić mu zdrowie i siły. Potem Rachel nalegała, żeby Jonathan bez dalszej zwłoki ruszył do Londynu, skoro ich maskarada już się zakończyła. Oświadczyła, że pozostanie w Chesbury, jeśli wuj jej przebaczy. Z kolei Bridget zapowiedziała, że zostanie, ponieważ Rachel potrzebuje

przyzwoitki, gdyż znów jest niezamężną młodą damą. Strickland długo i pokrętnie wyjaśniał, że choć chciałby jechać z paniami, by je chronić w drodze i w ich imieniu stłuc Crawleya na kwaśne jabłko, to uważa za swój obowiązek pozostać z panem Smithem, jako jego lokaj, dopóki nie stanie on porządnie na nogi. Geraldine przypomniawszy sobie, że przecież jest pokojówką Rachel. Choć zaraz potem stwierdziła, że już właściwie nie, skoro cała maskarada została ujawniona. Niemniej niechętnie myślała o opuszczeniu Chesbury akurat teraz, gdy wreszcie przywróciła porządek wśród służby, a nadzorowany przez nią spis przedmiotów w domu zaczął się zbliżać ku końcowi. Flossie natomiast łzy stanęły w oczach. Wspomniała, że Drummond zeszłego wieczoru zabrał ją nad jezioro na spacer przy księżycu i zaproponował jej małżeństwo. Nie dała mu żadnej konkretnej odpowiedzi. Obiecała odpowiedzieć dzisiaj albo jutro. Wyglądało na to, że nikt nie pojedzie. I wtedy odezwał się Weston.

- W Bath czeka wielka przygoda. Pozostając tutaj, postępujcie jak tchórze. Zdaje się, że będę musiał pojechać sam.

- Wspaniale! - krzyknęła Flossie, przyciskając list do serca. - Jestem całym sercem z panem, milordzie. Drummond może poczekać na odpowiedź.

Zapanował ogólny chaos i gwar, gdy wszyscy po kolei znajdowali powody, by jednak jechać do Bath, zamiast zostawać w Chesbury Rachel nie tak łatwo było pogodzić się z decyzją wuja.

- Powinieneś tu zostać i nie nadwerężać się - powiedziała. - Nie masz dość sił, by podróżować. Zostanę tu z tobą, a cała reszta niech jedzie.

- Rachel, obawiałem się, że dzisiejszego ranka przeżyję najgorsze chwile w moim życiu. A zamiast tego doznałem ulgi i poczułem przyływ nadziei. Już dawno się tak nie ubawiłem, mimo utraty klejnotów, których być może nigdy nie odzyskam. Za nic nie chciałbym, żeby ominęło mnie to, co się wydarzy w Bath.

Nikt nie zapytał Alleyne'a o zdanie. Rachel jednak, a za nią cała reszta, włącznie z sierżantem Stricklandem, spojrzała na niego wyczekująco.

- Londyn może poczekać, tak samo jak Drummond - odparł Alleyne z szerokim uśmiechem. - Moja pamięć i dawne życie również. Mam dziwne i trochę niepokojące wrażenie, że tanto życie niewiele różniło się od obecnego. Wygląda na to, że zwariowane eskapady w szalonym towarzystwie przychodzą mi najzupełniej naturalnie. Czy to nie ja zaproponowałem tę ostatnią? Ruszam do Bath, nawet jeśli nikt z was nie pojedzie.

- Świetnie - stwierdziła Geraldine. - Ty też jedziesz, Will. Słyszysz?

Alleyne z zaciekawieniem zauważył, że się przy tym zarumieniła. Zerknął na Rachel.

Uśmiechnęła się do niego. Oczy aż jej się iskrzyły z radości i zachwytu.

- Może się okazać, że Bath jest dla nas za małe - powiedziała.

- Taką mam nadzieję - mrugnął do niej.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem na myśl o tym, jak ich przyjazd wpłynie na spokojne, nudne życie mieszkańców Bath. Ktoś obcy przyglądający się im z boku nie uwierzyłby, że niemal wszyscy obecni jeszcze do niedawna brali udział w trudnej i pełnej pułapek maskaradzie, a tragedia wisiała na włosku.

Alleyne doszedł do wniosku, że to naprawdę nadzwyczajny finał. Czuł ulgę, że nie musi już udawać. Cieszył się, że Rachel znalazła swoje miejsce na ziemi, dom, gdzie będzie bezpieczna i szczęśliwa, gdy ta afera już się skończy, a on wyjedzie. Nie chciał się jednak teraz nad tym zastanawiać. Pomyśli o rozstaniu z nią później, gdy nadejdzie na to pora.

Tymczasem baron Weston spotkał się z notariuszem i zgodnie z zamierzeniem zmienił testament.

Następnego dnia wczesnym rankiem ruszyli do Bath pokaźną kawalkadą powozów.

Przyrzekli sobie zrobić wszystko, co w ich mocy, by Nigel Crawley alias Nathan Crawford

czy też Nicholas Croyden, pożałował, że się w ogóle urodził.



Baron Weston wynajął dla całego towarzystwa pokoje w najlepszym hotelu w Bath, York House. Nie chciał nawet słuchać protestów dam, że ich na to nie stać, przynajmniej dopóki nie dopadną Nigela Crawleya i nie wyrwą mu swoich oszczędności. Baron oświadczył, że pokryje koszty pobytu i uciszył wszelkie sprzeciwy. Za jego sugestią wszyscy zachowali swoje przybrane nazwiska, pod którymi przybyli do Chesbury. Jedyne Rachel powróciła do swojego panieńskiego nazwiska, a Geraldine awansowała na pannę Geraldine Ness, siostrę pani Leavey, choć była do niej podobna jak koń do królika.

Zaraz po przyjeździe wuj Rachel musiał się położyć na dwa dni, żeby odpocząć po trudach podróży i zamieszaniu, które ją poprzedziło. Rachel nie odstępowała go prawie na krok. Nie obchodziły jej żadne klejnoty świata i łajdacy żerujący na ludzkiej naiwności. Pocieszyła ją dopiero opinia lekarza, wezwanego do wuja, który stwierdził, że to tylko zmęczenie, a nie nawrót dolegliwości sercowych.

Siedziała z wujem w milczeniu, gdy potrzebował snu i spokoju. Rozmawiała, gdy miał więcej sił. Czasami mu czytała. Nie mogła się przy tym uwolnić od wspomnień o tamtym pokoju w Brukseli, gdzie nie tak dawno doglądała innego mężczyzny. Wydawało jej się, że zdarzyło się to całe wieki temu. Rzadko widywała Jonathana. Powoli pogodziła się z myślą, że to naprawdę początek końca. Domyślała się, że on nie wróci razem z nią do Chesbury Park. Wuj Richard poprosił, żeby została u niego na zawsze. Rachel wiedziała, że nie zaproponował tego z obowiązku i zgodziła się z radością. To niewiarygodne, ale wuj ją kochał. Nie przestał jej kochać mimo tego, co zrobiła. A co dziwniejsze, ona też go kochała. Każdego dnia czuła tę szczerą miłość, która niczego nie żądała od niej w zamian.

Wuj zaakceptował jej przyjaciółki, mimo że otwarcie wyznały mu, kim były. Nie tylko je zaakceptował, ale nawet polubił. Któregoś dnia przebudził się z popołudniowej

drzemki i powiedział:

- Rachel, nigdy nie przepadałem za twoim ojcem. Jednak dziwnym trafem udało mu się dobrze cię wychować. Niewiele dam zniżyłoby się do tego, by zaprzyjaźnić się z czterema kobietami z najbardziej pogardzanej warstwy społecznej, tylko dlatego, że jedna nich była kiedyś jej nianią. Jeszcze mniej czułoby, że ma u nich honorowy dług i posunęłoby się do takich czynów jak ty, by go spłacić. Twoje oddanie i odwaga przyniosły ci nagrodę. Te cztery kobiety obdarzyły cię prawdziwą przyjaźnią, jakiej ze świecą by szukać wśród osób z twojej sfery.

- Tak, wujku - przyznała Rachel. - Gdy znalazłam się bez środków do życia, wzięły mnie do siebie, mimo że straciły niemal wszystko, co odłożyły na przyszłość, by kiedyś móc się wycofać ze swej profesji.

- A panna Leavey cudownie gotuje - westchnął wuj.

Rachel powtarzała sobie, że czuje zadowolenie. Niezależnie od tego, czy odnajdą Nigela Crawleya i odzyskają choćby w części swoją własność, czy nie, ta przygoda skończyła się dla niej o wiele lepiej, niż na to zasłużyła. Cieszyła się też, że tak rzadko widuje Jonathana. Tak naprawdę to ucieszy się, gdy on wreszcie wyjedzie. Wtedy jej serce w końcu znajdzie ukojenie. Będzie mogła zacząć myśleć o szczęściu, a nie tylko o zadowoleniu.

Równocześnie myśl o rozstaniu z nim napełniała ją przerażeniem. Rachel powiedziała sobie, że jak tylko będzie to już miała za sobą, wszystko się ułoży. Bała się samej chwili rozstania.

W myślach układała, co mu powie, jak będzie wyglądać i się uśmiechać.

Tymczasem Geraldine, Bridget, Phyllis i Flossie przez dwa dni odwiedzały swoje przyjaciółki i zbierały informacje o duchownym Nicholasie Croydenie, który wraz siostrą wynajął pokoje w Sydney Place. Widywano go często, jak czaruje wdowy i niezamężne kobiety w średnim wieku, od których roiło się w Bath. Podobno codziennie rano pojawiał się

w pijalni wód, by pospacerować i napić się wody mineralnej. Chociaż trzeba przyznać, że żadna z owych przyjaciółek go tam nie widziała, ponieważ nie wolno im było przekraczać progu tego szacownego przybytku.

- Pójdziemy tam - oświadczyła Flossie, gdy drugiego wieczoru po przyjeździe zebrali się wszyscy na kolację w wynajętej przez barona jadalni. - To jak najbardziej stosowne miejsce dla pani Streat, wdowy po pułkowniku Streacie, jej szwagierki i siostry tejże, a także dla jej drogiej przyjaciółki panny Clover. Pójdziemy tam jutro z samego rana.

- Tak - zgodził Jonathan. Skłonił głowę przed Rachel i uśmiechnął się szeroko. -

Panno York, pozwoli pani, że będę jej tam towarzyszył? Oczywiście, za pozwoleniem pani wuja i pod czujnym okiem przyzwoitki. Panno Clover, jak widać, pani obecność jest wręcz niezbędna.

Rachel zorientowała się, że Jonathan doskonale się bawi. Uwielbiał takie zuchwałe eskapady. Najwyraźniej leżało to w jego charakterze. Rachel poczuła ukłucie żalu, że go wcześniej nie знаła. I że już go nie zobaczy, gdy wróci w końcu do swojego dawnego życia.

- Dziękuję, sir Jonathanie - odparła. - Będzie mi bardzo miło.

- Mnie również - wtrącił się wuj Richard. - Nie zamierzam stać z boku. Mam tylko nadzieję, że rzeczony dżentelmen nie zaśpi i pojawi się na porannym spacerze, bo inaczej doznamy zawodu.

- Wujku - zaczęła Rachel, ale uciszył ją gestem.

- Rachel, większość ludzi przyjeżdża do Bath dla jednego z dwóch powodów - powiedział. - Albo żyją ze skromnych środków, a w Bath jest taniej, albo zapadli na zdrowiu i chcą zażyć wód. Ja należę do tych ostatnich. Jutro rano pójdę do pijalni, żeby napić się leczniczej wody.

- My natomiast należymy do tych pierwszych - odezwała się nie - speszona Geraldine.

- Choć może tylko przejściowo. Niech no tylko dostanę tego drania w swoje ręce. Tak go ścisnę, że zacznie rzygać pieniędzmi.

- Gerry, wyrażaj się wykwintniej - cmoknęła Flossie. - Pamiętaj, jeśli łaska, kim jesteś.

Damy nie rzygają ani nie zmuszają innych do rzygania. Ścisniesz go tak, że odda nam nasze pieniądze. A ja ci w tym pomogę.

- Jednej rzeczy nie rozumiem - odezwała się Rachel, marszcząc brwi. - Dlaczego pojawił się w tak popularnym miejscu jak Bath, skoro wiele osób, które go zna, wróciło już do Anglii.

- Niewiele ryzykuje - odparł Jonathan. - Pamiętaj, że większość osób ofiarowała mu pieniądze na cele dobroczynne. Jeśli przypadkiem znów go spotkają, nie rzucą się na niego z furją, tylko uprzejmie go przywitają i zapewne znów przekażą jakąś kwotę. Choć być może zastanowi ich to, że zmienił imię i nazwisko. Zresztą mało prawdopodobne, że spotka kogoś znajomego. Osoby przebywające wiosną w Brukseli, to nie jest towarzystwo, które pojawia się w Bath. Przypuszczam, że następnym miejscem, do którego uda się Crawley, będzie kolejne uzdrowisko. Na przykład Harrogate, położone daleko na północ od Bath, więc zapewne przyciągające innych gości.

- No cóż, tym razem popełnił wielki błąd - rzuciła Phyllis. - Nie powinien był z nami zadzierać. Choć może nie udałoby się nam go odnaleźć, gdyby nie użył nazwiska tak podobnego do tego, pod którym go znałyśmy. Ciekawe, dlaczego tak zrobił? Ja na jego miejscu podawałabym się tym razem za Joe Bloggsa.

- Phyll, a kto ofiarowałby pieniądze na głodne sieroty jakiemuś Joe Bloggsowi? - spytała Geraldine. - Zastanów się tylko chwilę.

- Masz rację - przyznała Phyllis.

Wkrótce potem kolacja dobiegła końca. Wszyscy zdecydowali się położyć spać, jako

że następnego dnia mieli wstać bardzo wcześnie.

Gdy następnego dnia baron Weston pojawił się rano w pijalni wód, przywitało go kilkoro znajomych. Przybyłe z nim panie wzbudziły ogromne zainteresowanie, były bowiem młode. No, może z wyjątkiem Bridget. Choć i ona miała dobre dwadzieścia czy trzydzieści lat mniej niż zwykle bywalczyńie pijalni wód, które przychodziły tu spacerować, plotkować, no i czasem napić się wody mineralnej. Flossie i Phyllis wkrótce zaanektował emerytowany generał. Podawszy im ramiona prowadził je dokoła sali, wypytywał o ich doświadczenia z Brukseli i raczył je opowieściami o własnych przeżyciach. Z kolei Geraldine i Bridget zagarnęła wyniosła wdowa w wielkim kapeluszu z potężnym pióropuszem. Rozmawiała z nimi, energicznie machając lorgnon niczym ekstrawagancki dyrygent batutą. Rachel stanęła z wujem przy stoliku i gawędziła z podchodzącymi do nich coraz to nowymi kuracjuszami. Alleyne wdał się w rozmowę z parą w podeszłym wieku, która twierdziła, że zna Smithów z Northumberland. Usiłowali dociec, czy są to jacyś krewni sir Jonathana.

Nigel Crawley się nie pojawił. Alleyne nie mógł go co prawda rozpoznać, skoro nigdy go nie widział. Ale znał przecież rysopis tego mężczyzny. W niezbyt licznym gronie spacerującym w pijalni wód nietrudno byłoby zauważyć wysokiego, jasnowłosego, przystojnego dżentelmena w średnim wieku. Poczł pewne rozczarowanie, zwłaszcza że wyruszali tu dzisiaj w gorączkowym podnieceniu. Alleyne postanowił, że jak tylko odprowadzi panie z powrotem do hotelu, uda się do Sydney Place, by sprawdzić, czy ten człowiek i jego siostra nadal tam mieszkają.

Ranek był piękny i ciepły. Ci, którzy przyszli do pijalni wód, nie spieszyli się z powrotem do domów. Jakby mało im było rozmów i plotek, przystanęli na dziedzińcu pobliskiego kościoła i ciągnęli konwersację. Generał Sugden nie chciał się rozstać ze swoimi czarującymi towarzyszkami. Uraczył je więc jeszcze jedną opowieścią o bitwie, w której

wystąpił w roli zwycięskiego bohatera. Wdowa w kapeluszu wyraziła nadzieję, że któregoś popołudnia zobaczy panie w Upper Assembly Rooms i od razu zaprosiła je na wspólny podwieczorek. zaproponowała też, żeby przyprowadziły ze sobą pana barona z siostrzenicą i sir Jonathana Smitha. Westona i Rachel zatrzymała grupa znajomych. A para w podeszłym wieku, która znała Smithów w Northumberland nagle przypomniała sobie, że to właściwie byli Jonesowie. To zupełnie naturalna pomyłka z ich strony, bo przecież nazwiska Jones i Smith są dziwnie do siebie podobne. Chcieli się dowiedzieć, czy sir Jonathan zna może jakichś Jonesów z tamtej okolicy. W kościele chyba akurat skończyło się poranne nabożeństwo. Nieliczna grupa wiernych wysypała się na dziedziniec i przyłączyła się do gawędzących kuracjuszy z pijalni wód.

Na samym końcu z kościoła wyszedł wysoki, przystojny blondyn z jasnowłosą damą, wspartą na jego ramieniu. Towarzyszyły im cztery panie w nieokreślonym wieku, słuchające w nabożnym skupieniu tego, co mówił ów mężczyzna. Alleyne zerknął szybko na Rachel. Nawet jeśli miał jakieś wątpliwości, to znikły one, gdy zobaczył wyraz jej twarzy. Wbiła wzrok w dżentelmena, który właśnie wyszedł z kościoła, i pobladła. Alleyne spojrzał z powrotem na tamtego. W tej samej chwili ów człowiek zauważył Rachel i zapewne również Westona. Nieznajomy przestał się uśmiechać, pochylił głowę i dotknął kapelusza.

Wymamrotał do czterech dam coś, co zapewne było pożegnaniem i obrócił się na pięcie, by jak najszybciej się oddalić.

- Ja się tym zajmę - powiedział baron Weston.

Alleyne podszedł do Rachel i wsunął sobie jej rękę pod ramię. Było już jednak za późno, by załatwić sprawę dyskretnie. Phyllis zauważyła swoją ofiarę. Piskiem przerwała generałowi w pół zdania, pobiegła do Crawleya i skoczyła mu na plecy, ściskając go mocno za szyję.

- Mam cię wreszcie! - krzyknęła. - Ty łotrze, ty! Flossie ruszyła za nią.

- No, no, czy to nie wielebny Łotr Crawley? - parsknęła i kopnęła go w łydkę.

Geraldine miała ze sobą parasol. Nadbiegła, wystawiając go niczym szpadę i zaczęła dźgać Crawleya pod żebra.

- Gdzie nasze pieniądze? - zawołała. - Ty podły kundlu, ty... Coś z nimi zrobił? Gadaj natychmiast!

- Ojej, panie Crawley, upuścił pan kapelusz, a ktoś na niego nadepnął i kompletnie go zniszczył - westchnęła Bridget. Straciła mu z głowy modny, kosztowny kapelusz i zaczęła po nim skakać, aż cały się pogiął i pokrył kurzem.

Przez kilka chwil wszyscy obecni przyglądali się tej wyjątkowo niesmacznej scenie w ciszy i bezruchu. A potem nagle ożyli i odezwali się wszyscy naraz. Generał, wymachując potężną laską, ruszył na odsiecz swoim damom. Wdowa z Iorgnon przeżegnała się i rozejrzała dookoła w poszukiwaniu znajomych, z którymi mogłaby omówić ten najświeższy, wielce smakowity skandal. Dziedziniec kościoła nagle zaroił się ludźmi. Jasnowłosa dama zaczęła wzywać pomocy. Cztery nabożne panie krzyczały i błagały atakujące, by wypuściły drogiego Croydena. Rozwścieczone przyjaciółki nie zwróciły na nie żadnej uwagi. Alleyne, Rachel i baron podeszli bliżej. A ofiara napaści ruszyła do kontrataku.

- Nie żebym kogokolwiek potępiał. Jestem wszak duchownym, miłującym całą ludzkość tak jak nasz Pan - wychrypiał, usiłując jednocześnie parować ciosy zadawane parasolką i zrzucić Phyllis ze swych pleców. Wszyscy obecni zaczęli się nawzajem uciszać, żeby lepiej słyszeć. - Jednakże te cztery kobiety powinny się trzymać z daleka od tego szacownego miejsca. To niestosowne. Toż to ładacznice.

Laska generała okazała się skuteczniejsza niż parasol Geraldine. Uderzony nią Crawley skrzywił się i stęknął głośno z bólu.

- Młody człowieku, takie uwagi, kończą się pojedyńkiem o świcie - powiedział surowym tonem generał.

Tłum umilkł. Nikt nie chciał stracić choćby jednego wypowiedzianego słowa, żeby móc potem opowiadać o tym incydencie tym mieszkańcom Bath, których ominęło widowisko.

- To ladacznicze - upierał się Crawley. - Teraz niemal żałuję, że w Brukseli, gdzie prowadziły dom schadzek, zawarłem z nimi znajomość. Nasz Pan jednak uczył nas miłości, która ze swej natury ogarnia cały rodzaj ludzki.

Geraldine, Bridget, Phyllis i Flossie zawołały jednocześnie:

- Gdzie nasze pieniądze, ty łobuzie? Ty kłamliwa, zdradziecka ropucho! Ukradłeś nam pieniądze i już moja w tym głowa, byś oddał wszystko co do grosza. I ukradłeś klejnoty Rachel. Oczy ci wydrapię!

Rozległ się głośny gwar, pełen zdumienia i oburzenia. Sympatia tłumu skłaniała się ku przystojnemu duchownemu, a przeciwko czterem kobietom, które bynajmniej nie zachowywały się jak damy. Oczy Crawleya spoczęły na Rachel. Zalśniła w nich podłość.

Crawley wyprostował się, zrzucając sobie z pleców Phyllis i wskazał oskarżycielsko palcem.

- Ona jest jedną z nich - oznajmił. Tłum zaczął się nawzajem uciszać i wkrótce zamarł w milczeniu. Wszyscy spojrzeli na Rachel. - To zwykła dziwka.

Wprawdzie Rachel nie była żoną oficera czy wdową po nim, ale generał z czystej galanterii mógłby znów uderzyć Crawleya laską za tę zniewagę. Alleyne odsunął go jednak łokciem na bok. Nie zastanawiał się nad tym, że Crawley jest niewiele niższy od niego i zapewne waży tyle co on. Chwycił tamtego za klapy surduta i uniósł go do góry.

- Co proszę? - spytał przez zęby. Crawley czepiał się jego ręk i próbował stanąć na ziemi, jednak bezskutecznie. - Nie usłyszałem pańskiej wypowiedzi - rzucił Alleyne. - Czy



mógłby pan powtórzyć? O kim pan przed chwilą mówił?

- Nie rozumiem, co to pana... Alleyne potrząsnął nim jak kukłą.

- O kim pan przed chwilą mówił? - powtórzył.

W ciszy, która zapadła, dałoby się usłyszeć padającą na ziemię szpilkę.

- O Rachel - odparł Crawley.

- O kim? - Alleyne uniósł go wyżej.

- O panie York - wymamrotał Crawley.

- I co pan o niej powiedział?

- Nic - odparł Crawley piskliwie. Rozległ się szmer głosów, ale zaraz ucichł.

- Co pan powiedział?

- Powiedziałem, że jest jedną z nich - rzucił Crawley.

- To znaczy? - Alleyne tak blisko przysunął do niego twarz, że niemal stykali się nosami.

- Dziwką - odparł Crawley.

Alleyne uderzył go pięścią prosto w nos i z satysfakcją obserwował jak tryska krew.

Jasnowłosa dama głośno krzyknęła. Zawtórowały jej cztery kobiety, z którymi ona i jej brat wyszli z kościoła.

- Może zechciałby pan zweryfikować swoją opinię - odezwał się Alleyne, przyciągając Crawleya bliżej. - Kim jest panna York?

Crawley wymamrotał coś przez nos, niezdarnie machając rękami.

- Nie słyszę - warknął Alleyne.

- Damą - bąknął Crawley. - To dama.

- Ach, zatem pan skłamał - stwierdził Alleyne. - A pani Streat, pani Leavey, panna Ness i panna Clover?

- To również damy. - Krew kapłała Crawleyowi z podbródka na śnieżnobiały krawat. -

Każda jedna to dama.

- W takim razie bronię honoru wszystkich czterech - oświadczył Alleyne i cztery razy uderzył go pięściami. Dwukrotnie w nos, raz w szczękę i w końcu w podbródek. Crawley padł na ziemię, nawet nie próbując się bronić. Leżał na ziemi, wsparty na łokciu, osłaniał nos ręką i łkał głośno z bólu.

Większość widzów miała ochotę klaskać i wiwatować. Nieliczni, wśród nich damy, które towarzyszyły Crawleyowi, wyrażali oburzenie i wołali, by wezwać posterunkowego. Mało kto zwracał na nich uwagę. Zapewne dlatego, że nikt nie chciał stracić ani chwili z trwającego przedstawienia. Alleyne powoli ochłonął. Odwrócił głowę i spojrzał na stojącą nieopodal Rachel, przytuloną do Westona. Poblądła wpatrywała się w Alleyne'a szeroko otwartymi oczami.

- Dobra robota, sir Jonathanie - odezwał się Weston. - Na Boga, gdybym był ze dwadzieścia lat młodszy, sam bym go powalił na ziemię.

Widownia zwróciła się ku Alleyne'owi, czekając na następny ruch.

- Zdaje się, że w Bath ten mężczyzna uchodzi za Nicholasa Croydena - odezwał się Alleyne do tłumu, podnosząc głos, żeby każdy mógł usłyszeć. - W Brukseli przed bitwą pod Waterloo podawał się za Nigela Crawleya, a krótko potem podczas wizyty w Chesbury Park i jego okolicach, w Wiltshire, przedstawiał się jako Nathan Crawford. Gdziekolwiek się pojawia, udaje duchownego oddanego ludziom i dobroczynności. Wyprasza datki na nieistniejące dzieła charytatywne, a gdy nadarza się okazja, po prostu okrada swoje ofiary.

- Nie! - krzyknęła jasnowłosa dama. - To nieprawda! Mój brat to najlepszy, najwspanialszy człowiek pod słońcem.

- Hańba! - zawołała pod adresem Alleyne'a stojąca obok niej dama. - Oddałabym

drogiemu panu Croydenowi cały mój majątek, a nawet życie.

- Te damy zostały okradzione z oszczędności całego życia - powiedział Alleyne, wskazując cztery przyjaciółki, które najwyraźniej pysznie się bawiły. - Crawley obiecał zdeponować ich pieniądze w banku w Londynie.

- I tak właśnie zrobiłem - zaprotestował Crawley, szukając po kieszeniach chusteczki.

- Ulokowałem całą kwotę, co do grosza.

- I ukradł pieniądze panny York - ciągnął Alleyne.

- Oddała mi je na przechowanie - odparł Crawley. - A potem uciekła do tych dzi...

dam i naopowiadała im kłamstw. Przechowałem jej pieniądze, by je w najbliższym czasie zwrócić.

- Sir Jonathanie, to bardzo poważne oskarżenia - odezwał się generał. - Może należałoby posłać do banku w Londynie, w którym Croyden podobno złożył pieniądze i wszystko sprawdzić.

- Panna York powiedziała mu w zaufaniu, że jest spadkobierczynią cennej kolekcji biżuterii, która pozostaje w rękach jej wuja do jej dwudziestych piątych urodzin. Crawley zaraz po przybyciu do Anglii udał się do Chesbury Park, gdzie zyskał przychylność właściciela majątku, wyprosił od niego datek na cele dobroczynne, a potem wrócił pod osłoną nocy i ukradł klejnoty.

Rozległ się głośny szmer oburzenia.

- Jeśli w pokojach Crawleya znajdziemy choć jeden z tych klejnotów, to możemy uznać, że jest złodziejem, zgodnie z tym, co mówię - ciągnął Alleyne. - Zamierzam teraz niezwłocznie udać się z nim do jego kwatery.

Weston odchrząknął.

- Panna Crawford, Crawley czy Croyden ma na sobie broszkę z tej kolekcji -

powiedział.

Rzeczona dama szybko zakryła dłonią pierś.

- Nieprawda! - krzyknęła. - Pan kłamie, sir. Dostałam ją w prezencie od matki dwadzieścia lat temu.

- Sir Jonathanie, pozwoli pan, że pójdę razem z nim - odezwał się generał poważnym tonem. - Podczas przeszukania kwatery pana Croydena powinien być obecny bezstronny świadek, który potwierdzi to, co pan odkryje. Broszka nie może być traktowana jako niepodważalny dowód, bo roszczą sobie do niej prawa zarówno baron Weston, jak i panna Croyden. Ponieważ nie chcielibyśmy pochopnie nazwać żadnego z nich kłamcą, poproszę pana, Weston, o szczegółowy opis jak największej liczby klejnotów z kolekcji.

Scena znów się ożywiła, gdy panna Crawley usiłowała się niepostrzeżenie wymknąć, a cztery damy pod wodzą Geraldine rzuciły się na nią z wielką furią. Padały różne barwne epitety, co ciekawe, najbardziej złowrogie z ust panny Crawley. Widowisko nie trwało jednak długo. Baron Weston zasugerował, by wszyscy, którzy przekazali Crawleyowi pieniądze na cele dobroczynne, niezwłocznie zażądali ich zwrotu. A ci, którzy mieli zamiar je przekazać, by porządnie się nad tym zastanowili. Jedna z dam towarzyszących Crawleyom krzyknęła i zemdląła. Dwie następne zadeklarowały, że będą bronić tego drogiego, biednego dżentelmena własną pierś. Rachel podeszła bliżej i stanęła nad Crawleyem, który nadal leżał na ziemi, zapewne ze strachu, że ktoś go znów zaatakuje.

- Dziwne, że ze zła i nieszczęścia może jednak wyniknąć dobro - powiedziała. - To dzięki panu, wskutek pańskiej podłości poznałam prawdziwą przyjaźń, miłość i oddanie. Mam nadzieję, że również dla pana ze zła i nieszczęścia wyniknie dobro - odwróciła się do jego siostry. - I dla pani, panno Crawley, choć przyznaję, że szczerze w to wątpię.

Alleyne postawił Crawleya na nogi i poprowadził go przez dziedziniec kościoła do

furtki. Tam czekały już na nich powozy. Tłum rozstał się przed nimi. Panna Crawley i cztery pilnujące jej damy ruszyły ich śladem, a Weston i Rachel zaraz za nimi.

- Ostatnim razem tak się tu w Bath ubawiliśmy, gdy lady Freyja Bedwyn na środku pijalni wód oskarżyła markiza Hallmere, że napastuje bezbronne, niewinne kobiety - odezwał się jeden z dżentelmenów do swego towarzysza. - Pamięta pan?

Te słowa dziwnie głęboko zapadły Alleyne'owi w pamięć, choć na razie nie miał czasu się nad nimi zastanowić. Wpakował Crawleya do jednego z powozów. Sam wsiadł za nim i pomógł zająć miejsca Westonowi i generałowi. Tymczasem damy całą szóstką zajęły drugi powóz, by udać się do Sydney Place razem z nimi. Alleyne miał nadzieję, że nikt nie był na tyle przytomny, by wezwać posterunkowego.

Rachel nie mogła patrzeć na Nigela Crawleya. Czowała wstyd, gdy przypominała sobie, jak bardzo go kiedyś szanowała i podziwiała. Zgodziła się nawet zostać jego żoną. Jak mogła być tak naiwna? Okazał się nie tylko oszustem i złodziejem, ale także podłym tchórzem. Niemal dorównywał Jonathanowi wzrostem, a jednak tam, na dziedzińcu kościoła, nawet nie próbował podjąć walki. Powalony na ziemię, leżał i łkał. Teraz siedział skulony na krześle na środku pokoju tam, gdzie posadził go Jonathan. Rozglądał się nerwowo na boki, jakby szukał drogi ucieczki. Wątpliwe, czy by mu się udało czmychnąć. Geraldine, Flossie i Phyllis triumfalnie pełniły przy nim straż, podczas gdy Bridget miała na oku, siedzącą nieopodal brata, pannę Crawley. Dla Rachel jedyną pociechą było to, że nie tylko ona dała się nabrać tej parze. Chociaż, oczywiście, żadna z oszukanych kobiet nie była gotowa wyjść za tego łotra. W pokojach Crawleyów znaleziono duże sumy pieniędzy, a także kasetę z klejnotami, zabraną ze skrytki w bibliotece Chesbury Park. Wuj Richard zidentyfikował wszystkie precjoza, a generał Sugden potwierdził, że zgadzają się z opisem podanym wcześniej przez barona.

Od chwili przybycia do kwatery Crawleyów generał objął dowodzenie. Zdaniem Rachel doskonale się przy tym bawił. Pożyczywszy od właścicielki domu papier, pióro i atrament, zasiadł na środku salonu przy stole. Spisał po kolei wszystko, co znaleziono w kwaterze Crawleyów, poza ich osobistymi rzeczami i meblami.

Na liście zabrakło jednak kilku pozycji. Generał, zanim zasiadł do pisania, sumiennie odliczył kwotę wymienioną przez Flossie jako utracone oszczędności czterech przyjaciółek i wręczył ją jej z pięknym wojskowym ukłonem. Oddał też Rachel skromną sumę, którą powierzyła Crawleyowi na przechowanie, gdy wyjeżdżali z Brukseli. Zaoferował także baronowi zwrot datku, ofiarowanego przez niego na dobroczynność, jednak ten odmówił.

Dopiero wtedy generał Sugden poprosił właścicielkę domu, by wezwała posterunkowego. Rachel wcale nie miała pewności, że to, co zrobił generał, było zgodne z prawem. Nikt jednak nie protestował, a już najmniej Crawleyowie. Zdawała sobie zresztą jasno sprawę, że jeśli będą czekać na wymiar sprawiedliwości, jej przyjaciółki być może nigdy nie odzyskają swoich pieniędzy. Tak czy inaczej generał miał chyba na tyle duży autorytet, że mógłby potraktować z góry każdego sędziego, który odważyłby się zakwestionować jego postępowanie.

- Weston, za pańskim pozwoleniem klejnoty zostaną zatrzymane jako dowód - odezwał się generał, skończywszy pisać. - Pieniądze to kiepski dowód kradzieży, gdyż trudno jest ustalić ich pierwotnego właściciela. Jednak obecność tych klejnotów, zwłaszcza że jedną sztukę znaleziono na osobie podejrzanej w momencie zatrzymania, będzie niepodważalnym dowodem przeciwko tej parze łotrów i przestępców.

Patrząc na stos klejnotów w kasecie, Rachel poczuła mdłości. Doprawdy, musiały być warte fortunę. Uderzona nagłą myślą podeszła do Nigela Crawleya.

- Wcale nie miał pan zamiaru się ze mną ożenić, prawda? - spytała. - Znalazłby pan powód, żebyśmy poczekali ze ślubem aż do przyjazdu do Chesbury. Potrzebował mnie pan tylko do tego, żebym doprowadziła go do klejnotów.

Spojrzał na nią z nieukrywaniem szyderstwem. Jednak to panna Crawley odpowiedziała na jej pytanie.

- Ożenić się z tobą? - rzuciła z pogardliwym śmiechem. - Myślisz, że z tymi swoimi złotymi włosami i wielkimi, niewinnymi oczętami jesteś spełnieniem marzeń każdego mężczyzny? Nie ożeniłby się z tobą nawet gdybyś była ostatnią kobietą na ziemi. Zresztą i tak by nie mógł, bo jest już żonaty ze mną.

- Och, dzięki Bogu - Rachel przymknęła oczy.

Bridget mocno trzepnęła pannę czy raczej panią Crawley po ramieniu.

- Ty bądź cicho - rzuciła. - I odzywaj się dopiero, gdy cię o to poproszą.

Chwilę później drzwi do pokoju otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich sierżant Strickland.

- Dostałem wiadomość i oto jestem - powiedział, spoglądając na Geraldine. - To on, tak? - obrzucił Nigela Crawleya surowym spojrzeniem. - Siedzisz w obecności dam?

- Jakich dam? - wymamrotał Crawley.

- No, chłopcze, to nie było grzeczne ani mądre - odparł sierżant, podchodząc bliżej. - Wstawaj no.

- Idź pan do diabła - rzucił Crawley.

Sierżant chwycił go jedną ręką za kołnierz i dźwignął do góry niczym worek kartofli.

- Will, on nas nazwał ladacznkami tam na środku kościelnego dziedzińca -

powiedziała Geraldine. - Rachel też. I wtedy sir Jonathan rozkwaślił mu nos i powalił na ziemię. Omal żeśmy nie zemdlały z zachwytu. Sir Jonathan wydawał się przy tym piękny i straszny jak sam diabeł.

- To bardzo niemądre z twojej strony, chłopcze. - Sierżant spojrział na skulonego Nigela Crawleya i potrząsnął głową. - No dobra. Stawaj na baczność.

Crawley popatrzył na niego, nie rozumiejąc.

- Baaaczność!

Crawley stanął wyprostowany.

- Dobra, sir - sierżant zwrócił się do Jonathana. - Co mam z nim zrobić?

- Wezwaliśmy już posterunkowego - wyjaśnił Jonathan. - Panie odzyskały swoje pieniądze i odnaleźliśmy klejnoty Rachel.

- To świetnie, sir - odparł sierżant Strickland. - Popilnuję więźnia, dopóki nie zjawi się



posterunkowy, a pan i baron Weston zabiorą damy z powrotem do hotelu na śniadanie. Patrz prosto przed siebie, chłopcze.

- Och, Will, aż mi serce trzepocze w piersi - zawołała Geraldine. - Gdybym ci towarzyszyła podczas kampanii wojskowych, pewnie bym ciągle mdlała z zachwytu. Ostrzegam cię lojalnie, że chyba się w tobie zakocham.

- Jeśli dobrze zgaduję, pan był sierżantem, i to całkiem niezłym - powiedział generał z aprobatą. - Chciałbym mieć pana w swojej brygadzie, gdybym nią jeszcze dowodził. Niestety, pani Sugden dziesięć lat temu skłoniła mnie do przejścia na emeryturę.

Sierżant zgrabnie zsalutował.

- Mówi się trudno, sir - rzucił. - Zresztą i tak zwolniono mnie z wojska, bo straciłem oko w bitwie pod Waterloo. Na razie jestem kamerdynerem, dopóki, że tak powiem, nie stanę porządnie na nogi. Patrz prosto przed siebie, chłopcze i nie każ mi tego jeszcze raz powtarzać, jeśli nie chcesz, żebym wpadł w podły humor.

Nigel Crawley stał wyprostowany niczym na parady. Ze spuchniętym jak bania nosem wyglądał śmiesznie.

Rachel spojrzała na Jonathana. Zauważyła, że się jej przyglądał. W oczach miał śmiech i chyba czułość. W ciągu minionych kilku godzin zamienili ze sobą ledwie kilka słów. Ale walczył w obronie jej honoru. Rachel zawsze brzydziła się przemocą. Uważała, że konflikty należy rozstrzygać pokojowymi metodami. Nigdy jednak nie zapomni dreszczu satysfakcji, który ją przeszył, gdy Jonathan rozbił Nigelowi Crawleyowi nos za to, że tamten nazwał ją dziwką. Gdyby jeszcze do tej pory nie obdarzyła go uczuciem, na pewno zakochałaby się w nim po uszy właśnie w tamtej chwili. Ich znajomość jednak właśnie się kończyła. Teraz, gdy Crawley został aresztowany, a klejnoty odzyskane, nic już nie trzymało jej i jej wuja w Bath. Nic nie powstrzymało Jonathana przed wyjazdem do Londynu.

Został im chyba tylko dzisiejszy dzień. Uśmiechnęła się do niego i poczuła żal ściskający jej serce.

Wkrótce potem przybyło dwóch posterunkowych. Zapanował ogólny hałas i zamieszanie, gdy wszyscy naraz próbowali opowiedzieć co się stało. W końcu więźniowie zostali zabrani, by stanąć przed miejscowym sędzią. Towarzyszyli im generał Sugden, sierżant Strickland i cztery przyjaciółki. Bridget chciała zostać, jednak Rachel zauważyła, z jakim żalem ogląda się za tamtymi i gestem poleciła jej iść. Miała przecież przy sobie wuja, który mógł odegrać rolę przyzwoitki.

Baron znów był bardzo zmęczony. Zaraz po powrocie do hotelu zamówił śniadanie do swego pokoju. Rachel dotrzymywała mu towarzystwa, bojąc się choć na chwilę spuścić go z oka, dopóki się nie położy. Jonathan zostawił ich samych.

Rachel miała nadzieję, że w ciągu dnia nadarzy się chwila, by się pożegnać na osobności z Jonathanem. On z pewnością jutro wyjedzie. A może nawet dzisiaj po południu.

Nie chciała się żegnać z nim na oczach wszystkich. A jak zniesie pożegnanie sam na sam?

Wuj wkrótce po śniadaniu zasnął. Rachel zajęła się przeglądaniem stosu listów, które przesłano im z Chesbury.

Alleyne uświadomił sobie, że nic go już tu nie trzyma. Maskarada się skończyła.

Pościg za złoczyńcą też. Złodziej, który przysporzył Rachel tylu trosk, został schwytany.

Pieniądze, które Rachel uważała za swój dług honorowy, wróciły do jej przyjaciółek.

Alleyne nie mógł sobie przypisać zbyt wielu zasług w doprowadzeniu sprawy do tak szczęśliwego końca. Jednak czuł zadowolenie na myśl, że Rachel czeka świetlana przyszłość.

Będzie teraz panną Rachel York z Chesbury Park, dziedziczką znacznej fortuny. Zamieszka z wujem, który kochał ją jak córkę. Nic już nie trzymało Alleyne'a w Bath. Nie miał żadnej wymówki. Jutro wieczorem mógłby dotrzeć do Londynu. Może już pojutrze uda mu się

znaleźć kogoś, kto go rozpozna albo uzyskać jakieś informacje na swój temat. Perspektywa była ekscytująca i radosna. Jak tylko zobaczy jakąś znajomą twarz, na pewno ją pozna i wszystko sobie przypomni. Stał przy oknie w pokoju hotelowym i patrzył na ulicę, mokrą po przelotnym deszczu. Wcale nie czuł podekscytowania i radości, lecz jedynie ogromne przygnębienie. Już go nie potrzebowała. Miała swego wuja. Za jakiś czas wyjdzie za mąż za miłość swego życia, jak sama to ujęła. Na pewno ją znajdzie. Jakżeby nie? Bogaci kawalerowie zlecą się do niej jak pszczoły do miodu. Wybierze sobie, kogo tylko będzie chciała.

Postanowił, że wyjdzie na dwór, jak tylko ustanie deszcz. Jeśli Strickland wróci w miarę szybko, mogliby wyjechać z Bath już dzisiaj, zamiast czekać do jutra. Oczywiście, jeśli sierzant zechce mu towarzyszyć. Być może zdecyduje się zostać z Geraldine.

Alleyne zastanawiał się, gdzie powinien zacząć poszukiwania. Co mogło mu pomóc odnaleźć własną tożsamość? Po tamtym śnie z fontanną nie było żadnych nowych. Nie miał także kolejnych deja vu takich jak tamto podczas nurkowania. Przynajmniej tak mu się wydawało. A jednak... Czy coś mu się śniło ostatniej nocy? Coś się mu niedawno przyśniło albo przydarzyło. Tylko co takiego? Zmarszczył brwi w skupieniu. Chyba pamięć nie zaczęła mu płatać figli także odnośnie niedawnej przeszłości? Po kilku minutach odwrócił się od okna w rozdrażnieniu. Musi wyjść na dwór, nieważne, czy pada, czy nie. Oszaleje, jeśli tu zostanie. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść - zawołał, spodziewając się Stricklanda albo pokojówki.

To była Rachel. Zamknęła za sobą drzwi.

- Rachel - uśmiechnął się do niej. - Mam nadzieję, że wypadki dzisiejszego poranka nie nadwyrężyły serca twego wuja ani nie zdenerwowały cię ponad miarę. Chyba się cieszysz, że skradzione dobra zostały odzyskane, a ta złodziejska para przez dłuższy czas nie

będzie miała okazji nikogo oszukać.

- Tak - odparła, ale nie odwzajemniła jego uśmiechu. Była bardzo blada. Podeszła do niego, wyciągając obie ręce i w skupieniu patrzyła mu prosto w oczy. - Dziękuję ci, Alleyne. Dziękuję ci za wszystko.

Ujął jej ręce. Miał wrażenie, że nagły chłód, który poczuł, płynie z jej lodowatych dłoni. Ale zaczęło mu się też kręcić w głowie.

- Co? - spojrzał na nią zmieszany.

- Lordzie Alleyne Bedwynie - powiedziała cicho. Ścisnął ją mocniej za ręce jakby tonął.

- Co? - powtórzył.

- Czy to imię i nazwisko nie wydaje ci się znajome? - spytała. Nie. Nie rozpoznawał go umysłem. A jednak całe jego ciało reagowało nań w dziwny, przejmujący, bliski paniki sposób.

- Gdzieś ty usłyszała to imię? - Nawet nie zdawał sobie sprawy, że szepcze.

- Dostałam list od moich dawnych sąsiadów w Londynie - odparła. - Został tu przesłany z Chesbury, wraz z korespondencją wuja Richarda. Moja sąsiadka słyszała tylko o jednym zaginionym dżentelmenie. Lord Alleyne Bedwyn zginął w bitwie pod Waterloo, choć jego ciała nigdy nie odnaleziono. Dowiedziała się o tym, ponieważ dziwnym trafem znalazła się w pobliżu kościoła St. George na Hanover Square, gdy odprawiano nabożeństwo żałobne, które książę Bewcastle zamówił za duszę swego brata. Stała na ulicy i przyglądała się rodzinie opuszczającej kościół.

Alleyne Bedwyn. Bedwyn. Bedwyn!

„Ostatnim razem tak się tu w Bath ubawiliśmy, gdy lady Freyja Bedwyn na środku pijalni wód oskarżyła markiza Hallmere, że napastuje bezbronne, niewinne kobiety”.

Właśnie to nie dawało mu spokoju kilka minut temu... Freyja Bedwyn.

- Czy to ty? - spytała Rachel. Spojrzał jej w oczy niewidzącym wzrokiem. Wiedział, że to on. Był Alleyne'em Bedwynem. Ale czuł to tylko instynktownie. Umysł nadal nie reagował na to imię.

- Tak - odparł. - Nazywam się Alleyne Bedwyn.

- Alleyne - łzy napłynęły jej do oczu. Zagryzła górną wargę. - To imię pasuje do ciebie o wiele bardziej niż Jonathan.

Alleyne Bedwyn. Freyja Bedwyn. Księżę Bewcastle. Jego brat. To były tylko słowa kołaczące mu się w głowie, przejmujące go paniką.

- Musisz natychmiast napisać do księcia Bewcastle'a - powiedziała z promiennym uśmiechem. - Jon... Alleynie, wyobraź sobie, jaki będzie szczęśliwy. Pobiegnę na dół po pióro i papier. Musisz...

- Nie! - rzucił szorstko i puścił jej rękę. Odszedł od niej i stanął przy łóżku, przestawiając z miejsca na miejsce świecznik na stoliku obok.

- Trzeba go zawiadomić - nalegała. - Pozwól mi...

- Nie! - odwrócił się i spiorunował ją wzrokiem. - Zostaw mnie w spokoju. Wynoś się stąd!

Patrzyła na niego zdumiona.

- Precz! - wskazał drzwi. - Zostaw mnie. - Odwróciła się na pięcie i pobiegła do drzwi.

Nie otworzyła ich jednak. Stała chwilę ze spuszczoną głową.

- Alleynie, nie zamykaj się przede mną - poprosiła. - Proszę, nie rób tego.

Spojrzała na niego przez ramię. Oczy miała szeroko otwarte i pełne bólu. Wiedział, że kompletnie się załamał, jeśli Rachel teraz stąd wyjdzie. Na oślep wyciągnął do niej rękę. Padli sobie w ramiona, objęli się i mocno przytulili.

- Nie zostawiaj mnie - szepnął. - Nie zostawiaj.

- Nie zostawię - obiecała. - Nigdy cię nie opuszczę.

Całował ją i tulił do siebie, jakby nie mieli się już nigdy rozstać. Potem ukrył twarz na jej ramieniu i się rozplakał. Przerażony i zawstydzony usiłował się od niej odsunąć, ale objęła go mocno i szeptała ciepłe, kojące słowa. Szlochał głośno, jakby mu pękało serce, dopóki nie zabrakło mu łez.

- Teraz już wiesz, jakim mazgajem jest lord Alleyne Bedwyn - odezwał się drżącym głosem. Odwrócił twarz, by obetrzeć ją chusteczką.

- Nie jest mazgajem - odparła. - Znam go od dawna, nie wiedziałam tylko jak się nazywa. To dżentelmen, który jest mi drogi, którego podziwiam i szanuję. I darzę go głębokim afektem.

Schował chusteczkę do kieszeni i przegarnął palcami włosy.

- Cały czas miałem nadzieję, że jeśli tylko pojawi się jedno drobne wspomnienie, cała reszta natychmiast napłynie z powrotem szeroką falą - powiedział. - Właśnie ziściły się moje najgorsze obawy. Dziś rano na dziedzińcu kościoła ktoś wspomniał lady Freyję Bedwyn i coś mnie tknęło, choć wtedy nie zwróciłem na to uwagi. Gdy powiedziałaś: „lord Alleyne Bedwyn”, od razu wiedziałem, że to ja. Tak samo instynktownie wiedziałem, że znam księcia Bewcastle'a. Ale zasłona w mojej pamięci nie opadła. Freyja... Kto to? Jest ze mną spokrewniona, ale jak? Teraz wiem, kim jestem. Wiem, że mam przynajmniej jednego starszego brata. Jednak wiem to tylko instynktownie. Mój umysł nie rozpoznaje tych faktów. Ja tego po prostu nie pamiętam.

Był jej wdzięczny, że nic nie mówiła, że nie próbowała słowami dodać mu otuchy i nadziei. Stała przy nim z głową opartą na jego ramieniu i ścisła go za rękę. Położyli się na łóżku i leżeli długi czas. Otoczył ją ramieniem. Drugą ręką zasłonił sobie oczy. Przewróciła

się na bok i wtuliła w niego, obejmując go w pasie. Czuł nieziemskie ukojenie. Rachel. Jego ukochana. Jedyna kotwica we wzburzonych, kipiących odmętach oceanu.

- Zapewne niewielu ludzi może powiedzieć, że przeżyło własny pogrzeb - rzucił. -

Tobie to zawdzięczam. - Pocałował ją w czubek głowy.

Przytuliła się do niego mocniej. I wtedy znów zobaczył fontannę. Tym razem na tle wielkiej rezydencji, która był dziwną, ale miłą dla oka mieszanką stylów architektonicznych, obejmującą kilka stuleci.

- Dom - powiedział. - To jest mój dom.

Nie pamiętał, jak się nazywa, ale widział go. Opisał go Rachel z zewnątrz. Nie mógł sobie przypomnieć, jak on wygląda wewnątrz.

- To wszystko wróci - szepnęła. - Zobaczysz, Alleyne. Alleyne. Podoba mi się twoje imię.

- Wszyscy mamy dziwne imiona - zmarszczył brwi, a potem pokiwał głową. - Zdaje się, że to matka nas tak dziwacznie nazwała. Przypuszczam, że nie chciała nadawać nam nudnych imion takich, jak George, Charles, William czy... Jonathan. Rachel pocałowała go w ucho.

Gdy wszyscy schodzili się na kolację, panował nastrój pełen radosnego podniecenia.

Nigela Crawleya i jego żonę czekał proces. Cztery przyjaciółki z zapalem wspominały wszystkie szczegóły porannych wydarzeń. Nawet sierżant Strickland znalazł pretekst, żeby znaleźć się z nimi w jadalni. Stał z namaszczeniem za krzesłem Alleyne'a i od czasu do czasu, gdy nie mógł się powstrzymać, wtrącał przydługie komentarze. Przyjaciółki cieszyły się, że odzyskały swoje pieniądze. Przyznały, że wcale się tego nie spodziewały. Ogłosiły więc uroczyście, że wycofują się ze swojej profesji. Z tej okazji wzniesiono toast. Mogły już pomyśleć o spełnieniu swego marzenia. Zaczęły się zastanawiać, w którym regionie Anglii

chciałyby osiąść. Musiały tam pojechać i poszukać domu odpowiedniego na pensjonat. Zaraz następnego dnia wyjadą do Londynu, żeby załatwić ostatnie sprawy i poczynić nowe plany. Rachel pozwoliła im mówić, dopóki nie zabrakło im tematu. Potem spojrzała na obecnych przy stole i przycisnęła dłoń do serca.

- Mam wam coś do powiedzenia - oznajmiła.

Nawet wuj Richard jeszcze nie wiedział. Przespał całe popołudnie. Ona przeleżała całe popołudnie razem z Alleynem. I w końcu zasnęła. Co dziwniejsze, on też.

- Co nam powiesz, Rachel? - odezwała się Bridget. - Myśmy chyba mówiły aż za dużo, prawda? Musisz jednak przyznać, że to był naprawdę ekscytujący dzień.

- O co chodzi, Rache? - spytała Geraldine.

- Chciałabym wam kogoś przedstawić - powiedziała Rachel. - Kogoś, kogo od dawna pragnęliście poznać. - Roześmiała się. Alleyne wpatrywał się w nią ożywionym, niemal gorączkowym spojrzeniem. Rachel wskazała go dłonią.

- Pozwólcie, że przedstawię wam lorda Alleyne'a Bedwyna - oznajmiła. - Brata księcia Bewcastle'a.

Flossie gwizdnęła przeciągle.

- Niech Bóg pana błogosławi, sir - rzucił sierżant Strickland. - Zawsze wiedziałem, że pan jest prawdziwym jaśnie panem.

- Bewcastle? - powtórzył wuj Richard i przyjrzał się uważnie Alleyne'owi. - Z Lindsey Hall w Hampshire? Ależ to całkiem niedaleko od Chesbury. Powinienem był zauważyć podobieństwo.

- Boże, zmiłuj się - westchnęła Phyllis. - Jem kolację z bratem prawdziwego księcia. Bridge, bądź tak miła i podtrzymaj mnie, jeśli zemdleję.

- Mówiłam wam, że to arystokratyczny nos - przypomniała Geraldine. - No, mówiłam



czy nie?

- Oczywiście, że tak, Gerry - odparła Flossie. - I miałaś rację.

- Wujku, ty znasz księcia Bewcastle'a i jego rodzinę? - spytała Rachel.

- Znam księcia - powiedział wuj. - Niestety, nie zostałem przedstawiony reszcie rodziny. Zdaje się, że jest tam kilkoro braci i sióstr, ale nie wiem, jak się nazywają. To jednak będzie pewnie mógł nam powiedzieć sam lord Alleyne.

- Sir, nie odzyskałem jeszcze pamięci w pełni, jedynie drobne fragmenty.

Zapadła krótka cisza. Każdy starał się przyjąć ten dramatyczny fakt do wiadomości.

Potem wszyscy odezwali się jednocześnie. Zadawali pytania, rzucali sugestie, pocieszali go i chcieli się dowiedzieć, jak odkrył, kim jest, skoro niewiele pamięta. Flossie zaproponowała następny toast.

- Za lorda Alleyne'a Bedwyna - powiedzieli wszyscy zgodnym chórem.

Geraldine spytała, kiedy wyjedzie do Lindsey Hall.

- Następnego ranka - odpowiedział.

To zwarzyło nastrój. Zapadła cisza. Rachel rozejrzała się wokół i zauważyła, że wszyscy przestali się uśmiechać. Zrozumiała, że chyba nie tylko ona czuje straszliwe przygnębienie.

- Będzie mi brakowało kuchni w Chesbury - powiedziała Phyllis. - I gotowania dla jego lordowskiej mości. Byłam tam szczęśliwa, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. To pewne jak dwa razy dwa jest cztery.

- Nie dałam panu Drummondowi odpowiedzi. - Flossie westchnęła. - Bałam się, bo on jest dżentelmenem, a ja... wiadomo kim. Ale on wie o mnie wszystko i powiedział, że moja przeszłość nic a nic go nie obchodzi. Bardzo za nim tęsknię.

- Nie dokończyłam przeglądu służby - odezwała się Geraldine. - I inwentury.

Mogłabym być niezłą ochmistrzą, gdybym tylko potrafiła pisać i czytać.

- Ja mogłabym cię tego nauczyć, Gerry - powiedziała Bridget. - Ale jeszcze nie teraz.

Jedźcie do Londynu beze mnie. Ja muszę zostać z Rachel. Będzie potrzebowała towarzystwa i przyzwoitki. Z radością wrócę z nią na jakiś czas do Chesbury. Zostawiłam tam wielu przyjaciół.

Geraldine, Flossie i Phyllis spojrzały na nią z zazdrością. Wuj Richard odchrząknął.

- Rozpaczliwie potrzebuję kucharki i ochmistrzyni - oświadczył. - Obawiam się też, że jeśli mój rządca nie znajdzie sobie wkrótce żony, samotność każe mu porzucić pracę u mnie, a bardzo bym tego nie chciał. To dobry człowiek. Rachel stanowczo będzie potrzebować przyzwoitki. Oczywiście nie chciałbym nikomu burzyć planów, ale jeśli tutaj zebrani mogliby je odłożyć na później albo wręcz definitywnie zmienić, to proponuję, żebyśmy wszyscy razem wrócili do Chesbury.

Rozległ się głośny gwar. Przyjaciółki mówiły jednocześnie. Trudno było odróżnić pojedyncze wypowiedzi. W końcu wszystkie razem podsumowała Phyllis, która wstała z miejsca, podeszła do szczytu stołu i objąwszy barona za szyję, pocałowała go w policzek. Tym razem ogólny śmiech był o wiele serdeczniejszy niż wcześniej.

- Pani Leavey, myślę, że z uwagi na moich sąsiadów powinniśmy uśmiercić pułkownika Leaveya w Paryżu - powiedział baron Weston. - Najlepiej żeby zginął, nie pozostawiając zbyt wiele pieniędzy. To panią zmusi do zatrudnienia się u mnie jako kucharka.

- Będziemy musieli też wymyślić jakąś historyjkę dla Rachel - odezwała się

Geraldine. - Chyba powiemy, że ten bałamutny potwór, jej mąż, ją porzucił. A może ktoś zna jakiś inny sposób na to, by odzyskała wolność i mogła przyjmować zalotników? Jakies sugestie?

Wszystkich na powrót ogarnęła melancholia. Nikt nie miał żadnego rozsądnego pomysłu. A jutro Alleyne wyjedzie do Lindsey Hall.

Alleyne nie pożegnał się z Rachel na osobności. Mógłby to zrobić, gdyby wczesnym rankiem zapukał do jej drzwi. Wprawdzie Rachel dzieliła pokój z Bridget, ale przyzwoitka na pewno taktownie zostawiłaby ich samych.

Zamiast tego wcześniej niż zwykle zjadł śniadanie, a potem spacerował na zewnątrz, dopóki nie zobaczył, jak na powozy z Chesbury ładowano bagaż. Ubiegłego wieczoru Weston postanowił niezwłocznie wracać do swej rezydencji. Alleyne domyślał się, że baron nie posiada się z radości, zabierając ze sobą siostrzenicę i resztę dam. Chesbury będzie od tej pory o wiele radośniejszym miejscem niż miesiąc temu. Pomyślał, że z jego szaleńczego planu wynikło coś dobrego. On sam powinien jednak wyciągnąć właściwe wnioski z ostatnich wydarzeń. Kłamstwa i oszustwo nie są drogą do celu.

Postanowił, że opuści Bath dopiero po odjeździe towarzystwa do Chesbury.

Zastanawiał się, czy z jego strony nie jest to znów gra na zwłokę. Ale przecież wyruszy w drogę jeszcze przed południem. Do Lindsey Hall w Hampshire. Ostatniego wieczoru przypomniał sobie imponujący, udekorowany bronią i tarczami herbowymi, średniowieczny hol, z galerią dla minstreli ukrytą za drewnianym, misternie rzeźbionym ekranem i ogromnym dębowym stołem pośrodku.

Geraldine wyszła z hotelu pierwsza. Towarzyszył jej Strickland, niosąc jej sakwojaż.

On starał się zachować stoicki spokój, ona wyglądała niczym tragiczna heroina z włoskiej opery. Potem na dziedzińcu pojawiła się reszta przyjaciółek, a na końcu Rachel i Weston.

Alleyne pożałował, że nie poszedł do pijalni wód, albo jeszcze lepiej na długi spacer.

Pożegnania są okropne. Wszyscy ich nienawidzą. To po prostu zło konieczne.

Weston uścisnął mu rękę, życzył dobrej podróży i miłego dnia, po czym z pomocą swego lokaja wsiadł do powozu. Bridget objęła go, poklepała serdecznie po ramieniu i

wsiadła w ślad za baronem. Potem przyszyła kolej na Flossie i Phyllis, roniącą rzęsiste łzy.

Geraldine stała skulona w towarzystwie sierżanta przy drugim powozie. Wsiadła dopiero wtedy, gdy znikły w nim jej dwie przyjaciółki.

Została już tylko Rachel. Nie uściskała go. Ale też nie wsiadła bez słowa za wujem i Bridget. Stała blada i poważna, dopóki na nią nie spojrział. Pożałował, że nie pożegnał się z nią wcześniej. Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się promiennie. Podeszła bliżej i wyciągnęła do niego obie ręce.

- Do widzenia, Alleynie - powiedziała. - Szczęśliwej podróży. Nie obawiaj się.

Wszystko ci się przypomni, jak tylko przyjedziesz do Lindsey Hall, zobaczysz księcia Bewcastle'a i resztę swojej rodziny. Trzeba na to po prostu trochę czasu. Do widzenia.

Uprzejma, miła, przygotowana zawczasu przemowa.

Ujął jej ręce, pochylił się nad nimi i po kolei uniósł do ust. Nie mógł zrozumieć, dlaczego pozwala jej tak po prostu odjechać. Ach tak, nie mógł jej nic ofiarować, być może nawet swojej skromnej osoby. Po dwudziestu dwóch latach pełnego wyrzeczeń życia, Rachel zasługiwała na to, by poczuć się panną York z Chesbury i zażyć swobody. I przebierać w kandydatach na męża. To zupełnie naturalne, że w takiej chwili czuli wzruszenie, że emocje dławili ich za gardło. Wiele razem przeszli w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Wiele dla siebie nawzajem znaczyli.

- Rachel, bądź szczęśliwa - powiedział. - Pragnę tylko twego szczęścia.

Puścił jej rękę i pomógł wsiąść do powozu. Poczekał, aż Rachel ułoży suknię, zatrzasnął drzwiczki i cofnął się o krok, żeby pojazd mógł ruszyć. Uniósł dłoń na pożegnanie i się uśmiechnął.

Dwa powozy i bryka z bagażem z wielkim hałasem wytoczyły się na ulicę, skręciły w Gay Street i znikły za rogiem. Przyjaciółki machały energicznie. Rachel odchyliła się na

oparcie siedzenia i nawet nie wyrzała na zewnątrz. Geraldine otworzyła okno w drugim powozie i machała chusteczką, patrząc na Stricklanda, a łzy spływały jej po twarzy.

Niech to diabli, sam miał ochotę się rozplakać. Nie odwrócił głowy, by spojrzeć na swego lokaja. Kochał ją, do diabła. Kochał.

- Sir, skończę pakować pańskie rzeczy - odezwał się sierżant, wzdychając żałośnie. -

Nie można ich nie kochać, prawda? Mają złote serca. Nieważne, co jeszcze do niedawna robiły. Nie żebym zwracał na to uwagę. Nigdy nie patrzyłem z góry na kobiety lekkich obyczajów. Nie tak jak niektórzy goście, mimo że korzystali z ich usług. One muszą zarabiać na chleb tak samo jak wszyscy inni ludzie. I trudno powiedzieć, czy zabijanie za żołd to lepsza praca. Powóz będzie gotowy za godzinę, dobrze?

- Dobrze - odparł Alleyne. - Albo nie, dopiero w południe. Muszę się trochę przejść i odetchnąć świeżym powietrzem. Najlepiej niech pan poczeka do mojego powrotu. Nie spieszy się nam, prawda?

Nawet nie wszedł z powrotem do hotelu. Ruszył Milsom Street w kierunku centrum miasta. Przeciął dziedziniec przykościelny, minął kościół i dotarł do rzeki. Stał jakiś czas nad wodą i wpatrywał się w fale. Potem minął groblę i poszedł wzdłuż rzeki aż do mostu Pulteney. Przeszedł przez most i ruszył szybkim krokiem Great Pulteney Street w kierunku parku Sydney. Z początku myślał tylko o Rachel. Zastanawiał się, gdzie ona w tej chwili jest, czy rozmawia wesoło z wujem i Bridget, czy też może tęskni i sercem jest przy nim.

A potem, niespodziewanie, przypomniał sobie Morgan. Swoją siostrę. Tę kobietę, która czekała na niego przy bramie Namur. Gdy wyjeżdżał z Brukseli opatrywała tam rannych żołnierzy. Chciał jak najszybciej do niej wrócić i zawieźć ją z powrotem do Anglii. Z początku nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego znalazła się w Brukseli. I dlaczego odjechał, zamiast od razu zabrać ją do domu. A potem nagle wiedział, że Morgan ma

osiemnaście lat i tej wiosny debiutowała w Londynie. Pojechała do Brukseli z przyjaciółką i jej rodzicami. Alleyne nie pamiętał, jak się nazywali. Zdaje się, że ojciec był hrabią. Potem przez mgnienie ujrzał twarz Morgan. Zatrzymał się, zamknął oczy i zobaczył ją wyraźnie.

Owalna, opalona twarz, o ciemnych oczach i włosach jak jego własne. Piękna twarz. Morgan była z nich wszystkich najładniejsza. Ona jedyna z rodzeństwa nie odziedziczyła nosa Bedwynów. Ilu ich było? Freyja była chyba jego siostrą. Co też o niej powiedziano wczoraj rano na dziedzińcu kościoła?

„Ostatnim razem tak się tu w Bath ubawiliśmy, gdy lady Freyja Bedwyn na środku pijalni wód oskarżyła markiza Hallmere'a, że napastuje bezbronne, niewinne kobiety”.

Freyja Bedwyn. Markiz Hallmere... Hallmere... Przypomniawszy sobie, że są małżeństwem. Nie tak dawno był na ich ślubie. Chyba zeszłego lata. A Freyja publicznie, na środku pijalni wód oskarżyła Hallmere'a, że napastuje bezbronne, niewinne kobiety?

Nieoczekiwanie Alleyne głośno zachichotał. O tak, to do Freyji bardzo podobne.

Kochana Free. Niewysoka, zapalczywa, gotowa użyć ostrego języka i pięści przy najłżejszej prowokacji. Nagle wiedział, jak wygląda. Dziwnie atrakcyjna, mimo rozwichrzonych jasnych loków, kontrastowo ciemnych brwi i wydatnego nosa.

Alleyne przesiedział w parku Sydney wiele godzin w zamyśleniu, obserwując wiewiórki. Od czasu do czasu kiwał głową mijającym go spacerowiczom. Powoli składał ze sobą oderwane fragmenty swego dotychczasowego życia. Wielu wspomnień jeszcze brakowało. Jednak panika powoli zaczynała go opuszczać. Jeśli przypomniawszy sobie różne fakty, to najwyraźniej nie utracił pamięci bezpowrotnie. Reszta wspomnień - być może wszystkie - z czasem wróci. Czy tam, w mrokach nieodzyskanej jeszcze pamięci, czekała na niego żona? Gdzie teraz jest Rachel?

Gdy Alleyne w końcu wstał z ławki, by wrócić do hotelu, zdziwił się, że słońce stoi

tak nisko. Było już chyba późne popołudnie. Jak szybko minął cały dzień.

Pomyślał, że teraz już za późno, by wyruszać do Hampshire. Poczekaj do jutra.

Właściwie nie było pośpiechu. Przecież rodzina uważała go za zmarłego. W Londynie odprawiono nawet za niego nabożeństwo żałobne. Jeden dzień więcej nie ma dla nich większego znaczenia. Alleyne nie mógł znieść myśli, że stanie przed rodzeństwem i nie zdoła wszystkich rozpoznać. Przypomniawszy sobie, jak wczoraj po południu leżał na łóżku z przytuloną do niego Rachel, i powoli oswajał się z myślą, że jest lordem Alleyne'em Bedwynem. Tęsknota za nią przejmowała go niemal fizycznym bólem. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak samotny jak w tej chwili.

Rachel od pięciu dni przebywała w Chesbury Park. W domu. Pomyślała, że to chyba najcudowniejsze słowo w ludzkim języku. Tu było jej miejsce. Jeśli zechce, może tu mieszkać do końca życia. Nawet gdy umrze wuj Richard, ten dom będzie należał do niej.

Rachel miała nadzieję, że wuj pożyje jeszcze bardzo długo. Po powrocie z Bath był bardzo zmęczony, jednak doszedł do siebie szybciej, niż się spodziewała. Zdała sobie sprawę, że wuj jest po prostu szczęśliwy. Kochał ją. Dom wokół niego nagle na powrót ożył.

Geraldine została oficjalnie mianowana ochmistrzynią i z ogromnym zapałem rzuciła się w wir obowiązków. Wyglądało na to, że stała się ulubienicą całej służby, a zwłaszcza mężczyzn. Bridget już zaczęła ją uczyć czytać. Phyllis z radością oddawała się gotowaniu. Wkrótce wiedziała już, jakie są ulubione potrawy wuja Richarda i często je dla niego gotowała. Drummond ogłosił swoje zaręczyny z Flossie i zyskał błogosławieństwo swego chlebodawcy. Bridget za osobistą ambicję uznała wypielenie i uporządkowanie klombów przed domem, które po jej zabiegach przepięknie kwitły, mimo że zbliżał się już koniec sierpnia.

Rachel nieustannie szukała sobie zajęcia. Czytała, cerowała i haftowała. Często



dotrzymywała wujowi towarzystwa. Jedno deszczowe popołudnie spędziła sama w galerii portretów. Jeszcze raz przyjrzała się podobiznom swoich przodków ze strony matki i przypomniała sobie pokrewieństwo, jakie ją z nimi łączy. Przez dłuższy czas wpatrywała się w twarz i postać swej matki jako dziecka. W słoneczne dni dużo spacerowała, czasem z Bridget i Flossie, czasem sama. Dwa razy wybrała się w towarzystwie stajennego na konną przejażdżkę. Była z siebie dumna, że potrafi się utrzymać na koniu. A raz nawet odważyła się wsiąść do łódki, choć oczywiście nie dała rady wiosłować.

Wuj pragnął jak najszybciej odzyskać siły, by móc następnej wiosny zabrać ją do Londynu. Tam przedstawi ją królowej i wyprawi bal, by oficjalnie wprowadzić Rachel w towarzystwo. Potem jego siostrzenica będzie się mogła bawić przez cały sezon. Rachel bardzo cieszyła się tą perspektywą, choć uważała, że jest już właściwie trochę za stara na debiut w towarzystwie. Ale nie zamierzała ukrywać się na odludziu, by leczyć złamane serce. To zresztą takie idiotyczne teatralne określenie. Jej serce nie zostało przecież złamane. Po prostu dniem i nocą czuła niesłabnący ból. Spała w tej samej sypialni co poprzednio i tamten pokój, który zajmował Alleyne, wydawał się jej teraz bardzo pusty i cichy. Nie wchodziła tam, a jednak czuła tę pustkę na odległość. Żałowała, że nie ma tam drzwi, które mogłaby zamknąć i odgrodzić się nimi od wspomnień.

Myślała o Alleynie nieustannie. Próbowwała sobie wyobrazić, jak wyglądał jego powrót do Lindsey Hall. Jak powitał go książę Bewcastle? Czy byli obecni także inni członkowie rodziny? Czy Alleyne przypomniał ich sobie, jak tylko ich zobaczył? Czy nadal z trudem przedzierał się przez gąszcz niepamięci? Czy w Lindsey Hall czekała na niego żona?

Rachel przypuszczała, że prędzej czy później czegoś się o nim dowie. Przecież obracali się teraz w tych samych kręgach towarzyskich. Możliwe, że nawet się spotkają. Być może już najbliższej wiosny, jeśli on też przyjedzie na sezon do Londynu. Miała nadzieję, że

do tego nie dojdzie. Może za dwa, trzy lata będzie w stanie spojrzeć na niego beznamiętnie i czuć jedynie zdawkową uprzejmość i lekką sympatię. Jednak jeszcze nie najbliższej wiosny. To o wiele za wcześnie.

Spacerowała nad jeziorem w cieniu drzew. Dzień był bardzo gorący, więc przysiadła na chwilę na ławce, by ochłonać. Wdychała świeży, intensywny zapach roślin i napawała oczy pięknem tego zakątka parku, mrużąc oczy przed blaskiem słońca, połyskującym na powierzchni jeziora. Z tego miejsca widziała szczyt dachu altany na wyspie.

Ten widok nappełnił ją smutkiem i zmącił pogodny nastrój. Ruszyła z powrotem do domu, idąc na skróty przez trawnik. W pół drogi przystanęła, osłaniając oczy przed słońcem i spojrzała na dom. Drzwi stały otworem. Na szczycie schodów ktoś stał. Chyba raczej nie jej wuj. Zatem jakiś gość? Od powrotu z Bath nikt ich jeszcze nie odwiedził, nie musieli więc dotąd wyjaśniać sąsiadom, dlaczego zmieniła nazwisko i znów jest panną. Rachel nagle opuściła rękę. Ogarnęło ją ogromne wzruszenie. Krzyknęła ze szczęścia, uniosła rąbek sukni i pobiegła w stronę domu.

- Alleynie! - zawołała. Nawet się nie zastanawiała, dlaczego tu jest. Czuła nieopisaną radość.

Spotkali się w pół drogi. Chwycił ją mocno w ramiona i dwa razy obrócił się z nią w koło. Potem postawił ją na ziemi i odsunął się nieco. Na twarzy miał promienny uśmiech, a w oczach figlarne błyski.

- Czy wolno mi mieć nadzieję, że cieszysz się na mój widok? - spytał. - Och, Rachel, twój widok to balsam dla zmęczonych oczu. Powinienem chyba powiedzieć coś piękniejszego, zamiast tego starego banału. Stęskniłem się za tobą.

Ponad jego ramieniem zauważyła wuja stojącego w oknie swego pokoju. Patrzył na nich z uśmiechem. Rachel cofnęła się o krok. Alleyne obejrzał się przez ramię, a potem znów

spojrzał jej w oczy.

- Nie było cię w domu, gdy przyjechałem - powiedział. - Zamieniłem więc parę słów z twoim wujem.

- Co ty tu robisz? - spytała. Teraz, gdy minął pierwszy, spontaniczny wybuch radości, Rachel zaczęła żałować, że w ogóle przyjechał. Wszystko, co przecierpiała przez ostatnie pięć dni, powróci do niej na nowo ze zdwojoną siłą, gdy znów wyjedzie. - Jak to się stało, że twoja rodzina pozwoliła ci tak szybko wyjechać? Alleenie, czy wszystko się szczęśliwie skończyło? Poznałeś swoich bliskich i wszystko sobie przypomniałeś?

Cały czas się w niego wpatrywała, jakby chciała wyryć w swojej pamięci każdy szczegół jego wyglądu. Był bez kapelusza, wiatr targał mu włosy.

- W ogóle nie pojechałem do Lindsey Hall - oznajmił.

- Co takiego? - Uniosła brwi.

- Rachel, jestem największym tchórzem na świecie - odparł. - Zostałem w Bath.

Codziennie wymyślałem kolejny pretekst, by poczekać jeszcze godzinę, dwie, cały dzień. Nie mogę do nich wrócić, dopóki sobie wszystkiego nie przypomnę. Albo przynajmniej sporej części. Nie chciałem jechać, by tylko stanąć na progu, jak jakiś bezrozumny głupiec, zapukać do drzwi Lindsey Hall i spytać, czy mnie poznają.

Przechyliła głowę na bok i odruchowo ujęła go za rękę.

- I przypomniałeś sobie? - spytała.

- Całkiem sporo - odparł. - Z każdym dniem coraz więcej. Teraz nie mam już wymówki, by zwlekać z wyjazdem do Lindsey Hall. I bardzo, bardzo chcę tam pojechać. Niczego bardziej nie pragnę.

- A jednak przyjechałeś tutaj? - spojrzała na niego pytająco.

- Robi mi się słabo na samą myśl, że pojedę tam, stanę przed Bewcastle'em i resztą

rodzeństwa, która akurat będzie w domu i oznajmię im, że ich brat wrócił między żywych - powiedział. - W ubiegłym tygodniu przeżyłem okropny wstrząs, gdy usłyszałem od ciebie, że odprawiono za mnie nabożeństwo żałobne, coś jakby pogrzeb, tylko bez trumny ze zmarłym. Oni uważają mnie za zmarłego, podczas gdy ja żyję. Nie, nie potrafię wyrazić, co czuję.

Ścisnęła go mocniej za ręce.

- Nie dam rady tam pojechać, jeśli ty nie pojedziesz ze mną - ciągnął. - To chyba bardzo niemęska postawa, prawda? Dawny Alleyne Bedwyn pewnie nawet by się nad tym nie zastanawiał. Był aroganckim, zuchwałym, niezależnym i dosyć płytkim mężczyzną. Teraz jestem inny. Rachel, bez ciebie nie dam rady. Pojedziesz ze mną?

- Do Lindsey Hall? - Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Rache, proszę. Powinnaś choćby z tego powodu, że uratowałaś mi życie - powiedział. - Bewcastle na pewno będzie chciał ci podziękować. Jeśli nie przyjedziesz ze mną, to on pewnie przyjedzie tutaj, a to by było dla ciebie dosyć onieśmielające doświadczenie. Bewcastle to okropny formalista.

Nagle zrozumiała, że jego uśmiech nie oznacza rozbawienia. Alleyne rozpaczliwie wręcz jej potrzebował.

- Pojadę - odparła. - Jeśli wuj Richard mi pozwoli.

- Już pozwolił - odparł. - Pod warunkiem że pojedziesz z własnej woli. Bridget zgodziła się towarzyszyć ci jako przyzwoitka.. Oczywiście, jeśli będę musiał, pojadę sam. Ale wolałbym, żebyś była przy mnie, gdy stanę przed swoją rodziną.

Uniósł jej dłoń do ust. Uśmiechnęła się do niego.

- Rachel, muszę ci najpierw coś powiedzieć. Nie jestem żonaty i nie mam dzieci. Nie czeka na mnie narzeczona ani ukochana.

Rachel uciekła spojrzeniem w bok. Zrodziła się w niej nieśmiała, ale bolesna nadzieja.

Po co tu wrócił? Dlaczego to dla niego takie ważne, by pojechała z nim do Lindsey Hall? Czy tylko dlatego, że uratowała mu życie?

- Chcę usłyszeć o wszystkim, co robiłaś przez ostatnie pięć dni - powiedział. - Czy to możliwe, że minęło tylko pięć dni? Wydają mi się niemal wiecznością. A potem ja opowiem ci wszystko, co sobie przez ten czas przypomniałem. Chodźmy na spacer, dobrze?

Kiwnęła głową i ujęła go pod ramię. Zastanawiała się, czy przypadkiem cała ta sytuacja nie jest wynikiem nadmiaru słońca. Czy to się dzieje naprawdę? Ale przecież czuła pod dłonią jego rękę, a przy boku ciepło jego ciała. Jeśli zechce, może zamknąć oczy i przytulić policzek do jego ramienia. Był tutaj, przy niej. Nie miał żony ani narzeczonej. Ruszyli przed siebie, bez żadnego konkretnego celu. Minęli dom i poszli na przełaj przez trawnik. Od czasu ich pierwszej przejażdżki konnej, trawę już skoszono, ale stokrotki, jaskry i koniczyna zdążyły odrosnąć i znów kwitły. Rachel opowiedziała mu o podróży powrotnej do domu i wydarzeniach ostatnich kilku dni. Wydawał się tym naprawdę zaciekawiony. Gdy opowiedziała, że sama wsiadła na konia i pływała łódką, spojrzął jej w oczy i się roześmiał.

- Rachel, jestem z ciebie dumny - rzucił. - Mam nadzieję, że ty czujesz to samo.

Stanowczo spodobało ci się wiejskie życie.

Rzeczywiście była dumna ze swoich osiągnięć.

- Niestety, nie opanowałam jeszcze sztuki stania na jednej nodze na końskim grzbiecie i kręcenia przy tym obręczami - oznajmiła.

- Nie zapominaj, że koń powinien jeszcze galopować - zwrócił jej uwagę. Roześmiali się oboje.

Potem mówił głównie Alleyne. Rachel tak wiele chciała się dowiedzieć, a on tak bardzo chciał jej o wszystkim opowiedzieć.

Książę Bewcastle był bardzo wpływowym człowiekiem, arystokratą do szpiku kości.

Rządził swym otoczeniem żelazną ręką, choć nigdy nie musiał się uciekać do przemocy.

Wystarczało, że uniósł brwi i monokl i już wszyscy spełniali jego wolę. Miał na imię Wulfric.

Drugi z kolei brat, Aidan, był oficer kawalerii, ożenił się w zeszłym roku i osiadł w majątku swej żony z dwójką ich przybranych dzieci. Potem był Rannulf, na którego wołali Ralf.

Wyglądał jak wojownik wikingów. Ożenił się, wedle słów Alleyne'a, z posągowo piękną kobietą o rudych włosach. Freyja, to imię, które obito mu się o uszy w Bath, tak miała na imię jego starsza siostra. Onieśmielająca, żywa jak iskra, wyszła za markiza Hallmere'a, który jakimś cudem dawał sobie z nią radę, tak że jeszcze się nawzajem nie pozabijali. Morgan była z nich wszystkich najmłodsza. Miała zaledwie osiemnaście lat.

- To ona czekała na mnie przy bramie Namur - wyjaśnił. - Ta kobieta powracająca w moich snach. Jej opiekunowie nie wywieźli jej w porę z Brukseli. W dniu bitwy pod Waterloo pozwolili jej opiekować się rannymi. Obiecałem Bewcastle'owi, że będę jej pilnował, mimo że podczas pobytu w Brukseli nie znajdowała się pod moja opieką. Desperacko starałem się jak najszybciej do niej wrócić.

- W którym oddziale walczyłeś? - spytała Rachel.

- O, powinienem był od tego zacząć - odparł. - Nie jestem wojskowym. Miałem zamiar zostać dyplomatą. Przydzielono mnie do ambasady w Hadze, kierowanej przez sir Charlesa Stuarta. W dniu bitwy wysłano mnie na front z listem dla księcia Wellingtona. Gdy mnie postrzelono, wracałem spod Waterloo z odpowiedzią. To był ten list prześladowający mnie w snach. Rachel, teraz nie mógłbym wrócić do tamtego życia, nawet gdyby zaproponowano mi kierowanie ambasadą. Tak bardzo się zmieniłem.

Przypomnienie sobie tego wszystkiego zabrało mu pięć dni. Nawet teraz w jego pamięci zdarzały się luki i dziury, które sprawiały, że miotał się bezsilnie.

- Najbardziej ze wszystkiego brakuje mi uczuć, jeśli można tak powiedzieć - wyznał. -

Pamiętam niektóre fakty dotyczące mnie i mojej rodziny, a jednak pozostają obojętne. Tak jakby dotyczyło to kogoś innego, nie mnie. Mam wrażenie oderwania od rzeczywistości, jakby moje miejsce było gdzie indziej. Na myśl o powrocie do domu czuję niemal zażenowanie, jakbym musiał przeproszać, że jednak nie umarłem.

Ujął jej rękę, uścisnął i splótł ich palce.

- Zobacz, doszliśmy aż do drzew, a ja prawie nie dałem ci dojść do słowa - rzucił. -

Kiepski ze mnie dżentelmen, skoro nie przestrzegam zasad uprzejmej konwersacji.

- To nie jest uprzejma konwersacja - odparła. - Alleejnie, my się przecież przyjaźnimy.

Jesteś dla mnie ważny.

- Tak? - uśmiechnął się do niej. - Naprawdę, Rache? Musisz jednak przyznać, że

ostatnio byłem aż za bardzo skupiony na sobie, prawda?

- Miałeś po temu ważne powody - powiedziała. - Tak ci się zresztą tylko wydaje, bo przez pięć dni przebywałeś sam ze swoimi myślami i powracającymi wspomnieniami.

Przecież przedtem całym sercem zaangażowałeś się w moje problemy, nawet jeśli w dosyć niekonwencjonalny sposób. A gdy odnaleźliśmy Nigela Crawleya, walczyłeś w obronie mojego honoru. Czasem mam wrażenie, że powinnam się wstydzić, bo przenika mnie dreszcz podniecenia na wspomnienie tamtej sceny, gdy powaliłeś go na ziemię, aż krew mu pociekła z nosa. Nie czuję jednak wstydu.

- Może pójdziemy aż do kaskady? - zasugerował.

Między drzewami było zacisznie i ciepło. Kamień, na którym poprzednio siedzieli, znajdował się w cieniu. Rachel usiadła, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami.

Alleejnie wyciągnął się na boku i podparł łokciem.

- Wiesz, urodziłem się w bogatej i wpływowej rodzinie - powiedział. - To

niekoniecznie jest zaleta, choć oczywiście lepsze to niż skrajna nędza. Mam do dyspozycji

spory majątek. Jeśli zechcę, mogę do końca życia nie kiwnąć nawet palcem. Dotąd byłem niespokojnym, płytkim, cynicznym mężczyzną. Żyłem bez celu. Nie dbałem o nic i o nikogo. To pamiętam. Widziałem pustkę w moim życiu. Myślałem, żeby zająć się polityką, jednak wybrałem karierę w dyplomacji. Chyba wydawało mi się to bardziej ekscytujące.

- Ale już do tego nie wrócisz - stwierdziła.

- Nie - pokręcił głową. - Moje miejsce jest blisko ziemi. Teraz już to wiem. Dziwne, pamiętam, że Ralf dokonał podobnego odkrycia, gdy pojechał odwiedzić naszą babkę. Został i zamieszkał u niej w majątku. Dobry Boże, właśnie przypomniałem sobie babkę ze strony matki. Drobna staruszka, krucha jak ptaszek. Mieszka w Leicestershire. Aidan też odkrył, że jego miejsce jest na wsi. Postanowił wystąpić z wojska i zamieszkać z Eve w jej majątku. Być może my, Bedwynowie, wszyscy w głębi serca jesteśmy tacy sami, gdy zedrze się z nas pozłotę wpływów i bogactwa. Przywiązani do ziemi, skupieni na prostych, najważniejszych w życiu rzeczach. Na szczęście i miłości.

Patrzył na wodę spod półprzymkniętych powiek. Rachel, zerkając na niego, zastanawiała się, czy przyjdzie taki czas, gdy znów zostanie sama i będzie tu siedziała i wspominała dzisiejszy dzień. Czy też... Spojrzał na nią.

- O to właśnie chodzi - rzucił. Nie powiedział tego, jakby nagle doznał olśnienia.

Wyglądało na to, że przemyślał wszystko wcześniej, a teraz tylko w pełni się z tym utożsamiał.

- Miłość wszystko zmienia. Można by powiedzieć, że utrata pamięci to najlepsze, co mogło mi się w życiu zdarzyć. Oderwała mnie od przeszłości i dała szansę zacząć wszystko od nowa. Jeszcze raz popełnić te same błędy, ale tym razem czegoś się z nich nauczyć. A mogło się to dokonać tylko dlatego, że dzięki miłości moje życie zyskało nowy wymiar. Wszystko się zmieniło.

Rachel oparła policzek na kolanie i nie odrywała od niego oczu.



- Jest tradycją w mojej rodzinie, że późno zawieramy małżeństwa - ciągnął. - Ale gdy już się żenimy czy wychodzimy za mąż, to z miłości i na całe życie. I dochowujemy małżonkom wierności. Wszyscy, nawet ci najbardziej swawolni i niezależni. Z pewnym niedowierzaniem i cynizmem przyglądałem się, jak w zeszłym roku spotkało to Aidana, Ralfa i Freyję. Wtedy tego nie rozumiałem. Teraz tak.

Uśmiechnął się do niej. Rachel mocniej objęła kolana rękami.

- Rachel, zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu możesz zażywać swobody - powiedział. - Wreszcie zajmujesz pozycję, należną ci od urodzenia. Nie jesteś mi nic winna. Wręcz przeciwnie, to ja mam u ciebie dług. Miłość skupia się na konkretnej osobie, ale nie zawłaszcza i nie ogranicza. Nie chcę, byś czuła się osaczona albo kierowała się litością. Jeśli będę musiał żyć bez ciebie, to trudno. Jeśli mam sam pojechać do Lindsey Hall, to pojedę. O, widzę ten twój dołeczek. Czy powiedziałem coś śmiesznego?

- Nie - odparła. - Ale stanowczo za dużo mówisz, Alleyne. Chyba zaraziłeś się tym od sierżanta Stricklanda.

Roześmiał się nerwowo. Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Ten przystojny, czarujący mężczyzna wiódł dostatnie, wygodne życie, spełniano każdą jego zachciankę, a kobiety zapewne dałyby się zabić za jeden jego uśmiech. Zdumiała się. Ten mężczyzna jest teraz tak zażenowany, że płacze się w słowach.

- Tak - powiedziała.

- Tak? - Uniósł brwi. Wyglądał przy tym bardzo wyniośle.

- Tak, zostanę twoją żoną - wyjaśniła. - A jeśli teraz powiesz mi, że nie o to w całej tej przemowie chodziło, to wskoczę do rzeki i się utopię. Czy właśnie o to chciałeś mnie za chwilę poprosić?

Spojrzała na niego przerażona. Policzki spłonęły jej ognistym rumieńcem. Znow się

roześmiał, ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją.

- Nie - odparł. - Ale to całkiem niezły pomysł, prawda? Pisnęła i spróbowała go odepchnąć.

Ujął ją za podbródek i znów pocałował.

- Rache, to absolutnie cudowna sugestia - dodał. - Ukochana, wyjdiesz za mnie?

Jesteś moją miłością i nowym życiem. Być może mógłbym bez ciebie żyć, ale wolałbym spędzić resztę życia przy tobie. Zostaniesz moją żoną?

Przycisnęła wargi do jego ust.

- Rache, czy to znaczy „tak”?

- Tak - potwierdziła.

Cofnął głowę i uśmiechnął się do niej. Tym razem w jego uśmiechu nie było figlarności. Zabrakło jej tchu, gdy zobaczyła uczucie, płonące na dnie jego oczu. Dotknęła jego policzka ręką, która dziwnie drżała.

- Kocham cię - powiedziała. - Mogłabym wieść tutaj, w Chesbury, spokojne życie, tylko z wujem i moimi przyjaciółkami. Jednak naprawdę wolałabym przeżyć je z tobą, mój ukochany.

Spojrzeli na siebie z zachwytem. Powoli ogarniała ich radość.

- Zanim ruszyłem na spotkanie z tobą rozmawiałem z twoim wujem - powiedział. -

Rache, w najbliższą niedzielę zostaną odczytane pierwsze zapowiedzi. Musimy stworzyć jakąś historyjkę, którą opowiemy miejscowym. Poprosimy Stricklanda i twoje przyjaciółki, żeby wymyślili coś odpowiednio pokręconego i jeżącego włosy na głowie. Dopiero za miesiąc będziemy się mogli sobą nacieszyć w przyzwoitym łóżu małżeńskim. Czy chcesz czekać tak długo? Zagryzła wargę i pokręciła głową.

- Grzeczna dziewczynka - rzucił i przytrzymał jej głowę. - Ja też nie.

Pocałował ją. Położył się na ciepłym kamieniu i pociągnął na siebie. Nie było to chyba najwygodniejsze posłanie, ale nie zwrócili na to uwagi. Kochali się pogrążeni w zmysłowej rozkoszy. A jednak nie zatracili się zupełnie w tym zbliżeniu. Rachel przypomniawszy sobie, jak zaledwie kilka godzin temu wmawiała sobie, że nie potrzebuje go do szczęścia, że spotka go znów za parę lat i nie poczuje przy tym bólu. Ciepły, letni wiatr owiewał jej ciało; słyszała szum kaskady i śpiew ptaków. Stęsknieni, spragnieni siebie, kochali się gwałtownie i żarliwie. Potem podłożył jej ramię pod głowę i przez dłuższy czas leżeli rozgrzani, zdyszani i zaspokojeni. Wpatrywali się w drzewa nad swymi głowami. Od czasu do czasu odwracali głowy i uśmiechali się do siebie.

- Skąd wiedziałaś, że żyję? - spytał.

- Dotknęłam twojego policzka i poczułam ciepło - odparła. - A potem na szyi wyczułam puls.

- Zawdzięczam ci życie - powiedział. - Nowe życie. Pamiętasz, od początku twierdziłem, że umarłem, znalazłem się w niebie, a tam czekał na mnie złocisty anioł, prawda?

- To była druga wersja - przypomniawszy mu. - W pierwszej utrzymywałeś, że umarłeś, dostałeś się do nieba i okazało się, że niebo to dom schadzek.

Roześmiał się, pochylił się nad nią i całował do utraty tchu.

Alleyne zdecydował, że najlepszą porą na powrót do Lindsey Hall będzie poranek.

Miał wtedy największą szansę zastać Bewcastle'a, jeśli w ogóle brat bawił w domu. Chociaż pod koniec sierpnia księżę powinien był już wrócić z Londynu.

Zatrzymali się na nocleg w gospodzie o kilka kilometrów od Lindsey Hall. Alleyne nie chciał, żeby go rozpoznano. Wyruszył z Rachel zaraz po śniadaniu. Bridget została w oberży.

Dzień był piękny i słoneczny. Dotarli do majątku przed południem. Alleyne odczuł niemal fizyczny wstrząs, gdy wjechali w główną aleję porośniętą szpalerem strzelistych wiązów.

Poznawał wszystko. Przycisnął twarz do szyby i patrzył na zbliżający się okrągły ogród pełen kwiatów, stojącą pośrodku niego fontannę i wyłaniający się w całej okazałości dom. Alleyne żałował, że zjadł śniadanie. Czuł, jak leży mu ciężko na żołądku, przyprawiając o mdłości.

Pomyślał, że najchętniej kazałby zawracać i nigdy tu nie wrócić. To absurdalne, że ociągał się z powrotem do domu i spotkaniem z Bewcastle'em. Jakby czuł, że powinien pozostać wśród umarłych, tylko dlatego, że odprawili za niego nabożeństwo żałobne. Powinien był najpierw napisać do Bewcastle'a, tak jak sugerowała Rachel.

Poczuł jej ciepłą dłoń na swej ręce. Odwrócił do niej twarz i się uśmiechnął. Dzięki

Bogu nic nie mówiła. Patrzyła tylko na niego oczami pełnymi miłości. Ogarnął go spokój.

Wracał do swojego dawnego życia. - Powóz mijał właśnie fontannę. - Ale ma przy swym boku nowe życie i wszystko się zmieniło. Nikt i nic nie jest dla niego ważniejszy niż Rachel.

Powóz zatrzymał się i woźnica otworzył drzwi. Alleyne wyskoczył z powozu,

odwrócił się i pomógł wsiąść Rachel. Wsunął sobie jej rękę pod ramię. Nie musiał pukać do wielkich, podwójnych drzwi. Otworzyły się same i wyszedł z nich lokaj Bewcastle'a. Staął z

boku i nisko, z szacunkiem się uklonił. Na twarzy miał obojętny półuśmiech. A potem

podniósł wzrok i spojrzał prosto na Alleyne'a. Przestał się obojętnie uśmiechać, pobladł i

otworzył usta ze zdumienia.

- Dzień dobry, Fleming - odezwał się Alleyne. - Bewcastle w domu?

Fleming nie na darmo był od piętnastu lat lokajem księcia Bewcastle'a. Upłynęło ledwie dziesięć sekund i zdołał zapanować nad sobą. Alleyne tymczasem schodami poprowadził Rachel do holu wejściowego.

- W tej chwili nieobecny, milordzie - odparł Fleming.

Alleyne zatrzymał się w progu. W wielkim średniowiecznym holu, który był jednym z jego pierwszych odzyskanych wspomnień, przygotowywano bankiet. Dookoła uwijała się służba. Nakrywała do stołu, układała kwiaty i ustawiała krzesła. Niejeden zatrzymał się i gapił na Alleyne'a, dopóki dyskretny znak Fleminga nie posłał go z powrotem do pracy.

- Jego miłość jest... - zaczął lokaj. Alleyne uciszył go gestem.

- Dziękuję, Fleming - powiedział. - Czy wróci wkrótce?

- Tak, milordzie - odparł lokaj.

Szykowała się wspaniała feta. W Lindsey Hall była reprezentacyjna jadalnia.

Głównego holu używano tylko przy wyjątkowych, wielkich uroczystościach. Ostatnim razem urządzono tu wesele Freyji.

Wesele? Bewcastle'a?

Alleyne nie chciał jednak pytać Fleminga. Stał w miejscu i rozglądał się dookoła.

Bardziej niż zwykle był wdzięczny Rachel za jej cichą, spokojną obecność przy jego boku, za dłoń wsuniętą mu pod ramię.

Myśleli, że on nie żyje. Urządzili mu coś na kształt pogrzebu. A potem żyli jakby nigdy nic. Niecałe trzy miesiące po bitwie pod Waterloo świętowali z wielką pompą jakąś uroczystość.

Alleyne zastanawiał się, czy czuje się tym zraniony. Jak to możliwe, że dla nich życie

toczyło się dalej, tak jakby nigdy nie istniał? Ale przecież życie nie mogło się zatrzymać na parę miesięcy. Dla niego czas też nie stał w miejscu. Jego życie potoczyło się nowym torem. Zdawało mu się, że dopiero od Waterloo żył pełnią życia i dojrzał bardziej niż dotychczas przez całe dwadzieścia pięć lat. Spotkał Rachel. Odnalazł cel w życiu, swoje miejsce na ziemi i szczęście. I miłość. Spojrzał na nią.

- To wszystko jest takie wielkie i wspaniałe, że aż ogarnia mnie przerażenie - powiedziała.

Otworzył usta, ale nie zdążył odpowiedzieć. Oboje poprzez zgiełk w holu usłyszeli stukot kopyt i turkot kół na podjeździe. Alleyne zamknął na chwilę oczy.

- Zostanę tutaj - rzuciła Rachel. - Idź beze mnie, Alleynie. Musisz to zrobić sam.

Zobaczysz, będziesz wspominać tę chwilę jako najszczęśliwszą w całym twoim życiu.

To chyba mało prawdopodobne. Nawet teraz, kilka godzin po śniadaniu, na myśl o spotkaniu z rodziną miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Ale miała rację, że musi to zrobić sam. Wyszedł na taras.

W otwartym powozie siedzieli kobieta i mężczyzna. Objęli się i zaczęli całować, nie zważając na to, czy obserwuje ich ktoś z domu. W tej samej chwili Alleyne zauważył kolorowe wstążki dekorujące powóz i przychepione z tyłu stare trzewiki. Więc to para nowożeńców.

Bewcastle?

Jednak gdy powóz podjechał do tarasu i para odsunęła się od siebie, Alleyne zobaczył, że mężczyzna to nie Bewcastle. To był... Dobry Boże, to był hrabia Rosthorn, gospodarz tamtego pikniku w lesie Soignes, wspomnianego przez Rachel. Mężczyzna, który tak ostentacyjnie zalecał się do Morgan.

Spojrzał na kobietę, na pannę młodą i zobaczył Morgan, w białej sukni z lamówkami

w kolorze lawendy. Nie był w stanie myśleć. Prawie nie mógł oddychać. Morgan rzuciła mu promienne, roześmiane spojrzenie, gdy powóz się zatrzymał. Nagle uśmiech zastygł jej na twarzy. Śmiertelnie pobladła i zerwała się na nogi.

- Alleyne - szepnęła.

Miał dwa tygodnie, by przygotować się na to wstrząsające spotkanie. Wątpił jednak, czy przeżywa je mniej dotkliwie niż ona. Wyciągnął do niej ramiona. Rzuciła się w nie, cudem przeskakując ponad zamkniętymi drzwiczkami powozu. Objął ją mocno i przytulił do siebie na długą chwilę.

- Alleyne, Alleyne - raz po raz powtarzała jego imię szeptem, jakby nie wierzyła własnym oczom i bała się odezwać do niego głośno.

- Morgan, nie mogłem przecież pozwolić, by ominął mnie twój ślub, prawda? - powiedział, stawiając ją w końcu na ziemi. - A przynajmniej weselne śniadanie. Wyszłaś za Rosthorna?

Hrabia już wysiadał z powozu. Jednak Morgan nadal tuliła się do Alleyne'a i wpatrywała w jego twarz, jakby ciągle jej było mało.

- Alleyne - powiedziała głośno. - Alleyne.

Być może za chwilę na tyle odzyskałaby panowanie nad sobą, że zdołałaby powiedzieć coś więcej niż jego imię. Jednak, w ślad za nowożeńcami, na podjeździe pojawiła się cała kawalkada pojazdów. Pierwszy już mijał fontannę, za chwilę podjechał do tarasu i zajął miejsce powozu nowożeńców, który stangret tymczasem odprowadził na bok. Alleyne'a ogarnęło przekonanie, że wszystko będzie dobrze. W chwili gdy Morgan znalazła się w jego ramionach, nagle opadło z niego wrażenie oderwania od przeszłości i obojętności wobec wspomnień. Wrócił do domu swego dzieciństwa. Dziwnym trafem zjawił się tutaj akurat na uroczystość familijną, na której chyba wszyscy członkowie rodziny

powinni być obecni. Z niemal radosną niecierpliwością patrzył na pierwszy powóz. Zobaczył w nim babkę, Ralfa z Judith i stłoczonych z nimi Freyję i Hallmere'a. Dziwne, mimo że Freyja i babka wpatrywały się czule w Morgan, to żadna jeszcze go nie zauważyła. Ralf wyskoczył z powozu i odwrócił się, by pomóc wysiąść babce. Morgan zawołała go po imieniu. Spojrzał przez ramię z wesołym uśmiechem i zamarł, tak jak ona przed kilkoma minutami.

- Mój Boże - powiedział. - Mój Boże. Alleyne!

Zostawił babkę, żeby sobie poradziła sama i w kilku krokach znalazł się przy Alleynie. Krzyknął i zgniótł brata w niedźwiedzim uścisku. Dziwne zachowanie Rannulfa zwróciło uwagę wszystkich obecnych. Przyjrzelisi się mężczyźnie, którego ścisnął z takim entuzjazmem. Rozległa się wielka wrzawa, zapanowało ogólne zamieszanie. Uściskom, okrzykom i pytaniom nie było końca. Polało się trochę łez. Alleyne delikatnie uścisnął babkę. Wydawała się jeszcze bardziej drobna i krucha niż zwykle. Pomarszczoną dłonią pogłaskała go po policzku i spojrzała na niego zdumiona.

- Mój drogi chłopcze - powiedziała. - Ty żyjesz.

W tym zamieszaniu tylko Freyja stała z boku. W końcu reszta odsunęła się od Alleyne'a, by i ona mogła podejść. Pobladła Freyja patrzyła na Alleyne'a wyniośle. Wyciągnął do niej rękę. Podeszła do niego, ale zamiast go uściskać, zamachnęła się i uderzyła go pięścią w szczękę.

- Gdzieś ty był? - zażądała wyjaśnień. - Gdzieś ty, do licha, był? - rzuciła się mu na szyję i przytuliła tak mocno, że zabrakło mu tchu. - Zabiję cię gołymi rękami. Przysięgam, że cię zabiję.

- Free, chyba nie mówisz tego poważnie - odparł, poruszając szczęką. - Jeśli spróbujesz mnie zabić, to ci się nie uda. Poproszę Hallmere'a, żeby mnie obronił.



Nagle zjawili się wśród nich również Aidan i Eve z dziećmi. Wysiedli z drugiego powozu, a dzieci z okrzykami radości rzuciły się ku Alleyne'owi. Eve stała z szeroko otwartymi oczami, zakrywając dłońmi usta. Aidan ruszył w ślad za dziećmi.

- Na Boga, Alleyne, ty żyjesz - zawołał, stwierdzając oczywisty fakt i chwycił brata w objęcia.

Alleyne miał wrażenie, że nigdy w życiu nie był tyle razy ściskany. Roześmiał się i uniósł ręce, jakby chciał powstrzymać lawinę kierowanych do niego pytań.

- Później - obiecał. - Dajcie mi chwilę, bym mógł się nacieszyć waszym widokiem i doszedł do siebie po uderzeniu Freyji.

Alleyne zobaczył w kolejnym powozie wujostwo Rochester z dwiema damami, których nie znał. Szok widoczny na twarzy ciotki był niemal komiczny.

A gdzie Bewcastle?

Stał na tarasie w pewnej odległości od reszty Cieszył się tak wielkim autorytetem, że wszyscy, wyczuwając jego obecność, odsunęli się od Alleyne'a i zamilkli. Mimo zgiełku głosów, rżenia koni, hałasu powozów i plusku fontanny, Alleyne'owi zdawało się, że zapadła kompletna cisza.

Bewcastle patrzył na niego obojętnie srebrzystymi, nieprzeniknionymi oczami.

Sięgnął po oprawiony w złoto, inkrustowany szlachetnymi kamieniami monokl i charakterystycznym dla niego gestem uniósł go w pół drogi do oka. A potem z nietypowym u niego pośpiechem przeszedł przez taras i bez słowa objął Alleyne'a mocnym uściskiem, który trwał chyba całą minutę. Alleyne oparł czoło na ramieniu brata i wreszcie poczuł się bezpieczny. Nadzwyczajna chwila. Gdy zmarł ich ojciec, Wulfric miał siedemnaście lat, Alleyne był jeszcze dzieckiem. Alleyne nigdy nie traktował starszego brata jak ojca. Co więcej, często buntował się wobec nakazów i zakazów, które brat egzekwował z nieugiętą

surowością, wyraźną obojętnością i bez odrobiny humoru. Alleyne zawsze uważał, że najstarszy brat jest chłodny, obojętny i nie dba o nikogo. Zimna ryba. A jednak to właśnie w uścisku Wulfrica w pełni poczuł, że znalazł się w domu, że jest głęboko, bezwarunkowo kochany. Zaiste, nadzwyczajna chwila.

Alleyne zawstydził się nagle. Zamrugął, żeby powstrzymać łzy. Dobrze, że nie uległ zenującej pokusie, by wybuchnąć płaczem. Bewcastle cofnął się o krok i znów sięgnął po monokl. Być może również poczuł się zażenowany tak otwartym okazywaniem uczuć. Znów był chłodny i wyniosły jak zwykle.

- Alleyne, niewątpliwie zaraz wyjaśnisz nam przyczyny twojej nieobecności? - powiedział.

Alleyne uśmiechnął się szeroko, a potem zachichotał.

- Gdy znajdziecie wolną godzinkę albo trzy - odparł i rozejrzał się dookoła. Oto jego rodzina. A z każdą chwilą przybywało coraz więcej sąsiadów, znajomych i pozostałych gości.

- Wygląda jednak na to, że mój przyjazd odwrócił uwagę od państwa młodych. To niewybaczalne. Poproszę was jednak jeszcze o chwilę uwagi.

Spojrzał w kierunku drzwi. Rachel stała tuż za progiem, ukryta w mroku holu.

Podszedł do niej z uśmiechem i wyciągnął rękę. Widział, że Rachel jest śmiertelnie przerażona, choć na pozór wydawała się spokojna. Podała mu dłoń i pozwoliła, by wyprowadził ją na taras. Wyglądała niewiarygodnie pięknie, mimo że jej bladozielona suknia podróżna i kapelusz były o wiele skromniejsze niż wspaniałe stroje gości weselnych.

- Mam zaszczyt przedstawić pannę Rachel York, siostrzenicę i dziedziczkę barona Weston z Chesbury Park w Wiltshire, moją narzeczoną - powiedział, odwracając się do rodziny.

Znów rozległa się wielka wrzawa, wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Rachel tylko

się uśmiechała rozpromieniona i zarumieniona. Jak zwykle ostatnie słowo należało do Bewcastle'a. Sztywno, zgodnie z etykietą uklonił się Rachel.

- Panno York, mam przyjemność znać pani wuja - powiedział. - Witam w Lindsey Hall. Niewątpliwie w ciągu najbliższych godzin i dni Alleyne uraczy nas wieloma opowieściami. Jednak w tej chwili czekają nas uroczystości weselne, powitanie gości i śniadanie. Hrabia i hrabina Rosthorn niech wejdą do domu pierwsi.

Hrabia i hrabina...

On mówił o Morgan. Teraz, gdy minął pierwszy szok związany z powrotem jej brata między żywych, siostra Alleyne'a uśmiechnęła się promiennie do Rosthorna. Mąż spojrzał na nią z uwielbieniem i ujął za rękę. Wulf uklonił się i podał Rachel ramię. Alleyne podsunął ramię ciotce, a Freyja chwyciła go mocno pod rękę z drugiej strony, jakby się bała, że nagle zniknie. Pomyślał, że Rachel miała rację. Z pewnością zapamięta ten dzień jako najszczęśliwszy w całym swoim życiu. A jednak będzie tak tylko dlatego, że była przy nim Rachel. Gdyby nie ona, pewnie zwlekałby z powrotem do sądnego dnia.

Rachel przyglądała się drzewom rosnącym wokół jeziora z okna swojej sypialni.

Liście na nich zaczynały już żółknąć. Wrzesień był mokry i zimny. Wczoraj jednak w końcu wyjrzało słońce, a dzisiejszy dzień był tak ciepły, jakby lato powróciło akurat na tę okazję.

Dzień ślubu wydałby się jej piękny nawet wśród mżawki, burzy czy zamieci. Choć oczywiście każda panna młoda marzy, by powitało ją błękitne niebo i blask słońca, gdy wyjdzie na stopnie kościoła z mężem u boku. Stała gotowa, by ruszyć do kościoła. Było jeszcze wcześnie. Geraldine zjawiała się w jej sypialni już o świcie, a za nią lokaje i pokojówki, by przygotować kąpiel. Geraldine uparła się, że zostanie i umyje jej plecy. Potem pomogła Rachel ubrać się we wspaniałą suknię z kremowej satyny i koronki, którą zamówił dla niej wuj wraz z oszałamiającą wyprawą ślubną.

Rachel śmiała się, że właściwie nie wypada, żeby ochmistrzyni pełniła funkcję pokojówki. Jednak Geraldine się uparła.

- Rache, przed Gwiazdką zostanę żoną osobistego lokaja, czy też kamerdynera, jak woli się tytułować Will. To oznacza, że właściwie po mężu będę pokojówką, nie? - przerwała i się zaśmiała. - Słyszałaś, co powiedziałam? Pokojówka po mężu. Ja pokojówką. Zresztą i tak nikt nie potrafi cię uczesać tak dobrze jak ja. A dzisiaj musisz mieć pięknie ułożone włosy. Lord Alleyne będzie na nie patrzył przez cały dzień, a potem je rozpuści, gdy znajdziecie się w sypialni. Nie masz matki, która mogłaby ci udzielić rad na tę okazję, ale zdaje mi się, że ich nie potrzebujesz, prawda?

Nim poranek na dobre się rozpoczął, w gotowalni Rachel zjawiała się również reszta jej przyjaciółek. Phyllis została jednak tylko na chwilę. Miała przecież w domu dużo gości, a jeszcze na dodatek uparła się, że sama przygotuje śniadanie weselne.

- Rachel, wszystko powinno się udać - rzuciła na odchodnym. - Gdybym jeszcze tylko mogła przestać myśleć o tym, że gotuję dla prawdziwego, żywego księcia. Widziałam go. Wygląda zupełnie jak lord Alleyne. Tyle że na moje oko, gdyby mu wsadzić do ręki sopel lodu, to chyba by się nie stopił, ale jeszcze bardziej zlodowaciał.

- Ja też go widziałam, gdy lord Alleyne wezwał mnie do Lindsey Hall - westchnęła Bridget. - Książę mi się uklonił i spytał jak się miewam. Omal nie padłam trupem, ale oczywiście on nie wiedział, kim byłam, no nie?

Geraldine ostrożnie umieściła kapelusik na misternej fryzurze Rachel, a Flossie udrapowała na nim welon. Potem obie cofnęły się o krok, żeby ocenić efekt.

- Rachel, jesteś najpiękniejszą panną młodą, jaką w życiu widziałam - powiedziała Flossie. - Choć uważam, że sama też nieźle wyglądałam dwa tygodnie temu.

Gdy nadeszła pora, by jej przyjaciółki ruszały do kościoła, Rachel uściskała je po

kolei. Sama musiała zostać na górze. Alleyne i cała jego rodzina zatrzymali się w Chesbury Park. Rachel nie chciała, by ktokolwiek z nich zobaczył ją wcześniej niż - w kościele, bo to podobno przynosiło pecha. Pod dom zaczęły podjeżdżać powozy. Rachel cofnęła się od okna zanim któryś z pasażerów wyszedł na zewnątrz.

Spędziła w Lindsey Hall prawie cały tydzień, by potem wraz z Bridget wrócić do domu i zacząć przygotowania do ślubu. Na początku czuła się skrępowana. Bedwynowie byli bezpośrednimi, pełnymi życia ludźmi, a jednocześnie w każdym calu arystokratami. Stopniowo jednak Rachel odnalazła się w ich towarzystwie, a nawet ich polubiła. Wszystkich, nawet księcia Bewcastle'a. Był surowy, apodyktyczny i pełen rezerwy. Sprawiał niemal wrażenie zimnego. Nigdy się nie śmiał ani nawet nie uśmiechał. Jednak gdy trzymał Alleyne'a w ramionach tam na tarasie, Rachel widziała jego twarz. Prawdopodobnie jako jedyna, gdyż był zwrócony plecami do reszty rodziny. W twarzy księcia zobaczyła szczerą, żarliwą miłość. Od tamtej chwili Rachel darzyła księcia szczególną sympatią.

Poznała ich wszystkich w ciągu tamtego tygodnia. Oni zaś przyjęli ją do swego grona bez żadnych zastrzeżeń. Rachel domyślała się, że zapewne w tych okolicznościach zaakceptowaliby kogokolwiek. Niemal od pierwszej chwili Alleyne dobitnie uświadomił wszystkim, że Rachel uratowała mu życie. Dzięki niej odzyskali swego brata, gdy od ponad dwóch miesięcy wierzyli, że zginął, wioząc list od księcia Wellingtona do ambasadora w Brukseli. Ten list znaleziono zresztą po bitwie w lesie.

Rachel usłyszała z dołu gwar głosów, potem trzaskanie drzwi, stukot kopyt i turkot kół. Kilka chwil później rozległo się pukanie do drzwi jej gotowalni. W progu stanął sierżant Strickland.

- Wszyscy pojechali już do kościoła - powiedział. - Baron czeka na panią na dole. A niech mnie, panienko, wygląda pani ślicznie jak z obrazka, choć przecież nie moja to rzecz

mówić takie rzeczy, bo jestem tylko kamerdynerem.

- Sierzancie, może pan mówić takie rzeczy, ilekroć przyjdzie mu na to ochota -

powiedziała Rachel z uśmiechem. Pod wpływem impulsu podeszła do niego, objęła za szyję i pocałowała w policzek. - Pozostanę panu wdzięczna do końca życia. To pan ocalił mu życie.

Mnie samej, bez pana, nigdy by się to nie udało. Dziękuję panu, przyjacielu.

Uśmiechnął się do niej promiennie. Wydawał się przy tym okropnie zawstydzony.

Zaledwie kilka minut później siedziała już w powozie u boku wuja. Czuła mrowienie w dłoniach, serce jej waliło jak oszalałe i kręciło się w głowie. Nawet teraz, a może właśnie szczególnie teraz, nie mogła do końca uwierzyć w swoje szczęście.

Znalazła się w lesie Soignes, żeby okradać zwłoki zabitych. Potem przystała na maskaradę pełną kłamstw i pozorów. Następnie ruszyli pospiesznie do Bath, gdzie Alleyne odzyskał pamięć i... porzucił ją. A potem, och, a potem, pewnego dnia wróciła ze spaceru nad jeziorem i rzuciła się mu w ramiona.

Wuj ujął jej rękę i ścisnął mocno.

- Rachel, dzisiejszego ranka chyba nie wolno mi mówić, że jestem najszczęśliwszym mężczyzną na świecie - powiedział. - Wydałoby się to doprawdy dziwne, gdyby ten przywilej nie należał do Bedwyna. Śmiem jednak twierdzić, że moje szczęście niemal dorównuje temu, co on czuje.

Rachel odwróciła głowę i uśmiechnęła się do wuja. Nie wyglądał jeszcze na człowieka w pełni sił, cieszącego się dobrym zdrowiem. Jednak jego stan tak bardzo się poprawił od tamtego popołudnia, gdy przyjechali do Chesbury. Właściwie trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek.

Przy bramie kościoła zebrali się mieszkańcy wsi. Wśród gości wewnątrz na pewno będzie sporo sąsiadów. Wyjaśnienia okazały się dosyć delikatną i ryzykowną sprawą. Alleyne

i Rachel opowiedzieli w okolicy historię o utracie pamięci i tymczasowej, wymyślonej tożsamości sir Jonathana Smitha, dopóki lord Alleyne Bedwyn nie przypomni sobie kim jest. Kwestia ważności małżeństwa, w którym pan młody posłużył się nieprawdziwym nazwiskiem pozostawała niejasna. Obie rodziny ominęło pierwsze wesele. Z tych powodów zdecydowano się powtórzyć ceremonię. Nikt nie pytał o majątek w Northumberland, nie trzeba więc było udzielać dodatkowych wyjaśnień.

Wchodzili już do kościoła. W przedsionku czekała Bridget, by poprawić suknię Rachel i upewnić się, czyjej fryzura i kapturek nie doznały uszczerbku podczas jazdy z domu do kościoła.

- Kochanie, już czas - powiedziała. Cofnęła się o krok i uśmiechnęła. Oczy jej podejrzenie błyszczały. - Idź i niech ci się szczęści.

Ktoś dał znak organiście. Kościół wypełniła muzyka. Rachel ruszyła główną nawą, wsparta na ramieniu wuja. Goście wypełniający ławki zwrócili twarze w jej stronę i przyglądali się, jak nadchodzi. Rachel zdawała sobie sprawę z ich obecności, ale właściwie widziała tylko Alleyne'a, który stał przy ołtarzu w towarzystwie Rannulfa. Nie uśmiechał się. Patrzył na nią poważnie, z wyrazem czystego uwielbienia w oczach. Ubrany w czerń i biel wyglądał zdumiewająco pięknie. Za chwilę już stała u jego boku. Uśmiechnął się do niej. Zamrugła gwałtownie, żeby powstrzymać łzy i odwzajemniła uśmiech.

- Drodzy bracia i siostry - zaczął pan Crowell.

Podczas gdy nowożeńcy podpisywali się w księdze parafialnej, Bedwynowie wymknęli się z kościoła, by przygotować młodej parze należyte powitanie. Chyba tylko trzęsienie ziemi mogłoby ich przed tym powstrzymać.

Alleyne wyszedł z kościoła pod rękę z Rachel i roześmiał się na ich widok. Otwarty powóz został udekorowany prawie tak samo jak przed miesiącem ekwipaż Morgan i

Rosthorna, jednak tym razem z tyłu przyczepiono dwa stare garnki. Cała rodzina zgromadziła się po obu stronach ścieżki, uzbrojona w płatki kwiatów i wielobarwne liście. Aidan z Eve, Davy i Becky, Freyja i Joshua, Judith, Morgan i Gervase, i Rannulf, biegnący na swoje miejsce.

- Kochanie, obawiam się, że będziemy musieli przebiec między szpalerem

Bedwynów, narażając się na obsypanie Bóg wie czym - rzucił Alleyne.

- Mniemam, że ty robiłeś to samo na ich ślubach - powiedziała.

- Tak - przyznał. - Z wyjątkiem ślubów Morgan i Aidana. On wziął ślub za specjalnym pozwoleniem, a my dowiedzieliśmy się o wszystkim dużo później.

- Jakie to samolubne z jego strony - roześmiała się Rachel. Wyglądała przy tym tak pięknie, że aż zabrakło mu tchu. - Mnie się ten pomysł bardzo podoba.

Ujęła go pod rękę, zadarła podbródek do góry i wolnym krokiem przeszła z nim ścieżką. Śmiała się do każdej mijanej osoby. Wkrótce jej piękna suknia ślubna połyskiwała wszystkimi barwami tęczy.

- Widzicie? - zawołał głośno Alleyne. - Poślubiłem kobietę godną nazwiska Bedwynów. Nie boi się niczego.

Pomógł jej wsiąść do powozu i sam poszedł w jej ślady. Rachel zajęła się poprawianiem sukni, nawet nie próbując strzepnąć z niej płatków kwiatów. On zaś wstał na chwilę i sypnął gromadce wiejskich dzieci garść monet. Zapiszczały i z krzykiem rzuciły się, by je pozbierać.

Alleyne usiadł koło Rachel, ujął jej dłoń i splótł ich palce. Powóz zakołysał się na resorach i ruszył do Chesbury. Alleyne nie zwracał uwagi na wiwaty, gwizdy i wznoszone w tłumie okrzyki. Dopiero teraz usłyszał radosne bicie dzwonów i łoskot garnków ciągniętych za powozem.



- Och, kochanie - westchnął.

- Tak, kochanie.

Roześmiali się. Ścisnął ją mocniej za rękę.

- Kto by pomyślał, że będę jeszcze dożgonnie wdzięczny losowi za tę kulę z muszkietu w udzie, upadek z konia i utratę pamięci? Kto by przypuszczał, że ta katastrofa okaże się najwspanialszą rzeczą, jaka mi się w życiu przytrafiła?

- I kto by pomyślał, że jeszcze podziękuję losowi za tę nudną posadę damy do towarzystwa, zaręczyny z łobuzem i kradzież pieniędzy moim przyjaciółkom i mnie? - dodała. - Kto by przypuszczał, że moja wyprawa do lasu Soignes w poszukiwaniu kosztowności, które opłacą pogoń za złodziejem, doprowadzi mnie do ciebie?

- Już nigdy nie powiem, że nie wierzę w przeznaczenie - rzucił. - Nasze życie na pewno potoczy się szczęśliwie, jeśli tylko odważnie wstąpimy na ścieżkę, która doń prowadzi.

Uniosła ku niemu twarz. Pocałował ją delikatnie.

- Posłuchaj tylko, jakie filozoficzne teorie wygłaszam, podczas gdy los dał nam kilka chwil sam na sam, zanim zacznie się weselne śniadanie. Mamy tylko kilka minut. Noc wydaje się odległa o całe wieki.

Puścił jej dłoń, objął ją i przyciągnął do siebie.

- Już ci kiedyś powiedziałam, że czasami za dużo mówisz - stwierdziła.

- Co ja słyszę? Niesubordynacja? - rzucił, pocierając nosem o jej nos. - Rache, jesteś teraz moją żoną, lady Bedwyn. Musisz się zachowywać wobec mnie uprzejmie i we wszystkim mi przytakiwać.

- Tak, milordzie - odparła z figlarnym błyskiem w oku.

- To mnie pocałuj - zażądał.

- Tak, milordzie.

Roześmiała się głośno. A potem posłuchała polecenia. Odwróciła się do niego i objęła za szyję, by go mocno, gorąco pocałować. Złocisty anioł. Jego ukochana żona.